

TRICIA RAYBURN

SYRENA

dla Michaela

1

Moja siostra Justine zawsze wierzyła, że najlepszy sposób na opanowanie lęku przed ciemnością to udawać, że jest naprawdę jasno.

Przed laty, kiedy jako dziewczynki leżałyśmy w łóżkach pośród mroku, starała się pomóc mi zastosować tę teorię w praktyce. Skrywając się za barykadą z poduszek, byłam przekonana, że w ciemnościach czai się zło, aby - gdy zwolni się rytm mojego oddechu - rzucić mi się do gardła. A Justine, zaledwie rok starsza, lecz o całe lata

mądrzejsza, każdej nocy cierpliwie próbowała rozwiać mój niepokój.

- Widziałaś tę cudną sukienkę, którą miała dziś na sobie Erin Klein? - potrafiła zapytać, zawsze zaczynając od łatwego pytania, żeby wy badać, jak bardzo kiepska jest sytuacja. Czasami, zwykle gdy kładłyśmy się późno spać po wyjątkowo zabieganym dniu, byłam zbyt zmęczona, żeby się bać. W takie wieczory na podobne pytania odpowiadałam krótkim „tak” lub „nie”, a potem gawędziłyśmy o czymś zwyczajnym aż do zaśnięcia.

Przeważnie jednak szeptałam coś w rodzaju: „Słyszałaś to?” albo „Myślisz, że ugryzienie wampira boli?”, albo „Czy potwory wyczuwają strach?”. Wówczas Justine przechodziła do pytania numer dwa.

- Ale t u jasno - oznajmiała najpierw. - Wszystko widzę: mój plecak, niebieską błyszczącą bransoletkę, naszą złotą rybkę w akwarium. A ty co widzisz, Vanesso? Wtedy zmuszałam się, żeby wyobrazić sobie nasz pokój dokładnie tak, jak wyglądał na chwilę przedtem, zanim mama zgasła światło i zamknęła za sobą drzwi. W końcu udawało mi się zapomnieć o czyhających bestiach i zasnąć. Każdej nocy byłam pewna, że ta sztuczka nie zadziała, ale jakoś zawsze działała.

Strategia Justine bardzo przydawała się podczas walki z mnóstwem innych dręczących mnie lęków. Jednak kilka lat później, kiedy stałam na grzbiecie urwiska wychodzącego na Atlantyk, byłam przekonana, że tym razem nie może się sprawdzić.

- Nie wydaje ci się, że tego lata Simon wygląda inaczej? - zapytała Justine, podchodząc do mnie i wykręcając mokre włosy.

- Jakby doroślejszy? Przystojniejszy?

Przytaknęłam w milczeniu. Fizyczna przemiana Simona była pierwszą rzeczą, którą od razu zauważyłam, gdy wcześniej tamtego dnia on i jego młodszy brat Caleb zapukali do naszych drzwi. Ale to nie była pora na takie rozmowy - jak wtedy, gdy ogrzewałyśmy się przed starym kamiennym kominkiem w domku nad jeziorem. Teraz najważniejsze było to, żebyśmy w ogóle dotarli do domku nad jeziorem.

- Caleb zresztą też - podjęła znowu. - Liczba nieszczęśliwie zakochanych dziewcząt w stanie Maine tego roku musiała wzrosnąć co najmniej czterokrotnie.

Spróbowałam pokiwać głową, nie odrywając wzroku od kłębiącej się wody i

spienionych fal piętnaście metrów niżej.

Justine owinęła sobie ręcznik wokół pasa i podeszła do mnie. Stała teraz tak blisko, że nos wypełnił mi bijący od jej włosów zapach soli; poczułam chłód jej wilgotnej skóry tak wyraźnie, jakby zetknęła się bezpośrednio z moim ciałem. Kropelki wody spływały z kosmyków jej włosów, z cichutkim plaśnięciem spadały na ciepłe, szare skały, posyłając drobniutkie rozpryski na moje stopy. Nagły podmuch wiatru uniósł odrobinę wody i powstała mgiełka, która nas otuliła, a wtedy moje drżenie przeszło w dreszcze. Gdzieś w dole rozbrzmiewał śmiech Simona i Caleba, którzy wspinali się po stromej ścieżce wiodącej przez las z powrotem do miejsca, w którym na nich czekałyśmy.

- Jesteśmy na basenie - zaczęła swoją grę. - Stoisz na trampolinie niecały metr nad wodą.

Pokiwałam głową. To była chwila, o której rozmyślałam przez całą sześciogodzinną drogę z Bostonu; chwila, którą od zeszłego lata wyobrażałam sobie co najmniej raz na dzień. Wiedziałam, że to wydaje się straszniejsze, niż jest w rzeczywistości; w ciągu dwóch lat, odkąd odkryliśmy stary szlak prowadzący w to ustronne miejsce, z dala od turystów i spacerowiczów, Justine, Simon i Caleb skakali z tego urwiska dziesiątki razy i za każdym razem wychodzili z tego cało, bez choćby jednego zadrapania. Co więcej - wiedziałam, że jeśli nie zdecyduję się na skok, już zawsze będę czuć się jak smarkacz w naszej niewielkiej wakacyjnej grupie.

- Woda w basenie jest podgrzewana - mówiła dalej Justine. - A kiedy już wskoczysz, wystarczy, że odepchniesz się dwa razy, i znajdziesz się przy drabince, a później na miękkim leżaku.

- I może jeszcze wściekle przystojny kelner przyniesie mi owocowego drinka, co? Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Nie było sensu dalej mnie namawiać. Skoro opanowałam się już na tyle, aby żartować, wiadomo było, że zrezygnowałam.

- Obawiam się, że zapomniałem zabrać z domu ananasy - rozległ się głos Caleba za naszymi plecami - ale wściekle przystojny kelner zgłasza swoją gotowość do usług. Justine odwróciła się.

- No nareszcie. Umieram z zimna!

Kiedy oddaliła się od krawędzi urwiska, pochyliłam się do przodu. Ulga, jaką teraz czułam, była chwilowa; wiedziałam, że im dalej znajdę się od urwiska Chione, tym silniejsze będzie moje rozczarowanie: przecież przysięgałam sobie przez okrągły rok, że skoczę, a jednak nie zrobiłam tego... nie potrafiłam. Wiedziałam, że tej nocy będę długo leżeć, nie mogąc zasnąć, że będzie mi przykro, bo po raz kolejny okazałam się tchórzem, mięczakiem.

- Sinieją ci usta - zauważył Caleb.

Odwróciłam się i ujrzałam, jak otrzepuje swój ulubiony ręcznik plażowy - odkąd pamiętam, jedyny, jaki ze sobą zabierał: z rysunkowym homarem w kąpielówkach i okularach przeciwsłonecznych - i okrywa nim Justine. Przyciągnął ją do siebie i zaczął energicznie pocierać jej ramiona i barki.

- Kłamca. - Uśmiechnęła się do niego spod frotowego kaptura.

- Masz rację. Są raczej niebieskofioletowe. Albo liliowe. Bo to zbyt piękne usta, żeby były po prostu sine. Tak czy inaczej, sądzę, że powinienem je rozgrzać.

Przewróciłam oczami i ruszyłam po koszulkę i szorty. Tego lata Justine też coś sobie obiecała - że nie będzie znowu migdalić się z Calebem, tak jak w poprzednie wakacje i te wcześniejsze. „Przecież to jeszcze dzieciak”, stwierdziła wcześniej. „Ja już skończyłam szkołę średnią, a jemu został jeszcze cały rok. A poza tym jedyne, czym się zajmuje, to brzdąkanie na tej swojej głupiej gitarze, pod warunkiem że akurat nie gra na komputerze. Nie zamierzam tracić ani chwili dłużej na coś, co nigdy nie wykroczy poza nieskończone godziny całowania się... nawet jeśli to całkiem przyjemnie spędzone godziny”. Kiedy zapytałam, dlaczego nie spotyka się z Simonem, który miał już za sobą pierwszy rok nauki w Bates College i który dzięki temu wydawał się bardziej odpowiedni pod względem wieku i intelektu, jej twarz wykrzywił grymas. „Z Simonem?”, powtórzyła. „Chodzącą i gadającą prognozą pogody? Mózgowcem, który traktuje studia jako pretekst, żeby móc badać formacje chmur? Nie, dziękuję”. Justine wytrzymała aż pół godziny - tyle, ile zajęło nam wypakowanie rzeczy z bagażnika naszego samochodu, przekąszenie czegoś lekkiego i usadowienie się w starym subaru kombi Simona - zanim złamała złożoną sobie samej obietnicę. Nie zaatakowała Caleba tak od razu, chociaż nie było wątpliwości,

bo jej oczy błyszczały na jego widok, że tego pragnęła. Zaczekała, aż znajdziemy się w samochodzie i ruszymy w drogę, po czym zarzuciła mu ramiona na szyję i ścisnęła tak mocno, że zaróżowił się na twarzy. Teraz, kiedy ona tuliła się do jego piersi, ja narzuciłam na siebie ubranie i podniosłam ręcznik. Mimo że słońce jeszcze nie zaszło, a ja nawet nie zmokłam, trzęsłam się z zimna jak osika. Tak daleko na północ stanu Maine temperatura w środku lata rzadko kiedy przekraczała dwadzieścia parę stopni, a przenikliwy wiatr sprawiał, że zawsze odczuwało się ją jak o co najmniej dziesięć stopni niższą.

- Powinniśmy się zbierać - rozległ się głos Simona, który wyłonił się nagle na początku ścieżki.

Simon był starszym, spokojniejszym i pilniejszym z braci Carmichaelów, którego wcześniej - oprócz tych cech - charakteryzowała także tyczkowata budowa ciała i nieco wadliwa postawa, jednak w ciągu ostatniego roku zaszła w nim istotna zmiana. Jego ramiona, nogi i klatka piersiowa nabrały masy, a gdy nie miał na sobie koszulki, można było dostrzec dość wyraźnie odznaczające się mięśnie brzucha. Teraz wydawał się nawet wyższy, bardziej wyprostowany. Bardziej przypominał mężczyznę niż chłopca.

- Zaczyna się odpływ i zbierają się chmury.

Justine posłała mi wymowne spojrzenie. Wiedziałam, co sobie myśli: inny program w TV, ta sama prognoza pogody.

- Przecież dopiero przyjechaliśmy - stęknął Caleb.

- A co z zachodem słońca? - poskarżyła się Justine. - Każdego roku przyrzekamy sobie, że obejrzymy go z tego miejsca, i ani razu nam się to nie udało.

Simon wyjął z plecaka koszulkę i wciągnął ją przez głowę, nawet się przedtem nie wycierając.

- Będzie jeszcze wiele zachodów słońca. Zresztą dzisiaj wszystko zasłonią potężne chmury burzowe, które nadciągają w tę stronę.

Podążając wzrokiem za jego skinieniem, spjrzałam na horyzont. Albo za bardzo koncentrowałam się na wodzie, by zwrócić uwagę na niebo, albo zasłona czarnych chmur pojawiła się znikąd.

- Przed wyjazdem sprawdzałem prognozy; według stacji meteorologicznej niebo miało być dzisiaj czyste aż do późnego wieczoru. Ale z tego, co widzę, zostało nam jakieś dwadzieścia minut, żeby zjechać ze wzgórza, zanim zaczną błyskać. - Simon potrząsnął głową. - Szkoda, że profesor Beakman nie może tego zobaczyć.

Nie zdążyłam zapytać dlaczego, bo Caleb i Justine zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami, a Simon przykucnął niedaleko miejsca, w którym siedziałam, z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej, usiłując się rozgrzać.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Pokiwałam głową i spróbowałam się uśmiechnąć. Przez te lata Simon stał się opiekuńczym starszym bratem nie tylko dla Caleba, ale też dla Justine i dla mnie.

- Trochę zmarzłam i żałuję, że moje tenisówki nie mają grubszej podeszwy, ale poza tym w porządku.

Wyciągnął z plecaka ceglasty polar i podał mi go.

- Wiesz, to nic wielkiego. To dopiero pierwszy dzień. Przed nami całe lato. A po nim następne i kolejne.

- Dzięki. - Odwróciłam wzrok, zawstydzona. Miał dobre chęci, ale nie chciałam, żeby ktoś tak od razu przypominał mi o mojej porażce.

- Poważnie - odezwał się łagodnym, lecz zdecydowanym głosem. - Skoczysz, kiedy będziesz gotowa, albo nawet nigdy. To nic takiego.

Założyłam polar, zadowolona z możliwości porzucenia tematu.

- Jest nowy plan - oznajmiła Justine.

Złapałam wyciągniętą dłoń Simona i wstałam z podskokiem. Justine i Calebowi wreszcie udało się jakoś od siebie odkleić, ale tylko na tyle, by Justine mogła upuścić na ziemię ręczniki. Podeszli na skraj urwiska i stali teraz zwróceni plecami do wody, trzymając się za ręce. Justine uśmiechnęła się szeroko.

— To, że czas nagli, wcale nie znaczy, że nie możemy uczcić pierwszego oficjalnego dnia wakacji, które na pewno okażą się najfajniejsze ze wszystkich.

- Może by tak uczcić go, wracając do domu i rozgrzewając się filiżanką gorącej czekolady, co? - zaproponowałam.

- Vanessa, głuptasie. - Justine posłała mi całusa. - Caleb i ja zamierzamy wykonać

jeszcze jeden skok.

- Z piruetem - dodał Caleb.

Kiedy wymieniali spojrzenia, zerknęłam na Simona. Miał otwarte usta, jakby czekał, aż jego mózg podsunie mu właściwe słowa, które w możliwie najkrótszym czasie idealnie trafią w sedno sprawy. Nowo ukształtowane mięśnie barków napięły się pod cienką bawełnianą koszulką. Ręce, które - odkąd pomógł mi wstać - zwisały swobodnie wzdłuż tułowia, naprężyły się, dłonie zacisnęły i zastygły w bezruchu.

- Z przewrotem w tył! - zawołała Justine.

- Nie - zabronił Simon. - Nie ma mowy.

Nie mogłam opanować uśmiechu. Właśnie to najbardziej podziwiałam w Justine i najbardziej jej tego zazdrościłam. Podczas gdy ja ciągle spałam przy zapalonym świetle, trzęsłam się na myśl

0 przeczytaniu choćby jednej strony z książki Stephena Kinga

1 byłam fizycznie niezdolna do wykonania całkowicie bezpiecznego skoku z urwiska do wody, Justine żyła po to, by poczuć w żyłach ten przyływ adrenaliny, którego ja ze wszystkich sił starałam się nie poczuć. Wiedziała, że jeszcze kilka minut i nie uda nam się uniknąć przemoczenia, ale chciała przeżyć coś ekstremalnego, skacząc w sam środek wodnego wiru, i to jeszcze tyłem.

- To nam zajmie najwyżej dwie minuty - zapewnił Caleb. - Jak tylko skoczemy, możecie zacząć schodzić. Spotkamy się w połowie ścieżki.

- Wiecie, że przy takiej pogodzie pływy stają się trudne do przewidzenia - uprzedził Simon. - Woda już teraz jest znacznie płytsza niż przy ostatnim skoku.

Justine spojrzała w dół za siebie. - Nie może być aż tak źle. Nic nam nie będzie.

Patrzyłam na nią: moją piękną starszą siostrę, na jej brązowe włosy, które teraz były już na tyle suche, że długimi kosmykami unosiły się na wietrze wokół jej głowy. Nie było nic, co mogłabym powiedzieć - gdy Justine już się na coś zdecydowała, negocjacje nie miały sensu. Posłała mi uśmiech, a jej oczy rozbłysły na tle ciemnych chmur, które zdawały się połykać to, co pozostało z nieba.

Nagle ciemnogrnatowe sklepienie rozdarł postrzępiony bicz wściekle białego pioruna, który uderzył na tyle blisko, że poczuliśmy, jak zatrzęsała się ziemia. Zerwał

się wiatr, obdzierając drzewa z liści i podrywając grudki ziemi do góry. Kawątek gałęzi poleciał na mnie niczym strzała wypuszczona z łuku. Zakryłam głowę obiema rękami i opadłam na ziemię. Gdy tylko moje kolana zetknęły się ze skałą, zaczął padać deszcz, początkowo łagodny, potem silniejszy, a już po chwili lało tak mocno, że polar Simona przywarł do moich pleców, a lodowate strumienie spływały mi po twarzy. Na kilka sekund znieruchomiałam w nadziei, że burza przejdzie równie szybko, jak nadciągnęła, ale powietrze jeszcze bardziej się ochłodziło, wiatr nasilił, a grzmoty stały się bardziej ogłuszające.

Skała pode mną zadudniła, wprawiając mnie w jeszcze silniejsze dygotanie. Kilka metrów dalej Simon stawiał opór podmuchom wiatru, kiedy przemierzał grzbiet urwiska, zbierając ręczniki i ubrania Justine i Caleba. Zawołałam do niego, ale mój głos utonął wśród bębnienia deszczu i zawodzenia wiatru. Podrywając się na nogi, ale trzymając się blisko ziemi, próbowałam pośród ciemności, wirującego piasku i kamieni ocenić, gdzie jest krawędź skarpy. Gdy kolejna postrzępiona błyskawica rozdarła horyzont na pół, zobaczyłam wszystko tak wyraźnie, jakby na niebie zaświeciło słońce.

Zniknęła.

Ochroniając twarz ramionami, puściłam się pędem w stronę skraju urwiska. Przedemną pojawiła się trzecia błyskawica i nagle ujrzałam, jak bardzo niewiele dzieli mnie od upadku: jeszcze krok, a runę z półki skalnej prosto w gardziel żywiołu.

Próbowałam wyhamować, ale ziemia zrobiła się śliska. Poczułam, że plecy mi sztywnieją, a noga wystrzela naprzód. Srebrna obwódka trampka zablęśla w świetle kolejnej błyskawicy i wtedy zobaczyłam, jak moja stopa sunie poza krawędź urwiska. Z piersi wyrwał mi się krzyk, ramiona poszybowały w tył, po czym z całych sił przywarłam do ziemi. Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa... Rozległ się potężny grzmot, a skała urwiska pode mną zadrżała. Zwykle podczas burzy uspokajało mnie liczenie sekund pomiędzy błyskiem a następującym po nim pomrukiem, ale tylko dlatego, że najczęściej wyładowania atmosferyczne nie następowały bezpośrednio nad moją głową. - Nic im nie jest! - rozległ się głos Simona. Obiema rękami złapał mnie w pasie, dźwignął i odciągnął od grani. Potem

chwycił mnie za rękę i zrobił wyrok w stronę krawędzi. Po kilku długich sekundach ścisnął mi dłoń i wskazał palcem. Częstotliwość błysków zwiększyła się, dzięki czemu łatwiej było teraz dostrzec powierzchnię. Woda wirowała, a drobne fale rozbijały się o otaczające zatoczkę głazy. Cherlawe drzewka rosnące w linii u podnóża urwiska pochylały się to w jedną, to w drugą stronę, a ich cienkie pnie wyginały się niczym źdźbła trawy na wietrze. Potrząsnęłam głową przekonana, że Simon ma przywidzenia, i wtedy właśnie ją dostrzegłam: maleńką plamkę bieli pośród mroku. Ni to biegła, ni pełzała między skałami w stronę szlaku, otoczona ramieniem Caleba. Nic jej się nie stało. No jasne, że nic jej się nie stało. Simon spojrzał na mnie, by się upewnić, że ich widzę, a potem odciągnął mnie od przepaści. Jakimś cudem zdołałam oderwać stopy i podążyć za nim przez polanę, wprost do wylotu zarośniętego szlaku. Gałęzie i korzenie, które rozchylaliśmy i deptaliśmy, idąc pod górę, teraz policzkowały nas i podcinały, mimo to nie zwalnialiśmy kroku. Serce dudniło mi w piersi, ale starałam się ignorować wrażenie, że gdy biegniemy przez las, ktoś lub coś biegnie za nami, coraz szybciej i szybciej. Kilkaset metrów niżej ścieżka połączyła się z innym szlakiem, którego wcześniej, podczas wspinaczki, nie zauważyłam. Teraz pewnie też bym jej nie dostrzegła, gdyby nie to, że Simon gwałtownie zawrócił i skręcił na lewo.

Stałam jak wryta, kiedy ujrzałam przyczynę tej nieoczekiwanej zmiany kierunku. Justine. Leżała w ramionach Caleba, a strużka gęstej krwi sączyła się z kolana, wiała się wzdłuż łydki i kończyła na stopie. To tylko piach albo wodorosty...

- Vanesso! - Kiedy Simon zabrał ją z ramion Caleba i podniósł, sięgnęła po moją dłoń i pocałowała ją. - Nic mi nie jest, słowo honoru. Sama weszłabym na górę, ale komuś zachciało się odgrywać bohatera.

- Apteczkę mam w samochodzie - powiedział Simon, kierując się w stronę głównego szlaku z Justine na rękach. Zerknęłam na Caleba. Gdy patrzył za nimi, twarz miał tak napiętą że trudno było sobie wyobrazić, że to ten sam roześmiany, pewny siebie chłopak, który zaledwie kilka minut wcześniej flirtował z Justine.

- Ta twoja siostra. - Pokręcił głową i spojrzał na mnie.

- Wiem. - Oboje wiedzieliśmy. To nie była jego wina. Ani moja, ani niczyja. Gdyby

Justine zapragnęła skakać nago przez płonące obręcze, nikt by jej nie powstrzymał. Można by było przyciąć się w pobliżu ze szlafrokiem i gaśnicą na wszelki wypadek, ale nic więcej nie dałoby się zrobić.

Ruszyliśmy za nimi. Im dłużej biegliśmy, tym słabiej padało. Jaskrawość błysków nie była już tak intensywna, a częstotliwość grzmotów spadała. Nawet wiatr przycichł, przechodząc od potężnych porywów w normalną letnią bryzę. Z chwilą gdy dotarliśmy do starego zielonego subaru Simona, zaparkowanego przy gruntowej drodze, chmury rozstały się na tyle, by ukazać skrawek błękitu.

- Widzisz? - zawołała Justine, gdy podbiegaliśmy w ich stronę. Siedziała w bagażniku pod otwartą klapą, wymachując nogami do przodu i do tyłu, podczas gdy Simon bandażował skaleczenie. - To tylko zadrapanie.

- To nie jest tylko zadrapanie - sprostował Simon - ale na szczęście nie będzie wymagało wizyty na pogotowiu.

Caleb położył jej rękę na karku i ucałował w czoło.

- Małenka... musisz być bardziej ostrożna.

Otworzyła usta, ale gdy dłoń Caleba powędrowała na jej policzek, zamknęła je. Kiedy kciukiem delikatnie pocierał skórę, przechyliła głowę w bok, a jej oczy złagodniały.

- Wiesz, że lubię poczuć dreszczyk emocji, ale byłoby po mnie, gdyby kiedykolwiek coś ci się...

- Wiem. - Zsunęła jego dłoń z policzka i złożyła pocałunek na jej wewnętrznej stronie. - Przepraszam. Wiem. Obserwowałam tę wymianę czułości z ulgą, a jednocześnie ze zdumieniem. Cieszyłam się, że nic jej nie jest, i uważałam za cudowne ze strony Caleba, że tak się przejmuję, ale przecież do dzisiaj nie widzieli się od świąt Bożego Narodzenia, kiedy byliśmy tu ostatni raz. Nie dało się ukryć, że wyglądają na dość mocno związanych jak na dwójkę ludzi, którzy tylko od czasu do czasu się ze sobą migdala.

Przyszło mi do głowy, że albo to ich obściskiwanie się jest wyjątkowo przyjemne, albo fascynująca przygoda, która pozwala otrzeć się o śmierć, tak bardzo zbliża ludzi. Wiedziałam, że nigdy nie uda mi się doświadczyć tych przeżyć.

- Będziesz musiała to przemyć - powiedział Simon, kończąc zawiązywanie bandaża na nodze Justine. - Ale na drogę do domu wystarczy.

- Dziękuję bardzo, doktorze Carmichael. - Justine chwyciła dłoń Caleba i zeskoczyła na ziemię, lądując na zdrowej nodze.

- Czy w nagrodę dostanę lizaka?

Simon posłał jej wymowne spojrzenie, z którego Caleb wyczytał, że najlepiej będzie, jeśli poprowadzi Justine na tylne siedzenie samochodu okrężną drogą.

Pomogłam Simonowi pozbierać gazę opatrunkową i plastry.

- W tym roku zaczynamy naprawdę szybko, co?

Jego dłonie zastygły w bezruchu, lecz po chwili pochował opatrunki do apteczki i zamknął ją. Utkwił we mnie wzrok, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie był pewien, czy to dobry pomysł. Wreszcie wyciągnął rękę i ścisnął moje ramię.

- Na przednim siedzeniu leży stary koc. Może chcesz się trochę wysuszyć.

Zamknął klapę bagażnika i ruszył na miejsce kierowcy. Jeszcze raz spojrzałam na niebo, które teraz stało się tak niebieskie jak w chwili przyjazdu, po czym okrążyłam samochód z drugiej strony i usiadłam na fotelu pasażera. W aucie zdjęłam polar, podczas gdy Simon sadowił się na siedzeniu, a Caleb z Justine na tylnej kanapie cichutko zajmowali się sobą.

- No tak... - powiedziałam, gdy po kilku minutach nikt się nie poruszył ani nie odezwał słowem. - Co to miało być? Simon spojrzał na mnie, potem zerknął przez przednią szybę w stronę szlaku. Nagle roześmiał się i westchnął przeciągle.

- To było urwisko Chione i jego serdeczne powitanie miłych gości w naszych stronach.

Uniosłam się na siedzeniu, wiedząc, co zobaczę, jeśli obejrzę się za siebie, na tylną kanapę.

Justine, otulona ramieniem Caleba, ze skaleczoną nogą wspartą na zwiniętym kocu, uśmiechała się od ucha do ucha.

- To dopiero frajda - stwierdziła z zadowoleniem.

* * *

- To dopiero fortel.

- Fortel? - Justine uniosła w górę talerz, gdy tato przechodził z kolejnym półmiskiem grillowanych steków. - To znaczy? Nadział na widelec dwa kawałki mięsa, potem spojrział poprzez balustradę tarasu, w kierunku jeziora Kantaka. - Fortel, inaczej podstęp, zwykle ma na celu uniknięcie schwytania.

- Rozumiem znaczenie słowa fortel, tato. Ale czy sądzisz, że podrapałam nogę, wspinając się po skałach na plaży, bo uciekałam przed kimś, kto chciał mnie uprowadzić? Myślisz, że każdego porywacza odrzuca na widok odrobiny krwi? A zresztą kto miałby dokonać porwania? Jakiś pomyłony ratownik? Zdziwaczały poławiacz muszli? Nieuchwytny yeti z Winter Harbor? Uśmiechnęłam się do wnętrza kubka z gorącą herbatą. Był jeden człowiek, który pewnie z miłą chęcią porwałby Justine, gdyby tylko nadarzyła się okazja, a biorąc pod uwagę wcześniejsze obserwacje, prawdopodobnie zbytnio by się nie opierała. Niestety, nie mogłam zażartować na ten temat przy wszystkich, bo nasi rodzice ciągle jeszcze myśleli o Calebie i Simonie jak o tych samych „sympatycznych chłopcach Carmichaelów”, których pamiętali jeszcze z czasów niemowlęctwa. Wiedzieli, że w okresie wakacji sporo czasu spędzamy razem, ale pewnie nawet nie podejrzewali, co w ostatnich latach połowa naszej czwórki przez większość tego czasu wyrabia. A Justine dała jasno do zrozumienia, że wołałaby, aby nadal trwali w słodkiej nieświadomości.

- Nieuchwytny yeti z Winter Harbor, mówisz... - Tata zsunął stek z widelca na talerz Justine i odstawił półmisek na zamkniętą pokrywę grilla. - To tak mnie teraz nazywają?

Justine i ja posłałyśmy sobie spojrzenie i parsknęłyśmy śmiechem. Ojciec miał prawie dwa metry wzrostu i zwykle chodził lekko przygarbiony; przypisywał to niższemu framugom, jakie można było spotkać „w dawnych czasach”, a co było raczej skutkiem ubocznym czterdziestu lat ślęczenia przed komputerem. Jego przygarbiona, choć imponująca sylwetka w połączeniu z głową ozdobioną białą, kędzierzawą czupryną i pokazną brodą do kompletu faktycznie przywodziła na myśl legendarną istotę.

- A co z Papciem Gapciem? Tatusiem Brzusiem? Tatolcem Brzucholcem? - Usiadł i pomasaował się po zaokrąglonym brzuchu. - A jakie było to ostatnie? Coś jakby lizol?

- Tatozol - oznajmiła Justine, udając zniecierpliwienie, jakby trudno jej było uwierzyć, że mógł zapomnieć jedno z jej pomysłowych przezwisk.

- No tak. Ciągle nie wiem, czy nie powinienem się czasem za to obrazić. - Nalał sobie kolejny kieliszek czerwonego wina. - Ale muszę wam powiedzieć, że ostatnio, będąc w trasie, sam

wymyśliłem sobie nową ksywkę, która moim zdaniem powinna się jak najszybciej przyjąć.

- Pomyślimy - mruknęła Justine.

Tata sięgnął do koszyka stojącego na środku stołu po bułkę, urwał kawałek i wrzucił go sobie do ust.

- Pan i Władca.

- Pan i Władca? - powtórzyła Justine. - Władca czego? Wzruszył ramionami.

- To wszystko. Po prostu Pan i Władca.

- Nieźle... ale formalnie rzecz biorąc, to czyniłoby z mamy Władczynię. A szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby drugie miejsce w hierarchii ją zadowalało... nawet jeśli chodzi tylko o tytuł. - Justine zerknęła na mamę, chcąc uzyskać potwierdzenie. Mama, która cały czas próbowała przepiłować nożem stek, najwyraźniej zrobiony z drewna, nie z mięsa, przerwała.

- Nie mogę uwierzyć, że ciągle się w ten sposób wygłupiacie.

- Dziewczynki dorastają - przyznał tato - ale ja zawsze będę ich Wielkim Papą.

Dopóki nie dogoni mnie czas i nie zacznę się kurczyć. Wtedy zostanę... Minitatkiem? Tatuniem? Tutkiem Malutkiem?

- Możesz być nawet Arcymistrzem Wszechświata na wieki wieków. Nie o to chodzi.

Zamiast skupić się na tym, że mamie nie było do śmiechu, tato uniósł brwi, rozważając proponowany tytuł. Nie żeby było w tym coś nadzwyczajnego; mamie rzadko kiedy było do śmiechu. Z ich dwojga to ona zawsze była tą poważniejszą, zwolenniczką dyscypliny. Służbowo piastowała stanowisko pani prezes spółki Franklin Capital, bostońskiej firmy świadczącej usługi finansowe, tato zaś był pisarzem i profesorem literatury amerykańskiej w dwuletnim college'u przygotowawczym im. Isaaka Newtona.

Cechy charakteru niezbędne, by sumiennie wykonywać swoją pracę, zwykle przekładają się na życie prywatne.

- W takim razie o co chodzi, kochanie? - Pochyliwszy się ponad stołem, delikatnie wysunął jej z rąk sztucę, po czym zabrał się do żmudnego zajęcia, jakim najwyraźniej było krojenie steku.

- Ze masz osiemnaście lat. - Mama spojrzała na Justine, marszcząc brwi. - Że jesteś dorosła. Ze błędy, które popełniasz teraz, tak naprawdę mają znaczenie.

- Oj, to będę miała małą bliznę do końca życia - odparła Justine. - Wielkie rzeczy.

- Masz szczęście, że tylko na tym się skończyło.

Justine popatrzyła na mnie ukradkiem, a uśmiech, jaki zakwitł na jej twarzy, odkąd wsiadła do subaru Simona, zbladł.

- Mamo, złapała nas ulewa, poślizgnęłam się i upadłam na jakiś kamień. Wypadki się zdarzają.

- Owszem. I gdybyś miała osiem lat i naprawdę była na plaży, pocałowałabym cię w kolanko i byłoby po sprawie.

- Wow! - zawołałam, wskazując w stronę jeziora. - Beazleyowie wreszcie sprawili sobie nowy kajak. Jest... bardzo długi. Tatko, skończywszy krojenie steku mamy, odłożył widelec i nóż na jej talerz, po czym pochylił się w moją stronę.

- Piątka z plusem za dobre chęci, dziecino. Justine potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

Spróbowałam przechwycić spojrzenie mamy, aby ubłagać ją bez słów, żeby nie mówiła tego, co zamierza, chociaż wiedziałam, że to i tak nic by nie dało. Wypełniała misję; misję, mającą spowodować konflikt z jedyną osobą, którą zawsze starałam się uszczęśliwić.

- Wcale nie byliście na plaży, Justine. Byliście nad urwiskiem Chione.

Wstrzymałam oddech. Po słowach mamy zapanowała cisza.

- Nic podobnego - zaprzeczyła wreszcie Justine, skubiąc serwetkę leżącą na jej kolanach.

- Nigdy nawet nie słyszałam o tym miejscu.

- Czyżby? W takim razie o jakim niebezpiecznym, zagrażającym życiu klifie

wspomniała twoja siostra?

Zamknęłam oczy i opadłam na oparcie krzesła. Nie musiałam patrzeć na Justine, by wiedzieć, że teraz utkwiała we mnie spojrzenie, a na jej twarzy malowało się połączenie zdumienia, wątpliwości i urazy.

- Zeszłego lata - mówiła dalej mama - ty wyszłaś, a Vanessa została w domu, roztrzęsiona. Zapytałam, co się stało, i wtedy mi powiedziała o tym, jak natrafiliście na to urwisko, że jeździcie tam każdego roku i jak fatalnie się czuje, bo za bardzo się boi, żeby skoczyć.

- Skoro już o tym mowa, może wszyscy popluskalibyśmy się trochę w jeziorze po kolacji - zaproponował beztrzesko tato. -Co? Są jacyś chętni?

- Obiecałyśmy, że nie powiemy - Justine zwróciła się do mnie, jakbyśmy siedziały same przy stole. - To miało być nasze sekretne miejsce. Właśnie dlatego było tak wyjątkowe. Podniosłam wzrok.

- Wiem, ja...

- Nie obwiniaj Vanessy - rzuciła mama.

Kiedy Justine przygarbiła się na krzesło, ojciec zajął się smarowaniem bułki masłem, mama opróżnianiem kieliszka, a ja rozpaczliwie starałam się znaleźć odpowiednie słowa, które naprawiłyby sytuację. Chciałam powiedzieć Justine, że nie zamierzałam się wygadać; że po naszej wycieczce na klify zeszłego lata byłam na siebie zła, i właśnie przez to czułam ogromną frustrację, że przez ostatnich szesnaście lat bałam się dosłownie wszystkiego. Chciałam jej powiedzieć, że mama po prostu znalazła się w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie i obiecała, że nic nie powie, o ile zrobię wszystko, żeby Justine już więcej nie skakała z urwiska, jeśli pojedziemy tam znowu - i że nie udało mi się temu zapobiec, bo nigdy nie powstrzymałabym siostry od czegoś, co sprawiało jej radość. Chciałam jej powiedzieć, że jest mi przykro, bardzo przykro, za wszystko. Ale nie umiałam. Nie mogłam wydusić z siebie słowa. Może bałam się, że zabrzmiałoby to nie tak, jak bym chciała. Tak czy inaczej, słowa uwięzły mi w gardle.

- A jakie są twoje plany w stosunku do syna Carmichaelów?

- zapytała mama.

Otworzyłam szeroko oczy, przenosząc wzrok z mamy na Justine. Z całą pewnością nikomu nie pisnęłam ani słówka o Calebie. Twarz Justine poczerwieniała.

- Moje plany?

- W przerwach między skakaniem z klifów a wyprawianiem Bóg wie czego z tym sympatycznym chłopcem, dla którego laptop i play-station to jedno i to samo, stawiasz na szali całą swoją przyszłość. Dartmouth College. Wydział medycyny. Lata sukcesów i szczęścia.

- Nie sądzicie, że stek jest wyśmienity? - zapytał tato. - Niezbyt krwisty, idealnie wysmażony.

- Nie sądzę, by odrobina dobrej zabawy mogła zrujnować mi życie. - Justine odsunęła krzesło od stołu, a jej niebieskie oczy rozbliły w półmroku. - A zresztą w życiu są ważniejsze sprawy niż przereklamowane wykształcenie zdobyte w jednym z elitarnych uniwersytetów i dobrze płatna praca.

- Hej, tato ma pewien pomysł - oznajmił tato, oblizując palce. - Co powiecie, jeśli na razie orzekniemy remis, a jutro, po przespanej nocy, wrócimy do dyskusji?

Justine wstała z krzesła, uderzając zdrowym kolaniem o stół i wywołując brzęk talerzy i szklanek. Gdy przechodziła obok mnie, pochyliła się, a jej oczy wydały mi się jeszcze jaśniejsze niż zwykle, jakby podświetlone. Odwróciła głowę, tak żeby mama i tato nie widzieli jej twarzy, i wyszeptwała jedno słowo, na tyle głośno, bym mogła usłyszeć. -Bu.

Do oczu napłynęły mi gorące łzy. Oszołomiona patrzyłam, jak przemierza taras i wchodzi do domu, pozwalając, by drzwi z siatką przeciw owadom trzasnęły za nią.

- Po prostu chcę, żeby nie zbaczała z właściwej ścieżki - odezwała się po chwili mama.

- A ja po prostu chcę, żeby ktoś pomógł mi pomalować werandę

- stwierdził ojciec. - Przekomarzałem się, że użyła skaleczenia jako fortelu, chcąc się od tego wymigać, ale teraz wygląda na to, że naprawdę będę malował ją sam.

Ignorując ich oboje, spojrzałam w stronę jeziora. Bu. Nie powiedziała „Wielkie dzięki, siostrzyczko” czy „Tym razem naprawdę przeholowałaś”, ani nawet „Od tej pory radź sobie sama” - przy czym każdy z tych tekstów pewnie wycisnąłby mi z łzy

oczu - jednak nie spowodowałby nieprzyjemnego dreszczu, jaki wywołało to jedno słowo. Wtedy jeszcze nie mogłam o tym wiedzieć, ale właśnie to słowo było ostatnim, jakie miałam usłyszeć z ust Justine. W ciągu następnych dni i tygodni w kółko odtwarzałam tę chwilę w pamięci, widząc jej niebieskie oczy, słysząc jej szepty, z jakiegoś powodu, czując zapach słonej wody... jakby wciąż stała obok mnie na szczycie urwiska, mokra od morskiej wody.

2

Kiedy usłyszałam śpiew pierwszej syreny, stałam na piasku i przyglądałam się wodzie sięgającej moich nagich stóp. Przejmujący wiatr owijał mi spódnicę wokół łydek i niósł dźwięki śmiejących się mamy, taty i Justine gdzieś w głębi plaży. Gdy tylko piana zebrała się wokół moich kostek, tak samo jak niemal każdej nocy od dwóch lat, zaczęło się łagodne zawodzenie. Jednak tym razem nie ucichło, kiedy zostałam schwytała i wciągnięta pod powierzchnię. Nasiliło się. Było coraz bliżej. Do zawodzenia dołączyło wycie kolejnej syreny, a potem następnej, aż w końcu słyszałam je i widziałam - czerwone, białe i niebieskie światła migoczące tak wyraźnie, jakby radiowozy wjechały prosto do oceanu.

- Naprawdę powinnaś coś przekazać.

Mrugnęłam. Migoczące światła zniknęły, a w ich miejsce pojawiły się zielone kubki z kawą. Obok mnie mężczyzna w szarym garniturze oparł się o blat i wsunął sobie do ust chrupiące cannolo.

- Dobre jedzenie to często najlepsze lekarstwo - stwierdził. Lekarstwo. Gdyby tylko chodziło o chorobę. Jakby wszystko to było wyłącznie moją halucynacją, która przeminie, gdy tylko gorączka ustąpi.

- Dzięki.

Usiłując wymazać z pamięci nieustannie pojawiający się obraz wypadku, tego, do którego wciąż powracam we śnie, odkąd przed domem zatrzymała się policja, żeby nas poinformować, że znaleziono Justine, chwyciłam kubek i odwróciłam się w stronę ekspresu do kawy.

To nie była jego wina. Był jednym z kolegów mamy z pracy. Nie znał ani mnie, ani Justine, ale najwyraźniej uznał, że musi coś powiedzieć, racząc się włoskimi rurkami

z kremem w towarzystwie innych współpracowników. A co miał powiedzieć? Cóż za straszna tragedia? Miała przed sobą całe życie? Jak twoim zdaniem poradzą sobie Red Soksi w tym sezonie baseballowym?

- Głos wołającego na puszczy - rzuciłam, kiedy odwróciwszy się, ujrzałam go w tym samym miejscu. Nie wiedzieć, co ma się mówić, to jedno. Czekać na kolejne uderzenie to trochę za wiele.

- Słucham? - zapytał. Uniosłam kubek z kawą.

- Vox clamantis in deserto. Motto Dartmouth College. Całkiem na miejscu, nie sądzi pan?

- Vanesso, kochanie, pomóż mi, proszę, przy babeczkach, dobrze? - Mama złapała mnie za łokieć i poprowadziła przez kuchnię. - Skarbie, wiem, że to dla ciebie trudne, ale zaprosiliśmy gości. Byłabym wdzięczna, gdybyś zachowywała się jak uprzejma gospodyni.

- Przepraszam - powiedziałam, gdy przystanęłyśmy przy blacie zastawionym tackami pełnymi ciasteczek. - Po prostu nie wiem, co mam mówić. Połowa mnie chce schować się na resztę wieczoru w swoim pokoju, a druga połowa chce...

- Jadłaś coś? - zapytała, trącając palcem babeczkę. - No dalej, weź orzechową.

Wzięłam babeczkę, nie będąc pewna, co powiedzieć. Mama płakała przez pięć dni bez przerwy - od momentu, kiedy funkcjonariusze zapukali do drzwi domku nad jeziorem, aż do chwili, gdy zajechaliśmy pod naszą kamienicę z piaskowca - i od tamtej pory, nie uroniwszy ani jednej łzy więcej, wpadła w trans planowania przyjęcia. Nie płakała nawet podczas pogrzebu, kiedy zbiorowy lament przyjaciół i kolegów z klasy Justine sprawił, że ptaki poderwały się z drzew, a ksiądz zmuszony był wykrzykiwać mowę pożegnalną. Ja też nie płakałam na pogrzebie — nie płakałam ani przedtem, ani potem - jednak moje powody były zupełnie inne.

- Czy możesz sprawdzić, co z ojcem? - Mama podniosła z blatu tacę. - Nie widziałam go od godziny i goście zaczynają się zastanawiać.

Chciałam powiedzieć, że skoro nasi „goście” nie potrafią zrozumieć, że tatko potrzebuje odrobiny wytchnienia, w takim razie może powinni poszukać sobie innego przyjęcia, ale mama obróciła się i zniknęła za kuchennymi drzwiami, nie dając mi

okazji ku temu.

Wyrzuciłam babeczkę do kosza na śmieci i ruszyłam w stronę barku z ekspresem do kawy, ze wzrokiem wbitym w ziemię, by uniknąć kolejnych przydatnych, uzdrawiających porad od współpracowników mamy. Kubki z logo Dartmouth College ciągle jeszcze stały dumnie w pierwszym rzędzie na półce, gdzie ustawiła je mama, gdy tylko odebrała przesyłkę z akcesoriami uniwersyteckimi dwa tygodnie wcześniej. „Vox clamantis in deserto”, odczytała wtedy na głos Justine. „Uwielbiam sposób, w jaki te instytucje starają się wzbudzić podziw swoim zamiłowaniem do języków martwych. Moim zdaniem to zawracanie głowy. Dlaczego nie powiedzą po prostu:

»Dziękujemy, że wywaliliście kolejnych piętnaście dolców na zakup praktycznego dowodu na to, że jesteście wystarczająco grubymi rybami, by wybulić dwieście tysięcy zielonych na waszą pociechę, która będzie miała szansę nawalić się z dziećmiakami innych forsiastych rodziców w samym środku totalnego pust-kowia«?”. „No wiesz, może dlatego, że taki napis nie zmieściłby się na breloczku do kluczy”, odparłam. Swoją drogą, mama zamówiła ze dwadzieścia tych breloczków, żeby rozdać kolegom i koleżankom z biura.

Chwyciłam za środkowy kubek z logo Dartmouth College i napełniłam go kawą. Wciąż nie podnosząc wzroku, wzięłam oba kubki i pospiesznie przemierzyłam kuchnię w kierunku wyjścia na schody na tyłach domu.

Dla Justine i dla mnie tylne schody od zawsze były drogą ewakuacyjną; jedynym wyjściem awaryjnym z przyjęć koktajlowych, kolacyjek czy choćby rodzinnych sprzeczek. Wspinając się po schodach, pomyślałam o ostatniej okazji, w czasie której szukałyśmy tu schronienia. To było doroczne przyjęcie bożonarodzeniowe mamy. Podczas gdy dwustu gości opróżniało kieliszki szampana, Justine i ja siedziałyśmy na schodach, otulone jej kołdrą, ssąc lizaki i podchmielając się ajerkoniakiem. Tego wieczoru próbowałyśmy udawać, że nie chowamy się przed pijanymi współpracownikami mamy w naszej kamienicy w środku Bostonu, ale że ukrywamy się przed mamą i tatą w naszym domku nad jeziorem w Maine, oszołomione z podniecenia, czekając, aż Święty Mikołaj wejdzie do środka przez stary kamienny

komin.

Teraz wspinałam się po schodach powoli, a przygaszone światło na ciemnej posadzce dodawało mi otuchy. Przez krótką chwilę towarzyszyła mi myśl, że to dziwne znaleźć się tu... samej. W ciągu całego ostatniego tygodnia ani przez moment nie byłam sama, a już na pewno nie w miejscu, w którym bywałam wyłącznie razem z Justine.

Po dotarciu na półpiętro przystanęłam. Po kilku sekundach zamrugałam powiekami. Nic. Nawet ponowna wizyta w jednym z ulubionych miejsc Justine i moim nie zdołała wycisnąć łez z moich oczu.

Ruszyłam w głąb korytarza, a serce biło mi coraz szybciej. Nie byłam w pokoju Justine od czasu naszych przygotowań do wyjazdu do Maine tydzień wcześniej, kiedy przyglądałam się jej, jak przymierza zawartość całej garderoby w poszukiwaniu czegoś idealnego na czas pobytu na północy. Gdy nadeszła pora wyjazdu, podłogę zaścielał dywan spódniczek, letnich sukienek i koszulek bez rękawów przypominających wodorosty wyrzucone po odpływie na brzeg. Teraz nie byłam pewna, czego boję się bardziej: tego, że ubrania nadal tam będą, dokładnie tam, gdzie je rzuciła... czy tego, że ich nie będzie. Zamknawszy oczy, odwróciłam się w stronę drzwi. Wyciągnęłam rękę przed siebie, aż dłoń natrafiła na gałkę. Pod palcami poczułam chłód mosiądzu i zanim mocno ją chwyciłam, odczekałam chwilę, aż skóra przyzwyczai się do zimna. To tylko Justine. To tylko jej rzeczy. Wszystko będzie wyglądało tak, jak to zostawiła, bo ona tu wróci. Niebawem pojedziemy znowu do domku nad jeziorem i będzie tak, jak powinno być. Otworzyłam drzwi. Z moich rozchylonych ust wydobył się cichy jęk.

Nie chodziło tu o moje głęboko zakorzenione lęki wypływające na powierzchnię. Nie chodziło też o to, że w porównaniu z korytarzem w pokoju Justine było gorąco jak w piekarniku.

Chodziło o zapach słonej wody. Woń była tak intensywna, powietrze tak gęste od wilgoci, że gdybym nie otworzyła oczu, sądziłabym, że stoję nad brzegiem oceanu.
- Przyzwyczaisz się.

Otworzyłam oczy. Na podłodze pośrodku pokoju siedział tatko.

- To chyba jakiś problem z instalacją. Jutro zadzwonię po hydraulika - w jego głosie słychać było zmęczenie. Zresztą wygląd tatka zdradzał dokładnie to samo. Kąciki ust opadły w stronę brody. Niebieskie oczy zmętniały, a ramiona były pochylone do przodu. Nasz krzepki yeti stracił całą swoją werwę.

- Tatu - powiedziałam, wchodząc do środka - wiem, że to dla ciebie trudne, ale zaprosiliśmy gości. Byłabym wdzięczna, gdybyś zachowywał się jak uprzejmy gospodarz.

Jeden kącik ust uniósł się, gdy podałam mu kubek z logo Dartmouth. Wiedział, że to nie moje słowa.

- Twoja matka świetnie sobie radzi, Vanesso. Wszyscy sobie radzimy.

Nie powiedziałam nic i usiadłam przy nim na podłodze. Do tej pory jedyną rzeczą, jaka łączyła mnie i moją matkę, było uwielbienie dla Justine. Nie rozumiałam, dlaczego mama pracuje tak ciężko, dlaczego tak często robi zakupy ani dlaczego tak bardzo stara się zrobić wrażenie na obcych ludziach. Nie rozumiałam, dlaczego spośród setki zgromadzonych na dole gości tylko garstka, patrząc na doroczną kartkę świąteczną ze zdjęciem rodziny Sandsów, zdołałaby odróżnić Justine ode mnie. Większość z tego, co robiła mama, nie miało dla mnie najmniejszego sensu. Ale według ojca była słońcem, księżycem i gwiazdą w jednym i z tego powodu siedziałam cicho.

- Jest taka piękna - oznajmił tatko kilka minut później.

Podążyłam za jego spojrzeniem utkwionym w pokrytej zdjęciami tablicy wiszącej nad biurkiem Justine, próbując zmusić oczy do płaczu. Ponieważ zobaczyłam ją. Na spływie pontonem rwącymi górskimi rzekami w regionie Berkshires. Jadącą konno gdzieś na plażach półwyspu Cape Cod. Siedzącą na quadzie przed prywatnym liceum im. Nathaniela Hawthorne'a. Podczas pieszej wycieczki na Górę Waszyngtona w stanie New Hampshire. I na moim ulubionym zdjęciu, na tym, które powiększyła do formatu 12 x 17, wiszącym w samym środku kolażu - podczas wędkowania z naszej starej, czerwonej łodzi wiosłowej na jeziorze Kantaka w Maine - razem ze mną.

- Pamiętam, jak je zrobiłem - stwierdził tato. - Zastanawiałem się, co takiego powiedziała, że tak cię rozśmieszyło.

Zrobił to zdjęcie z pomostu na tyłach domku, kiedy byliśmy odwrócone plecami do aparatu. Na zdjęciu twarz Justine jest lekko zwrócona w moją stronę, a moja głowa odchylona w kierunku nieba. Ramiona mam uniesione wysoko do góry, tuż przy uszach, w odruchu, któremu ulegam zawsze, gdy coś rozbawi mnie do tego stopnia, że łzy płyną mi ciurkiem po policzkach. Zamrużałam. Nic.

- Pomyślałam, że to musiały być jakieś dziewczęce pogaduchy

- mówił dalej. - Makijaż. Chłopcy. Opowieści ściśle tajne, o których lepiej, żebym nie wiedział.

- Pewnie tak - odparłam. - To z powodu jej romantycznej natury dziewczęce pogaduchy o chłopcach zwykle przeciągały się w nieskończoność.

- Ciągłe nie rozumiem, dlaczego tak bardzo potrzebne jej było całe to zainteresowanie - rzucił w zamyśleniu. - Była taka

bystra, taka piękna, tak utalentowana. Ale zachowywała się, jakby sama w to nie wierzyła, chyba że słyszała to co tydzień z ust nowego adoratora.

Nie odezwałam się. Justine wcale nie potrzebowała zainteresowania - po prostu je na sobie skupiała. Sączyliśmy kawę w milczeniu. Po chwili tato wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

- Powiniennem trochę pobawić się w gospodarza - stwierdził, wstając z miejsca. -

Dasz sobie radę?

Skinęłam głową. Położył lekko dłoń na mojej głowie i chwilę później wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Mrugnęłam i znów odczekałam. I tym razem nie zaczęłam płakać, więc znów spojrzałam na zdjęcie pośrodku tablicy i pomyślałam o tym, co przed chwilą powiedział tato. To nie miało sensu. Ale przecież teraz mało co w ogóle miało sens. Zdaniem policji to był wypadek: Justine po prostu skoczyła z urwiska w nieodpowiednim momencie. Było ciemno. Był przyływ. Komendant Green twierdził, że woda była tak głęboka, a prądy tak silne, że sam Tryton, grecki bóg morza, który potrafił wzbijać i wygładzać fale jednym dmuchnięciem w muszlę, nie zdołałby utrzymać się na powierzchni. Lekarz sądowy zgodził się z nim. Ja nie. To prawda, Justine była poszukiwaczką przygód. A tamtej nocy być może chciała coś udowodnić. Ale była zbyt mądra, by postąpić tak bezmyślnie.

Gdy moje oczy przesuwaly się po korkowej tablicy, pomiędzy zdjęciami dostrzegłam cienkie ciemne linie. Wyglądało to tak, jakby ktoś pisał po podkładce tablicy markerem... z tym że linii nie było widać na satynowym płótnie w kolorze kości słoniowej pokrywającym pozostałą jej część. Tło za zdjęciami było białe.

Wstałam i podeszłam do biurka, żeby się lepiej przyjrzeć, i wtedy zobaczyłam, że linie układają się w słowa. Nazwisko. E-mail. Numer telefonu. Rasa biała. Rodzic 1. i rodzic 2. Aplikacja w trybie przyspieszonym. Wsparcie finansowe. Akademik. Stopień naukowy. Szkoła średnia. Wynik egzaminu wstępnego. Wynik egzaminu maturalnego. Zajęcia ponadprogramowe. Nagrody/Wyróżnienia.

Właśnie miałam wyciągnąć pierwszą fioletową pinezkę, kiedy poczułam się nieswojo. Ogarnęło mnie wręcz poczucie winy. Jakbym myszkowała po biurku Justine w poszukiwaniu jej pamiętnika, a za chwilę miała przeczytać o sekretnych pocałunkach i prywatnych rozmowach, które chciała zachować tylko dla siebie.

- Przepraszam - wyszeptałam, zanim wyciągnęłam pierwszą pinezkę.

Parę sekund później pięćdziesiąt kilka wersji uśmiechu Justine opadło. Zrobiłam krok w tył, by ogarnąć wzrokiem całą tablicę.

Pokrywały ją nalepki. Było ich siedem, zebranych przez mamę podczas ich wspólnych wypraw do uniwersytetów: Harvarda, Yale, Princeton, Brown, Stanforda, Cornella i Dartmouth. Układały się w szeroki uczelniany krąg wokół tabeli i formularza zgłoszeniowego obowiązującego w każdej ze szkół. Tabelę wypełniała lista uczelni i trzy dodatkowe kolumny na ostateczny termin składania podań, datę wysłania zgłoszenia i datę uzyskania odpowiedzi. Kolumnę z terminami ostatecznymi wypełniały daty wypisane schludnym odręcznym pismem mamy; dwie pozostałe były puste. Podanie też było puste, z wyjątkiem komentarzy i sugerowanych odpowiedzi także odnotowanych przez mamę. Mój wzrok szybko zatrzymał się na środkowej stronie: esej. U góry formularza znajdowała się zielona karteczka samoprzylepna, na której widniała skierowana do Justine podpowiedź mamy, żeby napisała o tym, kim jest i kim chciałaby zostać. Odpowiedź Justine była zwięzła: „Przykro mi, ale nie wiem. Zresztą ty też nie”. Wpatrywałam się w te słowa. Być może znalezienie ich zajęło mi

więcej czasu, niż powinno, ale natychmiast zrozumiałam, co znaczą: Justine nie czekał wyjazd do Dartmouth tej jesieni. Ani do Harvardu, Yale, Princeton, uniwersytetu Browna, Stanforda ani Cornella. A to dlatego, że przed wstąpieniem na przyszłą alma mater trzeba do niej aplikować. A Justine najwidoczniej nie wysłała podania do żadnej z nich.

Na dole goście zebrali się, by uczcić życie Justine, by rozmyślać nad możliwościami, jakie utraciła, i nad wszystkim tym, czego nigdy już nie doświadczy; nad miejscami, których nigdy nie zobaczy. Miałam rację co do jednego: żadna z obcych osób opychających się ciastkami nie miała bladego pojęcia, kim naprawdę była Justine. Jednak niepokojąco myliłam się co do innej kwestii: sądziłam, że przynajmniej ja to wiem. W głębi korytarza trzasnęły drzwi, sprowadzając mnie z powrotem na ziemię. Zdjęłam z tablicy kartkę z „esejem” i zdjęcie z Justine i mną na łódce, zawiesiłam pozostałe zdjęcia i szybkim krokiem przemierzyłam pokój.

Właśnie miałam wyjść na korytarz, gdy poczułam coś, co zmusiło mnie, by poderwać dłoń do twarzy i zakryć nos i usta. Woń słonej wody. Przebywając już jakiś czas w pokoju, musiałam przyzwycząić się do tego zapachu, jednak przy drzwiach był znacznie intensywniejszy - wręcz nie do zniesienia, jakby fala pływowa zdążyła już pochłonąć resztę domu i czekała na zaproszenie tuż za drzwiami do pokoju Justine, by wtoczyć się do środka. Zapach był wyjątkowo silny. Pochyliłam głowę, żeby opanować zawroty głowy.

- Och, nie. - Odsłoniłam twarz. - Och, Justine... Spomiędzy drzwi szafy sterczał zmięty ręcznik plażowy. Był to gruby, frotowy ręcznik... z nadrukiem szeroko uśmiechniętego rysunkowego homara, pokryty kawałkami zielonych i czarnych wodorostów.

Ręcznik plażowy Caleba - ten sam, w który owinał Justine, zanim przyciągnął ją do siebie na szczycie urwiska tydzień wcześniej. Teraz był tutaj. Suchy i zeszywniały od morskiej soli. W Bostonie.

Opadłam na kolana i ścisnęłam ręcznik w dłoniach. Justine była w domu. W którymś momencie w przerwie między burzliwym odejściem od stołu podczas kolacji na tarasie domku nad jeziorem a późnym rankiem następnego dnia, kiedy znaleziono jej

ciało, Justine wróciła do Bostonu.

To nic takiego, zapewniłam sama siebie, próbując nie wyobrazić sobie białej frotowej tkaniny okrywającej ramiona Justine. Wszystko w porządku.

Tyle tylko, że wcale nie było w porządku. Wszystko było tak bardzo nie w porządku, że nie potrafiłam nawet udawać, że ten ręcznik jest czymś innym, niż naprawdę był: kolejnym dowodem na to, że nie tylko moje przekonanie, że znam własną siostrę, jest błędne, ale że ktoś inny znał ją lepiej. I że, z jakichś powodów, ona chciała, żeby tak właśnie zostało.

3

- Czyś ty oszalała?

Dźwignęłam worek marynarski z chodnika i wrzuciłam go do bagażnika starego volva taty.

- Jesteś pewien, że nie będziesz go potrzebował? - zapytałam, jakbym nie słyszała, co krzyknęła przed chwilą mama, stojąca bosą w kaszmirowym szlafroku na frontowym ganku i przyglądająca się nam z dezaprobatą.

- Mówię poważnie - spróbowała znowu. - Czy wyście oboje powariowali?

Tato odstawił miskę płatków „Cheerios” na pordzewiały dach samochodu i pomógł mi wepchnąć torbę do bagażnika.

- Nie był mi potrzebny przez parę ostatnich miesięcy, więc przez tych kilka kolejnych tygodni dam sobie bez niego radę.

- Kilka tygodni? - głos mamy wystrzelił o oktawę w górę. Położyłam ręce obok dłoni taty na klapie bagażnika i przycisnęłam ją. Kiedy zamknęła się ze szczękiem, obeszłam samochód i przystanąłam u podnóża schodów prowadzących na ganek.

- Nie jestem pewna, jak długo mnie nie będzie - oznajmiłam.

- Może kilka dni, tydzień, może dłużej.

-Ja nie rozumiem, po co w ogóle chcesz tam jechać. Po tym wszystkim...

- Ty wracasz do pracy. Tato wraca do pisania. Co miałabym robić, gdybym została?

- Spotykać się z przyjaciółmi - powiedziała. - Chodzić do kina. Czytać i wypoczywać.

- Czytać i wypoczywać? - Potrząsnęłam głową. - Nie mogę.

- Jacqueline - powiedział łagodnie tato - to jest coś, czego Vanessa potrzebuje. Wiem, że ciężko ci jest puścić naszą małą córeczkę samą, ale ona ma już siedemnaście lat.

- No właśnie, ma siedemnaście lat i jest jeszcze dzieckiem

- odparowała mama, jakby była zadowolona, że nareszcie ktoś oprócz niej samej poruszył tę niezwykle istotną kwestię. - Va-nesso, skarbie, jeszcze nigdy nie byłaś nigdzie sama. A najdłuższa trasa, jaką pokonałaś za kierownicą, to droga z Bostonu do sieci sklepów w Framingham.

Wbiegłam po schodach na górę, przystając jeden stopień poniżej tego, na którym stała mama.

- Niedługo wrócę. Obiecuję.

Gdy przytrzymała mnie w mocnym uścisku, poczułam się winna. I zdenerwowana. A także smutna, przestraszona i dezorientowana. Część mnie czuła nawet pokusę, by wbiec z powrotem do domu, wskoczyć do łóżka i spać tak długo, aż upłynie dość czasu, by o tym wszystkim zapomnieć. Może mogłabym nawet udawać, że to był po prostu jeden z koszmarów, które wzbudzały we mnie lęk zawsze, kiedy gasiłam światło.

- Poziom płynów jest w porządku — stwierdził tato, zanim zdążyłam zmienić zdanie.

- Przełącznik wycieraczek masz po prawej stronie kierownicy, światła po lewej. To stare auto, ale dowiezie cię tam, gdzie zechcesz.

- Jesteś bezbłędny, tatku. - Zbiegłam po schodach i wsiadłam do auta.

- I vice versa, dziecinko. - Zamknął za mną drzwi i zajrzał przez otwarte okno. -

Jeszcze jedno. Ten wóz, jak każdy stary piernik cieszący się nienagannym zdrowiem, czasem się męczy

- zwłaszcza pod górkę. Kiedy zauważysz, że zaczyna słabnąć, zdejmij nogę z gazu. Jeśli spróbujesz go przycisnąć, prawdopodobnie opadnie z sił i się stoczy.

- Bardzo pocieszające.

Patrzyłam, jak tato odwraca się do mamy, która stała teraz obok niego. Obejmuje ją w talii i całuje w czubek nosa.

- Wzięłaś komórkę? - zapytała mama. - I wskazówki dojazdu?

Podniosłam z siedzenia pasażera telefon i stosik wydrukowanych map

udostępnionych przez Google.

- Mam też pełny bak paliwa i wasze karty podróżne „Visa”, „Mobil” i klubu AAA. Mam klucze do domku nad jeziorem i instrukcje włączania wody i prądu.

- Proszę cię, zadzwoń, jak tylko dojedziesz na miejsce - powiedziała mama, gdy odpaliłam silnik. -1 może też z drogi, jak się zmęczysz albo jak w radiu nie będzie nic ciekawego, albo...

- Zadzwonię, zanim dojadę i kiedy będę na miejscu. Mama otworzyła usta, żeby wyrazić dalsze prośby, ale zaraz je zamknęła i zasłoniła dłonią.

Jej uwagi o tym, że nigdy nie byłam nigdzie sama i nigdy nie prowadziłam auta na trasie dłuższej niż trzydzieści kilometrów od domu, odrobinę wytrąciły mnie z równowagi. Nie wiedziałam, jakie to będzie uczucie jechać autostradą międzystanową 95 bez mamy, taty i Justine; albo mijać tablicę w kształcie żaglówki przy wjeździe do miasteczka witającą gości Winter Harbor, czy lodziarnię „U Eddiego” kawalek dalej - i nie przystanąć na lody czekoladowe z bakaliami w waflu; albo wjechać na podjazd przed domkiem nad jeziorem, pozamykanym na cztery spusty po naszym nagłym wyjeździe zaledwie kilka dni temu. Kiedy przestawiałam dźwignię biegów w volvie na tryb jazdy i powoli ruszałam sprzed domu rodziców, pozbawiając ich ostatniej z dwóch córek w ciągu niespełna dwóch tygodni, wiedziałam jedno: jeżeli kiedykolwiek miała nastąpić pora, by dorobić się grubej skóry, to właśnie nadeszła.

* * *

Sześć godzin i cztery telefony do domu później siedziałam w volvie i gapiłam się na nasz domek nad jeziorem.

O tej porze każdego lata wypełniało go życie. Teraz wyglądał na przedziwnie opuszczony i smutny. Drzwi frontowe były zamknięte, podobnie jak okna z zaciągniętymi zasłonami

1 roletami. Ceramiczne donice ustawione w równej linii na schodach, w których powinny kwitnąć już pelargonie mamy, były pełne chwastów. Ulubiona flaga taty, ta z parą nurów, która wyznaczała oficjalne nadejście lata, leżała gdzieś na półce w garażu.

A jednak, pomimo przygnębiającej fasady, wciąż ją widziałam. Patrzyłam, jak zwinnym ruchem otwiera drzwi samochodu i pędzi ścieżką do domku; biega z jednego końca ganku na drugi, zaglądając do okien, a potem, ten ostatni raz, przystaje na jego skraju i wychyla się przez balustradę w stronę domu Carmichaelów.

Fioletowa letnia sukienka tańczy na lekkim wietrze wokół jej kostek, a długie, ciemne włosy opadają na ramię i osłaniają twarz — wiem, że skrywa za nimi uśmiech. Wtedy

spoglądałam na dom obok, żeby sprawdzić, czy Caleb wyszedł i czeka na nią. Nie widzę go, ale wiem, że tam jest. Pewnie przykucnął za krzewami - poza zasięgiem wzroku, zgodnie z wolą Justine - i tkwi tam od jakiegoś czasu z nadzieją, że ujrzy ją choćby przelotnie. Myślę sobie, że to musi być bardzo miłe uczucie, wiedzieć na pewno, że ktoś na ciebie czeka. Takie uczucie przydałoby mi się właśnie teraz. Nagle coś za mną błysnęło i odruchowo zerknęłam w lusterko wsteczne. Nie ujrzałam nic oprócz naszej skrzynki na listy w kształcie kaczki i kilku drzew, obróciłam się na siedzeniu, by spojrzeć przez tylną szybę.

Vanesso, głuptasie. Żeby wyobrażać sobie jakieś rzeczy, kiedy jeszcze nawet nie zaszło słońce?

Odwróciłam się gwałtownie na dźwięk głosu Justine przemykającego mi przez głowę.

- Pora poszukać Caleba - powiedziałam na głos, otwierając drzwi.

Trampek zagłębił się w błocie, a mój wzrok spoczął na rzuconej na podjazd złożonej gazecie. Był to „Winter Harbor Herald”, darmowy tygodnik pełniący głównie funkcję przewodnika dla turystów po lokalnych restauracjach i sklepach. Zwykle na jego łamach każdego lata pojawiała się jedna ważna wiadomość

- a wtedy artykuł z pierwszej strony wyjątkowo nie opisywał najbardziej romantycznych punktów widokowych, skąd można podziwiać zachody słońca, albo wyjątkowych lokalików, w których można skosztować autentycznych sztandarowych potraw kuchni regionalnej - na przykład o nieletnich amatorach mocnych trunków albo złodziejach koszy z homarami. Historie te zazwyczaj pojawiały się pod koniec lata, kiedy wszyscy już popróbowali kulinarnych specjałów i porobili zakupy, a

redakcja

najwidoczniej uznawała, że są już w stanie stawić czoło ciemniejszej stronie Winter Harbor. Tego lata ze złymi wieściami nie można było czekać. „Tragedia w Winter Harbor: sezon rozpoczyna śmiertelny skok osiemnastolatki”.

Gapiłam się na nagłówek, którego poważny charakter akcentował duży, tłusty druk. Bezpośrednio pod nagłówkiem widniało zdjęcie portretowe Justine wykonane na zakończenie szkoły średniej. Pomimo przyczyny, dla której fotografia znalazła się na pierwszej stronie tygodnika, jej uroda zrobiła na mnie silne wrażenie. Ciemne włosy luźnymi falami opadały na ramiona, oczy były pełne blasku, a uśmiech ciepły i serdeczny. Pomyślałam o własnym zdjęciu z okazji ukończenia szkoły, które zgodnie ze zwyczajem miało dopiero zostać wykonane pod koniec lata. Wiedziałam, że nie wyjdę na nim tak uderzająco pięknie jak Justine, ponieważ wszystko w moim wyglądzie było jakby nijakie: włosy nie były ani zupełnie brązowe, ani czarne; oczy ani całkiem niebieskie, ani zielone; skóra potrafiła mieć odcień kremowy albo blady, w zależności od padającego światła. Jedyną rzeczą, która nie była nijaka, był mój uśmiech, który, choć pojawiał się dość rzadko, zawsze rozświecał resztę twarzy... jednak po odejściu głównego źródła mojej radości równie dobrze mogłabym pozować do zdjęcia, siedząc odwrócona do aparatu plecami.

Wysiadając z samochodu, podniosłam tygodnik. Nie chciałam czytać o Justine, ale nie mogłam też zostawić gazety na podjeździe. Złożyłam ją i położyłam na tylnym siedzeniu auta.

Przeszłam krótki odcinek do domu Carmichaelów, wbiegłam po schodach na ganek i zadzwoniłam do drzwi. Gdy wewnątrz

domu rozbrzmiały niskie tony dzwonka, zrobiłam krok w tył i czekałam.

W odpowiedzi nie usłyszałam głosu Caleba. Ani pani Carmichael, która zwykle otwierała drzwi na oścież z szerokim uśmiechem i tak samo szeroko rozłożonymi ramionami. Nie rozległ się nawet odgłos kroków przemierzających dom i kierujących się do drzwi. Odczekałam minutę i zadzwoniłam znowu. Cisza.

Przykładając dłoń do szyby, zajrzałam przez okno do salonu. Potem przeszłam przez ganek i spróbowałam zajrzeć przez okno do kuchni. Błaty były puste, na stole nie

zalegały stopy komiksów ani egzemplarzy miesięcznika „Scientific American”, a w zlewie nie było brudnych naczyń.

Wnętrze domu Carmichaelów sugerowało to samo, co dało się wyczuć, patrząc na fasadę naszego: był opuszczony. Na pewno wróca, pomyślałam, kierując się w stronę schodów. Pewnie są w pracy. Albo załatwiają jakieś sprawy. Wróca przed kolacją, najpóźniej.

Jeśli to była prawda, miałam do zabicia około pięciu godzin. Całkiem sama.

Nie zamierzałam siedzieć tak długo sama w domu, dlatego nie spieszyłam się z powrotem. Przechadzałam się po ogrodzie na tyłach domu Carmichaelów, który w ciągu lat zdążyłam poznać równie dobrze jak nasz własny ogród. Po setkach zabaw w chowanego znalazłam tu każdy dołek, każde wzniesienie na trawie i wszystkie najlepsze drzewa, za którymi można było się skryć i nie zostać zauważonym. Tak naprawdę, kiedy dorastałyśmy, zabawa w chowanego była jedyną grą, w której byłam lepsza od Justine. Głównie dlatego, że ja wolałam nie zostać znaleziona, a Justine żyła po to, by ją zauważano.

Stałam nad wodą, po czym weszłam na pomost. Kiedy dotarłam do końca, spojrzałam na jezioro, potem w stronę naszego pomostu kilkanaście metrów dalej. Poczulałam ból w piersiach na myśl o tym, że nie ma tam butelek z wodą, filtrów przeciwsłonecznych ani otwartych książek, nieodłącznych atrybutów leniwego letniego popołudnia. Grube liny, które zwykle trzymały w miejscu naszą czerwoną łódź wiosłową, wciąż ciasno oplatały słupki. Odwracając się, zsunęłam trampki i skarpetki, podwinęłam nogawki i usiadłam. Słońce przyjemnie grzało; miałam ochotę zanurzyć stopy w chłodnej wodzie, ale zamiast tego podsunęłam je pod brzuch. Przez dwa lata za każdym razem, kiedy Justine zapewniała mnie, że rybki z jeziora Kantaka bardziej boją się mnie, niż ja powinnam bać się ich, mówiłam jej, że ryby wcale mi nie przeszkadzają. Ale to, co naprawdę mi przeszkadzało, zachowałam dla siebie. - Vanessa?

Tego roku wygląda inaczej, nie sądzisz?

Podniosłam wzrok. Kilka metrów przede mną Simon siedział w swojej łódce. Nie poruszał wiosłami, pozwalając, by prąd niósł go w moim kierunku. Uśmiechnęłam

się zaskoczona, a jednocześnie ukojona na jego widok. On także wyglądał na zaskoczonego, ale nie odpowiedział uśmiechem. Po kilku sekundach zaczął znów wiosłować.

Chciałam się przywitać, zapytać, jak się miewa. A skoro nie potrafiłam się na to zdobyć, chciałam powiedzieć coś, co przełamałoby lody; może zapytać o notatniki, szklane płytki laboratoryjne i plastikowe fiolki rozrzucone na dnie łódki. Po łódce Justine i mojej zwykle walały się pojemniki „Tupperware” z kawałkami arbuza, magazyny „Us Weekly” i „People”; łódka Simona wyglądała jak pływające laboratorium.

Gdy łódź dobiła do pomostu, sięgnął po linę i obwiązał ją wokół jednego z metalowych uchwytów na dziobie. Pozbierał notatniki, naczynia i fiolki i włożył je do plecaka. Odnosiłam wrażenie, że gra na zwłokę, jakby tych kilka dodatkowych sekund miało wystarczyć na dobranie w myślach właściwych słów. Gdy wyszedł z łódki, poczułam, jak przyspiesza mi puls. Nie patrząc na mnie, wytarł dłonie o spodenki, a potem przysiadł na pomoście obok mnie.

- Proszę, nie miej do mnie żalu - odezwał się po chwili.

- Żalu? Do ciebie?

- Chciałem przyjść - oznajmił, wpatrując się w powierzchnię wody. - Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałem tam być ze względu na... twoją rodzinę. Po prostu nie wiedziałem, czy powinienem. Nie wiedziałem, czy to byłoby stosowne. Chodziło o pogrzeb. Szczerze mówiąc, byłam zaskoczona, gdy nikt z rodziny Carmichaelów się nie pojawił. Nasi rodzice w czasie wakacji często wychodzili razem do restauracji, a ponieważ państwo Carmichaelowie byli rodowitymi mieszkańcami Winter Harbor, w ciągu roku mieli oko na nasz domek i raz na jakiś czas przez pozostałą część roku kontaktowali się z moimi rodzicami. Nie pytałam mamy ani ojca o to, dlaczego ich nie było, uznając to za zbyt delikatny temat ze względu na udział Caleba w wydarzeniach tamtej nocy.

- W porządku - odparłam wzruszona jego troską. - Ale dziękuję.

Simon przymknął oczy i przygryzł wargi, jakby miał coś więcej do powiedzenia.

- Myślałam, że już uporałeś się ze szkołą.

Spojrzał na mnie, a potem na wypchany plecak, który wskazałam skinieniem głowy.

- Letnia praca naukowa za dodatkowe punkty? - starałam się nadać głosowi swobodne brzmienie.

- Coś w tym rodzaju. - Spróbował się uśmiechnąć. - Pomagam jednemu z wykładowców zbierać materiały do badania na temat globalnego ocieplenia. Ostatnio warunki meteorologiczne są dość nietypowe, dlatego staram się śledzić zmiany na bieżąco. Skinęłam głową i czekałam na rozwinięcie myśli. Simon potrafił godzinami opowiadać o formacjach chmur, zbiornikach pływowych i występujących w nich gatunkach roślin i zwykle robił to bez niczyjej zachęty. Ale kiedy tym razem nie powiedział nic więcej, przycisnęłam kolana mocniej do piersi i utkwiałam wzrok w tafli jeziora. Dalej przy brzegu zadowoleni urlopowicze pływali, wiosłowali i dryfowali na wodzie na dmuchanych materacach. Moje ciało pragnęło do nich dołączyć, podczas gdy umysł walczył, by uwolnić się od uporczywych myśli. Jeszcze dwa lata temu uległabym fizycznej pokusie, oddałabym skok z pomostu do wody i zanurzyłabym się pod powierzchnią. Teraz mogłam mieć tylko nadzieję, że to uczucie wkrótce minie.

- Szukam Caleba - oznajmiłam.

Simon skierował wzrok na grupkę dzieciaków skaczących do wody z tratwy na środku jeziora.

- Tamtej nocy był razem z nią, dlatego muszę z nim porozmawiać. Muszę się dowiedzieć, dlaczego to zrobiła.

- Vanesso... Caleba tu nie ma. Poczułam ucisk w żołądku.

-Wrócił po tym, jak przesłuchała go policja, zabrał coś do jedzenia, parę ubrań i wyszedł.

- Dokąd poszedł?

- Nie wiemy. Nie powiedział ani słowa... i od tamtej pory nie dał znaku życia.

Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem w stronę figlujących dzieci. Śmiały się, ochlapwały wodą i podtapiały nawzajem. Zastanawiałam się, czy Simon myśli o tym samym: jeszcze rok temu to moglibyśmy być my. - Kiedy wróci? - zapytałam.

Nie odpowiedział, a nasze spojrzenia się spotkały. Patrzył na mnie, jakby było mu po

prostu przykro - i jakby to było jedyne, co może zrobić, by nie unieść ramion spoczywających nieruchomo wzdłuż tułowia i nie przyciągnąć mnie do siebie.

4

- Tatku, domek nad jeziorem jest nawiedzony. Osiemset kilometrów stąd w naszej kamienicy tato popijał kawę.

- Zeszłej nocy nie zmrużyłam oka. Nawet nie udało mi się wejść w ten przejściowy stan, kiedy zasnąć można równie łatwo, jak się wybudzić.

- Byłaś zmęczona po podróży. Twój organizm prędzej czy później ustąpi.

- Nie sądzę. - Stojąc na tarasie, owinęłam się ciasniej grubym polarowym kocem. - Przynajmniej dopóki będą tu duch Kacper, Krwawy Baron i cała reszta ich skorych do hałasowania przyjaciół, przez których całą noc skrzypi podłoga i trzeszczy sufit. Zrobiłam pauzę, zdając sobie nagle sprawę z osobliwości tej rozmowy. Jeżeli w domku faktycznie były duchy, nie były to duchy z bajki.

- W każdym razie już jest ranek - stwierdził wreszcie tato. -Przetrwałaś noc.

~ Zgadza się. Nic mi nie jest - przyznałam. - Pod oczami mam, co prawda, worki wielkie jak torby z tygodniowymi zakupami dla siedmioosobowej rodziny, ale poza tym czuję się świetnie.

- Świetnie, powiadasz?

Pokiwałam głową, śledząc wzrokiem ludzi mknących po jeziorze na skuterach wodnych.

- Może nie świetnie. Ale w porządku. Mam się zdecydowanie dobrze.

- Wiesz, że w każdej chwili możesz wrócić do domu. Twoja matka i ja myślimy o tobie.

Spojrzałam w dół na swoje opatulone w polarową tkaninę stopy.

- Jak ona się czuje?

- Sama wiesz, jaka jest twoja matka. Nieźle się trzyma.

- Pracuje jak maszyna?

- Z niewyczerpalnym źródłem zasilania. - Zrobił pauzę. -Zadzwonisz później?

- Jasne, że zadzwonię.

Kiedy się rozłączyliśmy, przez chwilę przyglądałam się radosnym urlopowiczom

pluskającym się w wodzie, aż zaczęło mi burczeć w brzuchu. To mi uzmysłowiło, że przez ostatnie dwa dni prawie nic nie jadłam. Weszłam do domku, włączyłam stojący w salonie telewizor i radio w kuchni, po czym ruszyłam prosto pod prysznic.

Zbiegając podjazdem dziesięć minut później, zerknęłam na dom sąsiadów. Simon wyszedł wczoraj wieczorem i wrócił późno w nocy, ale teraz jego subaru znowu nie było. Powiedział mi, że jego rodzice byli tak poruszeni tym, co się stało, że wyjechali na jakiś czas do przyjaciół w Vermont, a że z otwartych okien nie dobiegały żadne poranne odgłosy, założyłam, że jeszcze nie wrócili.

Burczało mi w brzuchu przez całą drogę do centrum. W ramach próby wyjścia naprzeciw potrzebom turystów z miasta, przyzwyczajonych do spożywania posiłków w pośpiechu, Winter Harbor oferowało całą gamę praktycznych wariantów śniadania na wynos. Na szczęście potężne sieciówki, takie jak Starbucks czy McDonalds, nie trafiły jeszcze do tej ustronnej osady, ale było już kilka placówek, które mogłyby stanowić dla nich poważną konkurencję, gdyby kiedykolwiek tu zawitały. Można było dostać kawę i pączki w kawiarni „Smaki Jamajki”, mleczne koktajle i tańszą podróbkę frappuccino w barze „Cytrynka” czy kanapki z jajkiem w smażalni „Portowe Frykasy”. Wszystko robione na zamówienie, gotowe w parę minut, tak żeby szybko można było znów znaleźć się nad jeziorem albo w trasie. Miałam ogromną ochotę na koktajl arbuzowy z dodatkiem gujawy, kajzerkę z jajecznicą, kiełbasą i żółtym serem. To był zestaw, który zamawiałam zawsze, kiedy mama i tato wybierali się do miasteczka po coś na śniadanie. Jednak dzisiaj z pewnością nie byłam w nastroju do zamawiania jedzenia na wynos, a poza tym chciałam w miarę możliwości uniknąć kontaktu ze znajomymi osobami, z którymi w ciągu spędzonych tutaj wakacji zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Dlatego przejechałam główną ulicą, omijając wszystkie te urocze przydrożne jadłodajnie, i jechałam prosto aż do miejsca, gdzie kończył się chodnik, a zaczynał wielki zwirowy parking.

Parking przynależał do Restauracji Rybnej „U Betty”, która była miejscem popularnym wśród turystów i która gwarantowała wszystko, czego akurat potrzebowałam: jedzenie, towarzystwo i anonimowość w tłumie obcych. Każdy, kto odwiedził Winter Harbor więcej niż raz, zwykle trzymał się z dala od restauracji „U

Betty", by nie mieć nic wspólnego z hałaśliwą rzeszą nowo przybyłych. Szanse na to, że ktokolwiek ze zgromadzonych będzie znał moją rodzinę, były niewielkie, więc nawet gdyby ktoś

miał rozmawiać o Justine, przynajmniej nie będzie rozmawiać

o niej ze mną.

Kilka metrów przed wjazdem na parking zwolniłam. Chłopak mniej więcej w moim wieku, w spodenkach khaki i białej połówce, poderwał się ze składanego krzeselka i ruszył w moją stronę.

- Dzień dobry! - Uśmiechnął się i podszedł do samochodu. - Twoja godność?

- Vanessa - odparłam, a on spojrzał na swoją listę. - Ale od razu mówię, nie mam rezerwacji.

- Bardzo mi przykro. Na dziś rano wszystkie miejsca mamy już zaklepane.

Spojrzałam przez przednią szybę na szary dwupiętrowy budynek z czarną sylwetką syreny, będącą logo restauracji, nad frontowymi drzwiami. Z zewnątrz nie wyglądało to zbyt okazale, ale przez wielkie szyby widać było, że w środku jest pełno ludzi.

- Przyszłaś na „Czarownicę z morskich głębin”? Bu.

Zamrugałam, żeby odsunąć od siebie obraz Justine, jej ciemnych połyskujących włosów i niebieskich rozświetlonych oczu.

- Przepraszam, co z morskich głębin?

- Czarownicę. - Pokiwał głową porozumiewawczo. - Jajecznicza

1 pasztecik z homara z sosem holenderskim zawinięte w naleśnik na bazie maślanki z morskimi glonami i cynamonową posypką. To absolutny hit tego lata i doskonałe panaceum na kaca. Skuteczność gwarantowana.

Najwyraźniej „Czarownica z morskich głębin” była dla tego chłopaka tym, czym dla mnie koktajl arbuzowy i kanapka z jajkiem, dlatego zrobiłam, co mogłam, by ukryć obrzydzenie.

- Trafiłeś w dziesiątkę - odpowiedziałam z porozumiewawczym skinieniem, po czym nachyliłam się w jego stronę i zniżyłam głos. - Czy to aż tak oczywiste?

- No niestety. Długa noc?

- Nawet sobie nie wyobrażasz. Rozejrzał się dookoła.

- Dasz mi chwilkę?

Patrzyłam, jak odchodzi i mówi coś do krótkofalówki. Mogłabym poszukać innego baru serwującego śniadania na miejscu, ale oprócz tego, że chciałam ukryć się pośród tłumu gości restauracji „U Betty”, byłam też ciekawa, o co to całe zamieszanie. W dodatku miałam wrażenie, że jeszcze chwila, a żołądek przyklei mi się do kręgosłupa, jeśli go czymś szybko nie napełnię.

- Dobre wieści - powiedział chłopak, podbiegając do samochodu. Pochylił się, oparł dłonie na udach i spojrzał na mnie przez otwarte okno. - Mój kumpel Louis jest tutaj szefem kuchni. Powiedział, że posadzi cię w pokoju dla personelu i przyrządzi wszystko, na co będziesz miała ochotę.

- Serio? - Uśmiechnęłam się zaskoczona. - Dzięki. To bardzo miło z twojej strony.

- Nie ma sprawy. Wierz mi, doskonale wiem, jak się czujesz. Chwilę mi zajęło, zanim sobie przypomniałam, że udaję pacjentkę wymagającą specjalnej kuracji po całonocnej balandze.

- Podjedź na parking na tyłach budynku, koło śmietników. Tam, gdzie stoją samochody obsługi.

- Świetnie. - Poprawiłam się na siedzeniu i ruszyłam.

- A tak przy okazji, mam na imię Garrett - dodał pospiesznie.

- Jeśli będziesz chciała jeszcze kiedyś zrobić rezerwację, daj znać, może się spotkamy.

Dopiero kiedy znalazłam się na tyłach budynku, poza zasięgiem wzroku, pozwoliłam, by szczęka opadła mi ze zdumienia. W zasadzie byłam pewna, że ten chłopak mnie podrywał, a ta myśl sprawiła mi więcej radości niż cokolwiek innego w ciągu ostatnich dni. I nie chodziło tylko o to, że wydałam mu się atrakcyjna, bo chociaż musiałam wyglądać na tyle kiepsko, że jego zdaniem potrzebowałam „Czarownicy z morskich głębin”, żeby stanąć do pionu, najwyraźniej nie prezentowałam się aż tak źle, skoro chciał się ze mną jeszcze kiedyś spotkać. Tak naprawdę uszczęśliwiło mnie to, że skoro mnie podrywał - i nie wyglądał na zmartwionego czy skrepowanego, nie mówił, jak bardzo mu przykro, ani nie pytał, czy jakoś sobie radzę - to znaczy, że nie miał pojęcia, kim jestem. A to z kolei znaczyło, że znalazłam się dokładnie tam, gdzie

powinam być. Zaparkowałam samochód i poszłam w stronę drzwi prowadzących na zaplecze.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał ktoś za moimi plecami, kiedy dochodziłam do cementowych schodów. - Chyba zabłądziłaś.

Otworzyłam usta, by odpowiedzieć dziewczynie w czarnym fartuszk z logo restauracji „U Betty”, która wyłoniła się zza śmietników, ale gdy się zbliżała, w mojej głowie rozległ się przenikliwy pisk. Dźwięk przemknął od nasady nosa do podstawy kucyka i z powrotem. Zdawało mi się, że im bliżej podchodzi dziewczyna, tym pisk się nasila, aż wreszcie poczułam, jakby moja głowa stała się dzwonem, w który raz po raz uderza wielki młot.

- Nie zabłądziłam - wycedziłam, uciskając palcami skronie. -Po prostu przyszłam coś zjeść. Garrett obiecał, że jego kolega się mną zajmie.

Nagle usłyszałam męski głos:

- To musi być ta ślicznotka z końskim ogonem. Odsunęłam dłonie od skroni.

Przenikliwy pisk ustał równie szybko, jak się pojawił.

- Jest bardzo źle? Ból głowy? Mdłości? Wszystko wokół ciebie wiruje z zawrotną prędkością, mimo że nie ruszasz się z miejsca? Odwróciłam się w stronę, z której dobiegał głos, i na szczycie schodów ujrzałam uśmiechającego się ze współczuciem gościa w średnim wieku w białym fartuchu kuchennym i spodniach ze wzorem w czarno-białą kurzą stopkę. To był kumpel Garretta.

- Wszystko naraz - odparłam potulnie. Mrugnął do mnie.

- Żaden problem. Za chwilę poczujesz się jak nowo narodzona. Ruszyłam za nim po schodach, zerkając przez ramię w chwili, gdy dziewczyna wrzuciła worek ze śmieciami do kontenera, po czym zniknęła za rogiem.

- To na co masz ochotę? Na grzankę po francusku? Jajka? Tylko powiedz, a ja to dla ciebie przygotuję.

- Będę wdzięczna za cokolwiek - zapewniłam, gdy przepychaliśmy się przez zatłoczoną kuchnię.

- Powinnaś wiedzieć, że jako szef kuchni będący przez siedem lat z rzędu w czołówce rankingu magazynu „New England” nie proponuję tego każdemu. -

Otworzył lodówkę, wyciągnął butelkę wody i mi ją podał. - Robię to wyłącznie na prośbę Garretta.

- A czy Garrett często zwraca się do ciebie z taką prośbą? -Wzięłam od niego wodę.

- Do tej pory nie zdarzyło mu się to jeszcze nigdy. - Kiwnął głową na kogoś w głębi kuchni. - Paige, moja droga, bądź tak dobra i zaprowadź pannę Yanesę do sali na zapleczu.

Odwróciłam się i zobaczyłam ładną, uśmiechniętą dziewczynę z włosami uplecionymi w dwa długie, ciemne warkocze, czekającą na mnie w drzwiach.

- Witamy „U Betty” - oznajmiła, kiedy chwilę później szliśmy przez wąski korytarz.

- Jesteś tu pierwszy raz?

- Tak. - Minęło tak wiele lat, odkąd tu byłam, że w zasadzie czułam się tak, jakbym nie była tu nigdy wcześniej. - Słyszałam

O was tyle dobrego, że musiałam przekonać się sama.

- Nie będziesz rozczarowana. - Przystanęła przed drzwiami na końcu korytarza i zaczęła ostrożnie przekładać do drugiej ręki talerz, szklankę na sok i sztućce, które dla mnie niosła. Skoczyłam naprzód, by złapać talerz, który wyslizgnął jej się z dłoni.

- Dzięki - powiedziała. - Jestem tu od dwóch godzin, a już zdążyłam potłuc trzy filiżanki do kawy i dzbanek. To nie najlepszy sposób, by awansować z pomocy kuchennej na kelnerkę.

- Pewnie nie.

Wolną ręką otworzyła drzwi i ruszyła stromymi schodami na górę.

- Ale skąd mogłam wiedzieć, że praca kelnerki jest taka ciężka? Przecież w domu codziennie nosi się talerze z jedzeniem

1 szklanki z herbatą, nie? To żaden problem.

- Masz rację.

- A właśnie, że nie. - Gdy dotarła na piętro, odstepiła na bok.

- To naprawdę trudne. Zwłaszcza kiedy musisz nosić po pięć talerzy naraz, a na każdym masz jedną z tych gigantycznych porcji, z jakich słynie ta knajpa, a żeby tego było mało, twoje ramiona są cienkie jak wykałaczki.

Uśmiechnęłam się, gdy uniosła pustą szklankę na sok i napięła muskuł.

- Poważnie. To wszystko, na co mnie stać. - Spojrzała smutno na płaski biceps.
- Mogłabyś ćwiczyć pompki, kiedy jest mniejszy ruch - podpowiedziałam jej. —
Wzmocnić mięśnie.

- Chciałabym. Tylko że „U Betty” nigdy nie ma mniejszego ruchu.

Rozejrzałam się, dołączając do niej na piętrze. Pokój dla personelu w rzeczywistości był osłoniętym tarasem wychodzącym na przystań, z którego roztaczał się niczym nieprzysłonięty widok na port i góry.

- Najlepsze miejsce w całej restauracji - stwierdziła dziewczyna, prowadząc mnie do plastikowego stolika na środku tarasu. - Zostało przeznaczone dla obsługi, bo mieści się bezpośrednio nad barem i odrobinę traci na romantyczności, gdy turyści mają już trochę więcej w czubie. - Uśmiechnęła się. - A skoro mowa o turystach, skąd jesteś? Już miałam odpowiedzieć, kiedy gdzieś z dołu dobiegło trzaśnięcie drzwiami.

- Brudne gary same się nie pomyją! - na schodach rozległ się poirytowany głos.

- O, to po mnie. - Paige przemknęła przez taras. - Zet mówi, że moje niepohamowane gadulstwo jest jeszcze gorsze niż nieumiejętność noszenia talerzy, z których dwa na trzy zwykle lądują na podłodze.

-Zet?

- Zara - rzuciła przez ramię Paige. - Dar od Boga dla głodnych gości na całym świecie. I moja starsza siostra.

Gdy Zara wygłaszała z dołu kazanie, a Paige potulnie potakiwała, pomyślałam sobie, że to bardzo miła dziewczyna. Taka prawdziwa. Właściwie wcześniej podczas naszej pogawędki nie

zwróciłam na to uwagi, ale teraz poczułam, że rozjaśniło mi się w głowie, a głód przestał tak bardzo doskwierać.

- Przepraszam cię, Vanesso - zawołała z podestu na piętrze.

- Jeszcze jeden brudny talerz, a będę obierać pomarańcze w barze „Cytrynka” za rogiem. Muszę już iść. Ale mam nadzieję, że pierwsze śniadanie „U Betty” będzie ci smakowało! Postaram się zajrzeć do ciebie na górę, zanim pójdziesz. Posłała mi uśmiech, a wtedy zauważyłam, że jej oczy mają niezwykle interesujący jasnoniebieski odcień. Kiedy mówiła, połyskiwały jak wypolerowane srebro.

Gdy zbiegła po schodach, skupiłam się na śledzeniu ruchu na przystani. Rybacy zarzucali sieci z ruf małych motorówek, a garstka jachtów podrygiwała na wodzie w odległym krańcu przystani. Jachty były tak duże, że ich właściciele

- kimkolwiek byli - z pewnością mogliby żeglować od portu do portu, od przystani do przystani, i tak bez końca, schodząc na ląd tylko po to, by rozprostować kości albo uzupełnić zapas papierowych ręczników i papieru toaletowego.

To przywiodło mi na myśl Caleba. Co nazywał teraz swoim domem? Dlaczego się ukrywał albo przed czym uciekał? Jakim cudem nikt nie wiedział, gdzie jest? Jak długo uda mu się przetrwać bez niczyjej pomocy?

Nie byłam pewna, dlaczego jego rodzice nie przeczesują całego stanu w poszukiwaniu syna, ale skoro oni tego nie robili, postanowiłam, że sama się tym zajmę. Muszę. Nie tylko dlatego, że był jedyną osobą, która zna odpowiedzi na dręczące mnie pytania, ale też dlatego, że Justine nie chciałaby, żeby włóczył się po okolicy, nieszczęśliwy i samotny. Ale najpierw... śniadanie.

- Bardzo proszę, moja droga. - Rozmyślenia przerwał mi głos Louisa, który wkroczył na taras z tacą pełną talerzy i misek.

- Francuska grzanka z powidłami z owoców leśnych, owsianka z miodem, jajka po florentyńsku, bekon z syropem klonowym i świeży arbuz w kostkach.

Podążałam wzrokiem za jego palcem, który wskazywał kolejno każdy wymieniany przysmak.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Po prostu rozkoszuj się smakiem. - Wyciągnął z górnej kieszeni fartucha wazonik ze stokrotką, postawił go na tacy i ruszył w stronę schodów. - Ach, i postaraj się trochę mniej hucznie bawić dzisiejszego wieczoru.

Mimo najszczerzej chęci, by jeść powoli i delektować się każdym kęsem, a tym samym opóźnić moment wyjścia, spałaszowałam śniadanie, zanim zdałam sobie sprawę, że głód zaczął ustępować. Dopiero kiedy przy użyciu palca wypolerowałam talerzyk po bekonie, na którego dnie zebrały się resztki syropu klonowego, uświadomiłam sobie, że nie jestem już na tarasie sama. Na krzesłach zwróconych na północną stronę przystani siedziała trójka chłopaków w czarnych spodniach i białych

koszulkach, popijała kawę i rozmawiała.

- Mówię ci - odezwał się blondyn siedzący najdalej. - Tak samo było z tamtą dziewczyną.

Tamtą dziewczyną. Mogli rozmawiać o kimkolwiek, lecz ani przez chwilę nie miałam wątpliwości, kto był tematem ich sporu. Domyśliłam się po samym tonie i sposobie, w jaki wypowiedział słowa „tamtą dziewczyną” - jakby nie była prawdziwą osobą, tylko jakąś anonimową postacią, której imię wciąż bezmyślnie przywoływano w wieczornych wiadomościach. Justine.

- No co ty - powiedział chłopak siedzący pośrodku. - To zupełnie inna sytuacja.

- Niby dlaczego? - zażądał wyjaśnienia trzeci. - Czym się różni od tamtej?

- Po pierwsze on był starszym, bogatym typem, a ona była młodą piękną w typie modelki.

Utkwiłam wzrok w resztkę syropu klonowego, czując, jak twarz mi czerwienieje. On był. Ona była.

- Po drugie jego śmierć nastąpiła w wyniku uduszenia, a jej skutek tępego urazu czaszki.

Przełknęłam ślinę. Tępy uraz czaszki był według lekarza sądowego oficjalną przyczyną śmierci Justine.

- Ale przede wszystkim faceta wyrzuciło na brzeg po tym, jak jego łódź wywróciły fale, a ona sama skoczyła z urwiska. Wstrzymałam oddech, czekając, aż któryś z pozostałych zaprzeczy. Wcale nie skoczyła, błagałam w duchu, by któryś zaoponował. Ześlizgnęła się albo została zepchnięta. Dziewczyny takie jak ona nie skaczą z urwiska ot tak, bez powodu.

- No i? - dopytywał się trzeci chłopak.

- No i, stary, najwyraźniej wypieś za mało kawy. Z nim to był wypadek. A ona popełniła samobójstwo.

Upuściłam widelec, nawet nie zdając sobie sprawy, że miałam go w dłoni.

Zadzwieczał hałaśliwie o porcelanę.

- Przepraszam - mruknęłam, gdy wszyscy trzej spojrzeli na mnie z zaciekawieniem.

- W każdym razie - podjął gość siedzący pośrodku, kiedy znowu zwrócili twarze w

stronę wody - tak jak mówiłem, to zupełnie inna bajka.

- Nie kupuję tego - stwierdził blondyn. - Oboje giną w wodzie, ciała zostają wyrzucone na brzeg w odległości nie większej niż kilometr od siebie, a zwłoki znajdują w odstępie ośmiu dni? Moim zdaniem to trochę za dużo jak na zbieg okoliczności.

- Więc co? Myślisz, że jakiś psychopatyczny rybak używa ludzi jako przynęty? Testuje nowe metody wędkowania w ramach przygotowań do dorocznego turnieju połowów rekina w Winter Harbor?

Blondyn potrząsnął głową i spojrzał na przystań.

- No nie wiem. Ale to strasznie poplątane, a zresztą przez całe to zamieszanie nie mogę pływać na desce, a to mi się wcale nie podoba.

- Trochę ciężko balansować, kiedy jest się równie sztywnym jak deska, na której się stoi - zakpił gość pośrodku.

Na szczęście właśnie skończyła im się przerwa i ruszyli na dół. Nie wiedziałam, co mogłoby wymknąć mi się z ust, gdyby nie przestali gadać, ale palące uczucie w dolnej części brzucha bez wątplenia wskazywało, że nie byłoby to nic miłego. Kiedy ich głosy całkiem już ucichły, wstałam i przeszłam przez taras. Podniosłam egzemplarz tygodnika „Winter Harbor Herald”, który zostawili na podłodze, i opadłam na jedno z krzeseł. „Paul Carsons, lat 45. Znaleziony martwy na wyspie Mercury: 23. pozycja na liście największych światowych spółek rankingu „Forbes 500”. Pozostawił żonę i trzy córki”. Przeleciałam wzrokiem po artykule. Paul Carsons wzbogacił się dzięki odkryciu naturalnego środka będącego alternatywą dla kofeiny, powszechnie stosowanego w napojach energetycznych. Jego łódź o nazwie „Nieustępliwość”, która - jak oceniłam na podstawie zdjęcia wraku - dawniej przypominała jeden z jachtów podrygujących na wodzie w odległym krańcu portu, wywróciła się do góry dnem. Co najciekawsze, przynajmniej z mojego punktu widzenia, jego ciało odnaleziono w niewielkiej odległości od ciała Justine. A w artykule komendant Green nazwał warunki pogodowe tak ekstremalnymi, że „nawet sam Tryton nie zdołałby utrzymać się na powierzchni”. Obróciłam stronę, a mój wzrok padł na podobiznę Paula Car-sonsa, jego żony i trzech

córek siedzących na kocu na plaży. U dołu widniał podpis: „Carsons i jego rodzina w ubiegłym roku stali się właścicielami domku letniskowego w Winter Harbor. To miało być ich pierwsze lato w mieście”. Mój wzrok zawiesił się na słowach „miało być”, aż pacnęła na nie kropla, rozmazując czarny druk. Pomyślałam, że może wreszcie pod wpływem tej kolejnej tragedii coś we mnie pękło, wyciskając z oczu łzy, które powinny były popłynąć już kilka dni wcześniej, jednak po chwili pojęłam, że to zmieniający się wiatr przyniósł morską wodę. Przez siatkę w oknach wdarła się łagodna mgiełka, skrapiając gazetę, moje nieosłonięte ramiona i nogi następną serią kropel.

Niebo poszarzało. Woda w porcie, która do tej pory była gładka i równa niczym tafla lodu, teraz lekko się wzburzyła. Opuszczono już żagle na jachtach, a łódki rybackie zacumowano.

- Cześć, Vanesso!

- Cześć - odparłam, złożąwszy gazetę w chwili, gdy Paige znalazła się u szczytu schodów. - I jak poszło?

- Lepiej nie pytaj - odparła, przewracając srebrzystoblękitnymi oczami. - A czy to moja wina, że Charlie wpadł na mnie jak buldożer i wytrącił mi z rąk cały pojemnik umytych talerzy?

- Nie twoja? - zapytałam.

- Może i stał tam już wcześniej, ale tak czy inaczej, on jest przecież ode mnie dwa razy większy! - Uśmiechnęła się szeroko

i opadła na krzesło stojące obok mojego. - I jak smakowało pierwsze śniadanko „U Betty”?

- Niebo w gębie - odparłam. - Owacje na stojąco dla szefa kuchni i jego zgranej załogi.

- Miło mi to słyszeć. Wiesz, nie mogę za bardzo rozmawiać; czasem mi się zdaje, że Zara założyła mi podsłuch... Chciałam tylko powiedzieć cześć i na razie.

- Dzięki. Miło było cię poznać.

- I nawzajem. - Wstała z krzesła.

Obie wzdygnęłyśmy się na grzmot pioruna, który rozległ się ni stąd, ni zowąd,

wprawiając w drganie podłogę pod naszymi stopami.

- Ta pogoda wcale mi się nie podoba - jęknęła, spoglądając w stronę portu. - Wszyscy będą teraz chcieli się skryć przed deszczem i przeczekać, przed wejściem zrobi się kolejka; będą błagać, żeby ich wpuścić. Za kilka minut zapanuje tu kompletny chaos. Zacznij odliczanie.

- Mogę ci jakoś pomóc? — zaproponowałam, wstając szybko. Spojrzała na mnie, a jej oczy połyskiwały na tle ciemniejącego nieba.

- Na przykład powstrzymując rozszalały tłum od rozbijania okien i szabrowania? Uśmiechnęłam się z nadzieją, że nie zorientuje się, jak głupio czułam się, zadając to prawdopodobnie idiotycznie brzmiące pytanie. - Na przykład sprzątając ze stolików. Albo zmywając naczynia. Albo przydając się w jakikolwiek inny sposób.

Najwidoczniej rozważała moją propozycję.

- Pracowałaś już kiedyś jako pomocnica kelnera?

- Nie... ale zjadłam całe śniadanie „U Betty”, nie tłukąc ani jednego naczynia.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Przynajmniej jedna z nas nadaje się do tej roboty. Wiedziałam, że później, kiedy burza minie i zajdzie słońce, kiedy zostanę sama i będę za bardzo wystraszona, by zamknąć oczy, pozostanie mi mnóstwo wolnego czasu - nic innego poza wolnym czasem - na myślenie o Justine i Paulu Carsonsie, i o tym, czy śmierć jednego miała cokolwiek wspólnego ze śmiercią drugiego. A ponieważ kilka godzin pracy absorbującej myśli było prawdopodobnie jedyną formą relaksu, na jaką mogłam liczyć, postanowiłam skorzystać z nadarzającej się okazji.

5

Vanesso... moja Yanesso. .. wyjdź, pokaż się, gdziekolwiek się schowałaś...

Poderwałam się nagle, siadając na kanapie. Serce łomotało mi tak szybko i tak głośno, że minęło kilka sekund, zanim dotarł do mnie śpiew Teletubisiów z telewizora i głos prezentera dobiegający z kuchennego radia. Omiotłam wzrokiem pokój i zarejestrowałam wąskie smugi światła sączące się spomiędzy zaciągniętych rolet, plastikowy pojemnik z przywiedłą sałatą na stoliku i zegar w kształcie kaczkę na półce nad kominkiem wskazujący 7.20.

Tatko miał rację. Po uzyskaniu błogosławieństwa od Louisa i spędzeniu dziesięciu godzin na taszczeniu z miejsca na miejsce koszy z naczyniami byłam tak wykończona, że gdy dotarłam do domu, mój organizm wreszcie się poddał. Podniosłam z podłogi pilota do telewizora, wyłączyłam program dla dzieci i opadłam z powrotem na poduszki. Teraz widziałam Justine za każdym razem, kiedy zamykałam oczy. Ale w przekleństwie do wizji na jawie, kiedy każde mrugnięcie powiek ukazywało mi jej promienny uśmiech i niebieskie oczy, Justine przychodząca we śnie wcale nie wyglądała tak, jak pragnęłabym ją zapamiętać. Była za chuda, zbyt wątła. Jej skóra miała szarawy odcień, nie zaś piękną barwę kości słoniowej, a do tego znaczyły ją żółtawe i fioletowe cętki. Ciemne włosy opadały na plecy grubymi splątanymi warkoczami, a niebieskie oczy połyskiwały bielą. A kiedy mnie wołała, moją czaszkę przeszywał nieznośny ból. Sięgnęłam po bezprzewodowy telefon leżący na stoliku, chcąc za wszelką cenę zastąpić głos Justine czymkolwiek innym. W chwili gdy wystukiwałam kierunkowy do Bostonu, z kuchni dobiegł łomot.

To tylko dziurawy tłumik w przejeżdżającym samochodzie... albo motorówka z kaszlącym silnikiem na jeziorze... albo pan Carmichael wrócił z Vermont i pracuje w ogródku...

- Koniec spania - stwierdziłam, kiedy łomot rozległ się ponownie, i zdałam sobie sprawę, że to nic innego jak pukanie do kuchennych drzwi. Nie mając pojęcia, kto mógłby przyjść z wizytą tak wcześnie rano, dokończyłam wystukiwanie numeru do domu i dopiero wtedy poszłam otworzyć.

- Cześć, tato - przywitałam się głośno, gdy podniósł słuchawkę.

- Vanessa?

- Tak, to ja. - Przemaszerowałam przez kuchnię, zwracając uwagę na nożyczki wystające z ceramicznego dzbanka obok lodówki, gaśnicę przy kuchence, drewniany stojak na noże na kuchennym blacie. - Spało się świetnie. Właśnie kroję ser na omlet jednym z twoich superostrzych noży „Ginsu”.

- Jakich znowu noży? I po co tak krzyczysz? U ciebie wszystko gra?

- Jesteś już prawie na miejscu, tak? Wjeżdżasz w Burton Drive?

- zablefowałam, przystając pół metra od drzwi. Patrząc na profil widoczny przez cienką zasłonę na szybie drzwi wejściowych prowadzących prosto do kuchni, uznałam, że ktokolwiek za nimi stał, z pewnością był mężczyzną.

- Vanesso, jeśli próbujesz mi coś zakomunikować...

- Zaczekaj chwilę, tato - szepnęłam, chwytając za gałkę u drzwi.

- Simon? - Potencjalny włamywacz stał na ganku w dżinsach i rudym polarze z logo uczelni w Bates.

- Cześć. Przepraszam, wiem, że jest wcześnie...

- Ty i Caleb zawsze korzystacie z drzwi w tylnej części domu.

- Pukałem do tamtych drzwi - zapewnił. - I do frontowych. I do bocznych. Ale nie otwierałaś.

-Aha.

-Już miałem zamiar wyłamywać drzwi do kuchni, bo nie otwierałaś. A światło paliło się przez całą noc i na zewnątrz nic nie dało się usłyszeć przez ten hałas w środku. Pomyślałem, że coś się stało.

- Aha - powiedziałałam znowu, czując się idiotycznie. - Przepraszam... ale spałam.

- Spałaś? To wspaniale! - ryknął głos tatka w słuchawce. Zapomniałam, że mam go na linii.

-Tato, przepraszam... tak, wreszcie udało mi się zasnąć. — Odwróciłam się z nadzieją, że Simon nie zauważył czerwonej plamy, która z czoła powędrowała mi na policzki. - Właśnie wpadł do mnie Simon. Chcemy coś przekąsić. Zadzwoń później, OK?

- Dobrze się czujesz? - zapytał Simon, kiedy się rozłączyłam i odwróciłam do niego.

- Tak, dziękuję. - Otworzyłam szerzej drzwi i odstałam na bok. - Wejdiesz?

-Szczerze mówiąc... - Zerknął za siebie, w stronę swojego domu. - Przyszedłem zapytać, czy ty nie chciałabyś wyjść.

- Wyjść? Ale dokąd? Zacisnął szczęki.

- Poszukać Caleba.

Serce załomotało mi w piersi. Planowałam wrócić do restauracji „U Betty”, bo Louis

zapewniał, że jeśli tylko będę miała ochotę popracować, dodatkowe ręce do pracy zawsze będą mile widziane... jednak znalezienie Caleba było ważniejsze.

- Daj mi pięć minut.

Wszedł do środka, a ja pobiegłam do łazienki wziąć szybki prysznic. Nie wiedziałam, dlaczego właśnie dzisiaj postanowił szukać Caleba, ale niezależnie od powodu byłam zadowolona, że chce mnie w to zaangażować. Cieszyłam się nie tylko dlatego, że będę miała towarzystwo - wiedziałam, że poszukiwania prowadzone przez Simona z pewnością zajmą o wiele mniej czasu niż prowadzone w pojedynkę; jako brat Caleba musiał wiedzieć lepiej ode mnie, gdzie go szukać. Moja piękna Vanessa..,

Kiedy skończyłam się ubierać i suszyłam włosy, usłyszałam głos Justine. Lustro nad umywalką było zaparowane po kąpieli, ale za plecami dostrzegłam błysk, który odbił się w zamglonej tafli

- przywiódł mi na myśl płonąca zapałkę, skrzącą się srebrzystym zamiast złotym blaskiem.

Domek nad jeziorem zbudowano siedemdziesiąt pięć lat temu. Nie było tu nic błyszczącego, a już na pewno nie w łazience, która nie doświadczyła remontu od czasu kupna nieruchomości pod koniec lat osiemdziesiątych. Kafle na ścianach i podłodze miały odcień nasyconej zieleni, szafki zrobione były z ciemnego drewna i miały czarne uchwyty. Wszystko, co w typowej współczesnej łazience zwykle jest błyszczące, jak armatura czy elementy oświetlenia, tutaj było matowobrazowe.

Jedną ręką wytarłam parę z lustra.

- Zaczynasz świrować - powiedziałam do swojego odbicia.

- Jeszcze jedna halucynacja, a będzie cię można uznać za formalnie stukniętą.

Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy...

Zamarłam. W lustrze nad prawym ramieniem dostrzegłam kolejny błysk. Potem jeszcze jeden pomiędzy lewym łokciem a tułowiem.

Możesz szukać... ale żeby go odnaleźć, on sam musi tego chcieć...

Jej głos otaczał mnie niczym chłodna poranna mgła unosząca się nad jeziorem, otulał moje ramiona i nogi cienką, szarą powłoką, którą najchętniej natychmiast bym z siebie spłukała. Zamknęłam oczy, chcąc uchronić się przed oparem, jej głosem i

senną wizją, która wciąż była tak wyraźna - żółte i fioletowe cętki pokrywające skórę, włosy opadające na plecy niczym kępy ciemnych wodorostów.

-Już idę! - zawołałam do Simona, podejmując żalostną próbę odstraszenia od siebie czegoś, co pozwalało mi zobaczyć i usłyszeć rzeczy, które nie istnieją.

Doskakując do drzwi, zderzyłam się z wieszakiem na ręczniki. W wyniku kolizji upuściłam na podłogę szczotkę do włosów, którą nieświadomie wciąż zaciskałam w dłoni, jednak nie zadałam sobie trudu, by otworzyć oczy i przekonać się, gdzie upadła. Zostawiłam ją tam, gdzie była, i po omacku zaczęłam badać przestrzeń przed sobą, aż wreszcie dłonią natrafiłam na gałkę u drzwi.

Gdy tylko stopami dotknęłam chodnika na korytarzu, natychmiast otworzyłam oczy.

Biegając w stronę kuchni, czułam się

jak zawsze wtedy, kiedy - podczas pieszych wycieczek po lesie w większym gronie - przypadkiem przybywam na miejsce ostatnia, a jednocześnie nie mogę oprzeć się wrażeniu, jakbym wcale ostatnia nie była.

- Wszystko w porządku? - zapytał Simon, kiedy wpadłam do kuchni.

- Tak, w porządku - odparłam, próbując się uśmiechnąć. - Po prostu jestem podekscytowana, że zaczynamy. - Z kuchennego blatu zabrałam swoją torebkę i ruszyłam do wyjścia, nie dając mu okazji, by powiedział coś więcej. Gdy zorientowałam się, że nie wyszedł od razu za mną, zajrzałam do środka.

- Nie jestem pewien, kiedy wrócimy, więc włączę telewizor -oznajmił, przechodząc z kuchni do salonu.

Patrzyłam, jak zeskakuje po schodkach. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby przed wyjściem wyłączyć radio i pogasić światła. A on, zamiast wyłączyć je za mnie

- jak zrobiłby to pewnie każdy za kogoś, kto najwyraźniej intensywnie rozmyśla o czymś innym - z powrotem włączył telewizor.

- To dokąd idziemy? - zapytałam, zamykając drzwi na klucz

1 idąc za nim w pośpiechu. - Od czego zaczniemy?

Gdy zbliżaliśmy się do subaru, przyspieszył kroku, a potem wyprzedził mnie, by otworzyć drzwi od strony pasażera.

- Od przystani.

Kiedy zatrzasnął drzwi i obszedł samochód, rozejrzałam się dokoła, jakbym znalazła się w nim po raz pierwszy. Simon kupił to subaru, gdy tylko zdał egzamin na prawo jazdy, i przez dwa ostatnie wakacyjne sezony bawił się w szofera naszej czwórki, wożąc nas do kina, do lodziarni „U Eddiego”, na minigolfa. Jednak teraz po raz pierwszy byliśmy tylko we dwoje. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, kiedy siedząc z przodu, nie poczułam, jak samochód kiwa się, gdy Justine i Caleb gramolą się na tylne siedzenie. No i oczywiście świadomość, że siedzę w tym aucie po raz pierwszy od czasu, kiedy nasza czwórka była jeszcze razem, też była dziwna.

- Głodna? - zapytał, osuwając się na fotel kierowcy i przekręcając kluczyk w stacyjce. - Kupiłem coś na ząb.

Już chciałam odpowiedzieć, że nie mam ochoty na śniadanie, kiedy na podstawie między przednimi fotelami zauważyłam dwa plastikowe kubki.

- Arbuz i gujawa - oznajmił, po czym skinieniem głowy wskazał na papierową torbę ze smażalni „Portowe Frykasy” u moich stóp. -A do tego kajzerka z jajecznicą, kiełbasą i żółtym serem. Podniosłam torbę, zaskoczona, że wie, co najchętniej zamówiłabym na śniadanie. We czwórkę nigdy nie jedliśmy wspólnie pierwszego posiłku, a to znaczyło, że musiałam kiedyś o tym wspomnieć... a on zapamiętał. Byłam do tego stopnia wzruszona jego troską i gestem, że odwijając kanapkę, nie potrafiłam na niego spojrzeć.

- Dziękuję.

Jedzenie nie tylko zaspokoilo nasz głód, ale pozwoliło nam w drodze do miasta zająć się czymś innym zamiast rozmową. Nie chodziło o to, że nie chciałam z Simonem rozmawiać; po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć. Poczułam się, jakbyśmy byli parą przeniesioną w czasie o kilkadziesiąt lat wprzód i doświadczali skutków syndromu opuszczonego gniazda. Bo o czym właściwie po tylu latach spędzonych razem rozmawiają rodzice jeśli nie o dzieciach, które opuściły rodzinny dom?

- Wiesz co? - odezwał się wreszcie Simon, kiedy dwadzieścia minut później zajechaliśmy przed przystań Winter Harbor. -Mam do ciebie ogromną prośbę. Dotąd patrzyłam przez boczną szybę, ale gdy się odezwał, odwróciłam się w jego

stronę.

- Nie wiem, gdzie się do tej pory podziewał Caleb ani co robił. Razem z rodzicami chcieliśmy dać mu trochę czasu i swobody, żeby uporał się z sytuacją na własny sposób, ale sądziliśmy, że już teraz wróci. W zależności od tego, gdzie był, jeśli go znajdziemy. ...

-Kiedy go znajdziemy - poprawiłam. Wypuścił z płuc odrobinę powietrza.

- ...kiedy go znajdziemy, nie wiem, w jakim będzie stanie. Każdy inaczej reaguje na tak traumatyczne wydarzenia, a biorąc pod uwagę to, jak Caleb zniknął... po prostu nie wiem, jaki będzie po tak długim czasie samotności.

-W porządku...

Zerknął przez przednią szybę na dwóch przechodzących rybaków taszczących wędki i kołowrotki.

- Czy mogłabyś o nic go nie pytać? - Znów odwrócił się w moją stronę i po oczach poznałam, jak bardzo mu przykro. - Przynajmniej nie od razu. Wiem, że on ostatni widział Justine, że będziesz miała do niego mnóstwo pytań na temat tamtej nocy. Opuściłam wzrok i zajęłam się obracaniem słomki w pustym kubku po koktajlu. Simon nie wiedział, że to, o co chciałam zapytać Caleba, znacznie wykraczało poza wydarzenia tamtej nocy i obejmowało tygodnie, a nawet miesiące, które do niej prowadziły. Nie miał pojęcia, że zamierzam wyciągnąć od Caleba wszystko, co wie o ostatnich dwóch latach życia Justine, może nawet wcześniejszych, a co - jak naiwnie sądziłam - nie było dla mnie tajemnicą.

- Wiem, że wyzna ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć

- kontynuował Simon - ale będzie lepiej, jeśli pozwolimy mu funkcjonować w jego własnym tempie. Twój widok przypomni mu o niej... a ja nie chcę, żeby dalej uciekał. Skinęłam głową.

- Oczywiście. Nie będę o nic pytać, dopóki nie dasz mi zielonego światła.

Odetchnął z ulgą.

- Dzięki.

Wyszliśmy z samochodu, a ja z radością pozwoliłam mu przejąć pełną kontrolę nad sytuacją. Przyjście na przystań było dobrym pomysłem. Nie sądzę, by którekolwiek z

nas spodziewało się znaleźć tu Caleba teraz, ale było to miejsce, gdzie pracował jako pomocnik portowy, odkąd skończył trzynaście lat i wreszcie stał się wystarczająco silny, by zacząć podnosić wąż z pistoletem do tankowania paliwa i pomagać przy parkowaniu łodzi. Od tamtej pory prawie każdego dnia podczas wakacji wysłuchiwalismy niekończących się opowieści o życiu na przystani; wiedzieliśmy też, że kilku współpracowników Caleba to jego najlepsi kumple. Któryś z nich musiał coś wiedzieć o tym, dokąd się udał. Podążyłam za Simonem do biura mieszczącego się w baraku obwieszonym kolorowymi kołami ratunkowymi, co przywodziło na myśl choinkę przystrojoną bombkami.

- No, no, patrzcie, co też się dzisiaj złapało na haczyk! Chwileczkę. .. czy mnie moje stare oczy nie mylą? To ty czy nie ty, chłopcze? - Kapitan Monty zdjął okulary, przetarł je rogiem kamizelki roboczej, po czym wsunął z powrotem na nos. - Wydajesz się trochę za krzepki jak na starszego syna Carmichaelów, ale tego uśmiechu nie mógłbym zapomnieć.

- Nic się panu nie przywidziało - zawołał Simon, ściskając rękę kapitana Montyego na powitanie. - W tym roku dołączyłem do uniwersyteckiej załogi wioślarskiej.

Okazuje się, że

wiosłowanie przez trzy godziny dziennie robi dobrze nie tylko na karnację.

To wszystko wyjaśniało.

- Rzeczywiście, skoro już o tym mowa, opaleniznę masz niczego sobie. - Kapitan Monty skrzyżował ramiona na blacie i pochylił się do przodu. - A kogo my tu mamy? No, no, ale ślicznotka. Nieznacznie potrząsnęłam głową, kiedy Simon zerknął na mnie. W ciągu lat kilka razy spotkałam kapitana Montyego, ale najwidoczniej nie wywarłam dotychczas na nim zbytniego wrażenia. W każdym razie teraz nie była pora, by dać się zapamiętać.

- To Vanessa. Koleżanka ze szkoły.

- Inteligencja i uroda w jednym, co? Zawsze miałaś łeb na karku, chłopie. - Kapitan Monty poruszył brwiami w sposób, który normalnie by mnie zirytował, ale tym razem tak się nie stało, bo to był Monty.

- Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że będzie pan mógł nam pomóc - oznajmił

Simon.

- Mówisz i masz. Tylko nie licz, że odstąpię ci wspaniałą „Annę Barbarę”. Jest tylko moja.

Spojrzałam przez okno za plecami kapitana Monty'ego. „Anna Barbara”, wiekowa łódź rybacka, która od trzydziestu lat zajmowała w porcie ten sam dok, niezmiennie kołysała się na wodzie w pobliżu budynku biura.

- Ma się rozumieć. - Simon uśmiechnął się i zerknął na łódkę. - Panie kapitanie, zastanawialiśmy się, czy ma pan jakieś wieści o Calebie.

Białe krzaczaste brwi kapitana Monty'ego opadły. Spojrzał na Simona, jakby nie mógł uwierzyć, że ten pyta go o coś podobnego, potem na mnie, jakbym to ja miała z tym coś wspólnego. Wysunął zza ucha spoczywający tam ołówek, przesunął po blacie

żółknący stosik kartek, wyrównując go przed sobą, i obrzucił Simona badawczym spojrzeniem.

-Wiem, że nie pokazywał się przez ostatni tydzień albo dłużej... to na pewno nie służy interesom... i przykro mi, że zostawił pana na łodzi na samym początku sezonu. Ale czy nie wspomniał przypadkiem, dokąd się wybiera? Kapitan Monty pochylił się niżej nad leżącymi na blacie karteluzkami i coś sobie zanotował.

Wyglądało to tak, jakby wcale nie usłyszał pytania albo zamierzał nas ignorować tak długo, dopóki się nie poddamy i sobie nie pójdziemy, jednak po chwili zaczął chichotać. Początkowo cichutko, pod nosem, potem coraz głośniejsze, aż wreszcie spomiędzy splekanych ust wystrzeliła salwa śmiechu, a ramiona zakołysały się z uciechy. Simon uśmiechnął się. -Czyżby coś mnie ominęło?

- Przepraszam, naprawdę. Nie miałem zamiaru się śmiać. -Kapitan Monty westchnął przeciągle. - Chodzi o to, że twój braciszek to chłopak nie z tej ziemi. Daję mu pracę, przyzwoite wynagrodzenie, darmowe paliwo, tyle kalmarów, ile zdoła wepchnąć do sieci, a on jak gdyby nigdy nic zabiera tyłek w troki, i tyle go widzieli. Poczułem się jak ostatni głupiec, kiedy tak ni stąd, ni zowąd, nie mówiąc nikomu ani słowa, przestał przychodzić. Ale najwyraźniej nie jestem ostatnim, który się tego dowiaduje. - To znaczy czego? - zapytał Simon.

Kapitan Monty spojrział na Simona znad okularów.

- Że rzucił robotę. Że zrobił to dla lepszej forsy, na którą u mnie nie miałby co liczyć pewnie i za dziesięć lat, no i dla paru pierwszorzędnych koszulek polo. - Zmarszczył czoło. - To, że przede mną się nie wypowiedział, to jedno, ale żeby nie pisać słówkiem własnemu bratu? Może to znaczy ni mniej, ni więcej, że podjął taką decyzję i, niestety, trafił jak kulą w płot.

- Panie kapitanie, przepraszam, ale... chce pan powiedzieć, że Caleb rzucił pracę? Dla dodatkowej forsy?

- I paru bajeranckich koszulek - dodał. - Jeśli chcesz, też możesz sobie taką sprawić. Podobno sprzedają je w sklepiku z upominkami. - Odwrócił się i sięgnął na półkę nad metalowym biurkiem po żółtą skrzynkę z narzędziami. - W całej tej „Latarni” wszystko mają luksusowe: i sklepik z upominkami, i restaurację, i manikiury, i masaże, i co tam jeszcze.

- Chwileczkę, to znaczy, że Caleb zrezygnował z pracy u pana, żeby zatrudnić się w Portowym Centrum Odnowy Biologicznej „Latarnia Morska”? - zapytałam. Centrum zostało otwarte w ubiegłym sezonie i szybko zyskało reputację najbardziej ekskluzywnej i najbardziej kosztownej inwestycji w promieniu setek kilometrów od Winter Harbor. Miejscowi sprzeciwiali się jego powstaniu, ale budowę przepchnęło kilku wpływowych urlopowiczów, którym udało się uzyskać zgodę głównie dzięki argumentowi, że projekt pozwoli na utworzenie dziesiątek nowych miejsc pracy.

- To jakiś absurd - obruszył się Simon. - On uwielbiał pracę w porcie. Odliczał dni, odkąd po zakończeniu sezonu, po październikowym Dniu Kolumba, zabezpieczaliście łodzie na zimę, aż do końca maja, kiedy po Dniu Pamięci o Poległych znów szykowaliście je do nowego sezonu.

Kapitan Monty przeszukiwał przegródki w skrzynce na narzędzia.

- Był dla mnie doskonałą pomocą. Twój brat to dobry chłopak, solidny pracownik. Ale widzisz, wszystko się zmienia. Chłopcy wyrastają na mężczyzn. Zrobił to, co uważał za słuszne. Na

pewno miał swoje powody i nie winię go za to. Szkoda tylko, że nie przyszedł z tym do mnie osobiście.

- Skoro nie dowiedział się pan tego od Caleba... to od kogo, jeśli wolno spytać?

Kapitan Monty podniósł na Simona wzrok.

- Wiesz, kto to Carsons? Ten gość, którego zwłoki dopiero co wyrzuciło na brzeg wyspy Mercury?

- Tak - Simon i ja odparliśmy równocześnie. Kapitan Monty kiwnął głową.

- To on mi powiedział. Był jednym z głównych inwestorów tego centrum odnowy. Złożył mi wizytę pod koniec lata ubiegłego roku, trzy dni po tym, jak Caleb nie zjawił się w pracy, nawet nie dzwoniąc. Przyszedł, żeby się przedstawić i podziękować za wspaniałego chłopca portowego, którego rzekomo mu podesłałem na zasadzie prezentu powitalnego od miasta. Możecie uwierzyć? - westchnął rozdrażniony. - W każdym razie Caleb najwyraźniej tak im się przedstawił. Chciał, żeby tak o nim myśleli. Więc... postanowiłem nie psuć mu planów.

- Przykro mi. Wstrzymałam oddech.

- Carsons przyszedł do pana podziękować za przysłanie Caleba pod koniec ubiegłego lata?

- Dwudziestego sierpnia - uściślił kapitan Monty. - W dniu turnieju połowów rekina.

Dobrze to pamiętam, bo twój brat zawsze lubił mierzyć złowione sztuki.

Simon spoglądał na kapitana Monty'ego wyczekująco, jakby chciał usłyszeć słowa „ale cię nabrałem”. Ale nic podobnego z ust kapitana nie padło. Ja natomiast doskonale wiedziałam, co myśli Simon: Jak to możliwe? Jak to możliwe, że o niczym nie wiedziałem? Jak to możliwe, że Caleb nic mi nie powiedział? Jak to możliwe, że upłynął cały rok, a nikt mnie na to nie naprowadził?

Tego rodzaju pytania były mi aż za dobrze znane. Kapitan Monty zmierzył spojrzeniem Simona.

- Wszystko w porządku? To znaczy pomijając fakt, że nie miałeś pojęcia, co twój młodszy braciszek wyrabiał przez ostatni rok?

Opuściłam wzrok. Wiedziałam, że teraz Simon pewnie się zastanawia, czy Caleb tak naprawdę zaginął, czy może po prostu ulotnił się, żeby zająć się czymś, o czym nie pofatygował się powiedzieć nikomu.

- W porządku - zapewnił Simon. - To chyba jedynie małe niedomówienie.

- Zdarza się najlepszym. Zaczekaj tylko, aż sprawa z tą piękną stanie się poważna, a będziesz miał same niedomówienia. Uśmiechnęłam się uprzejmie, gdy puścił do mnie oko.

- Trzymajcie się ciepło, dzieciaki - zawołał na do widzenia kapitan Monty, kiedy wychodziliśmy z biura. - I uważajcie na rekiny!

Słyszając ostrzeżenie kapitana, znieruchomiałam.

- Rekiny?

- Tego lata nie próżnują - wyjaśnił. - Po plażach wała się rybie truchło, a kilku wioślarzy już zgłosiło, że widziało parę okazów. Niektórzy nawet myślą, że śmierć Carsons'a to ich robota; jego ciało nie było bardzo zmasakrowane, ale ludzie gadają, że rekin mógł go wywlec z łodzi i z powodu zbyt silnego prądu zwolnić uścisk szczęk. A jeśli Carsons znalazł się dość głęboko pod wodą, przy takim sztormie nie był w stanie dopłynąć do brzegu.

Kiedy opuściliśmy budynek i ruszaliśmy przez parking, potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się głuchego dzwonienia w uszach. Doszliśmy do subaru i wtedy zdołałam stłumić je na tyle, by móc skoncentrować się na tym, co w tej chwili było istotne.

- Nic z tego nie rozumiem - wyznał Simon, gdy znaleźliśmy się w samochodzie. - Dla Caleba to nie była jakaś pierwsza lepsza wakacyjna praca. Nigdy nie pracował w porcie dla pieniędzy. Gdyby o to właśnie chodziło, zatrudniłby się w którymś z hoteli jako parkingowy albo w restauracji jako pomocnik kelnera.

- Domyślasz się może, dlaczego ci o tym nie wspomniał? -zapytałam ostrożnie. Patrzył przez przednią szybę.

- Nie - odparł wreszcie. - Nie mam pojęcia. Widzisz, odkąd wyjechałem na uczelnię, nie mieliśmy za dużo okazji do rozmowy, ale jeśli rzucił pracę dwudziestego sierpnia, wtedy jeszcze byłem w domu. Dopiero tydzień później odbył się kurs wprowadzający. W ciągu tamtych kilku dni często jeździliśmy na ryby... nic nie mówił.

- Może nie chciał, żebyś się martwił. Albo żebyś myślał, że wpadł w jakieś kłopoty, tuż przed twoim wyjazdem na studia, kiedy miałeś wystarczająco dużo zmartwień na głowie.

- Może - odparł bez przekonania.

- Chcesz się jeszcze tutaj rozejrzeć? Popytać, czy może któryś z jego kolegów wie coś więcej?

Potrząsnął głową i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Widziałś „sanktuarium” w pokoju Caleba poświęcone Montyemu. Wszystkie te zdjęcia i arkusze. Skoro nie poinformował Monty'ego, z pewnością nie powiedział też nic nikomu innemu.

Po chwili dodałam dla uściślenia:

- Nikomu poza Carsonsem.

- Poza Carsonsem. - Ruszył, wzdychając ciężko. Piętnaście minut później zamiast zarobkowych łodzi rybackich i skromnych motorówek na horyzoncie pojawiły się dwupoziomowe jachty koloru kości słoniowej, które tak nieruchomo utrzymywały się na wodzie, jakby ustawiono je na lądzie. Kobiety opalały się na przestronnych pokładach, mężczyźni grali w karty, tylko dzieci nigdzie nie było widać - pewnie, zamiast spędzać czas na wolnym powietrzu, zaszyły się w nowoczesnych salach projekcyjnych, oglądając filmy i grając w gry wideo. Najwyraźniej goście Portowego Centrum Odnowy Biologicznej „Latarnia Morska” dołączali do klubu członkowskiego nie po to, by mieć gdzie cumować łodzie po dniu spędzonym na żeglowaniu, ale by móc to robić, zamiast wypływać na wodę.

- To nie jest Winter Harbor - stwierdził Simon, śledząc wzrokiem pracownika kurortu taszczącego skrzynkę wody „Perrier” po rampie prowadzącej na pokład łodzi o wdzięcznej nazwie „Ekspedycja”. - A to nie jest Caleb.

Starszy siwowłosy mężczyzna w spodenkach khaki i różowej koszulce polo powitał chłopaka na szczycie rampy, a mnie przed oczami stanęła korkowa tablica Justine. Zobaczyłam wniosek, notatki mamy na karteczkach samoprzylepnych, logo wyższych uczelni wypisane tłustym drukiem, jakby wszystko to pokrywało przednią szybę samochodu tuż przed moim nosem, a nie wisiało w pokoju siostry osiemset kilometrów stąd. Na samym środku wisiała kartka z nienapisanym nigdy esejem. Nie wiedziałam już, kim była Justine, więc nie mogłam próbować zgadnąć, kim nie była. Możesz szukać... ale żeby go odnaleźć, on sam musi tego chcieć...

-Justine nie wybierała się do Dartmouth - oznajmiłam spokojnym głosem. - Przez cały ostatni rok spała w bluzie z logo Dartmouth, nosiła breloczek na klucze z logo Dartmouth, a gdy padało, używała parasolki z logo Dartmouth. Zdołała przekonać wszystkich, którzy ją znali - włącznie ze mną - że właśnie tam się wybiera po zakończeniu wakacji.

Odwróciłam się do Simona, kiedy poczułam na sobie jego spojrzenie. - Ale kłamała. Nawet nie złożyła papierów. Dowiedziałam się tego sama, bo nic mi nie powiedziała. A teraz nie mogę jej nawet zapytać dlaczego.

Gdy tylko wyrzuciłam to z siebie, bardzo mi ulżyło. Jednak poczucie winy w związku z moją niewiedzą wcale mnie nie opuściło; w końcu powiedzenie prawdy na głos niczego nie rozwiązywało. Ale przynajmniej teraz był ktoś, kto mógł zrozumieć. Simon, nie spuszczać ze mnie wzroku, lekko oparł głowę o zagłówek. Wiedziałam, że on też czuje się winny. Nie chciałam, żeby tak było. Nie sądziłam też, że ma ku temu powody... a jednocześnie wiedziałam, że nie jest w stanie nic na to poradzić. - Znajdziemy go, Vanesso - zapewnił, wyciągając rękę nad pustymi kubkami po koktajlach i odsuwając mi z czoła kilka kosmyków włosów. - Wiele nie mogę ci obiecać, ale to akurat mogę.

6

- Kiedy wracasz do domu?

- Cześć, mamó - powiedziałam do słuchawki, przeklinając w myślach funkcję identyfikacji numeru.

- Twój ojciec mówi, że nie możesz spać. - Miała spięty głos; wyobraziłam ją sobie, jak siedzi w swoim typowym stroju, czyli czarnym żakiecie i czarnych długich spodniach, przy kuchennym stole przed otwartym laptopem.

- Mogę.

- Ojciec mówił co innego.

- Kiedy? - Nie było sensu się denerwować, ale nie czułam się w nastroju na pogadankę. - Kiedy ci to mówił?

- Dzisiaj rano.

- Jest siódma trzydzieści. Chcesz powiedzieć, że zanim wypadłaś z łóżka i

wskoczyłaś na bieżnię, tato zdążył obrócić się na drugi bok i wypowiedzieć „Vanessa nie może spać”?

Mama milczała przez chwilę, po czym stwierdziła:

- Vanesso, nie zamierzam przepraszać za to, że się martwię.

- No dobrze - odpuściłam. - To ja przepraszam.

- Dziękuję. No to teraz powiedz mi, jak się naprawdę czujesz?

- Nic mi nie jest, daję słowo.

- Zrobiłaś już to, co miałaś do zrobienia, cokolwiek to było? W ten weekend jest otwarcie wspaniałej wystawy w muzeum sztuk pięknych, a ja mam wejściówki na przyjęcie dla VIP-ów. Wernisaż odbędzie się w ogrodzie. Widziałam w „Saksie” cudowną sukienkę; wyglądałabyś w niej prześlicznie.

- Nie sądzę, że uda mi się wrócić do tej pory. Ale dzięki, że o mnie pomyślałaś.

- Kochanie, wiem, że to dla ciebie trudne, i wcale cię nie winię za to, że chcesz się ukryć. Myślisz, że sama codziennie nie zmuszam się, by wstać z łóżka?

Tak naprawdę chciałam się ukryć, ale wiedziałam, że lepiej nie mówić o tym na głos.

- Ale ludziom potrzebny jest kontakt z innymi. Zwłaszcza w takich chwilach. Dlatego wróciłam do pracy.

- Nie jestem tu sama - odparłam.

- Naprawdę? - Jej intonacja zdradzała zaskoczenie. - A z kim jesteś?

Zerknęłam na drzwi prowadzące na zaplecze restauracji „U Betty”. Uznałam, że lepiej będzie na razie nie wprowadzać jej w ten temat.

- Z Simonem. Spędza wakacje w domu.

- Vanesso - powiedziała, jednak tym razem w jej głosie dało się wyczuć takie przejęcie, jakbym wyznała, że Simon i ja wzięliśmy właśnie ślub z konieczności w Las Vegas. - Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Dlaczego nie? Przecież uwielbiasz Simona. To jemu zawsze kazaliście nas pilnować, kiedy ty, tata i państwo Carmichaelowie robiliście sobie wychodne.

- Tak, wiem... ale sytuacja się zmieniła.

- Sytuacja tak, ale nie Simon. - Zrobiłam pauzę. - On się o mnie troszczy. Myślałam, że to cię ucieszy.

- Ucieszyłoby mnie, gdybyś wróciła do domu. Przyjęcie w ogrodzie jest w sobotni wieczór. Może dzisiaj się odpręż, zastanów, a jutro rano do mnie zadzwoń, co? Nie zamierzałam zmieniać zdania, ale dla świętego spokoju przyznałam, że to dobry pomysł, i się rozłączyłam. Mama miała rację co do jednego: przebywanie wśród ludzi pomagało. To zostało potwierdzone, gdy zeszłej nocy wróciłam do pustego domku nad jeziorem. Wprawdzie przed wyjściem zostawiłam włączone światło, telewizor i radio, ale kiedy wróciłam tam po całym dniu spędzonym z Simonem, tylko boleśnie przypomniały mi, że znów jestem sama. Zastanawiałam się, czy nie zaprosić Simona na jakiś film - sięgnęłam nawet po telefon i wybrałam numer - ale ostatecznie zdecydowałam się tego nie robić. Już i tak byliśmy razem mnóstwo czasu, oboje mieliśmy za sobą ciężki dzień; na pewno potrzebował chwili wytchnienia. Dlatego właśnie już o siódmej trzydzieści następnego dnia rano pojechałam do restauracji „U Betty”.

- Tak szybko wróciłaś?

- Dzień dobry - przywitałam się, wysiadając z samochodu. Na schodach prowadzących na zaplecze kuchenne stał Louis i palił papierosa. Obok niego był Garrett i popijał kawę.

- Rybeńko - powiedział Louis, zaciągając się długo i powoli wypuszczając dym z płuc - nie znajdziesz nikogo, kto byłby większym zwolennikiem dobrej zabawy niż ja, ale lato dopiero się zaczęło. Mogłabyś dać sobie trochę na wstrzymanie.

- Może powinnaś rozejrzeć się za opiekunem? - zaproponował z uśmiechem Garrett. - Zwykle w ciągu dnia pracuję, więc nocą z przyjemnością zadbam o to, żebyś trzymała się z dala od kłopotów.

- Dzięki za propozycję - odparłam, ruszając w górę po schodach. - Ale nic mi nie będzie. Tamto śniadanie „U Betty” było nie tylko uzdrawiające, ale miało też działanie zapobiegawcze. Bardzo możliwe, że już nigdy w życiu mnie nie zemdle. Louis, trzymając papierosa między wargami, otworzył przede mną drzwi.

- Paige pracuje przy czyszczeniu sztućców. Na pewno nie pogardzi twoją pomocą.

- Kończę o siódmej! - zawołał za mną Garrett.

Wpadłam do środka i szybko znalazłam Paige. Stała nad wielkim czerwonym kubłem

na tyłach głównej sali jadalnej i wrzucała noże i widelce do oddzielnych pojemników.

- Przychodzisz drugi raz w ciągu trzech dni?

Obróciłam się, słysząc głos dobiegający z za moich pleców, i docisnęłam palce do skroni. Być może trochę się pospieszyłam, mówiąc, że śniadanie Louisa miało działanie zapobiegawcze. Bo tamten krótki atak migreny, który dopadł mnie dwa dni temu, kiedy po raz pierwszy wchodziłam do kuchni Betty, właśnie powrócił.

- Przecież w tym mieście jest dwadzieścia innych restauracji! Powieki miałam przymknięte z bólu, jednak bez trudu odczytałam grymas niezadowolenia na twarzy stojącej przede mną kelnerki.

-1 niech zgadnę: znowu bez rezerwacji?

- No tak. - W kelnerce rozpoznałam dziewczynę, która dwa dni temu zaczepiła mnie przy śmietniku na tyłach restauracji. -Ale...

- Yanessa!

Uśmiechnęłam się, gdy garść sztucców z brzękiem wpadła do kubła.

- Paige, widzisz gdzieś tutaj huśtawki? Karuzele? Piaskownicę?

- Daj spokój, Zet - odparła Paige, zachodząc mnie od tyłu. -Vanessa nie przyszła, żeby się bawić. Przyszła popracować. Zet - skrót od Zary - nieprzeciętna kelnerka; ta sama, która dwa dni wcześniej wrzeszczała na Paige z dołu schodów prowadzących na taras. Mogłam dostrzec podobieństwo - obie miały tak samo ciemne włosy i srebrzystoblękitne oczy, choć rysy Paige były łagodniejsze, mniej wyraziste; jednak biorąc pod uwagę ich charaktery, wciąż trudno było uwierzyć, że są spokrewnione.

- Pomyślałam po prostu, że mogę się na coś przydać - wyjaśniłam, nie chcąc wpakować Paige w tarapaty. - Tymczasowo. Oczy Zary zwięziły się w szparki.

- Restauracja Rybna „U Betty” to miejsce z sześćdziesięcioletnią tradycją. Ludzie zjeżdżają tu z całej Nowej Anglii na słynną zupę z homara. Mamy doskonałą reputację i nie będziemy ryzykować jej utraty tylko dlatego, że moja genialna siostrzyczka postanowiła urozmaicić sobie sortowanie sztucców, zapraszając przyjaciółeczkę do pomocy.

Wyszarpnęła podkładkę i długopis z kieszeni fartucha. - Pracowałaś już wcześniej w restauracji? Zerknęłam na Paige. - Właściwie to nie, ale...

- Zet, Louis mówił, że to żaden problem. Pewnie byłaś zbyt zajęta, zabiegając o względy gości, ale niedawno pozwolił Vanessie pomagać w kuchni i przez dziesięć godzin niczego nie stłukła. To chyba jakiś rekord.

Czekałam, zażenowana, skrępowana, a przy tym pod dużym wrażeniem. Zara najwyraźniej była przyzwyczajona do rozstawiania ludzi po kątach, z kolei dla Paige najwyraźniej normalną było przywoływanie jej do porządku w razie konieczności.

- Będziecie pracowały jako zespół - zgodziła się wreszcie Zara.

- Paige zarządza, a ty, Vanesso, jesteś jej dodatkową parą rąk. Jeśli tylko jakiś talerz, miska, szklanka, butelka z keczupem, torebka cukru czy cokolwiek innego poleci jej z rąk, twoim zadaniem jest to złapać.

- Nie muszę już czyścić sztućców? - zapytała z nadzieją Paige.

Zara spojrzała na nią.

- Upuść choć jedną rzecz, a twoja przyjaciółeczka wylatuje, a ty wracasz do polerowania zastawy.

Gdy tylko Zara wyszła, Paige zapiszczała, potem chwyciła mnie za rękę i poprowadziła przez kuchenne drzwi na zaplecze.

- Paige - odezwałam się, kiedy dotarliśmy do szafki na tyłach kuchni - bez urazy, ale skoro jesteś tak poważnym zagrożeniem dla restauracji, jak to możliwe, że dalej tu pracujesz? Chodzi o to, że Zara zachowuje się, jakby miała do ciebie pretensje... a skoro restauracja „U Betty” jest tak popularnym miejscem, a reputacja to priorytet, jakim cudem nie wahają się zatrudniać kogoś, kto ich zdaniem wymaga...

- Niańczenia? - Z uśmiechem na ustach chwyciła leżący na półce fartuch i rozłożyła go przede mną na dłoniach w oczekiwaniu na aprobatę. - Zet jest jedyną osobą, której zdaniem nie można spuszczać mnie z oczu jak trzylatka w pokoju pełnym elektrycznych gniazdek. A ponieważ jest moją starszą siostrą, wprost uwielbiającą rządzić, nie mam jej tego za złe. Wzięłam od niej fartuszek.

-Ale ty faktycznie często coś tłuczesz, prawda?

- No jasne! - Podała mi podkładkę i długopis. - Ale myślisz, że sprawy wyglądałyby inaczej, gdyby moje palce nie były tak śliskie? Być może... koszty byłyby odrobinę

nizsze, to na pewno, ale atmosfera wśród personelu zdecydowanie by się ochłodziła. Zawiązałam fartuszek wokół pasa i sięgnęłam po podkładkę i długopis.

- Dla większości osób - a mówiąc „większość”, mam na myśli wszystkich oprócz Zary - liczy się przede wszystkim to, że tu jestem. - Pochyliła się w moją stronę. - Nie wiem, czy zauważyłaś, ale moja siostra nie należy do najprzyjemniejszych w bliższym kontakcie.

- Co ty nie powiesz... - zażartowałam.

Pociągnęła parę razy za dolną krawędź fartuszka, by wyrównać fałdy.

- Reszta obsługi nieszczerze przepada za Zarą, ale za to klienci - a zwłaszcza płci męskiej - wprost ją uwielbiają. To zasługa genów i wewnętrznego uroku. Zara potrafi przekonać amatora coca-coli, że ma ochotę napić się Corony, potrafi nakłonić ojca, by dla garstki grymaśnych dzieciaków zamówił coś bardziej wyszukanego niż tosty z żółtym serem, a męża, żeby przekonał podliczającą kalorie żonę do zamówienia musu czekoladowego. A wszystko robi w taki sposób, że gościom nawet nie przyjdzie do głowy, że te decyzje nie wyszły od nich. - Nasze spojrzenia spotkały się.

- Gdyby nie Zara, która jednej nocy potrafi przynieść tysiąc dolarów z samych napiwków, trzeba byłoby zamknąć tę budę.

- A zawsze macie otwarte.

- I napiwkami dzielimy się po równo. Pokiwałam głową.

- Dlatego pozostali muszą sobie jakoś z nią radzić.

- Za moim pośrednictwem. Ja jestem buforem, filtrem, mediatorem, jakkolwiek by to nazwać. Kiedy Zet wpada do kuchni i robi szum o jakieś zamówienie, które jeszcze nie jest gotowe, ja wybiegam za nią, żeby ją uspokoić. - Przerwała, przytrzymując obrotowe drzwi. - Jestem świetna w swojej pracy - przynajmniej w tej części - ale nawet gdybym nie była, i tak musieliby to jakoś znosić.

- Jak to?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Bo restauracja należy do mojej rodziny. A Betty to moja babcia.

Zanim zdążyłam zadać kolejne pytanie, zniknęła za drzwiami. Na szczęście ranek upłynął szybko. Przez cały czas wykonywałam polecenia Paige, zwracając uwagę,

jak sprawne były jej ruchy pomimo śliskich palców. Za ledwie dwa razy prawie coś upuściła: raz kubek do kawy, innym razem talerzyk na pieczywo, do których w porę doskoczyłam i ocaliłam od rozbicia. - Jak to możliwe, że już południe? - zapytałam cztery godziny później, kiedy stałyśmy za barem, składając serwetki. - Czy mogłabyś łaskawie odebrać zamówienie od swojego zaprzyjaźnionego starszego pana? - Obok nas ni stąd, ni zowąd zjawiała się Zara. Jednocześnie w skroniach poczułam ten sam pulsujący ból i zadałam sobie pytanie, czy to możliwe, by czyjaś obecność wywoływała u mnie tak silny niepokój, a rozstrojone nerwy natychmiast reagowały nieznośnym fizycznym bólem.

- Hm, jak widzisz, Zet, jestem trochę zajęta - odparła Paige. - Hm, jak widzisz, Paige, nikt nie jest bardziej zajęty ode mnie. Zresztą nie mam dziś czasu ani cierpliwości na głupie gierki tego faceta.

- Ty nigdy nie masz cierpliwości. Z Oliverem trzeba umieć rozmawiać.

Widziałam, że Zara nie potrafi stwierdzić, co denerwuje ją bardziej: to, że istnieje mężczyzna, którego nie daje rady owinać sobie wokół palca, czy może to, że jest coś, w czym Paige okazała się od niej lepsza. Zmarszczyła czoło.

- Spróbuję ostatni raz. Jeśli nie złapie przynęty, daję sobie spokój. Raz na zawsze.

Paige odłożyła na blat serwetkę, którą składała, oparła na niej łokcie i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Gotowa na przerwę? Oparłam się o blat obok niej.

- Kim jest ten Oliver?

- To arcynemezis Zary. - Odwróciła się w moją stronę. - Oj, przepraszam. To musiało zabrzmieć, jakbym była całkiem zadowolona, co?

- Szczerze mówiąc, wydałaś się wyjątkowo uradowana.

- Nic na to nie poradzę - odparła Paige, przyglądając się, jak Zara przemierza slalomem salę w kierunku stolika, przy którym siedział starszy mężczyzna z włosami jeszcze bielszymi i bardziej kędzierzawymi niż czupryna tatka. Zerknęła na zegarek. - Dwie po dwunastej. Zawsze na czas.

Zara zatrzymała się parę metrów od stolika. Poprawiła koński ogon i wyrównała fartuszek. Jej ramiona uniosły się i opadły, kiedy robiła głęboki wdech.

- Oliver to jedyny klient, którego Zara nie potrafi zrobić - wyjaśniła Paige. -

Przychodzi codziennie o tej samej porze i zawsze siada w części sali, którą ona obsługuje. Próbowwała już wszystkiego: oferowała posiłki na koszt firmy, zniżki, większy stolik, mimo że przestrzeń to pieniądź, a on zawsze przychodzi sam... Poważnie, wykorzystwała już wszystkie swoje sztuczki.

- Dlaczego on nie usiadł w innej części sali? Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Proponowałyśmy to nie raz i zawsze odmawiał. Ale najlepsza jest jego reakcja. Patrz, co robi, gdy Zara próbuje z nim rozmawiać... to już klasyka.

Byłyśmy za daleko, a na sali panował zbyt duży hałas, żeby można było cokolwiek usłyszeć, ale nie dało się błędnie zinterpretować reakcji, która polegała na całkowitym ignorowaniu Zary. Mówiła coś, potem czekała. Znowu coś mówiła i znowu czekała. Przy trzeciej próbie wyglądało na to, że wskazuje propozycje śniadaniowe na leżącej na stole karcie menu, a kiedy to nie zadziało, obróciła się przez ramię i posłała Paige wściekłe spojrzenie.

- Jakby jej wcale nie było - westchnęła radośnie Paige. Rzeczywiście tak to wyglądało. Oliver nie tylko nic nie mówił, ale nieobecny wzrokiem spoglądał przez okno, jakby Zara była jednym z doniczkowych kwiatów porostawianych po całej sali. Chwyciłam kolejną serwetkę i szybko zabrałam się do składania, bo Zara ruszyła piorunem w naszą stronę. - O, o - mruknęła Paige.

Zara przystanęła na środku sali. Pochyliła się, żeby wysłuchać jednego z jej klientów, którego zmarszczone czoło i talerz pełen jedzenia najwyraźniej oznaczały jakiś problem.

- Oj, niedobrze, już i tak była wystarczająco wściekła. - Paige odwróciła się w moją stronę. - Gratulacje, Vanesso! Właśnie awansowałaś.

Moje dłonie znieruchomiały w połowie składania. Wcale nie chciałam awansować. Właściwie nawet nie chciałam tu pracować. Po prostu chciałam na kilka godzin uciec od siebie samej.

- Proszę cię, przyjmij zamówienie od Olivera. Poprosi o dwie kromki razowego chleba tostowego z dżemem winogronowym, jajko na miękko, połówkę grejpfruta i

filizankę herbaty „Earl Grey”. Nic łatwiejszego. Zwyczajnie uśmiechnij się i pozwól, by sam ci wszystko powiedział.

- Louis! - rozległ się wrzask. - Obudziłeś się dziś rano, uśmiechnąłeś do swego odbicia w lustrze i pomyślałeś, jak to dobrze, że pracujesz w naleśnikami na rogu?

- Paige - powiedziałam, kiedy ruszyła tyłem w stronę kuchennych drzwi, które wciąż jeszcze huśtały się po tym, jak Zara przeleciała przez nie jak pocisk. - Chyba nie będę wiedziała...

- Muszę lecieć! - zawołała, słysząc nasilające się odgłosy sprzeczki dobiegające z kuchni.

Wpatrywałam się w drzwi, dopóki nie przestały się poruszać. Wiedząc, że nie mam innego wyjścia, głównie dlatego, że lubię Paige i nie chcę jej zawieść, odwróciłam się i ruszyłam w głąb sali. Wkrótce znalazłam się w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stała Zara, kurczowo ściskając w dłoniach notatnik i długopis.

- Dzień dobry, Oliverze - powiedziałam to tak cicho, że nie mógłby mnie usłyszeć, chyba że pochyliłabym się i szepnęła mu to prosto do ucha. Zresztą i to było wątpliwe, bo pośród gęstej białej czupryny dostrzegłam niewielki kremowy aparat słuchowy.

Minęło mniej więcej dziesięć sekund, zanim jego oczy mnie odnalazły. Na początku spoczęły na logo syrenki na moim fartuszku i przez chwilę tam się zatrzymały, pozbawione wyrazu. Dopiero po chwili niespiesznie uniosły się w górę.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale przynajmniej uznawał moją obecność.

Podtrzymana na duchu takim postępem, uśmiechnęłam się szerzej.

- Dzień dobry - spróbowałam jeszcze raz, dumna, że jestem w stanie dosłyszeć własny głos.

jego oczy zwięziły się i zdawało się, że zastanawia się nad odpowiedzią.

Kolejny raz zerknęłam w kierunku kuchennych drzwi. Gdy nagle otworzyło się skrzydło drzwi, ogarnęła mnie nadzieja, ale opuściła mnie w tym samym momencie, gdy z kuchni wyłoniła się inna najwyraźniej spiesząca się kelnerka. Odwróciłam się do Olivera akurat, kiedy skończył majstrować przy aparacie słuchowym. Miałam zamiar przedstawić się jako koleżanka Paige, jednak powstrzymałam się, gdy jego

oczy z podejrzliwych szparek zmieniły się w pełne zdumienia krążki.

-Tost z chleba razowego, zgadza się? Z dżemem winogronowym? Jajko na miękko, a do tego filiżanka herbaty, tak? — wyrwałam się, żeby mieć to już za sobą. - Zechce pan przypomnieć, co to miała być za herbata? Rumiankowa? Cytrynowa? A może po prostu przyniosę wszystkie dostępne smaki, a pan sobie któryś wybierze, dobrze? Wpatrywał się we mnie w milczeniu, a ja pragnęłam, by chociaż mrugnął. Jednak tego nie zrobił, więc wytrzymując jego spojrzenie, powoli sięgnęłam po kartę menu. Kiedy moje palce zawisły kilka centymetrów nad kartą z zestawami śniadaniowymi, pacnął mnie w dłoń.

Odskoczyłam. Gwar w sali restauracyjnej przycichł, a goście przy sąsiednich stolikach zaczęli przyglądać się nam z zaciekawieniem.

Gdy podnosił menu ze stolika, jego oczy były tak okrągłe jak dyski frisbee.

Przytrzymał menu przed moimi oczami i wskazał na pozycję wypisaną drobnym drukiem u dołu strony. Zanim się wreszcie pochyliłam, żeby przeczytać, co pokazuje palcem, przez moment się wahałam, próbując nie zwracać uwagi na szary kolor łuszczącej się skóry i drżenie dłoni.

- Earl grey, tak?

Jego palec zadrżał gwałtownie, po czym stuknął raz w menu.

- Earl grey - powtórzyłam, wycofując się. - Doskonale. W tej chwili przyniosę zamówienie.

Obróciłam się na pięcie i pomknęłam w stronę zaplecza.

- Najwyraźniej nie rozumiesz, ile twoje błędy mogą nas kosztować.

Gdy tylko weszłam przez wahadłowe drzwi do kuchni, musiałam złapać się za skronie.

- Ta kobieta jest uczulona na ser! - wrzeszczała Zara. - Nie dostanie wysypki, za to zemdleje, upadnie na podłogę i umrze, jeśli karetka natychmiast nie zabierze jej na pogotowie. A ty co robisz? Do omletu dodajesz jej topiony w plasterkach, a górę posypujesz startym cheddarem!

- To jest dzisiejszy omlet specjalny! - wrzasnął w odpowiedzi Louis. - Jeśli klientka nie chce jeść sera, to niech go nie zamawia! A może to kelnerka nie sprecyzowała, co

wchodzi w skład dzisiejszego omletu specjalnego?

- Dobra, słuchajcie! - Paige ryknęła na nich oboje, stukając drewnianą łyżką w pusty garnek. - Nie mamy ani za dużo czasu, ani rąk do pracy, żeby kontynuować tę pasjonującą debatę. Kobieta zobaczyła, że na omlecie jest ser, zanim go zjadła: nic się nie stało, nikt nie zawinił. Louis przyrządzi dla niej dowolnie wybrany omlet, a Zara przeprosi i zaproponuje to danie na koszt firmy. Stałam za jednym z kuchennych blatów, bo Zara wypadła z kuchni, a ciemny koński ogon zakołysał się za nią.

- Odebrałam zamówienie Olivera - oznajmiłam, gdy Paige do mnie podeszła. - Skąd mam je...

- Odebrałaś zamówienie Olivera? Zrobiłam pauzę.

- Tak, a co?

- Jesteś absolutną mistrzynią. - Podniosła tacę ze stolika za swoimi plecami. - Wielu próbowało i - jak do tej pory - nikomu się to nie udało oprócz mnie. A teraz i tobie. Spojrzałam na tacę, kiedy postawiła ją na blacie przede mną. Było na niej pełne zamówienie Olivera, łącznie z filiżanką wrzątku do zaparzenia earl grey.

- Nie liczyłam, że tak od razu się do ciebie przekonam - co nie mówi niczego o tobie, za to bardzo wiele o nim - dlatego gdy tylko uporałam się z tamtą dwójką, od razu złożyłam w kuchni jego zamówienie.

- Świetnie - odparłam. - A nie mogłabyś mu go zanieść?

- Nie powinnam się stąd oddalać, dopóki Zara nie wróci. Czasami następstwa wyrządzają większe szkody niż samo zdarzenie. - Ruszyła w stronę Louisa, który rąbał wściekle garnkami w blat kuchenki. - Aha, możesz zapytać, jak mu idzie pisanie albo pochwalić rysunki.

Miałam właśnie zapytać, co ma na myśli, kiedy do kuchni znów wpadła Zara.

- Okay, spróbujmy tak: to będzie bardzo skomplikowane! - wrzasnęła na całe gardło. - Klientka życzy sobie omlet z pieczarkami i szpinakiem. Co prawda, nie mam odpowiednich kwalifikacji, ale w zasadzie jestem pewna, że robi się go z jajek, pieczarek i szpinaku. Bez dodatku sera ani topionego, ani cheddara, ani szwajcarskiego!

Gdy łoskot garnków Louisa stał się nie do zniesienia, wzięłam z blatu tacę i ruszyłam w stronę drzwi. Nie spuszczać wzroku z wody pluskającej w filiżance, jakimś cudem zdołałam przebrnąć przez całą salę i nie wpadłam na nikogo ani niczego nie upuściłam. Czułam tak wielką ulgę, że mam to już prawie za sobą, że dopiero gdy stawiałam przed Oliverem talerz z tostem, zauważyłam zeszyt i węglowe ołówki rozłożone na stole. - Jak panu idzie pisanie? - Zerknęłam w otwarty zeszyt. Strony wypełniało drobne, chaotyczne pismo, ale zdołałam odczytać słowa w górnej części strony napisane większymi literami. -Kompletna historia Winter Harbor, tom piąty? Nie wiedziałam, że tak wiele jest do powiedzenia o tak małym miasteczku. Oliver złapał zeszyt i przyciągnął go do piersi, odkrywając leżący pod spodem szkicownik. Szary, trzęsący się palec wskazujący dźgnął szkicownik, a ja poczułam, jak ramiona drżą mi ze zdumienia, przez co kilka kropli wrzątku wylało się poza krawędź filiżanki. Kiedy moje oczy spoczęły na rysunku, zrobiły się równie okrągłe jak oczy Ohvera.

Rysunek bowiem przedstawiał miejsce wyjątkowo charakterystyczne, którego nie sposób sobie wyobrazić, jeśli się tam nie było.

Urwisko Chione.

7

- Nie rozumiem tego - powiedziałam do Simona następnego dnia na plaży. - To znaczy nie rozumiem, jak można wejść do wody tak głęboko, by pod stopami nie czuć dna, nie zanurzając przy tym głowy... a tak naprawdę to nie rozumiem, jak można z własnej woli wejść do wody, która może cię porwać i wciągnąć pod powierzchnię, gdy tylko dotknie kostek. -To znaczy, że nie masz ochoty skorzystać z lekcji surfingu, na którą cię dzisiaj umówiłem? - Simon był najwyraźniej zawiedziony.

Spojrzałam na niego.

- Umówiłeś mnie na lekcję surfingu? - Nie wiedział wszystkiego o wypadku sprzed dwóch lat, jednak wiedział wystarczająco dużo, by nie fundować mi powtórki z rozrywki. Uśmiechnął się.

~ No jasne. A potem czeka nas skok ze spadochronem. I bungee. A jak zostanie nam

trochę czasu, możemy spróbować chodzenia po rozżarzonych węglach.

~ To się świetnie składa, bo akurat założyłam żaroodporne nike. Posłał mi łagodny uśmiech, po czym ruszył w stronę samochodów zaparkowanych nieopodal plaży. Poszłam za nim i znów przypominałam sobie, jak bardzo ucieszyło mnie jego pukanie do drzwi dwie godziny wcześniej. Kiedy wczoraj wieczorem wróciłam do domu po całym dniu pracy „U Betty”, jego subaru nie stało na podjeździe i pojawiło się dopiero przed północą. Gdy tylko je zobaczyłam, udało mi się odprężyć do tego stopnia, że położyłam się na kanapie i spróbowałam zasnąć. Przebudziłam się o piątej, przed szóstą miałam już za sobą poranny prysznic, potem ściszyłam telewizor i radio, żeby nie przegapić pukania Simona. Przyszedł o ósmej, niosąc koktajle i kanapki z jajkiem. O ósmej trzydzięci siedzieliśmy już w jego subaru, kierując się w stronę plaży Beacon Beach, a konkretnie ulubionego odcinka surfujących kolegów Caleba. Właśnie zamierzaliśmy dowiedzieć się, czy jego kumple wiedzą coś, o czym my nie wiemy.

- To strasznie dziwna historia - mówił gość w piance, kiedy zbliżałam się do zaparkowanych w półokręgu zdezelowanych jeepów i furgonetek. - Po prostu się zmył. Zack pojechał, żeby go przywieźć na grill party, a jego nie było.

- I nie odezwał się od tamtej pory? - zapytał Simon. - Żadnych telefonów? Żadnych maili?

Chłopak w piance - miał na imię Mark i pamiętałam go ze zdjęcia Caleba i jego kumpli, które Justine zrobiła zeszłego lata

- potrząsnął głową.

- Nic. Ani słowa. Stwierdziliśmy, że to wszystko go przerosło.

- Co go przerosło? - zapytał Simon.

Widząc, jak podchodzę, Mark skinął głową w moją stronę.

- Ta ślicznotka to twoja dziewczyna?

- W sumie to... - zaczęłam, czując, jak moje policzki oblewa rumieniec.

- jesteście w sobie szaleńczo zakochani - podjął, zanim zdążyłam wyjaśnić relację między Simonem a mną. - Budzisz się, otwierasz oczy i pierwsze, o czym myślisz, to ona. Zastanawiasz się, jak ona się czuje. Co robi. Kiedy znów ją zobaczysz. Te myśli

nie opuszczają cię przez cały dzień. Opowiadasz o niej każdemu, kto chce cię słuchać - łącznie z najlepszymi kumplami, którzy rzecz jasna cię szanują, ale po jakimś czasie, z czystej troski, jaką mogą żywić tylko prawdziwi przyjaciele, poważnie zaczynają wątpić w twoją poczytalność. I robisz wszelkiego rodzaju plany - wielkie plany na życie po szkole - podczas gdy wszyscy inni ledwie sobie uświadamiają, że zostały już tylko dwa lata, żeby cokolwiek postanowić.

- Z tego, co mówisz, mam obsesję - podsumował Simon, wyciągając rękę, żeby delikatnie pociągnąć mnie za kucyk.

- Nawet nie masz pojęcia. - Mark pochylił się i podniósł deskę leżącą na piasku. - Ta dziewczyna to cały twój świat. Bez przerwy o niej gadasz, coraz mniej czasu spędzasz ze znajomymi, inne się dla ciebie nie liczą, choćby nie wiem jak seksowne albo w ciebie zapatrzone - a parę jest naprawdę seksownych i po uszy zabużanych - aż wreszcie przełamujesz się i mówisz jej, że ją kochasz. Simon opuścił wzrok, nagle zainteresowany kolorowymi kamykami u stóp.

- I nie tylko jej: swoim kumplom też o tym mówisz. A to znaczy, jak wiesz, że już głębiej wpaść się nie da.

- Mam obsesję i miękkie kolana. - Simon skinął głową. - Może ktoś ma coś na wzmocnienie?

- Nie musisz być dla siebie taki surowy - stwierdził Mark, wzruszając ramionami. - Twoi kumple nie są. Może i myślą, że trochę cię poniosło, ale wiedzą, że i tak nie chciałbyś żadnej innej. Bo to właśnie ta jedyna. Inna niż wszystkie.

Poczułam, jak twarz oblewa mi rumieniec, i w myślach przywołałam się do porządku, bo przecież ten opis wcale nie dotyczył Simona i mnie.

- W każdym razie ta dziewczyna jest dla ciebie wszystkim. Pokarmem, wodą, tlenem, snem i wszystkim innym. Nic poza nią się nie liczy. - Mark westchnął i spojrzał na wodę. - I nagle ona umiera. Odchodzi. Na zawsze. Wyrzucona na brzeg. Jak ryba. Kolana lekko się pode mną ugięły. Teraz wydało mi się oczywiste, że do tego właśnie zmierzała ta słodka historyjka, ale -dokładnie tak jak w rzeczywistości - odniosłam wrażenie, że tragiczny zwrot akcji nastąpił zupełnie nieoczekiwanie.

- I co potem? - zapytałam, głównie dlatego, że Simon przyglądał mi się uważnie, a ja

chciałam dać mu do zrozumienia, że ze mną wszystko w porządku.

Mark odwrócił się w naszą stronę.

- Potem uciekasz. Bo jedyną rzeczą gorszą od tego, że jej nie ma, jest to, że ty nadal tu jesteś.

Simon milczał, najwyraźniej starając się zrozumieć punkt widzenia człowieka, który w ciągu ostatniego roku spędził z jego bratem więcej czasu niż on sam.

- Ale dlaczego nie zostanie - nie zostanę - z przyjaciółmi? I z rodziną? I ze wszystkimi innymi, którzy się o mnie martwią? Dlaczego po prostu znikam, nie mówiąc nikomu gdzie?

- Gdyby ona odeszła - powiedział Mark i znów skinął na mnie

- naprawdę chciałbyś znosić te spojrzenia? Pytania? Miłe, ale bezcelowe próby okazania współczucia? Zwłaszcza od tych, którzy tak naprawdę nie znają już ciebie bez niej? Próbowałam to ogarnąć. Caleb kochał Justine. Nie był nią tylko zauroczony. Nie traktował jej wyłącznie jako pewnej partnerki do romantycznych wakacyjnych pocałunków. Ale czy Justine

czuła do niego to samo? A skoro był dla niej równie ważny

jak ona dla niego, dlaczego z całych sił próbowała przekonać wszystkich dookoła, że ich związek to nic więcej niż zwykły wakacyjny flirt? Przecież w roku szkolnym umówiła się nawet z kilkoma chłopakami ze szkoły w Hawthorne; gdyby jej uczucia do Caleba były tak silne, po co miałyby zawracać sobie głowę kimś innym?

- Nie, chyba bym nie chciał - odparł wreszcie Simon, wyrrywając mnie z rozmyślań.

-Stary, na co ty czekasz?

W naszą stronę szło plażą trzech chłopaków w piankach i ciągnęło za sobą po piasku deski surfingowe - wyglądali jednocześnie na podekscytowanych i wykończonych.

-Jeśli za chwilę nie pójdziesz popływać, będzie za późno -ostrzegł Marka jeden z surferów.

Simon spojrział na wodę jako meteorolog zaalarmowany stanem pogody.

- Sie masz - powiedział surfer, widząc Simona i klepiąc go po ramieniu. - Kiepska sprawa z tą dziewczyną Caleba, stary. On wróci. Gdy tylko mgła opadnie.

- Tam na wodzie rozpętało się istne piekło - ciągnął inny surfer.-Jeszcze dwadzieścia

minut temu fale były o połowę niższe, a z każdą chwilą wzrasta ich siła, prędkość i wysokość.

-To normalne? - zapytałam.

- Bardzo nietypowe - odparł Mark.

- Są potężne, nawet jak na fale zimowe, kiedy zderzające się fronty potrafią mocno wzburzyć wody. - Simon spoglądał na żywioł z nieufnością.

-No cóż - powiedział Mark, obwiązując wokół kostki pasek przytroczony do rufy deski - czapki z głów przed globalnym

ociepleniem. Co złe dla ludzkości, dobre dla mieszkańców wybrzeża.

- Jeszcze jedno! - krzyknął Simon za Markiem, który ruszył truchtem w stronę wody.

- Wiedziałeś, że Caleb jeszcze w zeszłym roku rzucił pracę w porcie? I zatrudnił się w tym nowym centrum rekreacji?

Mark zatrzymał się w pół kroku.

- Że co?

- Kilka dni temu rozmawialiśmy z Montym. Mówił, że ubiegłego lata Caleb nagle przestał się u niego pokazywać. Kapitan dowiedział się, gdzie się zatrudnił, od jednego z inwestorów kurortu.

Mark wymienił spojrzenia z pozostałymi surferami, którzy opadli na piasek, żeby zregenerować siły.

- Nie wiedzieliście? - zdziwił się Simon, gdy żaden się nie odezwał.

- Nie - odparł Mark, ruszając w stronę wody. - I bardzo mnie to dziwi, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, jak bardzo Caleb starał się przeszkodzić w powstaniu tego centrum.

- Brał udział we wszystkich posiedzeniach rady miejskiej w ciągu roku - dodał jeden z kumpli. - Drukował ulotki, rozmawiał z dziennikarzami. Napisał nawet petycję i chodził po domach, zbierając podpisy mieszkańców. Był bardzo przeciwny otwarciu tego kurortu; był przekonany, że takie przedsięwzięcie zniszczy miasteczko i pozbawi pracy ludzi takich jak Monty. Spotkał się nawet z inwestorami, wszystko z własnej inicjatywy. Przydybał ich podczas jednego z posiedzeń rady miasta i nie pozwolił odejść, dopóki nie zgodzili się pójść z nim na lunch. Simon wyglądał, jakby właśnie

powiedziano mu, że niebo jest zielone, a deszcz tak naprawdę pada z dołu do góry. Wiedziałam.

co czuje. Caleb słynął z opieszałości; był to główny powód, dla którego zdaniem mamy był nieodpowiedni dla Justine. Trudno było wyobrazić sobie, że nie tylko troszczy się tak bardzo o losy miasta, ale wręcz angażuje się, by je chronić. -1 co, spotkali się z nim? - zapytałam.

- Spotkali. W restauracji „U Betty”, bo Caleb nalegał. Co zresztą okazało się kiepskim posunięciem: chciał, żeby poznali prawdziwy smak Winter Harbor, żeby zrozumieli, co miasto ma do zaoferowania, i dali nam święty spokój, ale to tylko utwierdziło ich w przekonaniu, że warto tu inwestować.

Próbowałam wyobrazić sobie Caleba z dwójką gości w garniturach przy stoliku w restauracji „U Betty”. Zastanawiałam się, czy obsługiwała ich Zara i czy jej ujmujące podejście do mężczyzn rozgrzało te grube ryby do czerwoności.

- Patrzcie, jak on daje radę - zawołał jeden z surferów, zrywając się na nogi.

Spojrzeliliśmy na wodę akurat w momencie, gdy Mark gwałtownie przykucnął na desce. Dwa razy próbował wstać, ale kiedy fala opadła i uniosła się, wytrącając go z równowagi, musiał położyć dłonie przy stopach. Spróbował raz jeszcze, balansując i prostując nogi w kolanach. Z każdą chwilą fala rosła, a wielki spieniony jęzor sięgał coraz dalej naprzód. Zerknęłam na Simona, który zdawał się rejestrować w myślach wysokość i dziwne zachowanie fali. Chłopcy zaczęli wiwatować, kiedy Mark przez trzy sekundy ujeżdżał falę, zanim zniknął w odmętach. Wstrzymałam oddech.

Dopiero gdy głowa Marka wyłoniła się na powierzchnię, na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech, a pięść energicznie przecięła powietrze, odetchnęłam z ulgą.

- Dzięki za informacje, chłopaki - powiedział Simon, kiedy Mark wrócił do naszej grupki. - Miło było was zobaczyć.

- Trzymaj się, stary - odparł Mark, ściskając wyciągniętą dłoń Simona. — Jeśli dotrą do nas jakieś wieści, na pewno damy znać.

- Dzięki. A teraz radzę się stąd zbierać... z tego, co widzę, najdalej za piętnaście minut to miejsce znajdzie się pod wodą. Obrzucili wzrokiem porozkładany na piasku sprzęt, najwidoczniej zastanawiając się - podobnie zresztą jak ja - czy to możliwe. Od

brzegu dzieliło nas co najmniej piętnaście metrów.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zrobię kilka pomiarów? - zapytał Simon, gdy parę minut później dotarliśmy do samochodu. - To nie potrwa długo.

- Jasne, że nie. Może mogłabym się na coś przydać? - Patrzyłam, jak sięga na tylne siedzenie po plecak i plastikowe pudełko. Spojrzał w niebo, a potem na wodę. Zlustrował linię horyzontu, po czym odwrócił się z powrotem i spojrzał na moje stopy.

- Masz na sobie tenisówki.

- Żaroodporne - przypomniałam.

- To dobrze. - Posłał mi lekki uśmiech. - Przydałaby się dodatkowa para rąk do pomocy.

Prawie natychmiast pojęłam, dlaczego Simon zainteresował się moim obuwiem: poziom wody podnosił się tak szybko, jak zapowiedział. Kiedy odbijaliśmy na prawo, spojrzałam w przeciwnym kierunku i zobaczyłam kolegów Caleba zbierających w pośpiechu deski i resztę sprzętu, bo jęzory piany sięgały już kół samochodów. Ze względu na ruch wody musieliśmy działać szybko.

Po dotarciu do linii wysokich skał, jakieś pięćset metrów w głębi plaży, Simon otworzył plecak, podał mi taśmę mierniczą i wyciągnął kilka zeszytów. Jeden z nich i trzy plastikowe fiolki wsunął do kieszeni kurtki.

Wspiął się na najniższy z głazów, opadł na kolana i wyciągnął do mnie rękę.

Podciągnął mnie z taką łatwością, jakbym była piórkiem, a nie osobą ważącą niemal sześćdziesiąt kilogramów. -Złap za jeden koniec taśmy i obserwuj brzeg skał — poinstruował. -Jeśli linia wody zacznie sięgać dalej niż do miejsca, w którym stoisz, podążaj za nią. Powinnaś przez cały czas być na równi z czołem fali. Staraj się trzymać taśmę możliwie najbardziej poziomo. Kiedy dotrę do punktu, w którym taśma będzie napięta, szarpnę lekko, a wtedy oboje wychylimy się poza krawędź półki skalnej, żebym mógł wykonać dokładniejszy pomiar.

- OK, zrozumiałam. - Patrzyłam za nim, jak robi susy ze skały na skałę niczym Spiderman w rudym polarze. Osunęłam się na kolana i na czworakach podeszłam do krawędzi skalistej ściany. Wychyliłam się i spojrzawszy w dół, zobaczyłam cienką

powłokę piany rozchodzącą się po piasku. Czoło fali było kilka metrów dalej, więc przesuwałam się w prawo tak długo, dopóki biała grzywa nie rozbryznęła się o głazy bezpośrednio pode mną. Głowa odruchowo odskoczyła mi w tył, a morska mgiełka trysnęła w górę, okrywając kropelkami skałę i moją twarz.

Poziom wody unosił się coraz szybciej. Simon ledwie nadążał ze wstawaniem z ostatniego bulderu, robieniem notatek i ponownym sięganiem taśmą w dół, podczas gdy ja podążałam za linią fali przesuwaną się w lewo. Bałwany były tak potężne, że trudno było ocenić, w którym miejscu znajduje się czoło fali, jednak śledziłam jego ruch na podstawie punktu najintensywniejszej koncentracji rozbryzgu.

Dziesięć minut później, kiedy po mojej twarzy ściekały wąskie, słone strużki wody, a mokre kosmyki włosów kleiły się do czoła,

Simon szarpnął za taśmę. Podniósł w górę kciuk na znak, że pomiar zakończony, a ja puściłam swój koniec miarki.

- Niesamowite - powiedział, przeskakując na moją skałę. - To znaczy dziwne, obłądne i zupełnie nienaturalne, ale... niesamowite. Pływ przesuwa się z prędkością dwóch i pół centymetra na minutę. - Rozpiął polar i złapał za kołnierz.

- A to nie jest normalne - domyśliłam się, podskakując do góry i pomagając mu zdjąć przez głowę mokry polar, który zaklinował się na ramionach.

- Ani trochę.

Odwróciłam głowę, gdy poprawiał podwinięty podkoszulek. Stresujące okoliczności najwyraźniej mocno odbiły się na mojej równowadze emocjonalnej. W końcu widywałam Simona bez koszulki niezliczoną ilość razy, ale teraz wystarczyło, że przed oczami mignął mi fragment jego nagiego brzucha, a na mojej twarzy pojawiał się rumieniec.

- Zwykle pływy poruszają się z prędkością około trzech metrów na sześć godzin albo ćwierć metra na pół godziny. Wystarczająco szybko, by dało się ten ruch zaobserwować po jakimś czasie, ale nie na tyle szybko, żeby widzieć, jak to się dzieje na bieżąco. W tym tempie poziom wody w ciągu dwunastu minut unosi się o trzydzieści centymetrów.

- To ponad dwa razy szybciej - obliczyłam.

- Właśnie. - Potrząsnął głową. - Niesamowite.

- Niesamowite jest też to, że chyba nawet nie zauważyłeś, że cały dygoczesz i posiniały ci usta. - Przyniosłam plecak i plastikowe pudełko z miejsca, w którym je zostawił. - Powinniśmy wracać do samochodu.

- Masz rację. - Przyłożył zwinięte dłonie do ust i zaczął na nie chuchać. - Ciągłe mamy wiele do zrobienia.

Zeskoczył na piasek, a ja rzuciłam mu jego rzeczy. Wsunął plastikowe pudełko do plecaka, zarzucił go na ramię i stanął u podnóża skały.

-To nic trudnego - powiedział, gdy chwilę później wciąż stałam nieruchomo na szczycie. - Po prostu wyobraź sobie, że schodzisz po drabinie.

- Drabiny zwykle nie są ustawiane pionowo - stwierdziłam, zerkając na ziemię. Zaczekał, aż na niego spojrzę. Kiedy to robiłam, spostrzegłam, że jego twarz przybrała poważny wyraz. Troska o moje bezpieczeństwo tymczasowo zastąpiła ekscytację związaną z nadzwyczajnym odkryciem naukowym, którego właśnie dokonaliśmy.

- Nie spiesz się - powiedział. - Mam cię.

Miał mnie. Wiedziałam, co chce przez ro powiedzieć - że jak zawsze nie pozwoli mi upaść - ale nie mogłam przestać się zastanawiać, czy w tych słowach nie kryje się coś więcej. Woda rozbryzgiwała się pode mną. Potrząsnęłam głową, żeby rozgonić myśli. Odwróciłam się, przykucnęłam i opuściłam jedną stopę poza krawędź skalnego występu, a po chwili drugą. Utrzymując ciężar górnej części tułowia na półce skalnej, badałam stopami skalną ścianę, aż udało mi się wcisnąć czubki butów w niewielkie szczeliny. Gdy stopy miały stabilne oparcie, ostrożnie oderwałam tułów od półki skalnej i powoli przesunęłam środek ciężkości do tyłu. Bu.

Przed sobą ujrzałam przelotnie niebieskie oczy Justine. Jej poszarzałe ręce obejmowały mnie w pasie, posiniaczone ramiona ciągnęły w dół, zdejmując ze skały. W przyptywie paniki puściłam się półki skalnej, a wtedy stopy straciły przyczepność. Spadłam na ziemię, jakimś cudem lądując stopami na mokrym piasku. Odskoczyłam w tył, zanim zdążyły się zapaść, zanim woda zdołała mnie dosięgnąć i owinać się wokół moich kostek.

- Już dobrze.

Omijając wzrokiem Simona, jego wyciągnięte ramiona, wciąż gotowe, by mnie podtrzymać, gdyby zaszła konieczność, spoglądałam w stronę oceanu.

- Vanesso - powiedział łagodnie, przystępując w moją stronę. Nadpłynęła fala. Gdy się cofała, wstrzymałam oddech, częściowo oczekując, że w tej samej chwili z piasku powstanie Justine.

Ale jej tam nie było. Oczywiście, że jej tam nie było. Na piasku nie było nic, z wyjątkiem kęp morskich glonów i pokruszonych krabich skorup.

Przeniosłam wzrok na ręce Simona - opalone, zdrowe ręce żywego człowieka - i złapałam je. I choć były chłodne i mokre, wreszcie mogłam odetchnąć, bo mimo to poczułam ich ciepło na skórze.

- Już dobrze - zapewnił, stojąc teraz nie dalej niż dwadzieścia centymetrów ode mnie.

- Jesteś cała.

Naprawdę nie chciałam puszczać rąk Simona, ale wiedziałam, że muszę, zwłaszcza jeśli chcieliśmy w porę dotrzeć do samochodu bez konieczności pokonania ostatniego odcinka wpław. Niechętnie zwolniłam uścisk, próbując nie patrzeć na niego ani na przestrzeń za jego plecami, w kierunku wody. Kiedy ruszyliśmy z powrotem plażą, starałam się ignorować dobiegające gdzieś z oddali zawodzenie syren.

* * *

Dwadzieścia minut później siedzieliśmy w subaru i z opuszczonymi szybami i włączonym ogrzewaniem zmierzaliśmy w stronę Winter Harbor. Tępy wzrokiem patrzyłam na mijane drzewa i zastanawiałam się, co ja tu robię i dlaczego wciągnęłam w to Simona. Justine umarła. Odeszła. Na zawsze. Wyrzucona na brzeg. Jak ryba. Co za różnica dlaczego albo jak? Albo co się naprawdę wydarzyło, zanim do tego doszło? Jedno było pewne: ona już nigdy nie wróci. Niezależnie od tego, jak trudna do zaakceptowania, była to jedyna prawda i bez wątplenia pogodzenie się z nią byłoby łatwiejsze niż próba dotarcia do spraw, które wołała utrzymać przede mną w tajemnicy. I żeby wszystko wróciło do normalności, wystarczyło to przyjąć.

Wiedziałam, że nie będzie to nigdy normalność, jaką znałam do tej pory, ale taka, jaka miała panować od teraz.

- Simon - zaczęłam z westchnieniem, gotowa przeprosić i podzielić się z nim wnioskiem, do jakiego doszłam. Odwróciłam się do niego, zasmucona wizją samotnego powrotu do Bostonu i długich letnich dni bez jego towarzystwa. Ale on nie słyszał. Patrzył prosto przed siebie, szeroko otwartymi oczami, z ustami zaciśniętymi w wąską linię. Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem, kiedy nasz samochód zwolnił, by wreszcie przystanąć.

Drogę przed nami blokowały trzy radiowozy, wóz strażacki i karetka pogotowia. Na ziemi wokół pojazdów porozkładano flary ostrzegawcze, które przypominały zimne ognie, a migające światła rzucały dziwną czerwoną poświatę na pobliskie drzewa. Po okolicy biegało kilkunastu ratowników medycznych, policjanci rozmawiali przez krótkofalówki, strażacy wymachiwali toporkami, torując wyjście z lasu na drogę, a sanitariusze krzatali się przy karetce.

Spomiędzy drzew spowitych czerwoną poświatą wyłonił,0 • dwóch kolejnych sanitariuszy niosących przykryte nosze. Unieś)-je, by załadować do karetki, a wtedy spod białego prześcieradła ciężko wysunęło się ramię.

Już z odległości kilku metrów widać było fioletowe i żółte cętki.

Odwróciłam głowę, starając się skupić uwagę na czerwonej poświacie padającej na drzewa i strażakach z toporkami, którzy bardzo sprawnie cięli gałęzie.

- Simon - odezwałam się cicho, natychmiast wymazując z pa-mięci wszystkie myśli o wyjeździe z Winter Harbor i powrocie do Bostonu. - Oni robią ścieżkę do plaży.

8

_ Sukienka jest prześliczna, Vanesso. Prześliczna. A ty będziesz w niej wyglądać bosko.

- Dzięki - odpowiedziałam, obserwując strużki deszczu spływające po przedniej szybie samochodu i plując sobie w brodę, że odebrałam telefon. - Ale będę musiała wyglądać w niej bosko jakiś czas po tym weekendzie.

-Ależ oczywiście! Przecież wiesz, że nie kupiłabym ci jakiejś idiotycznej jednorazowej kiecki w stylu weselnej druhny. Bez wątpienia będziesz mogła ją nosić aż do września. A może nawet na wszystkie okazje do października, o ile pogoda się utrzyma. 0 ile pogoda się utrzyma.

- Brzmi wspaniale, mam. Nie ma tam gdzieś przypadkiem taty?

~Jest, ale my nadal mamy wiele spraw do omówienia. Zanim S1C rozłączysz, nie zapomnij poprosić mnie do telefonu.

Kiedy instruowała tatę, żeby zaraz oddał jej słuchawkę, pochyliłam do przodu, by spojrzeć na niebo. Paige i ja siedziałyśmy w moim dochodzie na podjeździe przed jej domem, czekając, aż przestanie padać, żeby puścić się pędem do domu. Jednak, biorąc pod uwagę gęste chmury zaścielające niebo, nie zanosiło się na przejaśnienie.

- Cześć, tatusiu - przywitałam się, gdy mama wreszcie odstąpiła ojcu słuchawkę. - Mam prośbę.

- Mówisz i masz, dziecinko.

- Powiedziałam mamie, że nie przyjeżdżam do domu w ten weekend, ale ona najwyraźniej nie słyszy nic innego poza własnym głosem. A ja naprawdę nie mogę przyjechać. -Przed oczami stanęła mi wczorajsza karetka pogotowia, nosze, niedowierzanie na twarzy Simona, które nie zniknęło aż do wieczoru, kiedy wreszcie dotarliśmy z powrotem do Winter Harbor. - Przynajmniej jeszcze nie teraz. Czy możesz ją o tym poinformować tak, jak tylko ty potrafisz?

- Niech cię już o to głowa nie boli - odparł. - Zastosuję swoje magiczne sztuczki.

- Dziękuję. Muszę lecieć. Proszę, powiedz mamie, że zadzwonię do niej jutro.

- Rodzice! - westchnęła Paige, kiedy wsunęłam komórkę do uchwytu na kubek.

- Raczej rodzic. Ojciec jest święty, ale za to mama bywa męcząca.

- Nic mi nie mów. Zaczekaj, aż poznasz Rainę: nawet łapska King Konga nie zdołałyby utrzymać jej w ryzach. - Pochyliła się do przodu i wytarła fartuszkiem parę gromadzącą się na wewnętrznej stronie przedniej szyby.

- Wybacz niski poziom komfortu. - Przechyliłam głowę, usiłując dojrzeć coś przez warstwę pary, która pokrywała szybę niemal natychmiast po tym, gdy Paige ją wycierała.

- To auto jeździ lepiej, niż wygląda. Jedyne, co w nim nie działa, to odmrażacz do szyb. No i klimatyzacja. Aha, no i czasem zacina się drążek zmiany biegów, i nie da się opuścić tylnej szyby.

- Na co komu tylna szyba? - Paige roześmiała się pocieszająco. - A zresztą. . żartujesz sobie? To miło z twojej strony, że mnie podwiozłaś.

-Cała przyjemność po mojej stronie.

- Nie wiem tylko, co Zara sobie wyobraża. Tylko spójrz na tę pogodę! - Potrząsnęła głową. - Lada chwila do restauracji napłyną tłumy, a ona jak gdyby nigdy nic wychodzi, zostawiając mnie samą. Myślę, że mamy jakieś dwadzieścia minut, żeby ją znaleźć, wsadzić do samochodu i przywieźć z powrotem do miasta, zanim „U Betty” rozpęta się piekło.

- Mówiła, że jedzie do domu? - Nie zamierzałam się do tego przyznawać - tym bardziej że Paige była bardzo zdeterminowana, by odnaleźć siostrę - ale miałam nadzieję, że nasze poszukiwania okażą się daremne. Wiedziałam, że restauracja ucierpi na nieobecności Zary jako kelnerki, ale nie miałam zbytnej ochoty być świadkiem negatywnych emocji, które bez wątpienia rozszaleją się między nimi dwiema. Poza tym wiedziałam, że jeśli nie znajdziemy jej od razu, może nam to zająć cały dzień. Chociaż to z pewnością pozwoliłoby mi nie myśleć o Justine.

- Mówiła, że ma jakieś sprawy do załatwienia i że niedługo wróci. Niedługo. Od tamtej pory minęły już dwie godziny. Myślisz, że dwie godziny można zakwalifikować do „niedługo”?

-Nie.

-Ja też nie. - Wychyliła się do przodu i spojrzała przez zaparowaną przednią szybę. - To mi wygląda na deszcz monsunowy.

Opuściłam szybę po stronie kierowcy, żeby mieć lepszy widok. Po przejechaniu całych kilometrów po wąskich, krętych drogach w końcu dotarliśmy do dużej otwartej przestrzeni, która stopniowo równała się z linią drzew, a dalej wspaniała w stronę łagodnie zaokrąglonego wzgórza. Na jego środku wyrastał dwupiętrowy dom o turkusowych ścianach, otoczony krzewami róży rozkwitającymi tysiącem kwiatów w każdym z kolorów. Kwiatów było tak dużo, że czułam ich słodki zapach już ze swojego miejsca na podjeździe, gdzie siedziałyśmy, czekając na przejaśnienie.

- To jakiś absurd. Nie zamierzam tu dłużej kwitnąć. - Paige zarzuciła sobie na głowę

mokry od deszczu kaptur kurtki, opryskując tablicę rozdzielczą mżawką kropel.

Złapała za klamkę i spojrzała na mnie. - Masz siostrę?

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć tak... a potem je zamknęłam. Dlatego, że nie byłam pewna. Czy nadal mam siostrę? A może w chwili gdy Justine zderzyła się z powierzchnią wody u podnóża urwiska Chione, stałam się jedynaczką? Na szczęście właśnie deszcz ustał na moment i Paige ruszyła biegiem do domu. Zakreśliłam szybę, zgasłam silnik i pobiegłam za nią, zwalniając tylko nieznacznie, kiedy zbliżyłam się do pierwszego klombu różanych krzewów. Kwiaty miały ciemno-fioletową barwę, a krawędzie płatków zdobiły żółte cętki. Idąc dalej pod górę w stronę domu, obrzuciłam wzrokiem klomby i spostrzegłam, że wszystkie róże są co najmniej dwukolorowe, a czasem nawet trzy- i czterokolorowe. Pomyślałabym, że są sztuczne, gdyby tuż przed wejściem na schodki ganku kolczasta łądyga nie zahaczyła o moje dzinsy.

- Nie taki diabeł straszny, jak go malują - stwierdziła Paige, gdy ją dogoniłam. - Po prostu trzymaj się z boku, a nic ci nie będzie. Zakładając, że odnosi się to do Zary, poczułam nagłą chęć, by zawrócić do samochodu i tam spokojnie poczekać, jednak zanim zdążyłam to zaproponować, weszła do środka.

Wkroczyłam za nią do salonu utrzymanego w kolorach niebieskim i kremowym. Kanapa i fotele pokryte były tkaniną w odcieniach granatowym i morskim. Ponad kominkiem, gdzie w naszym domu wisiał telewizor plazmowy, znajdowało się szerokie lustro w zabytkowej ramie koloru kości słoniowej. Na elementy dekoracyjne składały się turkusowe poduszki w kształcie wałka, koronkowe abażury okalające kryształowe stojaki lamp i kosmaty dywan, też w kolorze kości słoniowej, który zajmował niemal cały pokój.

- To rzeczy mojej babci - oznajmiła Paige, widząc, że się rozglądam. - To jej dom. Zara, moja mama i ja mieszkamy tu od zawsze. Trzy pokolenia Marchandów pod jednym dachem, co -kiedy już poznasz Rainę - trudno ci będzie sobie wyobrazić. Gdy ruszyliśmy przez pokój, obserwowałam widok, jaki rozciągał się za szeregiem wysokich okien na przeciwległej ścianie. Nie zmieniał się. Dom stał tak wysoko, że przynajmniej z salonu widać było tylko niebo.

-Vanesso - oznajmiła Paige teatralnym tonem, wykonując piruet tuż przede mną, zanim przekroczyła szeroką wnękę drzwiową - poznaj Rainę. Królową zamku i mego serca. Zatrzymałam się przed wejściem do kuchni. Poczulałam pojedynczy impuls w głowie; ból był tak silny, że chwyciłam się futryny, żeby nie złożyć się w pół. -Witaj, Vanesso. Mrugnęłam. Ból minął.

- Nie wiedziałam, że będziemy dziś miały gości. Mrugnęłam znowu, przekonana, że przejściowy atak migreny wpłynął na moją zdolność widzenia. Większość poznanych przez mnie mam przypominała moją własną, która miała dwa wizerunki: służbowy oraz w stylu panienki z dobrego domu.

Kiedy moja mama nie miała na sobie czarnej garsonki, ubierała się w płócienne spodnie i bluzkę na guziki. Gdy jej włosy nie były upięte w ciasny kok, czesała je w staranny kucyk. Zawsze była schludna, estetyczna. Ale stojąc obok Rainy, nawet w swojej najlepszej garsonce i szpilkach, stałaby się inna. Niewidzialna. I właśnie tak się teraz czułam.

- Nie miałybyśmy gości, gdyby Zara łaskawie zjawiła się dzisiaj w pracy - wyjaśniła Paige, zajmując miejsce po drugiej stronie blatu naprzeciwko matki. - Vanessa mnie podwiozła.

- Miło mi panią poznać - powiedziałam, próbując się uśmiechnąć.

Raina stała nad różową plastikową miską z drewnianą łyżką w ręku i wpatrywała się we mnie połyskującymi srebrzystoniebieskimi oczami. Gdy mierzyła mnie wzrokiem, ja starałam się lepiej jej przyjrzeć, zachowując przy tym możliwie jak największą dyskrecję. Musiała mieć prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, a ciemne, falujące włosy spływały jej aż do pasa. Miała na sobie białą sukienkę na ramiączkach z miękkiej dzianiny i przynajmniej tuzin srebrnych bransoletek, pobrzękujących jedna o drugą, kiedy zabrała się do mieszania składników. Nie była umalowana, ale w jej przypadku to było zupełnie niepotrzebne: cerę miała nieskazitelnie czystą, a skórę gładką. Była uderzająco piękna i wyglądała raczej na drugą starszą siostrę Paige niż na jej matkę.

- Twoja siostra jest na górze - oznajmiła wreszcie Raina. - Ale nie najlepiej się czuje. Paige skinęła głową w stronę kuchennego okna.

- Wyglądałaś dziś na zewnątrz? Wiesz, co się dzieje zaledwie kilka kilometrów stąd?

- Wróci, gdy tylko poczuje się dobrze - zapewniła Raina spokojnym tonem.

- Nikt nie będzie czuł się dobrze, jeśli w restauracji zabraknie obsługi - zauważyła Paige. - Nasi goście będą głodni. Louis nie przestanie marudzić. A wszystko dlatego, że Zara cierpi na zespół napięcia przedmiesiączkowego? Nic z tego. Raina włączyła mikser i zanurzyła go w różowej misce. - Możesz spróbować ją przekonać - zaproponowała poprzez szum urządzenia. - Ale nie spodziewaj się, że będzie zadowolona.

- Nigdy się tego nie spodziewam. - Paige obróciła się na pięcie. Kiedy doszła do drzwi, złapała mnie delikatnie za rękaw i pociągnęła za sobą, wyprowadzając z kuchni.

- Miło było cię poznać, Vanesso - zawołała za nami Raina, co w najlepszym wypadku zabrzmiało obojętnie.

- Widzisz? - powiedziała Paige, gdy tylko przeszliśmy przez salon i znalazłyśmy się na wąskich schodach prowadzących na piętro. - Byłabym wniebowzięta, gdyby największym problemem z moją matką było to, że kupiła mi sukienkę na przyjęcie, na które nie mam ochoty iść.

- To dlatego zwracasz się do niej po imieniu? - zapytałam, ignotując łomotanie w klatce piersiowej. - Bo nie jest taka ciepła i czuła jak inne matki?

- To też, ale głównie dlatego, że nas o to prosiła. Mówi, że nie czuje się na ryle dojrzała, żeby mieć dwie nastoletnie córki. - Paige dotarła na piętro i odwróciła się do mnie. - A tak swoją drogą, chciałam cię zapytać: dlaczego twoich rodziców tu nie ma? Mówiłaś, że twoja mama chce, żebyś wracała do domu?

- Zgadza się. - Skupiłam uwagę na zapalonym ściennym kinkiecie. - Mama jest pracoholiczką, a tata mamoholikiem, dlatego oboje na kilka dni wrócili do Bostonu.

- Genialnie - stwierdziła Paige, idąc w głąb korytarza. - Zabiłabym za odrobinę własnej przestrzeni raz na jakiś czas, Zamienimy się?

Roześmiałam się, ale najzabawniejsze było to, że nawet gdyby wymiana obejmowała Zarę, w pewnym sensie to by mi odpowiadało.

Ruszyłam za nią długim korytarzem oświetlonym dworna małymi kryształowymi

zyrandolami.

- Jesteś pewna, że nie powinnam zaczekać na dole? - zapytałam, kiedy przystanęłyśmy przed zamkniętymi drzwiami. - Mam wrażenie, że twoja siostra za mną nie przepada.

- Zara za nikim nie przepada. - Paige uśmiechnęła się krzepiąco i załomotała pięścią w drzwi. - Powinnaś posłuchać, co wygaduje o Jonathanie.

Zadudniła znowu, zanim zdążyłam zapytać, kim jest Jonathan. Przycisnęłam dłoń do czoła, gdy dobiegająca zza drzwi muzyka rozległa się głośniejsz. Brzmiało to jak jazz, ale przy mocniejszym akompaniamencie perkusji, z szybkim, pulsującym bitem.

- Nigdzie się stąd nie ruszę, Zet - krzyknęła Paige. Znow załomotała w drzwi, a za każdym razem, kiedy jej pięść zderzała się z drewnem, między moimi skroniami rozchodził się ból. Zaczęła stukać do drzwi i kiwać głową w rytm muzyki. Trwało to co najmniej minutę. Odwróciłam się i stanęłam przy wysokim oknie, masując skronie i przyglądając się ciężkiej, szarej kotarze deszczu wpadającej wprost do oceanu w oddali poniżej. Nagle poczułam zawroty głowy i wydało mi się, że zaraz zemdleje. Odwróciłam się do Paige, żeby wytłumaczyć, że zaczekam w samochodzie.

Już miałam poklepać ją po ramieniu, gdy muzyka ucichła, a drzwi otworzyły się na oścież. Kiedy Zara mnie ujrzała, w jej

oczach początkowo zabłysło zaskoczenie, a po chwili konsternacja i gniew.

- Nie czujesz się najlepiej, co? - zapytała ironicznie Paige. Ironia była uzasadniona. Spotykałam Zarę tylko w restauracji „U Betty”, więc widziałam ją w krótkich spodenkach, czarnym podkoszulku i fartuszku. Typowy strój, jaki nosiła w pracy, w niczym nie przypominał tego, co obecnie miała na sobie: obcisłą czarną spódniczkę kończącą się co najmniej dziesięć centymetrów wyżej niż jej krótkie spodenki, dopasowaną czarną bluzeczkę bez ramiączek i lakierowane sandałki na szpilce.

Włosy, które widziałam tylko związane w długi koński ogon, były rozpuszczone i gładko opadały na plecy, a makijaż sprawiał, że jej srebrzyste oczy błyszczały jak świąteczne bombki. -Jeśli masz kłopoty z oddychaniem, możesz sobie odpiąć kilka haftek - zasugerowała Paige, obrzucając wzrokiem obciskający biust top Zary.

-A ty jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek oddychać, powiedz swojej przyjaciółce,

żeby zostawiła nas same. - Głos Zary był spokojny. Paige skinęła głową.

-W porządku. - Spojrzała na mnie. - Zaczekasz na mnie na dole?

Byłam wdzięczna za wyproszenie i bez oporów ruszyłam przed siebie korytarzem, jeszcze zanim Paige zamknęła za sobą drzwi. Miałam nadzieję, że niezależnie od dzielących je sporów uda im się szybko dojść do porozumienia, bo teraz niczego nie pragnęłam bardziej niż tego, aby się stamtąd wydostać, zanim powódź zaleje kręte drogi prowadzące z powrotem do miasteczka. Vanesso...

Przyspieszyłam kroku.

Moja kochana, najdroższa Vanesso...

Justine znów wydostała się z mojej głowy i nawoływała mnie z wiszących nade mną kryształowych żyrandoli, ze zdjęć zdobiących ściany, z chodnika pod moimi stopami. Dotarłaś tak daleko... Proszę, nie odchodź... Szłam teraz szybciej i mocno potrzasałam głową, chcąc odegnać dźwięk wyjących syren, migotanie czerwonych świateł, fioletowe i żółte cętki na skórze i Justine stojącą w wodzie, wyciągającą do mnie cienkie ramiona.

Postawiłam już stopę na pierwszym stopniu schodów, gdy nagle dom pograżył się w ciszy. Zastygłam w bezruchu i wstrzymałam oddech. Nic. Żadnej ostrej muzyki. Żadnych krzyków dobiegających z końca korytarza. Nie było słyhać nawet deszczu dudniącego o dach.

- Vanessa?

Spojrzałam w lustro wiszące na ścianie tuż przed moimi oczami, teraz szeroko otwartymi. Twarz mi pobladła. Głos nie należał do Paige ani do Zary. A za mną nie było nikogo. Korytarz był pusty.

- Oszalałaś - odezwałam się do własnego odbicia w lustrze, zanim ruszyłam w dół po schodach. — I to na dobre.

- Vanessa? - Głos rozległ się znowu. Zamarłam, ogłuszona łomotaniem własnego serca.

- To ty...?

Głos dobiegał z drugiego końca korytarza, daleko od pokoju Zary. Wpatrywałam się w podłogę na piętrze i nakazałam stopom, by się poruszyły.

I w końcu ruszyły, w górę po schodach, w głąb korytarza. Miałam wrażenie, że lada chwila pulsująca krew rozsadzi mi żyły, w palcach u rąk i stóp czułam mrowienie. Mój nieśmiały wewnętrzny głos ostrzegał mnie, błagał, żebym zawróciła i wynosiła się stamtąd jak najszybciej. Ale go zignorowałam. Każdy mięsień i każdy nerw zmagął się, by odciągnąć mnie w przeciwnym kierunku, ale musiałam zobaczyć, co jest na końcu korytarza.

Dla świętego spokoju. Bo co jeśli to była ona? Co jeśli jakimś cudem, na przekór logice - wbrew raportom lekarza sądowego, pomimo czuwania przy zwłokach i pogrzebu - Justine wciąż tu była? Wiedziałam, że to szaleństwo... ale dlaczego miałoby być mniej prawdopodobne niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory? Drzwi były lekko uchylone, a przez nie przeciskała się wąska pionowa strużka światła. Wstrzymując oddech, położyłam na nich dłoń i pchnęłam.

Zajęło mi sekundę, by ją dostrzec. Gdy to się stało, ogarnęło mnie rozczarowanie, a jednocześnie wielka ulga, że to nie Justine. Na liliowym szezlongu przed kominkiem w purpurowym szlafroku siedziała kobieta i przetykała igłę z nicią przez cienki kawałek materiału rozciągnięty na drewnianym krążku. Włosy miała długie i falujące, podobnie jak włosy Rainy; pewnie kiedyś też były równie czarne jak lukrecjowe cukierki, chociaż czas zmienił ich barwę w spłowiały grafit, przypominający odcieniem popiół spod polan płonących w kominku. Kiedy uśmiechnęła się do mnie, jej oczy okazały się bardziej szare niż srebrne, a przy tym zamglone. Skupiła wzrok nie na mojej twarzy, ale na punkcie gdzieś ponad moją głowę. Jakimś sposobem ta kobieta wiedziała, że tam jestem, choć mnie nie widziała. Bo nie widziała nic.

Chciałam się obrócić i na palcach wymknąć z powrotem na korytarz. Ale tego nie zrobiłam. Nie byłam w stanie. Może dlatego, że byłoby nie w porządku, gdybym ją zignorowała i pozwoliła myśleć, że resztki zmysłów, jakie jej pozostały, też zaczyna[^] zawodzić. Może dlatego, że purpurowe ściany jej pokoju pokrywały dziesiątki wyszywanek przedstawiających urwisko Chione w różnym wydaniu: zimą, wiosną, latem i jesienią. A może nie wyszłam dlatego, że czekałam, aż Justine przemówi powie cokolwiek, w mojej głowie albo

poza nią... ale tak się nie stało.

- Mam na imię Bettina - powiedziała cicho kobieta głosem gładkim niczym tafla lodu. - Ale możesz mi mówić Betty.

9

_ Twoja babcia jest niewidoma - powiedziałam kilka godzin później, kiedy tłum w restauracji wreszcie się przerzedził.

- Tak - potwierdziła Paige, wycierając kieliszek do wina.

- Ona nie widzi - upewniłam się. - Zupełnie nic.

- Zgadza się.

- No dobrze... w takim razie skąd wiedziała, kim jestem? Paige rozejrzała się dokoła, po czym zaciągnęła mnie do pustego kąta za kontuarem.

- Dwa lata temu babcia Betty miała bardzo ciężki wypadek - wyszeptała. - Od tamtej pory nie jest taka jak dawniej.

- Co to był za wypadek? - zapytałam.

- Dobre wieści - rozległ się męski głos, zanim zdołała odpowiedzieć.

Spojrzałyśmy na drugą stronę baru, gdzie stał Garrett, trzymając w ręku dwa bilety.

- Dave Matthews. W Portland. Dziś wieczorem.

- Myślałam, że bilety na koncert rozeszły się wiele miesięcy temu ~ odezwałam się, bo patrzył na mnie.

Uruchomiłem parę kontaktów i odpaliłem pośrednikowi "Zesne za przyszły rok. -

Garrett zaczął się wycofywać. - Wiem,

że jesteś zajęta, dlatego jeszcze nie odmawiaj. Najpierw się zastanów.

- Oho, kogoś trafiła strzała wakacyjnego Amora - mruknęła Paige, kiedy sobie poszedł. - On jest całkiem miłutki. Powinnaś pójść.

Pomysł wyjścia w celach rozrywkowych był dla mnie zbyt dziwny, żeby w ogóle go rozważać.

- Możemy wrócić do tematu? Mówiłaś o swojej babci.

- Ach tak. - Paige znowu wzięła się za wycieranie kieliszków.

- Poszła pływać podczas sztormu.

- O matko.

- Nie żartuję. - Paige potrząsnęła głową. - Przed wypadkiem babcia Betty spędzała w wodzie więcej czasu niż poza nią. Pora roku ani temperatura wody nie grały roli. Jeśli tylko woda nie była zamrznięta, ona pływała. Właściwie z tego powodu znalazła się w Winter Harbor. Wychowała się w Kanadzie, a na Wybrzeże trafiła podczas podróży, w którą wybrała się z przyjaciółmi. Była tak podekscytowana, że woda nie jest skuta lodem, tak jak w innych równie daleko wysuniętych na północ miejscach w środku zimy, że postanowiła zostać tu na zawsze.

- To się nazywa motywacja do uprawiania sportu.

- Albo raczej uzależnienie, które może człowieka wpędzić w kłopoty. - Spojrzała na mnie. - Pamiętasz, jak będąc małą dziewczynką, liczyłaś sekundy między błyskiem a grzmiotem pioruna? A im dłuższa przerwa, tym bardziej oddalała się burza? Pokiwałam głową, nie przyznając, że robiłam to właściwie jeszcze całkiem niedawno.

- Tego dnia, kiedy babcia postanowiła skoczyć do oceanu ze skarpy za naszym domem, błyski i grzmoty następowały równocześnie. Burza szalała bezpośrednio nad nami. Tłumaczyła, że to było coś, co musiała zrobić, co rzecz jasna niczego nie wyjaśnia. I od tamtej pory nie wracała do tematu. Gdy czwórka mężczyzn przy stoliku po drugiej stronie sali ryknęła śmiechem, Paige podniosła głowę. Musiała obiecać Żarze wolny weekend, żeby przekonać ją do ściągnięcia z siebie minispódniczki i założenia służbowego fartuszka, ale w końcu się udało. Wtedy już czekałam w samochodzie. Uścisnęłam dłoń Betty i pochwaliłam jej haft, po czym uciekłam stamtąd w pośpiechu. Paige i Zara pojawiły się dziesięć minut później i wsiadły razem do czerwonego mini coopera Zary, aby Paige miała pewność, że Zara nieoczekiwanie nie obierze zupełnie innej trasy. Teraz wszystko wróciło już do normy. -Po tym zdarzeniu babcia nigdy już nie była taka sama -kontynuowała Paige. - Straciła wzrok, a wypadek wpłynął też na jej pozostałe zmysły. Kiedy jeszcze była pod powierzchnią, pomyślała, że umiera, bo nie widziała nic; słyszała za to odgłosy deszczu, szum fal, pełzanie krabów i śpiew wielorybów. W szpitalu nie mogła ujrzyć zdumienia na twarzy lekarza, ale za to usłyszała, jak mówi: „będzie żyła”... słyszała też pacjenta oddychającego za pomocą respiratora w sali obok i zatrzymanie akcji

serca innego pacjenta na piętrze poniżej. -Niesamowite.

-Wiem. Sądziłyśmy, że te jej absurdalne twierdzenia ustaną, gdy już wróci do domu, a trauma minie, ale ona wciąż upierała się, że słyszy ryby bulgocące w oceanie, róże kwitnące na podwórzu przed domem, listonosza idącego kilka kilometrów dalej.

Potem zaczęła wyczuwać wszystko węchem i dotykiem, normalnie emerytka o nadludzkich zdolnościach! Żartowałyśmy, że pewnego dnia zobaczymy ją lecącą po niebie w purpurowym kosiumie

kąpielowym i ręczniku plażowym obwiązanych wokół szyi jak peleryna.

- To dlatego wiedziała, kim jestem, chociaż mnie nie widziała?

- zapytałam. - Dzięki swoim superzmysłom?

- Możemy się tylko domyślać. - Odstawiła wypolerowany kieliszek i nachyliła się do mnie. - Nikt spoza rodziny nie wie, że babcia Betty wskoczyła prosto w paszczę rozszalałego żywiołu, a po wypadku nigdy tak w pełni nie przysła do siebie.

Każdemu, kto zapyta, Raina mówi, że babcia ma typowe dla wieku kłopoty zdrowotne i jest zbyt słaba, żeby wychodzić z domu. Jej zdaniem to łatwiejsze niż ciągle zmaganie się z pytaniami, na które nie znamy odpowiedzi... i wiem, że byłaby wdzięczna, gdyby nasz mały rodzinny sekret sekretem pozostał.

- Nie ma sprawy - skinęłam głową. - Możesz na mnie liczyć.

- Dzięki. - Paige uśmiechnęła się, po czym zerknęła na telewizor przymocowany do ściany nad barem. - O, codzienna dawka dołujących faktów.

Podążyłam za jej spojrzeniem z nadzieją, że nie spostrzegła, jak krew odpłynęła mi z twarzy. Przyjemny dla ucha głos prezenterki sprawił, że wszyscy, którym nic nie zasłaniało ekranu, przerwali rozmowę i spojrzeli w stronę telewizora.

- Policja w Winter Harbor ma tego lata ręce pełne roboty - zakomunikowała. -

Zamiast zajmować się typowymi sezonowymi problemami, jak nadużywanie alkoholu przez nieletnich czy nielegalne nocne imprezy na plaży, miejscowe władze zmagają się z szeregiem pozornie niepowiązanych ze sobą zgonów. Paige potrząsnęła głową.

- Pierwsza ofiara, osiemnastoletnia Justine Sands, która od września miała rozpocząć studia w Dartmouth College, zginęła w wyniku skoku z urwiska. Paul Carsons,

przedsiębiorca

i ojciec trójki dzieci, zginął na skutek wywrotki łodzi podczas gwałtownej burzy.

Charles Spinnaker, radca prawny i ojciec pięciorga dzieci, utonął podczas łowienia ryb zaledwie piętnaście metrów od brzegu.

Gdy zdjęcia ofiar pojawiały się kolejno na ekranie, skupiałam się na oddychaniu.

- Zwłoki czwartej ofiary, Aarona Newberga, prezesa i dyrektora naczelnego firmy farmaceutycznej ImEx, Inc., znaleziono dziś rano przed budynkiem Portowego Centrum Odnowy Biologicznej „Latarnia Morska” w Winter Harbor. Podejrzewa się, że śmierć pana Newberga również nastąpiła w wyniku utonięcia, choć władze wciąż jeszcze prowadzą w tej sprawie śledztwo.

Spot informacyjny zakończył się nagle, a na ekranie pojawiła się lista numerów kontaktowych dla ewentualnych świadków, wszystko to sprawiało wrażenie równie rutynowego jak wiadomości drogowe czy prognoza pogody.

- Hej - odezwała się Paige, dźwigając na blat kosz szklanek i odwracając moją uwagę od telewizora. - Która godzina? Zerknęłam na zegar wiszący nad zlewem za moimi plecami.

- Dochodzi dziesiąta.

Skrzyżowała ramiona i złożyła je na krawędzi kosza.

- Hm, to dziwne.

Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem przez całą salę jadalną. Serce skoczyło mi gwałtownie, a potem na chwilę jakby zamarło.

Skoczyło, kiedy zobaczyłam Olivera siedzącego w sekcji Zary -dwie godziny przed czasem - i rozglądającego się po sali, a nie wpatrzonego w widok za oknem. To właśnie musiało zwrócić uwagę Paige.

A zamarło na widok Simona, który stał w holu i również rozglądał się po sali.

- No, no, ale przystojniak - mruknęła Paige, gdy do mnie pomachał. Zmrużyła oczy. - Czy to nie Simon Carmichael?

- Tak, to on. - Cieszyłam się, że Paige nie odziedziczyła nadprzyrodzonych zdolności sensorycznych po babci Betty, bo dzięki temu nie mogła słyszeć naglej arytmii mojego serca.

- Wow. A mówi się, że studia rozwijają umysł. Niesamowicie się zmieniał.
- Mogłabyś zająć się Oliverem? - zapytałam. — Za sekundę jestem z powrotem.
- Nie spiesz się. - Sięgnęła do kieszeni fartucha po podkładkę i długopis i posłała mi promienny uśmiech. - Po dniu, w którym Jonathan przyjdzie po mnie do pracy, nie zobaczysz mnie przez następny tydzień.

Zanotowałam w pamięci, żeby później zapytać o Jonathana. Moja lista pytań do Paige wydłużała się i obejmowała też inne kwestie, a mianowicie: co stało się z dziadkiem Paige, co o tym wszystkim myśli jej ojciec, o co chodzi z wyszywanekami przedstawiającymi urwisko Chione, skąd babcia Betty знаła moje imię i dlaczego Justine najwyraźniej chciała, żebym ją poznała.

Na odpowiedzi musiałam zaczekać.

- Co się stało? - zapytałam, podchodząc do Simona. W pierwszej chwili uśmiechnął się na mój widok, ale teraz znowu spoważniał.
- Cześć - przywitał się. - Przepraszam, że tak się zjawiam bez uprzedzenia, ale musiałem się z tobą zobaczyć.

Z jego wyrazu twarzy jasno wynikało, że nie mówi tego w sensie romantycznym, jak ktoś, kto usycha z tęsknoty, dlatego zdziwiło mnie, że mimo to jego słowa wywołały mrowienie w moich rękach, jakby ktoś przeciągnął po nich piórkiem. - Nie ma sprawy. Co się dzieje?

Rozejrzał się dokoła, jak gdyby ktoś rzeczywiście mógł nas usłyszeć pośród setki osób na sali, i zbliżył do mnie. Stał tak blisko, że widziałam plamki na szklach jego okularów i drobne włoski na linii szczęki. -Caleb dzwonił.

Odniosłam wrażenie, że szum wokół nas ucichł. -Gdzie on jest? Nic mu się nie stało?

-Nie wiem. Nie odezwał się. Nie rozpoznałem numeru, a kiedy odebrałem, przez kilka sekund słychać było lekki, nierówny oddech, jakby był w ruchu. A potem, w chwili kiedy zdawało się, że zacznie mówić, usłyszałem inny głos. Kobięcy.

Wymówiła imię Caleba, a potem połączenie się zerwało. Do restauracji weszła pięćosobowa rodzina, łagodnie odpychając nas na bok. Gdy się odsuwaliśmy, mój wzrok natrafił na lustro za stanowiskiem hostessy. Wstrzymałam oddech, przekonana, że zobaczę Justine spoglądającą na mnie ze szklanej tafli, otoczoną mieniącą się

srebrzystą mgiełką. -Sprawdziłem ten numer w internecie. Odwróciłam wzrok od pustego lustra.

-Nie było go na żadnym wykazie, więc spróbowałem się tam dodzwonić. Po kilku pierwszych próbach nikt nie odebrał, ale wreszcie słuchawkę podniósł leśniczy.

-Leśniczy? Jak to leśniczy?

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

-Z Ośrodka Leśnego „Bohaterka”.

Przestały do mnie docierać rozmowy i śmiech gości. Wydało mi się, że Simon i ja jesteśmy jedynymi osobami w całej restauracji.

- W żadnych innych okolicznościach nawet nie myślałbym

o tym, żeby jechać - powiedział. - Zresztą jego pewnie i tak już tam nie ma. Ale to pierwszy trop, na jaki trafiliśmy. Nie mogę tak po prostu sobie odpuścić.

Zdołałam skinąć głową. Stał teraz tak blisko mnie, że czułam zapach miętowej pasty do zębów w jego oddechu.

- Pojedziesz ze mną? - zapytał cicho.

Poczułam, że moje tętno przyspiesza. Oprócz urwiska Chione ośrodek „Bohaterka” był ostatnim miejscem, do którego chciałabym się wybrać. Ale jeśli to oznaczało szansę na znalezienia Caleba - i spędzenie całego dnia z Simonem - nie było innego miejsca, w którym powinnam się znaleźć.

- Zaraz wracam - oznajmiłam, rozwiązując fartuszek. Wybiegłam z holu i ruszyłam w stronę baru. Paige tam nie było; szybki rzut oka na salę pozwolił mi stwierdzić, że rozmawia z Oliverem. Nie mogłam zniknąć, nie mówiąc jej o tym, ale nie mogłam też do nich podejść i znów przebywać w towarzystwie dziwnego starszego człowieka. Zaczekałam, aż Paige się odwróci,

l wtedy do niej pomachałam.

- Wszystko w porządku? - zapytała, kiedy doszła do mnie.

- Będzie w porządku - odparłam. - Pod warunkiem że mnie nie znienawidzisz.

- To niemożliwe.

- Nawet jeśli teraz sobie pójdę? Na cały dzień? Spojrzała przez ramię w stronę holu.

Gdy znów obróciła się do mnie, oczy jej błyszczały.

- Wychodzisz z Simonem?

Po chwili milczenia skinęłam głową.

-Szczęściara. - Chwyciła mnie za ramiona i ścisnęła. - Gdyby tylko w „Latarni” dawali Jonathanowi chociaż minutę na myślenie o tak romantycznych gestach! -Na pewno nie masz mi tego za złe? - zapytałam, dopisując związek między Jonathanem a „Latarnią Morską” do mojej wciąż wydłużającej się listy pytań.

- Miałabym ci za złe, gdybyś n i e poszła. Co prawda, jest jedna osoba, która miałaby nieco więcej obiekcji...

Zerknęłam na siedzącego w oddali za jej plecami, wpatrującego się w nas Olivera.

- Kiedy zobaczył, że to nie ty przychodzisz odebrać zamówienie, prawie potraktował mnie swoim popisowym numerem dla Zary.

To kompletnie nie miało sensu. Powiedziałam do niego góra dziesięć słów, a on z każdym kolejnym wyglądał na coraz bardziej niezadowolonego.

-Ale jeśli teraz nie pójdziesz z Simonem, to cię zwolnię.

Uśmiechnęłam się.

-Wrócę tak szybko, jak się da.

-Jesteśmy tu już ponad pięćdziesiąt lat - stwierdziła beztrąsko, ruszając pędem w stronę kuchni. - Będziemy tu, kiedy wrócisz.

Idąc przez salę w stronę holu, spuściłam wzrok; byłam już nie więcej niż kilka metrów od Simona, gdy musiałam przystanąć. Chwyciłam się krawędzi najbliższego stolika i zmrużyłam oczy. Atak bólu był tak silny, tak intensywny, jakby ktoś oblał mi włosy naftą, po czym przystawił zapałkę. -Co ci jest? Chcesz usiąść?

Otworzyłam jedno oko na tyle szeroko, by dostrzec młodego °jca w niebieskiej baseballówce przyglądającego mi się uważnie.

Brwi miał zmarszczone z zaniepokojenia, co - jak uznałam -było całkiem miłe z jego strony, zważywszy, że mój kciuk wylądował zaledwie parę centymetrów od jego talerza z naleśnikami z nadzieniem jagodowym.

- Nic jej nie jest.

Oderwałam dłoń od stolika, żeby obiema rękami chwycić się za głowę.

- Prawda, że nic ci nie jest, Vanesso?

Wszystkim innym, którzy usłyszeli głos Zary, prawdopodobnie wydał się on zupełnie normalny, a nawet słodki. Jakbyśmy byli przyjaciółkami, które znają się na tyle dobrze, by Zara wiedziała, że moje bóle głowy są przelotne i nie trzeba zwracać na nie uwagi. Ale ja miałam wrażenie, jakby ktoś wbijał mi młotkiem metalowe gwoździe prosto w czaszkę.

- Hej - powiedział łagodnie Simon, a ja poczułam na twarzy jego ciepły oddech, kiedy objął mnie w pasie. - Mam cię.

Z każdym krokiem pulsowanie w mojej głowie ustępowało. Gdy dotarliśmy do drzwi wejściowych, udało mi się całkiem otworzyć oczy; obejrzałam się za siebie, żeby zobaczyć śledzącą nas wzrokiem Zarę. Ramiona skrzyżowała na piersi, a jej zwężone oczy przypominały długie srebrzyste szparki.

- Znasz ją? - zapytałam Simona. Nigdy o niej nie wspominał, ale oboje wychowali się w Winter Harbor; bardzo możliwe, że chodzili nawet do tej samej szkoły.

Obejrzał się za siebie i westchnął.

- No wiesz, trudno jest nie znać Zary Marchand.

10

Przez dziesięć minut jazdy do Ośrodka Leśnego „Bohaterka” zastanawiałam się, co takiego ma w sobie Zara, że trudno jej nie znać. Mnie trudno było jej nie znać z tego względu, że od pierwszego spotkania zdawała się pałać do mnie niechęcią, a wynikające z tego zaniepokojenie wywoływało u mnie oślepiające bóle migrenowe, które pojawiały się zawsze, kiedy była w pobliżu. Ale najwyraźniej sposób, w jaki oddziaływała na mężczyzn czy nastoletnich chłopców, był zupełnie inny. A więc co to było? Jej wygląd? Urok osobisty, który włączała jak światło, kiedy miała na to ochotę? A może jakaś specjalna miłosna mikstura, którą dolewała im do napoju, gdy nie patrzyli? Bo przecież musiało chodzić o coś więcej niż srebrzyste oczy i przelotny wpływ seksapilu.

Pięć minut jazdy poświęciłam na rozmyślanie o tym, dlaczego tak bardzo obchodziło mnie, że jej działanie nie ominęło Simona.

Na szczęście cała jazda trwała tylko piętnaście minut. Zanim zdołałam zrobić

cokolwiek, czego mogłabym później żałować, na przykład zapytać Simona, co konkretnie miał na myśli, mówiąc

to, co powiedział przed wyjściem z restauracji „U Betty”, podjechaliśmy do zardzewiałej, powykrzywianej bramy ośrodka.

- Po co? - rzucił pytanie, kiedy samochód stanął. - Po co miałby tu przyjeżdżać?

Kiedy wysiedliśmy, rozgoniłam myśli o Żarze. Na moje oko nie było powodu, dla którego Caleb miałby tu być. Nie było żadnego powodu, dla którego ktokolwiek miałby tu być. W latach czterdziestych XX wieku ośrodek „Bohaterka” był ściśle chronioną bazą wojskową, uchodzącą za jedną z uroczych wiosek rybackich Nowej Anglii, co miało na celu zmylenie zbliżających się statków i samolotów nieprzyjaciela. Na przestrzeni lat z bazy wojskowej przeistoczył się w miejsce dla poszukujących dreszczyku emocji dzieciaków, gdzie mogły bawić się choćby w „Pytanie czy zadanie”. W latach dziewięćdziesiątych, po tym jak na plaży przynależącej do ośrodka i pobliskich szlakach znaleziono kilka ciał, urzędnicy państwowi uznali, że surowe warunki panujące na tym terenie - gęsta mgła, wysokie fale przybojowe, rumowiska skalne - są zbyt niebezpieczne dla pieszych turystów i pływaków, i zamknęli ośrodek na cztery spusty. Teraz słyszało się o nim tylko wtedy, gdy nowo przybyła grupka ciekawskich urlopowiczów próbowała przekonać się na własnej skórze, czy to miejsce faktycznie jest tak straszne, jak sugerowałaby jego reputacja, a w lokalnym dzienniku rozpisywano się o ich niezgodnych z prawem wybrykach.

- Będziemy musieli przez nią przeskoczyć - stwierdził Simon, szarpnąwszy kilkakrotnie za kłódkę i łańcuchy zabezpieczające bramę. Odwrócił się do mnie. - Chyba że wolisz zaczekać w samochodzie.

Potrząsnęłam głową. Czekanie samotnie w aucie albo pozwolenie, żeby sam rozglądał się po ośrodku, nie wchodziło w rachubę.

Simon podciągnął się na rękach na wysokiej żeliwnej bramie. Kiedy wspiął się na szczyt i zeskoczył na ziemię po drugiej stronie, obiema rękami chwyciłam za pordzewiałe pręty, a pomiędzy nie wcisnęłam tenisówki. Wspinałam się, podciągając się na rękach i klinując stopy w wąskich szczelinach między prętami.

- To nie ma wiele wspólnego z chodzeniem po drabinie - stwierdziłam, dotarłszy na szczyt. Żeliwne pręty były ostro zakończone, więc jeśli nie chciałam chodzić po ośrodku z podziurawionym żołądkiem, nie mogłam się teraz obrócić i zastosować tej samej techniki do schodzenia na drugą stronę. To, że właśnie zaczęło padać i dłonie ześlizgiwały się z zimnego metalu, wcale nie pomagało.

-Wcale nie jest tak wysoko - zapewnił Simon. - Złapię cię. W moim przekonaniu skok z wysokości dwóch i pół metra był raczej sporym wyzwaniem, ale faktycznie nie miałam wyboru. Wykorzystując całą swoją siłę, by utrzymać ciało przynajmniej parę centymetrów ponad szpikulcami, ustawiłam stopy na krawędzi i skoczyłam.

-Jesteś całkiem twarda jak na dziewczynę z miasta - stwierdził Simon, gdy wylądowałam po drugiej stronie bramy. Próbowałam się uśmiechnąć, ale byłam zbyt świadoma jego ramion pod moimi pachami, jego dłoni na mojej talii, naszych stykających się klatek piersiowych oraz tego, że automatycznie nie zwolnił uścisku, mimo że moje stopy stały już bezpiecznie na ziemi.

-Tam jest budka telefoniczna - zauważyłam wreszcie. Puścił mnie i odwrócił się. Automat znajdował się obok starego baraku, w którym dawniej mieścił się punkt informacyjny. Ciężko było wyobrazić sobie turystów wchodzących do tego rozpadającego się budynku bez dachu po broszury i mapki tras wycieczkowych. Jeszcze trudniej było wyobrazić sobie Caleba stojącego w tym miejscu zaledwie kilka godzin wcześniej.

- Nie działa - stwierdził Simon, kiedy podbiegł do automatu i podniósł słuchawkę. Odłożył ją i spróbował znowu. - Zero sygnału. Zero brzęczenia. Nic.

Dołączywszy do niego, uniosłam poszarpaną końcówkę zerwanych przewodów telefonicznych.

- Wygląda na to, że ktoś się o to postarał - stwierdziłam.

- Dziwne. Sprawdziłam to w sieci. Na terenie ośrodka jest tylko jedna linia telefoniczna, którą państwo zostawiło na wypadek, gdyby pogoda zakłóciła sygnały radiowe podczas comiesięcznych wizyt straży leśnej.

- Najwyraźniej osobie, z którą przyjechał tu Caleb, kimkolwiek była, zależało na jego niepodzielnej uwadze.

Usta Simona ułożyły się w prostą linię, kiedy odkładał słuchawkę na widełki.

Okrażył mały budynek, po czym siłą otworzył drzwi. Gdy zniknął w środku, zrobiłam krok naprzód. Co jeśli osoba, której zależało na niepodzielnej uwadze Caleba, ciągle tam była? Ukrywając się w chatce, czekając na kolejną ofiarę? Czy nie powinniśmy zadzwonić po wsparcie? Albo czy nie powinniśmy chociaż zabrać ze sobą małych nożyczek lekarskich z apteczki w samochodzie Simona? Albo...

- Pusto.

Odetchnęłam z ulgą, gdy znów pojawił się w drzwiach.

- Tylko trochę liści i starych gazet.

Poszedł pospiesznie gruntową ścieżką, a ja ruszyłam truchtem, żeby za nim nadążyć, rzucając baczne spojrzenia to w lewo, to w prawo. Na każdym kroku widoczne były ślady złożonej niejako z dwóch etapów przeszłości ośrodka. Zaledwie kilka metrów od ścieżki wyrastały betonowe bunkry artyleryjskie oplecione winoroślą. Tu i ówdzie z przerośniętej roślinności wystawały zapadające się stoły piknikowe i metalowe kosze na śmieci. Ściany podłużnych, prostokątnych budowli zdobiło czarne graffiti. Gdyby Caleb próbował się ukryć, żadne inne miejsce nie mogło nadawać się do tego lepiej. -Główne budynki są na skarpie. - Simon rzucił przez ramię, odbijając na prawo, w inną gruntową ścieżkę prowadzącą w górę, odchodzącą od tej, którą szliśmy dotychczas. Z trudem wyłapywałam jego słowa pośród szumu deszczu. Teraz padało szybciej i mocniej. Kiedy ru jechaliśmy, niebo było przejrzyste, ale od tamtej pory pociemniało. Poprzez bujne sklepienie liści nad naszymi głowami widziałam gęste, szare kłęby przetaczające się znad oceanu. Gdy dziesięć minut później dotarliśmy do końca ścieżki na szczycie skarpy, czapa chmur opadła niżej, deszcz lał się zimnymi strumieniami, a w ziemię uderzały pierwsze błyskawice.

-Jakim cudem nie byliśmy na to przygotowani?! - wrzasnęłam, doganiając Simona na krawędzi urwiska. Ulewa była tak potężna, że ciężko było stwierdzić, gdzie kończy się niebo, a zaczyna ocean. Nie mogłam nawet dojrzeć plaży pod nami. -Przed wyjazdem sprawdzałem prognozę! - Simon krzyknął w odpowiedzi. - Zapowiadali możliwe burze z piorunami. Weszłam za nim do budynku ukrytego pośród drzew, kilka metrów od krawędzi skarpy; z zewnątrz przypominał kościółek, zwieńczony

prowizoryczną wieżą i imitacją witrażowych okien. Simon wyciągnął z kieszeni polaru latarkę i poświecił nią po pomieszczeniu, jasny snop padł na drewniane piętrowe prycze przymocowane do ścian - puste, jeśli nie liczyć pokrywających ich liści i gałęzi - oraz stary śpiwór.

Sceneria była doskonała do kręcenia horroru, jednak, o dziwo, pomieszczenie wydało mi się dość przytulne. Zachęcające, Jak miejsce, w którym dwójka ludzi mogłaby z powodzeniem zaszyć się na kilka dni i zająć wyłącznie sobą, gdyby przyszła im na to ochota.

- Nie jest to, co prawda, centrum odnowy „Latarnia Morska”

- stwierdził Simon, wyglądając na deszcz - ale przynajmniej uchroni nas przed przemoknięciem.

Gdy stałam tak tuż obok niego, a serce łomotało mi jak szalone, nie potrafiłam stwierdzić na pewno, czy to dlatego, że chwilowo utknęliśmy w dawnej bazie wojskowej w środku szalejącej burzy, czy może dlatego, że jego bliskość odbierałam teraz zupełnie inaczej.

- Tego w prognozie nie zapowiadali - wytłumaczył się Simon, a jego oczy napotkały moje. - Według wskazań radaru meteorologicznego miało nie być nawet śladu takiego zjawiska atmosferycznego, ani tutaj, ani nigdzie w pobliżu.

- Burza zwykle nie przemieszcza się z taką prędkością, co?

- To prawda. - Odwrócił wzrok na ścianę deszczu. - Ale oprócz tego zaobserwowano zwiększenie częstotliwości sztormów, to samo dotyczy ich nasilenia. A meteorolodzy są niezmiennie zdumieni, bo nic nie zapowiada ich nadejścia.

- Tak jak wtedy nad urwiskiem Chione? Też sprawdzałeś prognozę i pogoda miała być ładna, prawda?

- Dokładnie tak samo. A dzisiaj, i we wszystkich poprzednich przypadkach, niebo zmieniło się z błękitnego w czarne zupełnie bez ostrzeżenia, jakby Matka Natura nagle zgasiła światło, żeby nikt nie widział, jakich zniszczeń zamierza dokonać.

Właśnie to usiłuję zbadać. Bo meteorolodzy tego nie pojmują. Państwowy Instytut Meteorologiczny tego nie pojmuje. Moi profesorowie też tego nie pojmują. A gdy już pojmą, zniszczenia, jakie wyrządzi pogoda, mogą

sięgnąć milionów dolarów. Wiele miast może zostać zdewastowanych...

pochłoniętych więcej ludzkich istnień.

Więcej ludzkich istnień.

-I myślisz, że to nie kwestia jednego pechowego lata? - zapytałam. - Kolejna anomalia pogodowa będąca efektem globalnego ocieplenia, która wytrąca planetę z równowagi? -Chciałbym, żeby wyjaśnienie było tak proste. Niestety, te burze, mimo że tak potężne, występują tylko na ściśle ograniczonym obszarze. Wybrzeże Północno-Zachodnie znajduje się mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej co górna część Wybrzeża Północno-Wschodniego, a model meteorologiczny w tamtym regionie jest zupełnie normalny w porównaniu z innymi okresami letnimi. - Spojrzał na mnie. - Pamiętasz, jak szalały fale, kiedy Mark i jego kumple pływali na deskach? Albo jak poruszał się przypyływ? Skinęłam głową.

-Sądzę, że te zjawiska są ze sobą powiązane: nadczynność oceanu i występowanie sztormów. Nie wiem jak ani dlaczego, ale zamierzam to rozgryźć. Od jakiegoś czasu jeżdżę wzdłuż wybrzeża stanu Maine, rejestruję występowanie przypyływów i odpływów, poziom zasolenia wody, współczynnik pH, codzienne warunki pogodowe - wszystko, co mogłoby pomóc znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego dzieje się to, co się dzieje, i dlaczego w takim miejscu i czasie. -To dość spory problem do rozwiązania dla jednej osoby. Opuścił wzrok.

-Tylko że ja nie działam w pojedynkę. Przynajmniej już nie.

Poczułam, jak ciepło rozlewa mi się po policzkach, jakby przez grubą warstwę chmur przebiły się promienie letniego słońca. -A zresztą muszę się tym zajmować. Nie mogę się tym nie zajmować. - Zrobił pauzę, a kiedy odezwał się znowu, jego głos był łagodniejszy. - Gdyby to lato było takie jak każde inne, Justine wciąż byłaby wśród nas. Gdyby to lato było takie jak każde inne, Caleb nie ukrywałby się Bóg wie gdzie. To lato z całą pewnością nie było takie jak każde inne. I kiedy cienkie drewniane ściany zatrzęsły się od grzmotów, a deszcz jeszcze głośniejsze zadudnił nam nad głowami, zaczęło do mnie docierać, że Simon może mieć rację.

- Słyszysz to? - zapytał chwilę później.

Wstrzymałam oddech i wsłuchałam się w szum. Na dworze zawieja i deszcz ustały, a

powietrze stopniowo znieruchomiało. Za moment znów zerwał się wiatr. Kiedy gwizdał poprzez szpary w ścianach i szarpał za to, co zostało z drzwi wejściowych, zrobiło się zimno, tak zimno, jakby temperatura na zewnątrz gwałtownie spadła o kilkanaście stopni. Parę sekund później zaczął padać deszcz. Na początku nie mogłam go dosłyszeć przez łomotanie własnego serca, ale po chwili ulewa zyskała na szybkości i nasileniu, trzęsąc stropem, jakby po dachu galopowało stado łosi.

Wkrótce hałas był tak nieznośny, że przygotowałam się na to, że za chwilę kościółek oderwie się od fundamentów i poszybkuje spiralą do nieba z nami w środku.

- Czy to grad? - zawołałam, gdy Simon złapał mnie za rękę i odciągnął od drzwi.

Nie odpowiedział. Dotarłszy do lewego rogu na tyłach pomieszczenia, opadł na podłogę i pociągnął mnie za sobą. Powietrze zrobiło się tak zimne, że nasze oddechy natychmiast zmieniały

obłoki pary. Wtedy Simon zdjął polar, opatulił mnie i przyciągnął blisko do siebie.

Był to rodzaj opieki, jaką zaoferowałby każdy troskliwy brat w podobnej sytuacji... z tym że ja nie czułam się jak młodsza siostra Simona. Pomyślałam, że gdyby przysunął twarz choćby o dwa centymetry bliżej mojej, a nasze usta przypadkiem otarłyby się o siebie, prawdopodobnie nawet bym nie spostrzegła, jak kościół odrywa się od ziemi. -Myślę, że najgorsze mamy za sobą - wyszeptał kilka minut później.

Otworzyłam oczy i uniosłam głowę z jego piersi. Budynek wciąż stał na swoim miejscu. Poprzez szpary w zniszczonych drzwiach widać było krople deszczu kapiące z drzew, ale nie z nieba. Z każdą chwilą robiło się coraz jaśniej i cieplej, gdy słońce zaczęło przebijać się przez rzędzące chmury. -Nic ci nie jest?

-Nie wiem - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Bo dopiero co przetrwaliśmy niecodzienny atak Matki Natury, a przecież jeszcze musieliśmy znaleźć Caleba... jedyne, o czym mogłam myśleć, to to, że nie chcę się stąd ruszać.

-Zimno ci? Coś cię boli? Nic na ciebie nie spadło?

-Nie. - Zmusiłam się, żeby odsunąć się od Simona i wstać. -

Jestem tylko trochę oszołomiona.

-No wiesz - powiedział Simon - za tą potężną chmurą kryje się promyk nadziei: jeśli

Caleb tu był, zanim rozpętała się burza, to nadal musi tu być; w takich warunkach nie mógłby zajść daleko.

Wysłałam za nim na zewnątrz. Budując bazę, wojsko najwyraźniej się postarało: nie było żadnych namacalnych dowodów tego, co się właśnie wtedy przetoczyło, poza świeżą warstwą liści i gałęzi pokrywających gruntową ścieżkę. Prowizoryczna wieża wciąż wieńczyła dach imitacji kościółka, a pozostała część budynku też nie ucierpiała.

- Pozwolisz, że zanim wznowimy poszukiwania, zrobię kilka pomiarów? - zapytał Simon. - To zajmie góra trzy minuty

- No jasne. Nie krępuj się.

Wyglądał tak, jakby zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale odwrócił się i ruszył w dół skarpy. Trzymałam się kilka kroków za nim. Skarpa była stroma, ale piaszczysta, nie kamienista, dzięki czemu schodzenie było dość łatwe. Kiedy dotarliśmy do plaży, Simon wyciągnął z plecaka niewielki notes i plastikową kasetkę i podbiegł do wody. Ocean nie wrócił do stanu sprzed sztormu równie szybko jak niebo i fale nadal biczowały brzeg. Nie spuszczać Simona z oczu, zatrzymałam się niedaleko skarpy, żeby nie dać się opryskać morskiej bryzie. Simon pobrał kilka próbek wody i coś zanotował. Z trzech minut zrobiło się pięć, potem siedem i dziewięć. Po dziesięciu minutach ruszyłam przed siebie plażą, co chwila odwracając się za siebie, żeby się upewnić, że Simon ciągle jest w tym samym miejscu i że nic mu nie grozi. Gdy dotarłam do skupiska niewysokich skał, skąd mogłam dobrze widzieć Simona i wodę, ostrożnie wspięłam się po kamieniach i usiadłam. Zamknęłam oczy i przechyliłam głowę do słońca. Potrzebowałam czasu, żeby to wszystko ogarnąć. Wiele się dotychczas wydarzyło i działo nadal, ale to nie znaczyło, że pozwolę się przytłoczyć. Cokolwiek czułam do Simona, było to zupełnie naturalne, biorąc pod uwagę, jak wiele czasu spędzaliśmy razem w tak niecodziennych okolicznościach. Na pewno czułabym to samo wobec strażaka, który wyciągnąłby mnie z płonącego budynku albo policjanta, który odzyskałby moją skradzioną torebkę. Wiedziałam, że emocje prędzej czy później będą musiały wrócić do normy.

Otworzyłam oczy, kiedy zimna morska woda dosięgnęła czubków moich tenisówek -

w tej sytuacji opanowanie nie wchodziło w grę.

-Simon - wyszeptałam.

Chciałam zawołać, wykrzyknąć jego imię na całe gardło. Chciałam zeskoczyć ze skał, popędzić w górę skarpy i znaleźć się możliwie jak najdalej od tego miejsca. Ale skoro nie byłam w stanie zrobić żadnej z tych rzeczy, chciałam już tylko zamknąć oczy i otworzyć je później - najchętniej kilka godzin później, jeśli trzeba - kiedy woda cofnęłaby się, zabierając ze sobą wszysrko, co przesuwiała teraz po piasku zaledwie kilka centymetrów od miejsca, w którym siedziałam.

.Ale nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam zrobić dosłownie nic. Całe moje ciało zeszywniało, jakby pokryła je gruba warstwa lodu. -Simon - spróbowałam znowu, ledwie poruszając ustami. -Simon.

Nie wiem, jak mnie usłyszał, ale w kilka sekund znalazł się przy mnie.

-Vanessa? Co się...

I wtedy on też zastygł w bezruchu.

Z wody wyłaniało się pozbawione życia ramię, będące częścią pozbawionego życia ciała, i sięgało w stronę skał. Ciało odwrócone było twarzą do dołu, jednak po kształcie widać było, że należy do mężczyzny.

-Simon... - nabrałam powietrza, a moje oczy napełniły się łzami.-Czy ro...?

-Nie - powiedział ponuro. - Jest za duży. Z resztą Caleb nie nosi zegarka.

zdołałam przenieść wzrok z fioletowego ramienia na spuchły nadgarstek, gdzie niczym szkiełko na plaży połyskiwała

w słońcu srebrna bransoleta. Sekundę później o brzeg uderzyła wysoka fala, która spływając z powrotem wzdłuż skał, wróciła silnym strumieniem i obróciła ofiarę na plecy. Odwróciłam wzrok, czując, że Simon otacza mnie ramionami, ściąga mnie ze skały i prowadzi z dala od zwłok mężczyzny.

- Co mu się stało? - wyszeptałam, chowając twarz w zgięciu jego ramienia, by ukryć łzy, które potoczyły się po moich policzkach. - Co się stało z jego twarzą?

Przycisnął mnie silniej ramieniem, a drugą rękę delikatnie przytrzymał moją głowę, żebym się nie odwróciła i nie zobaczyła czegoś jeszcze.

- Chodźmy. W samochodzie zawiadomimy policję. Simon nie musiał się martwić, że

zobaczę coś jeszcze. Już i tak zobaczyłam za dużo. Kiedy wycie policyjnych syren i karetki pogotowia zbliżało się do ośrodka, osunęłam się w fotelu pasażera, zamknęłam oczy i myślałam o mamie, tacie, Paige, Żarze, restauracji „U Betty”, domku nad jeziorem - o kimkolwiek i czymkolwiek, co pozwoliłoby mi nie widzieć tego znowu. Ten mężczyzna, kimkolwiek był, umarł. Odszedł. Na zawsze.

Wyrzucony na brzeg. Jak ryba.

Gdy obróciła go fala, zobaczyłam, że oczy ma szeroko otwarte, a usta rozciągnięte w pełnym zadowolenia uśmiechu, jakby był powód do radości.

11

-Niewierze, że możesz tam tak po prostu leżeć. Podniosłam głowę i zobaczyłam Paige truchtającą w moją stronę po kamienistym brzegu.

-Jest dwadzieścia osiem stopni - odparłam. - Dwadzieścia osiem! To o dziesięć stopni więcej niż w najcieplejszy dzień, jaki tu ostatnio mieliśmy.

-I dlatego właśnie powinnaś iść popływać. - Rozłożyła ręcznik obok mojego i opadła na ziemię. - Przy takiej pogodzie można w zasadzie schnąć na wietrze i nawet nie zmarznąć. Opuściłam głowę na ręcznik i zamknęłam oczy. -Ja nie pływam.

-Jak to nie pływasz? Twoja rodzina ma domek w jednej z najpiękniejszych nadbrzeżnych miejscowości wypoczynkowych "a Wybrzeżu Wschodnim. Jak mogłabyś nie korzystać z największego z dobrodziejstw natury w Winter Harbor? Jedyne ~poza Restauracją Rybną „U Betty”, rzecz jasna - które od dziesięcioleci przyciąga tu serki odwiedzających? Obracając się w jej stronę, poczułam ciepło na prawym policzku.

"Chcesz poznać prawdę?

- Poproszę - odparła, kręcąc kosmyki włosów.

-W dzień taki jak dzisiaj, mimo wszystko, trudno ci będzie uwierzyć w moje powody. Zamilkłam na chwilę. Na dzisiejszy dzień, podobnie jak na kilka ostatnich, naprawdę składało się wiele kwestii, o których nie miałam ochoty wspominać. I nie chodziło o to, że nie zamierzałam wcale o nich mówić, ale po tym, co trzy dni wcześniej odkryłam w Ośrodku Leśnym „Bohaterka”, z całą pewnością w najbliższym czasie nie miałam w planach kąpieli w oceanie. Bez wątplenia lepiej było powiedzieć Paige

cokolwiek, niż pozwolić jej dochodzić do własnych wniosków. A poza tym wszystkim - to była Paige. Mogłam jej zaufać.

- Boję się wody - wyznałam wreszcie. - Nie zawsze tak było; jeszcze kilka lat temu jedyną rzeczą, której się nie bałam, była woda. Nie miało znaczenia, czy to był ocean, jezioro Kantaka, szkolny basen, czy cokolwiek innego. W wodzie zawsze czułam się swobodnie.., a nawet bezpiecznie.

Wyciągnęła się na swoim ręczniku kąpielowym i zwróciła twarz w moją stronę.

- Więc co się stało?

- Pewnego chłodnego czerwcowego dnia dwa lata temu moja rodzina i ja postanowiliśmy urządzić sobie piknik na strzeżonej plaży w Winter Harbor. Dzień wcześniej szalała tam straszna burza i fale były potężne. - Na krótką chwilę zamknęłam oczy, wyobrażając sobie błękit nieba, zieleń morskiej wody, włosy tatka jeszcze niepokorniej kręcące się od słonej bryzy. - Po drugim śniadaniu siostra rzuciła mi wyzwanie, bym weszła dowody.

- Nie wiedziałam, że masz siostrę - wtrąciła Paige. Odwróciłam wzrok. W chwili częściowej szczerości niemal zapomniałam, które sprawy wolę zachować dla siebie.

-Później - podjęłam z nadzieją, że Paige nie będzie dociekać, przyznała, że tylko żartowała. Ale w tamtej chwili myślałam, że mówi poważnie. A nie było... nie ma... wielu rzeczy, które są dla mnie gorsze od rozczarowania siostry. -Wiem, co masz na myśli - stwierdziła Paige z westchnieniem.

- Dlatego żeby uniknąć szarpania się z rodzicami, powiedziałam, że idę się przejść. Odeszłam plażą na odległość paruset metrów -na tyle blisko, żeby mnie jeszcze widzieli, i na tyle daleko, żeby dało się mnie pomylić z kimś innym, gdyby akurat śledzili mnie wzrokiem. - Zerwałam się na równe nogi i odskoczyłam, kiedy zimny jęzor fali sięgnął moich stóp. - To był kiepski pomysł-ciagnęłam. - Gdy tylko woda obmyła moje kostki, wiedziałam, że to kiepski pomysł. Ale i tak to zrobiłam. -Siostry - jęknęła Paige. - Błogosławieństwo i przekleństwo w jednym.

-Mówię poważnie - dodałam po chwili milczenia. Ufałam Paige, ale tak naprawdę nie musiała wcale wiedzieć, że zadowolenie Justine nie było głównym powodem, dla którego pozwoliłam, by woda mnie wciągnęła.

-Beacon Beach to plaża niestrzeżona - stwierdziła po minucie.-Udało ci się samej wydostać na brzeg? Koncentrowałam się na lalach, czując, że płoną mi policzki.

-Okazuje się, że pływanie jest dość mocną stroną sanitariuszy pogotowia.

Wzdrygnęła się.

-Ojej, Vanesso. Przykro mi, że musiałaś przez to przejść. Posłałam jej delikatny uśmiech.

-Tak czy inaczej, od tamtej pory nie pływam. Nadal uwielbiam ocean, ale jest dla mnie po prostu zbyt ogromny, rozumiesz?

Woda potrafi zmieniać kierunek, nabierać rozpędu i bez ostrzeżenia porwać cię za horyzont.

- A poza tym jest jeszcze kwestia wszystkich tych przerażających stworzeń czających się pod powierzchnią. - Paige wystawiła twarz do słońca. - Przed wypadkiem babcia zawsze mówiła, że znacznie swobodniej czuje się w wodzie niż na lądzie i jeśli nie wejdzie do wody przynajmniej na godzinę dziennie, fizycznie i psychicznie jest do niczego. Raina i Zara nie są aż tak uzależnione, ale płyną przynajmniej kilka razy w tygodniu, a odkąd Zara skończyła szkołę średnią, jeszcze bardziej w to wsiąkła. Ja lubię pływać, ale lubię też tańczyć. I chodzić do kina. I jeść płatki śniadaniowe na kolację. Od czasu do czasu fajnie jest popływać, ale to nie jest coś, bez czego nie mogłabym żyć.

- A czy przebywanie w oceanie kiedykolwiek przyprawia cię o niepokój?

- Raczej nie... może dlatego, że tak wiele czasu spędziłam nad oceanem, o ile akurat nie siedziałam w oceanie. Ale rozumiem, dlaczego u niektórych jego bliskość może wywoływać zaniepokojenie. Zwłaszcza tutaj i teraz, kiedy co chwila na brzeg wyrzucane są kolejne zwłoki.

Wstrzymałam oddech.

- Ale przejdźmy może do lżejszych tematów - powiedziała po chwili bardziej ożywionym głosem. - Jak choćby twoja siostra. Gdzie ona jest? Kiedy mogę ją poznać? Może mogłaby dać Żarze parę wskazówek co do jej postępowania?

Otworzyłam usta, przygotowując się, by powiedzieć, że Justine jest na letnim kursie w Szwajcarii albo że pracuje jako niania w Paryżu, albo rzucić jakieś inne niewinne

kłamstwo, które wyjaśniałoby jej nieobecność przez resztę lata. Zanim zdołałam na któreś się zdecydować, dostrzegłam Rainę stojącą u szczytu schodów prowadzących na plażę, obejmując ramieniem młodego, przystojnego mężczyznę. - Wow. Twoja mama to tutejsza Dem i Moore. Paige podążyła za moim wzrokiem, po czym poderwała się na nogi i pomachała.

-To nie Ashton Kutcher, tylko Jonathan. Kiedy pomknęła po piasku, potem w górę po stromych schodach i prosto w ramiona Jonathana, ruszyłam truchtem za nią, myśląc o Simonie. Wyjechał dzień po naszej wyprawie do ośrodka „Bohaterka”, żeby przeprowadzić więcej badań, i od tamtej pory się ze mną nie kontaktował. Nie wiedziałam, kiedy wróci, dlatego starałam się z całych sił o nim nie myśleć, ale przez to tylko zaczęłam się zastanawiać, dlaczego niemyślenie o nim przychodzi mi teraz z takim trudem. W każdym razie to było już lepsze od myślenia, że za nim tęsknię. A tęskniłam.

I to bardzo.

- Dzień dobry, pa ni Marchand - powiedziałam, czując, że robię się coraz bardziej przezroczysta, im jestem bliżej szczytu schodów. Raina miała na sobie krótką czerwoną sukienkę na ramiączkach, bora odsłaniała jej długie nogi i złocistą skórę, a jej ciemne włosy zwisały na plecach splecione w luźny warkocz. Gdyby jednak Jonathan był jej chłopakiem, wcale nie byłabym zaskoczona. -Vanesso - rzuciła chłodno - proszę, zwracaj się do mnie „panno Marchand”. „Pani” jest dobre dla tych nieszczęśniczek, które wierzą w instytucję małżeństwa.

-Tak jak ja - wtrąciła Paige, uwieszając się na szyi Jonathana.-Vanesso, poznaj, proszę, najwspanialszego chłopaka pod słońcem.

Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam rękę na powitanie, ale szybko ją cofnęłam, bo szczęśliwa para oddała się namiętym pocałunkom, jakby znalazła się nagle zupełnie sama w zaciemnionym pokoju. Zerknęłam na Rainę, spodziewając się grymasu dezaprobaty, i chwyciłam się drugą ręką za barierkę, kiedy zobaczyłam, że rozpiera ją duma.

- Jonathanie - powiedziała wreszcie Paige, w przerwie na zaczerpnięcie tchu - a to jest Vanessa, moja nowa najlepsza przyjaciółka i pokrewna dusza. Zara ma w niej

poważną konkurentkę.

- Bardzo miło mi poznać. - Uśmiechnął się do mnie, obejmując Paige w pasie i unosząc ją lekko z ziemi. - Wiele o tobie słyszałem.

Sądząc po ich wzajemnej obsesji, zastanawiałam się, skąd mogą mieć jeszcze czas, żeby w ogóle rozmawiać, ale mimo to na mojej twarzy pojawił się uśmiech. Może i nie wiedziałyśmy o sobie wszystkiego, ale faktem było, że Paige i ja jesteśmy sobie dość bliskie, tym bardziej że poznałyśmy się zaledwie parę tygodni wcześniej.

Cieszyłam się, że ona najwyraźniej widzi to w ten sam sposób.

-Jonathanie - odezwała się Raina, wsuwając mu rękę pod ramię i delikatnie odciągając od Paige - słyszałam, że jesienią zamierzasz pobic w maratonie. Powiedz mi coś więcej na ten temat. Nie da się ukryć, że sylwetkę masz raczej atletyczną...

- Czyż on nie jest przecudowny? - westchnęła Paige, gdy ruszyłyśmy parę metrów za idącą przodem dwójką. - I jakie to słodkie, że on i Raina zachowują się jak dobrzy przyjaciele, nie sądzisz?

- Faktycznie - stwierdziłam, widząc, jak Raina obejmuje Jonathana w pasie.

- A skoro już mowa o chłopakach - rzuciła Paige, gdy dotarliśmy do ganku, a Raina z Jonathanem zniknęli wewnątrz

domu - Zet znów znalazła sobie nowego. Nie to co ja, co to pciu miałam jednego jedynego chłopaka... ona kosi ich jak tornado pole kukurydzy.

-A kim jest jej nowy chłopak? - Biorąc pod uwagę zmienne usposobienie Zary, nie byłam pewna, czy spodziewać się faceta w typie schludnego turysty, czy odzianego w skóry harleyowca.

- Pokażę ci, ale musimy się pospieszyć. Zara miała dziś przedpołudniową zmianę.

Weszłam za nią do środka. Gdy ruszyłyśmy w stronę schodów, kątem oka uchwyciłam Rainę i Jonathana stojących przy kuchennym blacie. Matka Paige nalała mu do szklanki pomarańczowy sok, po czym oparła się o kontuar i filuternie przechyliła głowę w jego stronę, jakby to, co miał do powiedzenia, było najciekawszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszała. Zaśmiała się lekko, a moje skronie zapidsowały w odpowiedzi. Uczucie to ustąpiło, kiedy wbiegłam za Paige po schodach. -Gdyby wiedziała, co w tej chwili robimy, zatłukłaby nas bez mrugnięcia.

Stałam w pół kroku przed otwartymi drzwiami do sypialni Zary.

-W takim razie może nie powinnyśmy tego robić.

Ale Paige była już w pokoju i trzaskała szufladami biurka Zary.

-Na początek bestia rzuci się na mnie, więc będziesz miała fory.

- Hm, Paige? - Przyglądałam się, jak przerzuca papiery i wyciąga teczki. - Ale ja nie chcę mieć forów. Za wszelką cenę staram się unikać sytuacji potencjalnego zagrożenia życia.

Zerknęła na zegarek.

- Nawet jeśli wyszła o czasie, mamy jeszcze przynajmniej siedem minut.

Vanesso...

Odwróciłam się gwałtownie w lewo. Zabrzmiało to tak, jakby Justine stała tuż przy mnie, ale korytarz był pusty. Moja kochana, najśłodsza Vanesso...

Nie słyszałam jej głosu od kilku dni i nie potrafiłam stwierdzić, czy teraz czuję strach, czy ulgę. Wszystko będzie dobrze...

- Mam!

Zmusiłam się, żeby odwrócić wzrok od korytarza i zajrzeć do sypialni Zary. Paige siedziała na łóżku, triumfalnie wymachując w górze dwoma zeszytami. Mc ci się nie stanie...

Wiedziałam, że to szaleństwo poczuć się uspokojona jej słowami, ale tak rzeczywiście było, dlatego powoli przeszłam przez próg, z każdym krokiem czując silniejsze łomotanie serca. Przygotowałam się na natychmiastowy potworny atak bólu głowy, który - jak się zdawało - zawsze mnie dopadał, kiedy Zara była w pobliżu, ale tym razem nie nadszedł. Teraz, gdy ból nie zakłócał mi myśli, niepewnie rozejrzałam się po wnętrzu, zwracając uwagę na białą narzutę, śnieżną biel spływającego na łóżko baldachimu, toaletkę zastawioną kryształowymi buteleczkami perfum. Przy ścianie okien wychodzących na ocean stał biały stół, a na nim szklany wazon pełen róż. Paige poklepała miejsce na łóżku, zapraszając mnie, żebym się przysiadła.

- Widzisz, Zara lubi myśleć o sobie jako o pięknej, wyrafinowanej i tajemniczej... ale chcesz wiedzieć, jaka jest naprawdę; To głupia gęś. Dowód numer jeden.

[siadłam na łóżku i wzięłam do ręki mniejszą z dwóch książek.

'; vie en rose"? Potarłam kciukiem nadruk wytłoczony na białej skórzanej okładce.

-Życie w różowym kolorze - podsumowała Paige. - No otwórz.

Nagle w lustrze toaletki naprzeciwko nas coś błysnęło. -Raczej nie - odparłam, oddając jej książkę.

- Nie musisz się bać, jesteśmy na suchym lądzie - zapewniła, biorąc ode mnie księgę.

- Tutaj nie ma straszliwych głębinowych stworzeń.

-Przecież przed chwilą mówiłaś, że Zara by nas za to zatłukła.

-No dobra. - Wyciągnęła przed siebie książkę, tak żeby ją dobrze widzieć, i zaczęła przewracać kartki. -Wygląda na pamiętnik.

-Dokładnie. Z jedną różnicą... - Wskazała na prawy górny róg pośrodku dziennika.

-Min

- Kwiecień - wyjaśniła, a jej srebrzyste oczy zaskrzyły się. - To wszystko jest napisane po francusku.

Wyglądała na przejętą tym faktem, ale ja nie rozumiałam, o co jej chodzi. -No i?

-No i Zara miała w szkole hiszpański. Obie się go uczyłyśmy.

Dalej nie rozumiałam, a czasu było coraz mniej.

-Po prostu nauczyła się innego języka. Może kupiła sobie jakieś podręczniki na płytach albo wzięła udział w kursie internetowym.

- No dobra, ale chodzi o to, że ona zapisuje najbardziej skryte myśli w najpiękniejszym, najbardziej wyrafinowanym i romantycznym języku świata. Bo taka właśnie jest, albo raczej chce być: piękna, wyrafinowana, przez wszystkich pożądana.

- OK - odparłam, chociaż przypuszczałam, że prawdziwym powodem, dla którego Zara zapisywała swoje najskrytsze myśli w „najpiękniejszym, najbardziej wyrafinowanym i romantycznym języku świata”, było to, że nie chciała, by jej wścibska młodsza siostra mogła je przeczytać.

- Niestety, nigdy nie mogłam się do niego dorwać na tak długo, żeby przetłumaczyć którykolwiek z wpisów, ale kiedy znalazłam to, tłumaczenie stało się zbędne.

Druga księga była większa od pierwszej, a jej pikowana różowa okładka była obszyta delikatną białą koronką. Na samym środku okładki znajdowała się kieszonka z

okienkiem, a w kieszonce zdjęcie Zary stojącej nad urwiskiem za domem na tle oceanu, Miała na sobie białą letnią sukienkę do kostek, a wiatr tańczył w jej ciemnych włosach.

-Jest piękna - stwierdziłam. Mimo że była złośliwa i marudna i nie znosiła mnie bez żadnej logicznej przyczyny, temu nie dało się zaprzeczyć.

- Patrz - powiedziała z przejęciem Paige, otwierając okładkę.

- Album z wycinkami?

- Też prowadzisz coś takiego?

Potrząsnęłam głową. Mama przez lata zachęcała mnie do założenia takiego albumu, ale w moim przekonaniu nie dokonałam ani nie doświadczyłam niczego tak bardzo wartego zapamiętania. Co innego Justine - na jej album z wycinkami składały się dwa opasłe tomy, a oba wypełniały setki biletów na wyciągi narciarskie, biletów lotniczych, certyfikatów i błękitnych wstążek za liczne osiągnięcia szkolne.

- Z jednej strony takie albumy są tandetne, ale z drugiej to całkiem niezła zabawa - mówiła dalej Paige. - Do mojego wklejam typowe rzeczy - bilety do kina, kartki urodzinowe, liściki od przyjaciół. Ale Zara ma zupełnie inne podejście. Na pierwszej stronie albumu Zary był kolaż zdjęć przedstawiających ją samą. Justine miała coś podobnego, z tym że na jej zdjęciach widniały także inne osoby. Jednak dopiero na drugiej stronie albumu wyraźnie było widać odmienne podejście Zary.

-Ale dużo włosów.

-To Xavier Cooper - oznajmiła Paige. - Powiem ci, że na żywo wcale nie ma ich tak dużo. Po prostu wydaje się, że jest ich mnóstwo, bo zdjęcie jest ogromne.

-Dlaczego jest takie wielkie? - Portret zajmował całą stronę, przez co czułam niemal skrępowanie, jakby Xavier naprawdę był tu z nami, z głową spoczywającą na kolanach Paige. -Bo widzisz, Vanesso... kiedy spotykasz się z Zarą Marchand, kiedy uda ci się zbliżyć do takiego bóstwa, a może nawet przez jakiś czas nazywać ją swoją, twoja gęba zasługuje na taki format. -Wow.

-Tak, tak. Xavier i Zara spotykali się jakieś dwa lata temu, z tego, co ja i wszyscy inni

wiedzą, przez mniej więcej trzy tygodnie. Zaczął się za nią uganiać między zmianami w restauracji, a gdy wydawało się już, że właściwie to mogliby być parą, spławiła go. Totalnie się na niego wypicia. Biedaczysko autentycznie za nią bał, pytał, co u niej słyhać i czy nie miałyby ochoty wybrać się gdzieś z nim po pracy, a ona nie odzywała się ani słowem.

Całe szczęście, że jego rodzina przyjechała tylko na jedno lato Szybka i ostateczna ucieczka to najlepsze, na co można liczyć kiedy ktoś rozrywa ci serce na kwadrylion kawałków.

- A mimo to dostała mu się cała strona? Z tego, co mówisz, nie uważała łączącej ich relacji za coś ważnego.

- Tak też myśleliśmy. - Obróciła kartkę. - Ale byliśmy w błędzie.

- Lody od „Eddiego”? - Papierek po waflowym rożku pożółkł ze starości, ale rozpoznałam go natychmiast.

- „Tam, gdzie się wszystko zaczęło” - odczytała Paige z zapisanej odręcznym pismem notatki pod trofeum. - „Dwudziesty maja, Dziś widziałam Xaviera. Był w pracy. Zamówiłam czekoladowego shakea i zdecydowałam, że to ten”.

- To ten?

- Słabe, co? Ale od dwudziestego maja minęły prawie dwa miesiące, zanim ktokolwiek zauważył, że coś jest na rzeczy. Popatrz: źdźbło trawy z ich pierwszej przechadzki po parku. Rachunek z kawiarni, w której po raz pierwszy trzymali się za rękę. Puste pudełko po tic-tacach, z którego zjadła miętówkę, zanim pocałowała go ten pierwszy raz. Prawie z każdego dnia między dwudziestym maja a dniem, kiedy się połapaliśmy, że się spotykają, jest jakiś dziwny pamiątkowy przedmiot. -

Przerzuciła parę kartek. - A teraz patrz na to: kartka z życzeniami, na której napisał:

- „Zawsze będę Cię kochał...” - dokończyłam za nią. -Będę Cię kochał. Kochał.

Zawsze. I tydzień po tym, jak jej to powiedział, ona nie może poświęcić mu ani chwili uwagi.

- Przykre.

- A ukoronowaniem tej niezwyklej wystawy głupoty jest km

- wskazała na tekst zapisany drobnym drukiem pod kartką-

-,Początek: dwudziesty maja. Koniec: dwunasty sierpnia. W sumie: osiemdziesiąt cztery dni".

-Policzyła dni od papierka po lodach do kartki z życzeniami i zapisała liczbę dni jak jakieś nagrobne epitafium. Kto robi takie rzeczy? - Przerzuciła parę kartek naprzód. - I dokładnie ten sam schemat powtarza się w przypadku każdego chłopaka. Zdjęcie, dziwaczne pamiątki, jakaś deklaracja miłości i - bach. Po zawodach. Koniec gry. To faktycznie przypominało jakąś grę i wydawało się wyjątkowo okrutne, nawet jak na Zarę.

-Jedyne, co się zmienia, to facet i długość związku. A każdy kolejny wybór to jak strzał kulą w płot. To, że padło na Xaviera, jeszcze jakoś da się zrozumieć, bo był od niej starszy, bardzo lubiany przez urlopowiczów w miasteczku i naprawdę zachwycający. Ale ten koleś? - Przeszła na stronę z Maksymem Hawkinsem, bliżej końca albumu. Wyglądał na o wiele starszego od Xaviera, w dolnej wardze miał trzy kolczyki, a powieki zwisały mu tak nisko, że sprawiał wrażenie na wpół uśpionego. - On nie tylko nie jest w typie Zary, ale to facet z kategorii tych, którzy zwykle sztychają z panienek takich jak ona. W końcu wyznał jej miłość, zapisując to markerem na pudełku po płycie, ale ich związek - czy jakkolwiek by to nazwać - zaczął się dwudziestego piątego sierpnia, a skończył dwunastego września. Czyli trwało to dziewiętnaście dni. Pomyślałam, że to o całe dziewiętnaście dni dłużej niż którykolwiek z moich związków, gdy nagle w okolicy lewej skroni poczułam narastający tępy ból. -Chyba Zara wróciła. -Naprawdę? - Paige zerknęła na zegarek. -Wydaje mi się, że słyszałam trzaśnięcie drzwi od samochodu. -Opanowując potrzebę przyciśnięcia palców do pulsującego coraz silniej punktu na skroni, odczułam ulgę, kiedy Paige zamknęła album i pomknęła do okna w korytarzu.

- Koniec gry! - pisnęła. Wpadła z powrotem do pokoju, a jej srebrzyste oczy błyszczały z podniecenia, że o mały włos nie została przyłapana na gorącym uczynku. Pamiętnik odłożyła do szuflady, a album z pikowaną okładką na górną półkę wysokiej białej biblioteczki. - Właśnie wysiadła z samochodu. Chwyliła mnie za rękę i pociągnęła za sobą w stronę drzwi. Nie udało mi się równie szybko opuścić

sypialni i gdy Paige wybiegła na korytarz, ja stanęłam w pół kroku.

- Co jest? - Spojrzała na mnie. - Co się dzieje?

Stałam nieruchomo w pokoju Zary. Wstrzymałam oddech i obejrzałam się powoli przez ramię. Trzy ściany, poza jedną, którą tworzyły sięgające od podłogi aż po sufit okna wychodzące na ocean, pokrywały równie wysokie lustra. Nie zauważyłam ich do tej pory, ponieważ całą ich długość zasłaniały śnieżnobiałe kotary. Okna były zamknięte, ale kotary, które wcześniej - gdy razem z Paige siedziałyśmy na łóżku - wisały bez ruchu, teraz się poruszały, falistym ruchem unosząc się znad lustrzanej tafli. Odślaniały eksplozję srebrzystych świateł, jakby przed każdą ścianą luster stało stu paparazzi i jednocześnie błyskało fleszami aparatów.

- Paige! - Napięcie eksplodowało w mojej głowie, gdy z podnóża schodów rozległo się nawoływanie Zary, jednak ledwie zwróciłam na to uwagę. - Jak będziesz się dziś wieczorem widziała z Louisem, przekaz mu ode mnie parę ciepłych słów!

Zanim Paige puściła moją dłoń, ścisnęła ją mocno. Jeśli widziała błyski, nie dała tego po sobie poznać.

- Pójdę poskromić bestię. Spotkamy się w moim pokoju.

Ruszyłam za Paige, gdy pobiegła w stronę schodów, ale kiedy była w połowie, zawróciłam. Po wyjściu zamknęła za nami drzwi do pokoju Zary i teraz ujrzałam, że lawendowy chodnik na korytarzu podświetlała jaskrawa biel wydostająca się przez szparę w drzwiach.

Żeby go odnaleźć, on sam musi tego chcieć... Stałam przed zamkniętymi drzwiami, a serce tłukło mi się w piersi. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było przekroczenie progu sypialni Zary, ale zdawało się, że moje ciało porusza się, nie konsultując się z mózgiem. Coś ciągnęło mnie z powrotem do środka. Coś silnego, coś, co nie troszczyło się, czy Zara mnie w nim nakryje, czy też nie.

-To tylko dyskotekowa kula - wyszeptałam, kładąc rękę na gałce u drzwi. - To tylko dyskotekowa kula odbijająca promienie popołudniowego słońca.

Gdy otworzyłam drzwi, musiałam zasłonić rękami zmrużone oczy i odwrócić się. Cały pokój wypełniała oślepiająca srebrzysta mgła. Czekałam z obawą, że serce lada chwila wyskoczy mi z piersi. Po kilku sekundach mgła przerzedziła się i powoli

mogłam otworzyć oczy. Kiedy można już było zajrzeć do środka bez kulenia się, przestąpiłam próg.

Zasłony kołysały się w moją stronę, gdy poruszałam się w migoczącej chmurze. Błyski światła wciąż tańczyły po powierzchni luster, jednak były teraz drobniejsze, delikatniejsze. Jakby miejsce paparazzi zastąpił milion maleńkich światełek. Jedno ognisko światła nie przygasło. Z górnej półki białej biblioteczki bił silny strumień, który przypominał przebijający się przez mgłę snop światła latarni morskiej. Już dobrze, Yaneso... Nic ci nie grozi... Jestem tutaj...

- Nie mam pojęcia, co robię - wyszeptałam łamiącym się głosem. - Nie wiem, co chcesz, żebyś zrobiła. Podeszłam do biblioteczki, a mój mózg panicznie nakazywał mi zawrócić, zostawić to wszystko i wybiec z pokoju, jak najszybciej uciec z tego domu. Ale stopy kroczyły dalej. Nie zatrzymały się, dopóki nie stanęłam przed biblioteczką tonącą w srebrzystym obłoku.

On chce, by go odnaleźć... oślepia go blask... Moje dłonie drżały, kiedy wyciągałam w górę ręce. Przygotowałam się na jakieś okropne doznanie w chwili, gdy palce dotkną koronkowej okładki - przeszywający ból, palenie na skórze, na to, że całe moje ciało zamieni się w płamę na podłodze - jednak dłonie, o dziwo, nagle przestały drżeć. Zdjęłam z półki album z wycinkami, oparłam ostrożnie o zgięte ramię, a drugą ręką zaczęłam przewracać kartki. Minęłam stronę z Xavierem Cooperem. Aleksem Smithem. Johnem Martinsonem. Trevorem Klempem. Żakiem Holbrookiem. Erikiem Parksem. Maksem Hawkinsem. I co najmniej kilkunastoma innymi, których Zara w sobie rozkochala, a potem rzuciła. Przewracałam kartki, aż dotarłam do ostatniego zdjęcia, a wtedy opadłam wraz ze światłem na kolana. - Caleb Carmichael - wymamrotałam cicho. Wydawał się młodszy niż wówczas, kiedy go ostatnio widziałam na szczycie urwiska, więc uznałam, że to szkolne zdjęcie musiało zostać wykonane rok wcześniej. Uśmiechał się. Wyglądał na szczęśliwego. Poczułam ogromny żal na myśl o nim, tym młodszym, szczęśliwszym Calebie, który nie miał pojęcia, z czym przyjdzie mu się zmierzyć zaledwie kilka miesięcy później. Dalej, Yaneso... zobacz, co dalej...

Zmusiłam się, by przewrócić kartkę, nie chcąc ujrzeć tego, co miało nastąpić. Zara,

wybierając obiekty westchnień za każdym razem, prędzej czy później, trafiała w dziesiątkę. Jeśli wzięła sobie na cel Caleba, nawet gdy zrobiła to, zanim coś zaiskrzyło między nim a Justine, nie chciałam o tym wiedzieć. Nie chciałam wiedzieć, co wspólnie robili, ani jak długo trwało, zanim owinęła go sobie wokół palca. Nie chciałam wiedzieć, że zależało mu na kimkolwiek innym tak samo, jak zależało mu na mojej Justine.

- „Pierwszy maja” - odczytałam na głos. Data początkowa była wypisana różowym tuszem pod papierową serwetką z granatową kotwicą na środku i napisem „Portowe Centrum Odnowy Biologicznej „Latarnia Morska«”, biegnącym wzdłuż jej górnej krawędzi. Poza datą na kartce widniało jeszcze tylko jedno słowo. Bingo.

-Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, po prostu masz to zrobić! - Zara była coraz bliżej. Przerzuciłam pozostałe kartki, czując ulgę i konsternację, gdy okazało się, że są puste. Caleb był ostatnim celem w albumie, a serwetka stanowiła jedyną pamiątkę wiążącą go z Zarą. Musisz iść, Wanesso... teraz...

Jednym ruchem zamknęłam album, poderwałam się na równe nogi i odłożyłam go na górną półkę biblioteczki. Srebrzyste światło rozmyło się, śnieżnobiałe zasłony zwisały teraz prosto i nieruchomo, osłaniając puste tafle ściennych lusterek. Wszystkie cząsteczki mojego ciała znów zdawały się funkcjonować jak jeden organizm, a kiedy mózg nakazał ucieczkę, stopy usłuchały. Wypadłam z pokoju, zamknęłam za sobą drzwi i dotarłam do drugiego końca korytarza dokładnie w chwili, gdy Zara zaczęła wchodzić po schodach.

Nie byłam pewna, który pokój należy do Paige. Nie chcąc się pomylić, zastygłam w bezruchu, przykucnąwszy za donicą z małym drzewkiem. Kiedy Zara weszła na szczyt schodów wstrzymałam oddech, a w skroniach poczułam nowy zastrzyk bólu. Przystanąła nagle i przekrzywiła głowę na bok, jakby nasłuchując. Stała odwrócona do mnie plecami, ale gdy zrobiła krok w prawo zamiast naprzód, w stronę swojego pokoju, dałam nura do najbliższego pokoju i ostrożnie zamknęłam za sobą drzwi.

- Słyszysz to?

Obróciłam się powoli. Babcia Betty siedziała na szezlongu zwrócona twarzą do mnie. W jednej ręce trzymała igłę, a w drugiej częściowo wykończoną robótkę, jednak obie

dłonie spoczywały nieruchomo na kolanach. Uśmiechnęła się, kiedy jej oczy utkwiły w pustej przestrzeni nad moją głową.

- Ona mówi do ciebie. Przełknęłam ślinę.

- Kto? - zapytałam tak cichutko, że przez chwilę nie byłam pewna, czy w ogóle wypowiedziałam to słowo. Odsunęłam się od drzwi, jakbym wierzyła, że im bliżej stanę babci Zary, tym mniejszą krzywdę wyrządzi mi jej wnuczka. A to dlatego, że nadprzyrodzone zdolności słuchowe Betty najwyraźniej pozwalały jej wyłapać, jak Zara, idąc korytarzem, wymawia moje imię. Słyszała jej oddech, stłumione kroki kierujące się w tę stronę. Potrafiła wyczuć gniew Zary automatycznie wywołany moją obecnością i przeczuwała, że wydarzy się coś złego, bardzo złego.

Mętne oczy Betty przeniosły się powoli z przestrzeni nad moją głową i zatrzymały, zrównując się z moimi oczami.

- Ona mówi do ciebie, Yanesso - powtórzyła. - Twoja siostra. Justine.

Czekał

12

Ciała Williama O'Della i Donalda Jeffriesa znaleziono zeszłej nocy przy skupisku skał na Beacon Beach, w miejscu cieszącym się szczególną popularnością wśród surferów, piętnaście kilometrów na północ od Winter Harbor. Podobno, zanim natrafili na nie funkcjonariusze lokalnej policji, zwłoki leżały tam już od kilku dni".

Siedziałam w zaparkowanym volvie, patrząc, jak dwie dziewczynki pędzą razem z matką do SUV-a. -Piszą o tym w „The Globe”, Vanesso. W „The Globe"! Ludzie giną tam praktycznie każdego dnia, a ja muszę czekać, aż bostoński dziennik podchwyci ten temat, żeby dowiedzieć się prawdy! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Dziewczynki ubrane były w pasujące do siebie żółte letnie sukienki i niosły książeczki z obrazkami. Dziesięć lat temu to mogłyśmy być my: Justine i ja. Na samą myśl poczułam ucisk w żołądku.

-Mam nadzieję, że nie spędzasz tak dużo czasu z Simonem, że jesteś nieświadoma tego, co się dookoła dzieje. Nie pozwolę, by jeszcze jeden chłopak Carmichaelów skrzywdził moją córkę, rozumiesz?

- Mamo, nic mi nie jest. - Odwróciłam wzrok od dziewczynek i chwyciłam za klamkę. - Wszystkie te wypadki miały związek z wodą. Przecież wiesz, że ja nie zbliżam się do wody.

- Twoja siostra nie skakała z urwisk, zanim nie zaczęła zadawać się z tym całym Calebem.

- Przepraszam... masz gdzieś tam tatę? Chcę go zapytać o kran w kuchni.

- Ostatni raz, kiedy przekazałam ojcu słuchawkę, wykorzystałaś go, żeby wykonał za ciebie brudną robotę. Będziesz mogła z nim porozmawiać, ale dopiero kiedy skończymy. Zmarszczyłam brwi. Naprawdę potrzebowałam porozmawiać z tatkiem, opowiedzieć mu o wszystkim, co się zdarzyło, wyznać, że boję się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, bo nie było nikogo innego, komu mogłabym o tym powiedzieć... ale doszłam do wniosku, że nie jestem w stanie wytrzymać kolejnych dwudziestu minut rozmowy z mamą, żeby móc wreszcie zwierzyć się ojcu. A zresztą czekał na mnie Simon.

- Nieważne, muszę lecieć. Zadzwoń później - rozłączyłam się, zanim zdążyła zaprotestować. Wyciszyłam dzwonek w telefonie i popędziłam do biblioteki miejskiej w Winter Harbor.

- Vanesso, bardzo przepraszam - powiedział Simon, gdy dotarłam do sali w przyziemiu. Wstał i przelotnie mnie uścisnął. - Nie zamierzałem siedzieć tu tak długo. Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

- Wszystko dobrze - odparłam, cały czas mając świadomość, że chociaż już mnie puścił, nadal czuję mrowienie w ramionach.

- Zresztą teraz już jest lepiej.

Dostrzegłam ślad jakiejś ekspresji, która przemknęła po jego twarzy, kiedy opuszczał wzrok, ale w przyćmionym świetle piwnicy nie potrafiłam jej rozszyfrować.

- Jak poszły badania? - zapytałam. - Udało ci się znaleźć odpowiedzi na któreś z pytań?

- Właściwie tak. - Wysunął dla mnie metalowe składane krze-

- zanim sam zajął miejsce. - Ile razy burze nadciągały nad tę okolicę, kiedy mnie nie było?

- Cztery. - Nawet nie potrzebowałam czasu, żeby się nad tym mówić. Teraz przynajmniej raz na dzień niebo robiło się czarne jak w środku nocy.

-A wiesz, ile razy burza przeszła nad Ashville? Nad Gouldsboro i Coreą?

-Cztery? - strzeliłam. Spojrzał na mnie. -Ani razu.

-Ale przecież te miasta są oddalone od nas zaledwie o kilka kilometrów.

-We wszystkich miasteczkach w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów od Winter Harbor każdego dnia świeciło słońce, a temperatura powietrza wynosiła dwadzieścia jeden stopni. Mój wzrok przebiegł po słupkach liczb odpowiadających wysokości temperatury i oznaczeniach przypisanych rodzajom warunków pogodowych wypełniających zeszyt, który Simon trzymał przede mną.

-Nie rozumiem - powiedziałam. - Te burze nie zawsze są długie, ale za to niesłychanie gwałtowne. Jak to możliwe, że nie idą dalej?

-Nie mam pojęcia. - Zamknął zeszyt.-Wiem tylko tyle, że zarówno początek, jak i koniec mają nad Winter Harbor 'nigdzie indziej.

-Czy z naukowej perspektywy takie zjawisko nie jest przypadkiem niemożliwe?

- Niemożliwe nie, ale wielce nieprawdopodobne. Niestety, pogoda nie jest jedyną kwestią, którą musimy rozwikłać. - Przesunął po blacie gruby czarny segregator, otworzył go i przewrócił na koniec. - Nie wspominałem o tym, bo sądziłem, że i tak mieliśmy wystarczająco dużo wrażeń jak na jeden dzień, ale kiedy policjanci przeszukiwali plażę przy ośrodku „Bohaterka”, używali określenia „pozostali”. Zmarszczyłam czoło. Nie chcąc, żebym ponownie znalazła się na miejscu wypadku, Simon nalegał, abym została w samochodzie, i sam zaprowadził funkcjonariuszy na plażę. Bez względu na to, co wtedy usłyszał, przez cztery dni zmagał się z tym sam.

- Na początku przyjąłem, że mówią o pozostałych ofiarach z ubiegłych tygodni - ciągnął dalej - ale potem zaczęli rzucać datami. Czerwiec 1970. Sierpień 1975. Wrzesień 1983. Maj 1987. Sierpień 1989. Kiedy zapytałem, o czym mówią, poprzestali na wyjaśnieniu, że nigdy wcześniej nie było sytuacji o takim wymiarze, ale na przestrzeni lat podobne wypadki miały już miejsce.

- Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek ktoś o czymś takim wspominał.

- Ja też nie. I nie ma ani śladu o tych śmiertelnych, powiązanych z wodą wypadkach

w starych wydaniach dziennika „Winter Harbor Herald”. - Odwrócił segregator i przesunął go w moją stronę. - Ale spójrz, co znalazłem tutaj.

- „Orin Wilkinson, lat dwadzieścia pięć - odczytałem - ukochany syn i brat, odszedł na zawsze na swojej łódce, w okolicy przystani w Winter Harbor. Według relacji rodziców najszcześniejszy był wtedy, gdy łowił ryby, a gdy był na wodzie, na jego twarzy zawsze gościł uśmiech, nawet po śmierci”.

-Ta notatka pochodzi z maja 1987 roku. - Podsunął mi inny segregator - Ta z kolei z czerwca 1992 roku.

-Jack Fleischman, lat dwadzieścia dziewięć, znaleziono go leżącego bez życia na desce surfingowej na bostońskim moło LongWharf, z szerokim uśmiechem na twarzy”.

-Maj 1998.

- Vincent Crew, lat dwadzieścia dwa, jego ciało znaleziono w pobliżu Beacon Beach, narty wodne miał nadal przypięte do stóp, jego twarz zastygła w uśmiechu”. -Lipiec 2003.

-„Lucas Fink, lat trzydzieści jeden, w dniu, w którym wybrał się, by nurkować z moło w Ashawagh, straż przybrzeżna znalazła jego ciało unoszące się na wodzie twarzą do góry; podobno wciąż się uśmiechał, być może do czegoś, co zobaczył podczas swojej ostatniej wyprawy pod powierzchnię”. - Spojrzałam na Simona i spotkałam się z jego wzrokiem. -Wszystkie znalezione ofiary uśmiechały się. -Tak samo jak Tom Connelly - stwierdziłam, przywołując nazwisko mężczyzny, którego zwłoki znaleźliśmy przy skałach. Nie czytałam artykułu w „Heraldzie”, ale nie dało się nie zauważyć jego nazwiska zajmującego niemal całą pierwszą stronę gazety. Simon wyciągnął kolejny segregator ze sterty leżącej na podłodze.

-Ta sytuacja wydarzyła się w zeszłym roku i chyba dręczy mnie najbardziej ze wszystkich.

Natychmiast rozpoznałam trzy kolczyki na dolnej wardze. -„Max Hawkins, lat dwadzieścia trzy, uwielbiał muzykę, filmy i jazdę na górskim rowerze. Jego ciało znaleziono w dokach nieopodal Restauracji Rybnej »U Betty; uśmiechał się szeroko, jakby właśnie zjadł miskę tamtejszej słynnej zupy rybnej”.

- Simon spojrzał na mnie. - Caleb i ja poznaliśmy go, kiedy łowiliśmy ryby na moło. Koniec końców wdaliśmy się z nim w dłuższą pogawędkę. Nie był szczególnie wesołym gościem i ani razu się nie uśmiechnął. Ani razu.

- Simon... - W uszach słyszałam łomotanie własnego serca, gdy wpatrywałam się w zdjęcie... to samo zdjęcie, które widziałam po raz pierwszy zaledwie dwa dni wcześniej. - Jakiś czas temu, kiedy powiedziałaś, że trudno jest nie znać Zary Marchand... co miałaś na myśli?

Oparł się na krzesło, najwyraźniej zaskoczony moim pytaniem.

- Chyba chodziło mi o to, że jest osobą, która właściwie nie pozwala ci o sobie zapomnieć.

- Jak? - zapytałam. - Jak nie pozwala ci o sobie zapomnieć? Spojrzał na mnie, zapewne zastanawiając się, dlaczego chcę to wiedzieć, tym bardziej teraz.

- No cóż, jest przepiękna, to na pewno.

Wdzięczna, że w słabym świetle przyziemnej sali bibliotecznej nie mógł dostrzec, jak policzki zalewa mi czerwień, spuściłam wzrok z powrotem na zdjęcie Maksa.

- Ale to rodzaj piękna, który odrzuca, sprawia, że czujesz się niezręcznie. Tak jak wtedy, gdy jesteś w muzeum sztuki i masz poczucie winy z powodu samego patrzenia, bo pracownicy ochrony śledzą każdy twój ruch. Ona o tym wie i nie ma oporów,

żeby to wykorzystać, żeby dostać to, czego chce.

- A czego ona chce?

- Głównie zainteresowania.

Opuściłam wzrok, który zatrzymał się na dacie śmierci Maksa.

Trzynasty września. Dzień po tym, jak Zara z nim zerwała.

-Znasz może gościa o nazwisku Cooper, Xavier Cooper? -zapytałam z wahaniem. - Albo Trevor Klemp? Albo Erie Parks?

-Te nazwiska nic mi nie mówią. - Pochylił się do przodu. -O co chodzi, Vanesso?

-O nic-odparłam. - Jestem pewna, że to nic takiego. - Pamiętaj, że rozmawiasz ze mną

- powiedział, przytrzymując mój wzrok. - Z Simonem Naukowcem. Wszystko warte jest rozważenia, nawet jeśli ostatecznie się to wyklucza. Czy rzeczywiście mogłam

liczyć, że Simon na chłodno rozważy moją sugesję? A może pomyśli, że jest zupełnie absurdalna? Że przemawia przeze mnie niezdrowa zazdrość? -Zara prowadzi album - oświadczyłam, zanim przyszła mi ochota zmienić zdanie. - Album miłosnych podbojów. Zapisuje początek i koniec każdej znajomości i zachowuje drobne pamiątki z każdej randki: źdźbła trawy, serwetki, pudełeczka po miętówkach i inne tego rodzaju drobiazgi. -Nie posądziłbym jej o sentymentalizm. -Nie jest sentymentalna - odparłam. - Z każdym facetem umawia się tak długo, dopóki on nie wyzna jej miłości. Wtedy z nim zrywa.

-Niekończąca się gra w kotka i myszkę? -Coś w tym stylu.

-OK... to coś nowego, ale niekoniecznie zaskakującego. Co to ma wspólnego z nimi?

- Skinął głową na gazety. -Jej pierwszym chłopakiem był niejaki Xavier Cooper.

Zaczęli spotykać się w maju, a wszystko skończyło się w sierpniu: osiemdziesiątego trzeciego dnia znajomości, kiedy podarował jej kartkę z wyznaniem miłości.

Osiemdziesiątego czwartego dnia przestała się do niego odzywać.

- Pamiętam, że przestał pojawiać się na moło mniej więcej w połowie sierpnia - stwierdził po namyśle Simon.

- Następni byli Trevor Klemp i Erie Parks. - Zrobiłam pauzę. - A po nich Max Hawkins.

Jego wzrok spoczął na wyblakłym zdjęciu Maksa w „Heraldzie”.

- Spotykali się przez dziewiętnaście dni. Dwunastego września wyznał jej miłość.

Podążył za moim wzrokiem do daty zamieszczonej przy zdjęciu Maksa.

- A trzynastego września jego ciało znaleziono przy restauracji „U Betty”.

- Nie mówię, że to ona doprowadziła ich do śmierci, że przez nią odebrali sobie życie... - Potrząsnęłam głową. - A może właśnie mówię. Sama nie wiem. W każdym razie Max nie żyje. Xavier nie żyje. Trevor i Erie może żyją, a może nie. A Maksa znaleziono z uśmiechem na twarzy...

- Tak jak Toma Connellyego.

- I może pozostałych też?

- A Orin Wilkinson? - zapytał. - Vincent Crew? I wszyscy inni, którzy zginęli w latach siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych, jeszcze zanim Zara przyszła

na świat? Co z nimi?

- No właśnie nie wiem.

Wyciągnął rękę i sięgnął przez stół. Przez chwilę trzymał ją tuż nad moją dłońią, po czym opuścił, by spoczęła nie dalej niż parę centymetrów od mojej dłoni.

- A co z Justine? - zapytał delikatnym głosem. - Została znaleziona jako pierwsza.

Skupiłam uwagę na jego dłoni, na zadbanych paznokciach, na nieznacznych zgrubieniach palców przy knykciach.

_ Byłaś tam, prawda? Widziałaś ją?

-Nie uśmiechała się - odpowiedziałam na jego następne pytanie, zanim zdążył je zadać. Opadł na oparcie krzesła.

-Nie twierdzą, że Zara nie jest w to w jakiś sposób zamieszana. Ten album mógłby być ciekawym dowodem w sprawie i nie wątpię w jej zdolność do realizacji wszelkich pomysłów, jakie zakiełkują w jej głowie, jakkolwiek szalone. Ale trzeba także wziąć pod uwagę wszystkie te burze, prądy, pływy, nienormalną aktywność atmosferyczną... -Jest tam zdjęcie Caleba. Milczał przez chwilę. -Słucham?

-W albumie jest zdjęcie Caleba. Był jej ostatnim celem i jedynym bez „daty końcowej”.

-Ale przecież Caleb nie znosi Zary. Nie wspominając już o tym, że szalał na punkcie Justine.

Nie miałam ochoty tego mówić, bo naprawdę nie chciałam wyobrazić sobie, że cokolwiek łączyło Caleba z Zará, jednak nie miało sensu zaprzeczać, że nie wiemy o naszym rodzeństwie wszystkiego, choć kiedyś byliśmy pewni, że znamy ich tak dobrze. -Justine nie złożyła papierów do Dartmouth - oznajmiłam wreszcie.

Utkwił we mnie spojrzenie, mrugając oczami, podczas gdy jego mózg starał się przetworzyć ostatnią irracjonalną informację, w sali zapanowała taka cisza, że słyhać było brzęczenie jedynej gołej żarówki wiszącej nad naszymi głowami. Oboje poderwaliśmy się, kiedy telefon komórkowy Simona zadzwonił i zawibrował równocześnie, przesuając się po metalowym blacie.

- Halo - powiedział do słuchawki. Wstał od stołu i podszedł do wąskiego wysokiego okna u szczytu oddalanej ściany. -Caleb, to ty?

Podniosłam wzrok znad nekrologu Maksa.

- Caleb, jeśli to ty, nie rozłączaj się. Zaraz znajdę lepszy zasięg.

- Gestem pokazał, żebym poszła za nim, i już po chwili zniknął na schodach prowadzących na górę.

Czując silniejszą niż kiedykolwiek potrzebę wydostania się jak najszybciej z ciemnej piwnicy, zamknęłam segregatory, chwyciłam plecak Simona i pobiegłam na górę.

Byłam w połowie drogi przez salę główną, kiedy zdałam sobie sprawę z obecności bibliotekarki siedzącej przy ladzie recepcyjnej, i zwolniłam ze sprintu do szybkiego marszu.

- Przykro mi - mówiła do stojącego przed nią mężczyzny - ale wypożyczył pan już pięć książek z naszych zbiorów. Gdy tylko przyniesie pan tamte, będę mogła wypożyczyć panu kolejne.

- Ale... pani nie rozumie... potrzebuję tych książek. Potrzebuję tych i tamtych pięciu, które wypożyczyłem wcześniej. -Jeszcze raz przepraszam, ale zna pan regulamin biblioteki, Oliverze.

Stałam jak wryta. Nie rozpoznałam go po głosie, bo nigdy go nie usłyszałam - w restauracji „U Betty” Oliver nigdy się nie odezwał. Jego milczenie wszyscy przypisywali zdziwaczeniu i kłopotom ze słuchem typowym dla starszego wieku, jednak teraz wyglądało na to, że doskonale słyszy zarówno własne słowa, jak i słowa bibliotekarki.

Przez przeszklone drzwi wejściowe widziałam Simona na parkingu, wciąż z telefonem przy uchu. Myśląc, że nic złego się nie stanie, jeśli pozwolę mu przez chwilę porozmawiać z bratem sam na sam, szybko skręciłam za wysoki regał i popędziłam wzdłuż niego. Kiedy zatrzymałam się przy drugim końcu regału, Oliver znajdował się zaledwie kilka metrów ode mnie. Zerkając przez szpary między książkami, dostrzegłam, że nie ma aparatu słuchowego.

-Oczywiście, że znam regulamin - zapewnił. - Przychodzę tu już od siedemdziesięciu lat i odkąd pamiętam, regulamin jest ten sam. Ale proszę panią o zrobienie wyjątku. Tylko ten jeden raz, tylko dla mnie.

-To prawda, że pańska karta wypożyczeń jest nienaganna. Ale gdybym poszła na

ustępstwo wobec pana, musiałabym tak samo potraktować każdego.

Gdy Oliver obejrzał się najpierw przez lewe, potem przez prawe ramię, skuliłam się lekko.

- Bez obrazy, Mary - zwrócił się do bibliotekarki - ale jak pani widzi, podobnie jak przez większość dni w roku, jestem tu tylko ja. Sądzę, że nikt nie musiałby o rym wiedzieć.

- Oliverze, bardzo pana proszę. Istnieją pewne reguły... - Czy pani nie widzi, co się dzieje? - zapytał ostrym tonem. Kiedy ja otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia, bibliotekarka Mary zacisnęła usta.

- Niebiosa atakują! - Oliver złożył obie ręce na ladzie i pochylił się w jej stronę. - Ludzie umierają. Ci, którzy ciągle tu są, wpadają w panikę. Nikt nie wie, co się dzieje - ani policja, ani dziennikarze, ani nawet synoptycy. I nikt nie szuka we właściwych miejscach.

Wyraz twarzy Mary zmienił się z rozdrażnionego w zaleźniony, a potem w pełen litości, kiedy Oliver położył drżącą dłoń na stosie książek leżących między nimi.

- Historia się powtarza - oznajmił. - A żeby odkryć, co dzieje się teraz, trzeba zbadać, co zdarzyło się w przeszłości. Kiedy ostatnio widziała pani w bibliotece komendanta policji?

- Oliverze - powiedziała łagodnym tonem Mary - władze robią w tej sprawie wszystko, co w ich mocy. To bardzo szlachetne, że chce pan pomóc...

- Nie szlachetne - burknął, wchodząc jej w słowo. - To absolutna konieczność.

Potrząsnęłam głową. Mary była cierpliwa, ale tym razem posunął się za daleko.

- Niech pan przyniesie pozostałe książki, Oliverze - rozkazała, kierując uwagę na stojący przed nią monitor komputera. - Wtedy z przyjemnością wypożyczę panu te pozycje. Wpatrywał się w nią uporczywie. Kiedy bez dodatkowych wyjaśnień przystąpiła do stukania w klawiaturę, kuśtykając, oddalił się od recepcyjnej lady na tyle szybko, na ile pozwalała mu drewniana laska.

Przykucnęłam i przywarłam plecami do regału, by ukryć się przed jego wzrokiem.

Nie chciałam, żeby mnie zobaczył i wiedział, że byłam świadkiem tej wymiany zdań.

Ale zaintrygował mnie ten dziwny wybuch emocji, dlatego wychyliłam się za

regał i patrzyłam, jak wychodzi.

Tuż przed drzwiami przystanął w pół kroku. Spojrzał w górę, na sufit, po czym powoli przekrzywił głowę z lewa na prawo, jakby nasłuchiwał... ale biblioteka wciąż była pogrążona w ciszy.

- Niech pani będzie ostrożna - powiedział wreszcie. Jego głos był teraz tak niski, że ledwie zdołałam go usłyszeć. - Bardzo ostrożna.

Wstrzymałam oddech, dopóki drzwi nie zamknęły się za nim, i czekałam, aż jego samochód minie główne wejście do budynku, dopiero wtedy wybiegłam pomiędzy regałów.

- Witam w miejskiej bibliotece! - oznajmiła rozpromieniona Mary, gdy podeszłam do recepcji. - Czy mogę w czymś pomóc?

Szuka panienka nowości rynkowych? Czy może klasyków literackich?

-Szczerze mówiąc - zaczęłam, próbując się uśmiechnąć - ten pan, który właśnie wyszedł, to w pewnym sensie mój znajomy. -Oliver? - promienny uśmiech Mary przygasł. - Słowo daję, wiek napisał kilka książek o lokalnej historii i myśli, że ma dożywotnie prawo do wypożyczania każdej książki w bibliotece.

-Oliver wydał jakieś książki o Winter Harbor? - Na myśl przyszły mi gryzmoły w jego notesie, które widziałam w reparacji „U Berty”. Najwyraźniej pisanie nie było wyłącznie jego hobby.

Otworzyła szufladę, wyciągnęła cztery opasłe tomy i podała mi je.

-Zaczęłam trzymać je tutaj, żeby przestał się dopytywać, dlaczego nikt ich nie wypożycza.

Przejechałam palcami po poprzecieranej brązowej okładce Kompletnej historii Winter Harbor... autorstwa OHvera Savage'a. Zerknęłam na stos książek na ladzie, zastanawiając się, dlaczego są dla Olivera aż tak ważne i czy naprawdę mam ochotę się w to angażować. - Wiem, że według regulaminu wolno jest wypożyczać maksymalnie pięć książek, ale skoro na swoim koncie nie mam żadnej, pomyślałam, że mogłabym wypożyczyć te i mu je udostępnić. Mrugnęła.

-Dlaczego miałabyś zrobić coś podobnego? -Nie wiem. Sprawia wrażenie samotnego, a książki najwyraźniej go uszczęśliwiają.

-No cóż, przyzwalamie, by czytelnik wypożyczał książki dla kogoś innego, też nie do końca jest zgodne z regulaminem biblioteki... ale byłoby miło móc od niego odpocząć przez kilka dni. - Spojrzała na mnie. - Zdajesz sobie sprawę, że ponosisz całkowitą odpowiedzialność za te książki, tak? Jeśli cokolwiek im się stanie, zostaniesz obciążona wszelkimi związanymi z tym kosztami.

- Tak, wiem. Nic się z nimi nie stanie. Obiecuję.

- Vanessa Sands - odczytała moje nazwisko, kiedy podałam" znaną w tylnej przegródce portfela kartę biblioteczną. ~ Coś mi to mówi. Nie jesteś stąd, prawda?

- Nie. - Miałam nadzieję, że nie będzie dociekać, dlaczego moje nazwisko brzmi znajomo.

Na szczęście przeskanowała kartę i kody na książkach, nie zadając więcej pytań. Następnie umieściła tomy w płóciennym torbie i przesunęła ją po blacie.

- Możesz je trzymać tak długo, jak tylko chcesz - oznajmiła, wskazując głową na tomy Kompletniej historii Winter Harbor, które nadal trzymałam w ręku.

Podziękowałam, wzięłam torbę i szybkim krokiem wyszłam z biblioteki.

- Jest w Springfield. - Simon siedział w subaru przy otwartych drzwiach i czytał mapę. - W barze „Wściekły Łoś”.

- Co on tam robi?

Złożył mapę i wsunął ją pomiędzy deskę rozdzielczą a przednią szybę.

- Nie wiem. To była tak samo dziwna rozmowa jak ta pop" nia: odgłos oddychania, potem żeński głos wypowiadając, imię Caleba, a potem cisza. Oddzwoniłem na ten numer, g tylko się rozłączył. Caleba już nie było, ale może uda nam go złapać.

- Świetnie. Twoim czy moim samochodem?

Spojrzał na mnie.

- Jesteś pewna, że chcesz jechać?

Czy jestem pewna? Czy to znaczyło, że on sam nie jest pewien?

Czyżby uznał, że ma już i tak dość kłopotów bez martwienia się o mnie?

- Nie zrozum mnie źle; będę się bardzo cieszył, jeśli pojedziesz. Ale ostatnim razem to nie skończyło się najlepiej. - Zerknął w stronę małego fragmentu przystani widocznego z parkingu, po czym znów odwrócił się do mnie. - Nie pozwolę, żeby

cokolwiek ci się stało.

Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna moje serce łomotało z innego powodu niż ze strachu.

-Jedźmy.

13

- Przykro mi, dzieciaki. Nie widziałem nikogo, kto odpowiadałby temu opisowi.

- To niemożliwe - upierał się Simon, otworzywszy klapkę telefonu komórkowego i wysunąwszy aparat przed siebie. - Dzwonił z tego numeru niecałą godzinę temu.

Ernie, tęgi właściciel baru „Wściekły Łoś”, pochylając się do przodu, zasapał ciężko i wytarł dłonie w poplamiony ręcznik do naczyń.

- Tak, to nasz numer.

- I nie przypomina pan sobie, żeby ktoś dzisiaj prosił o skorzystanie z telefonu?

- Chłopcze - stęknął Ernie - rozejrzyj się. Naprawdę sądzisz, że gdyby ktoś prosił o skorzystanie z telefonu, wyleciałoby m i to z głowy? W tej dziurze takie rzeczy zdarzają się raz na sto lat.

Simon i ja potoczyliśmy wzrokiem po maleńkiej knajpce. Świeciła pustkami, wyjątkiem była tylko podstarzała para w boksie w rogu sali.

- Ernie, zachowuj się - ostrzegła kelnerka wychodząca z kuchni z tacą częściowo opróżnionych butelek keczupu. - Pamiętasz,

o czym rozmawialiśmy? Jeden mały uśmiech z przypadkowego gościa może uczynić stałego klienta.

Ernie posłał nam krótki, nienaturalny grymas, po czym przerzuciwszy ręcznik do naczyń przez ramię, zniknął za drzwiami na zaplecze.

-Proszę mu wybaczyć. Ernie nadal jest przekonany, że jedyną rzeczą, na którą ludzie zwracają uwagę, jedząc poza domem, jest samo jedzenie. - Kelnerka odłożyła racę na blat i uśmiechnęła się. - Spróbujmy od początku: Witamy w barze „Wściekły boś”. Jestem Melanie. Co możemy dziś dla państwa zrobić?

-Melanie - odezwał się Simon - szukamy mojego brata. Niecałą godzinę temu dzwonił z tego numeru do znajomego. Pamięta pani może, czy ktoś prosił o

skorzystanie z waszego telefonu? Skrzywiła się, rozmyślając nad odpowiedzią.

-Nie... ale być może nikt o to nie prosił, bo nie miał kogo. Ernie przez cały rano nie mógł oderwać się od programu Marthy Stewart, a mój paskudny nałóg nikotynowy kilka razy na godzinę wyciąga mnie na podwórze. Pospiesz się, Vanesso....

-A może go pani widziała? - zapytałam. - Ma szesnaście lat, niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy ciemny blond, brązowe oczy.

-Poza Erniem i panem Mortimerem - skinęła na starszego pana siedzącego w rogu - był tu dzisiaj tylko jeden chłopak... Trudno powiedzieć, ile miał lat, ale włosy miał ciemnobrązowe-na pewno nie blond - i trochę w nieładzie. Przynajmniej z tego, co widziałam, bo przez cały czas kaptur bluzy miał zaciągnięty na głowę.

-Zauważyła pani coś jeszcze? - zapytałam.

- Tylko tyle, że przy jego dziewczynie poczułam się jak upiór w operze - odparła, zmierzając w stronę starszych państwa z dzbankiem kawy. - Przysięgam, jak tylko skończę zmianę, rezerwuję wizytę w salonie piękności, farbuję włosy na czarno i zamawiam kolorowe soczewki kontaktowe.

Oddech uwiązał mi w gardle. Nie zdołałam nawet spojrzeć na Simona.

- Jakiego koloru miała te soczewki? Odetchnęła ciężko i przyciągnęła dłoń do piersi.

- Srebrne.

Simon i ja staliśmy tak blisko siebie, że poczułam, jak całe jego ciało napina się.

- I to nie takie poblakłe srebro jak w zastawie stołowej. - Podniosła ze stołu widelec. -

Piękne, żywe srebro. Magiczne. Jak w ozdobach choinkowych.

- Nie wspominali przypadkiem, dokąd się wybierają? - zapytał Simon.

- Nie odezwali się ani słowem. On jadł, ona nie, a kiedy wróciłam po drugim papierosie, już ich nie było.

- Dziękujemy za pomoc - oznajmiłam, zanim wybiegłam za Simonem.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu i na pełnym gazie wypadliśmy z parkingu, starałam się zachować spokój i jasność umysłu. Nie wiedziałam, jakim cudem ją słyszę i czy w ogóle powinnam jej słuchać... ale Justine kazała nam się spieszyć. Gdybym była zupełnie otwarta na to, co mówi, może dowiedziałabym się, w jakim kierunku mamy podążać.

- Dlaczego ona nic nie mówi? - jęknęłam pod nosem kilka minut później.

Simon zerknął na mnie.

-Kto?

Wlepiałam wzrok w boczną szybę, żałując, że ciemnozielone plamy mijanych sosen nie mogą się cofnąć. Nie zamierzałam wspominać o Justine na głos; słowa wypłynęły mi z ust, zanim mózg zdążył to zarejestrować. Czy jeśli mu powiem, pomyśli, że zwariowałam? Czy uzna, że z naukowego punktu widzenia to równie nieprawdopodobne jak burze nad Winter Harbor albo uśmiechnięte ofiary? I czy, myśląc tak, nie będzie miał racji? -Ona do mnie mówi - oznajmiłam z wahaniem. Spojrzał przez przednią szybę, potem znów na mnie. -Kto?

-Justine. - Mój głos brzmiał zwyczajnie, ale wiedziałam, że to, co mówię, jest nedorzeczne. - Nie cały czas. Nawet nie każdego dnia. Ale to zaczęło się po jej śmierci, gdy tylko wróciłam do Winter Harbor. Simon zwolnił. -Co mówi?

Kiedy automatycznie nie zawyrokował, że zwariowałam, co byłoby całkowicie uzasadnione, zebrało mi się na płacz. -Woła mnie po imieniu. - Teraz, kiedy prawda wyszła na jaw, nie było sensu dłużej niczego ukrywać. - Mówi też o Calebie. Jego palce zacisnęły się na kierownicy.

-Nie mówi wiele, ale trochę tak, jakby próbowała nas do niego doprowadzić.

- To znaczy?

-Do tej pory powiedziała, że aby go odnaleźć, on sam musi tego chcieć, i że on tego chce, ale oślepia go blask... i że zostało mało czasu.

-Mało czasu? Ale na co?

- Nie wiem. Ona niewiele wyjaśnia. Powiedziała, że musimy się spieszyć, ale nie wspomniała, dlaczego ani dokąd mamy jechać. Simon w milczeniu patrzył przed siebie. Spojrzałam przez szybę, myśląc, że najlepiej będzie, jeśli nacieszę się tą przejażdżką na wypadek, gdyby był to nasz ostatni wspólny wyjazd.

- Vanesso...

- Wiem, że to szaleństwo - przerwałam, chcąc go uprzedzić.

- Wiem, że to brzmi, jakbym straciła rozum, i może tak się stało. Bo widzisz

większość ludzi nie boi się panicznie ciemności ani oceanu, ani wysokości, ani latania, ani samotności. Może niektórzy boją się jednej z tych rzeczy, ale ja boję się wszystkie g o. To nie jest normalne. J a nie jestem normalna. Dlatego to, czyli przemawiający do mnie znikąd głos martwej siostry, pewnie było do przewidzenia. To tak, jakbym bała się wszystkiego, co tylko może wzbudzać lęk na tym świecie, i jakby było mi mało, zaczęłam wymyślać sobie nowe powody do strachu. A teraz mogę zacząć bać się i tego wszystkiego, do czego zdolna jest moja zwichrowana wyobraźnia.

Te słowa, podobnie jak tamte wypowiedziane na początku o tym, że Justine do mnie mówi, wypłynęły mi z ust, zanim zdążyłam rozważyć ich ewentualne skutki.

- Yanesso... - odezwał się znowu, tym razem łagodniejszym głosem. - Miałem zamiar powiedzieć, że musi być ci bardzo ciężko. Słyszeć ją w ten sposób, kiedy tak bardzo za nią tęsknisz. Długi ciąg migających drzew za szybą przerwał budynek stacji benzynowej, potem kawiarnia i poczta.

- I wcale nie zwariowałam.

Minęliśmy szkołę, sklep, gabinet dentystyczny. Zagęszczenie budynków rosło, w miarę jak zbliżaliśmy się do centrum Springfield.

-Prawdę mówiąc, myślę, że jesteś...

- Simon. - Obróciłam się gwałtownie na fotelu i wyciągnęłam szyję, by spojrzeć za siebie. - Zawracaj! -Jak to? - zapytał, tym razem nie łagodnym, lecz ostrym tonem. - Widziałaś go?

- Nie. - Obróciłam się w jego stronę i już poczułam zbliżającą się migrenę. - Ale właśnie minęliśmy czerwonego mini coopera. Zjechał na pobocze i zataczając szeroki łuk, zawrócił z taką prędkością, że opony zapiszczały na asfalcie. -Tam. - Wskazałam auto. Stało zaparkowane przy drodze, w miejscu, gdzie w pobliżu nie było żadnych punktów usługowych.

Nadepnął hamulec i zjeżdżając na pobocze z niewielkim poślizgiem, zatrzymał się. -jesteś pewna, że to jej samochód? - zapytał, kiedy przebiegaliśmy na drugą stronę drogi. - Wygląda na porzucony. Miał rację: auto stało zaparkowane byle jak, maska sięgała między drzewa, a tył wystawał na niewielki pas trawy między drzewami a

drogą. Gdybym akurat nie patrzyła przez okno, przejechalibyśmy obok, nie zauważając, że tam stoi. -Jestem pewna. - Z każdym krokiem ból głowy nasilał się. Podeszliśmy do aura i zajrzeliśmy przez szybę do środka. Wnętrze było nieskazitelnie czyste, z wyjątkiem fotela pasażera, na którym zalegały bezładnie ubrania, akcesoria do makijażu i puste butelki po wodzie. Z lusterka wstecznego zwisała kryształowa buteleczka perfum. Na desce rozdzielczej leżał atlas samochodowy otwarty na stronie przedstawiającej stan Maine. Zostałam dłużej przy drzwiach od strony pasażera, a Simon ruszył w głąb lasu. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie Justine. Widziałam jej niebieskie oczy, jej uśmiech, jej włosy.

Próbowałam usłyszeć jej głos, chcąc, by dochodził gdzieś spoza mojej głowy, tak abyśmy mogli pójść za jej wskazówkami albo poruszać się w kierunku, z jakiego by dobiegał. Jednak ona milczała. Jedyne, co słyszałam, to świergotanie ptaków, odgłos przejeżdżających samochodów, szelest kroków Simona przedzierającego się przez gęstwinię... i uporczywe dudnienie w mojej głowie. W miarę jak zagłębiałam się w las, dudnienie stawało się głośniejsze i szybsze.

- To kompletnie bez sensu - stwierdził Simon dziesięć minut później. - Tu nie ma szlaku. Skąd w ogóle wiemy, że oni tu są? Kręcimy się w kółko, a ich już dawno może nie być. Przystanęłam.

- Simon.

Spojrzał na mnie, po czym podążył za moim wzrokiem w stronę martwego drzewa stojącego kilka metrów dalej. Drzewo, będące ofiarą starości, chorób, pożaru lub jakiejś kombinacji tych czynników, przypominało szkielet wznoszący się z listowia. Z szarej, bezlistnej gałęzi zwisała ruda polarowa bluza z kapturem, taka sama, jaką Caleb dostał kiedyś od brata. Dotarłszy do drzewa, Simon uniósł jeden rękaw i obrócił go w moją stronę, żebym mogła zobaczyć logo Bates College.

- Liście są zdeptane - stwierdził, spoglądając na ziemię w pobliżu wąskiego pnia drzewa. - Szli dalej.

Ruszył truchtem, a ja popędziłam za nim, czując przerażenie i ulgę i przyciskając obie dłonie do czoła, by złagodzić przeszywający ból. Kiedy biegliśmy, Simon raz po raz oglądał się za siebie, żeby sprawdzić, czy nic mi nie jest. Wkrótce ból był tak

dotkliwy, że ledwie widziałam cokolwiek poprzez białe jaskrawe plamy zniekształcające wizję, jednak gestem zapewniłam go, że wszystko jest w porządku. Ale wtedy rozległ się jej śmiech.

Opadłam na kolana, dociskając pierś do ud. Zacisnęłam oczy, dłońmi dotknęłam podłoża i wbiłam palce w listowie, w głąb zimnej ziemi. Nigdy nie słyszałam śmiechu Zary, a ten dźwięk nie przypominał niczego, co słyszałam dotychczas. Brzmiał jak pojedynczy przeciągły ton, uderzający w szklany pryzmat i rozpryskujący się na milion piskliwych dźwięków - niektórych urywanych, innych przeciągłych, jeszcze innych łagodnych -które wystrzeliły do atmosfery pod różnymi kątami, by wreszcie całkowicie zagłuszyć wszelkie inne odgłosy. Poczułam, jakby wewnątrz mojej czaszki zdetonowano granat.

Opuściłam głowę i skupiłam się na oddychaniu. Nie roześmiała się znowu, a po kilku minutach ból zelżał na tyle, że zdołałam otworzyć oczy.

- Simon - wyszeptałam. Stał parę kroków przede mną wpatrzony w skupisko drzew. Nie usłyszał mnie, więc odepchnęłam się od ziemi i poczołgałam w jego stronę. - Simon. Mój niepokój ustąpił miejsca przerażeniu. Cokolwiek zobaczył pośród drzew, musiało być tak straszne, że nie zauważył, jak upadłam. Podźwignęłam się i powłócząc nogami, podeszłam do niego możliwie najszybciej i najciszej, jak mogłam. Nie odwrócił się od razu, ani nawet kiedy stanęłam obok niego. Podeszłam bliżej i zajrzałam w głąb skupiska drzew. Zara. Miała na sobie krótką białą spódniczkę, która unosiła się na lekkim wietrze, odsłaniając uda, i dopasowaną białą bluzeczkę bez rękawów. Stopy miała bosc. Jej ubiór był tak odmienny od obcisłej czarnej mini, czarnego topu i szpilek, w których ją widziałam tamtego dnia w jej domu, że niemal poczułam ulgę. Pomyślałam, że przecież seryjni zabójcy nie ubierają się od stóp do głów na biało w dzień, w którym decydują się zabić kolejną ofiarę. -Jest piękna.

Zwróciłam się gwałtownie w stronę Simona. Nadal stał wpatrzony, porażony, jakby Zara była doskonałym, półprzejrzystym kołyszącym się przed nim wahadłem. -Jest taka piękna... prawda?

Odwróciłam się, czując, jak twarz mi płonie. Jak mógł myśleć

O czymś takim w tej chwili? Przecież nie jest pierwszym lepszym młokosem, którego każda myśl podąża jednym torem. To S i m o n. Simon Naukowiec. Simon Synoptyk. Kto jak kto, ale jak on mógł dać się złapać w pułapkę hormonów, emocji czy czegokolwiek innego, kiedy jego zaginiony brat Caleb był zaledwie kilka metrów dalej?

I jak ja mogłam nagle pożałować, że tego ranka nie poświęciłam nieco więcej uwagi własnemu wyglądowi, żeby wyrzucić na nim ten sam hipnotyzujący efekt?

Przyglądałam się, jak Zara przysiada obok Caleba na szczycie grupy skał otoczonych pierścieniem drzew. Odchyliła się w tył i oparła na dłoniach, prostując nogi przed sobą. Twarzą była zwrócona do niego, a on spoglądał przed siebie, odwrócony do nas plecami. Nie widziałam wyrazu jego twarzy, ale ze sposobu siedzenia - nie poruszał się i był wyprostowany jak struna - mogłam bezbłędnie odczytać, że jest spięty.

Pochyliła się do przodu i przeniosła ciężar na kolana. Zbliżyła się do niego na czworakach, a biała spódniczka muskała opalone uda, ciemne włosy spływały falą przerzucone przez ramię. Poruszając się, nie spuszczała z niego wzroku, a srebrne oczy błyszczały niczym gwiazdy. Uśmiechała się, najwyraźniej w oczekiwaniu na reakcję, jakiej się spodziewała.

Zbliżywszy się do niego, nadal wsparta na rękach i kolanach, wyciągnęła się do przodu, aż jej usta znalazły się przy jego uchu. Szepnęła coś, co wprawilo całe jego ciało w drżenie, po czym musnęła go wargami po uchu, policzku, po szyi. Przechylił głowę w jej stronę, a wtedy przysunęła się jeszcze bliżej, tak że piersią przywarła do jego ramienia.

Chciałam krzyknąć, wołać, żeby przestała. Chciałam wbiec między drzewami, zepchnąć ją ze skały i zabrać stamtąd Caleba. Chciałam, żeby przestała robić to wszystko i żeby jemu przestało się to podobać. Ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu, nie mogłam się poruszyć.

Zrobiłam gwałtowny wdech, gdy Caleb wstał. Ruszył po skale, zdała od niej. Dotarł do krawędzi i wyglądało na to, że zamierza zeskoczyć na ziemię, kiedy do niego dobiegła. Położyła mu dłoń na ramieniu, stanęła na palcach i znów zbliżyła usta do

jego ucha. Tym razem, gdy szeptała, spróbował ją odepchnąć, ale wykorzystała ten ruch i własnym ciałem odgradziła go od krawędzi skały, blokując w ten sposób drogę ucieczki. Odwrócił wzrok, ale się nie poruszył, a ona wyciągnęła ramiona w górę i zarzuciła mu je wokół szyi. Spojrzała na niego tak, jak spoglądała na niego Justine tak wiele razy. Ręce Caleba wciąż były zwieszane wzdłuż ciała, ale napięte. Zniósł dotyk jej ust błędzących w dół po karku, palców kreślących linie na jego czole i policzkach. Kiedy pochyliła głowę, a jej włosy opadły mu na dłoń, wyraz jego twarzy pozostał pusty. Podeszła bliżej, sprawiając, że ich ciała zetknęły się na całej długości, a on nawet nie mrugnął. Opadł z sił dopiero wtedy, gdy spróbowała go pocałować. Nawet ja musiałam odwrócić wzrok. Czułam się winna, jakbym natknęła się na dwójkę młodych ludzi zamierzających zrobić coś, do czego ja nigdy nawet się nie zbliżyłam. Nigdy nie stałam przed mężczyzną z odchylną do tyłu głowę, z rozchylonymi wargami zaledwie kilka centymetrów od jego ust, testując, czy odważy się odmówić. Nigdy nie wpatrywałam się mężczyźnie w oczy, czekając, jak zareaguje. Nigdy nie dotknęłam ustami czyichś ust, tym bardziej nigdy nie chwyciłam delikatnie zębami dolnej wargi. I z pewnością nigdy nie doświadczyłam ramion mężczyzny zamykających się wokół mojej talii, dociskających mnie do siebie, jakby ostatecznie poddawał się pragnieniu, z którym nie miał już siły dłużej walczyć. I równie mocno chciałam stamtąd uciec, jak i przekonać się, co będzie dalej. A to dlatego, że im dłużej patrzyłam, tym mniej para na skałach wyglądała na Zary i Caleba. A tym bardziej przypominała Simona i mnie. Gdy znów uniosłam wzrok, wciąż jeszcze się nie całowali - ona nadal kusiła, jednak jego usta nie chciały się poruszyć - ale ramionami obejmowała go za szyję, a nogi zdążyła zapleść mu wokół pasa. Jego dłonie ześlizgnęły się po jej plecach. Kiedy koniuszki palców wsunął pod dolną krawędź bluzki, rozpromieniła się.

Osunął się na kolana, a wtedy ona napała dłonią na jego pierś, aż położył się na plecach, i wciąż się uśmiechała, zniżając twarz, powoli, centymetr po centymetrze, przybliżając ją do jego twarzy.

- Nie... - jęknęłam cicho, gdy włosy Zary opadły na bok. nie mogłam zobaczyć jej ust. Wizja Simona i mnie rozplynęła się, a ja gwałtownie powróciłam do

rzeczywistości. Myśl o ich pocałunku, Calebie całującym Zarę zamiast Justine, to było po prostu zbyt wiele.

-Caleb! - Podskoczyłam na dźwięk głosu Simona. - Nic ci nie jest? - zapytał, zwracając się do mnie.

Pokręciłam głową, chociaż w skroniach wciąż jeszcze czułam pulsowanie. Jednak byłam zbyt oszołomiona, żeby mówić. -Zostań tu.

Patrzyłam, jak biegnie między drzewami, a łomotanie w pier-
zdominowało pulsowanie w skroniach. -Wszystko w porządku, Caleb! - krzyczał Simon, biegnąc. -Odejdź od niego!

Zara poderwała głowę, nie mogąc zdecydować, kto bardziej zasługuje na jej uwagę: Caleb wybudzający się z transu, w który tak usilnie go wprowadzała, czy może Simon pędzący prosto na nią niczym pocisk wystrzelony z pistoletu. Decyzja ta została podjęta za nią, kiedy Caleb w pełni się otrząsnął, odepchnął ją od siebie i poderwał na równe nogi.

-Simon, zatrzymaj się! - zawołała Zara, podążając za Calebem, który wycofywał się, krocząc po skałach. - Już w porządku, kochanie. Nie przejmuj się. Wszystko w porządku. Oczy Caleba przeniosły się z Zary na Simona. Sprawiał wrażenie, jakby bał się ich obojga; gdy Simon wspiął się na skały po przeciwległej stronie, Caleb spojrział na niego, potrząsnął głową i zeskoczył na liście poniżej. -Caleb! Co ty... Simon zamarł, kiedy Zara zawirowała na palcach. Ruszyła w jego stronę powoli, jakby i tak musiał na nią czekać całą wieczność, niezależnie od tego, ile czasu jej to zajmie. -Uciekaj! - zawołał, nie odwracając się od niej. Wiedziałam, że to było skierowane do mnie, ale wciąż stałam w miejscu, ze stopami wrosniętymi w ziemię, jakby zdążyły zapuścić w niej korzenie.

Vanesso... szosa... on się kieruje w stronę szosy... Raz jeszcze zerknęłam na skały, wzdrygając się na widok Zary stojącej zaledwie kilka kroków od Simona, po czym puściłam się pędem w przeciwnym kierunku.

Biegłam szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Gałęzie biczowały mnie po twarzy, a kostki wykrecały się, gdy stopy mknęły po nierównym podłożu. Zwolniłam tylko raz, żeby zerwać z drzewa bluzę Caleba. Kiedy wypadłam spomiędzy drzew na pobocze,

czoło zalewał mi pot i z trudem chwytałam oddech.

- W którą stronę? - wyszeptałam, wspierając ręce na udach. Spojrzałam w lewo i w prawo. Zarówno mini cooper, jak i subaru nadal stały tam, gdzie zostały zaparkowane.

- W którą stronę poszedł?

Wraca... wraca tam, skąd przyjechaliście... Popędziłam wzdłuż szosy, mijając gabinet dentystyczny, sklep, szkołę. Potem pocztę, kawiarnię, stację benzynową. Biegłam tak długo, aż odległości między budynkami zwiększyły się, a drzewa rosnące przy drodze zaczęły tworzyć nieprzerwaną linię. Biegłam tak długo, aż poczułam, że płuca za chwilę mi eksplodują, a nogi oderwą się od ciała. Mimo to nie przestałam biec. Zatrzymałam się dopiero, kiedy Justine powiedziała mi, że jestem za daleko. Po drugiej stronie szosy...

Przystanąłam. W głębi lasu widać było stacyjkę benzynową. Przebiegłam przez ulicę i pomknęłam długim podjazdem. Dotarwszy do budynku, okrążyłam go i ukryłam się za boczną ścianą. Przy dystrybutorach paliwa srali tylko kierowca starej niebieskiej ciężarówki i pracownik obsługi. Jednak Justine nie dała żadnych innych instrukcji. Zatem Caleb musiał tu być.

Zaczekałam, aż obaj mężczyźni wejdą do budynku, żeby rozliczyć się za paliwo, po czym zakradłam się do ciężarówki. Przykucnęłam i ruszyłam wzdłuż boku przeciwnego w stosunku do budynku. Kiedy dotarłam do drzwi od strony pasażera, wyprostowałam się na tyle, by zajrzeć do kabiny. Była pusta. Właśnie miałam zamiar sprawdzić, czy nie ma go w pobliskiej szopie, gdy ciężarówka się zakołysała. Nie był to wyraźny ruch, do tego pojedynczy, ale z pewnością wóz się poruszył. A kierowca ciągle jeszcze był na stacji.

-Caleb? - Zajrzałam na pakę furgonetki. Była wypełniona pomiętymi plandekami i starymi kocami, które wibrowały, jakby silnik był przez cały czas włączony. - Już w porządku, Caleb! To ja, Vanessa.

Odczekałam chwilę, po czym uniosłam krawędź koca. Caleb był zwinięty w kłębek i leżał na boku, trzęsąc się, jakby był środek zimy, a nie lato, a plandeki i koce były taflami lodu. Jego włosy zafarbowane na ciemny brąz były w nieładzie, tak jak

opisała je kelnerka Melanie. Oczy miał szeroko otwarte, usta drżące, a kiedy zdał sobie sprawę z tego, kim jestem, twarz wykrzywił mu grymas.

-Vanessa...? - odezwał się ciekim głosem. - Nie. Nie ty. -Caleb, musimy się stąd wydostać. - Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że kierowca ciężarówki śmieje się do sprzedawcy i podaje mu pieniądze, a to znaczyło, że lada chwila wyjdzie. -Nie mogę. - Potrząsnął głową, a po policzkach popłynęły mu łzy.-Nie mogę tego zrobić bez niej. - Caleb. - Pochyliłam się i chwyciłam go za rękę. - Justine tu jest. Pomogła mi cię odnaleźć. Ona chce, żebyś poszedł ze mną. Spojrzał na mnie, chcąc mi wierzyć, potem podniósł wzrok na niebo, a z oczu potoczył się kolejny strumień łez. - Jestem taki zmęczony... Tak bardzo zmęczony.

Pozwolił, bym pomogła mu zejść z paki furgonetki- zdumiało mnie, jak bardzo schudł. Minęło zaledwie kilka tygodni a koszulka i dżinsy luźno zwisały na jego ciele. Na szczęście wciąż jeszcze mógł się sprawnie ruszać i zanim kierowca ciężarówki zdążył się zorientować, że wioził pasażera na gapę, pomykaliśmy już truchtem wzdłuż szosy.

- Co jeśli ona wciąż tam jest? - zapytał, kiedy zbliżaliśmy się do subaru, głosem przypominającym głos małego przestraszonego chłopca. - Co jeśli ona wciąż tam jest i na mnie czeka? Istniało pewne prawdopodobieństwo, że Zara ciągle jeszcze gdzieś na niego czeka, jednak nie czułam już pulsowania w skroniach. Tak bardzo skoncentrowałam się na odnalezieniu Caleba że nie umiałam stwierdzić, gdy ból głowy ustał, ale tak się stało. Zniknęła. A kiedy dotarliśmy do samochodu przekonałam się, że mini coopera też nie było.

- Nie ma jej tu - zapewniłam.

- A co z Simonem? - Caleb spojrział na pusty fotel kierowcy subaru. - Co jeśli zabrała go ze sobą?

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Chciałam go zapewnić, że Simonowi nic nie grozi, że nie pozwoliliby nam odejść, gdyby nie był przekonany, że w pojedynkę da sobie z nią radę, ale prawda była taka, że nie miałam pojęcia, do czego zdolna jest Zara.

- Nic wam nie jest?

- Dzięki Bogu - wyszeptałam, zanim obróciłam się za siebie. Z lasu wyłonił się Simon i szedł teraz ulicą w naszą stronę- Poruszał się powoli, niezgrabnie, jakby dopiero co się obudziła e poza tym wyglądało na to, że z nim wszystko w porządku- Zaczekałam na tyłach samochodu, gdy Caleb wyszedł mu spotkanie na środku drogi. Uścisnęli się bez słowa.

Wzrok Simona spotkał się z moim, kiedy wypuszczał z ramion Caleba. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zarzuciłam mu ramiona na szyję i uścisnęłam tak mocno, jakbym zamierzała trzymać go tak przez całą wieczność, gdyby tylko mi na to pozwolił.

14

- To się zaczęło wiosną. Pamiętam nawet dokładną datę, bo ani przedtem, ani potem nie przytrafiło mi się nic równie dziwnego.

Podaliśmy kubek gorącej herbaty Calebowi, który siedział na kanapie owinięty w polarowy koc, a drugi Simonowi siedzącemu naprzeciwko brata. Na dwuosobowej kanapie obok Simona było wolne miejsce, ale zakłopotana bezceremonialnym uściskiem, na jaki sobie pozwoliłam wcześniej tego dnia, postanowiłam jednak usiąść na podłodze przy kominku.

- Rozumiecie, w końcu to Zara. Zara Marchand. Przed pierwszym maja ta dziewczyna nie poświęciła mi choćby jednego spojrzenia, nie wspominając już o rozmowie. A potem po prostu zjawiała się w „Latarni”. - Caleb skrzywił się, kiedy spojrzał na Simona. - Tak na marginesie, zwolniłem się z pracy na przystani.

- Obiło mi się o uszy - odparł Simon.

- Musiałem. Potrzebowałem pieniędzy. Nie mówiłem ci - ani nikomu innemu - bo każdy, kto mnie zna, dobrze wie, jaki mam stosunek do Monty'ego i przystani, a ja nie chciałem, żeby ktokolwiek próbował mnie od tego odwieść.

Zmarszczyłam brwi, zaglądając w głąb kubka. Potrzebował pieniędzy? Co mogło być aż tak ważne i wymagać większych nakładów finansowych?

- W porządku - powiedział Simon, kiedy głos Caleba załamał się. - Wrócimy do tego później.

i więc ona zjawia się tak po prostu pewnego dnia - ciągnął dalej Caleb. - Akurat

zanosilem jakies skrzynki do magazynu, a ona zatrzymuje mnie w doku i mowi, ze ma wiadomosc od matki dla jednego z wlascicieli, Caronsa. Paula Caronsa. Pierwszej ofiary, ktora zginela tuz po Justine. -Szczerze mowiac, chcialem ja zignorowac. Chcialem zwyczajnie przejsc obok i nie odezwac sie ani slowem; potraktowac ja tak samo jak, co nie raz widzialem, traktowala wiele osob w szkole. - Wyrzual przez okno za kanape. - I naprawde zaluje, ze tego nie zrobilem. Zerknelam na Simona. Przygladal sie Calebowi z uwaga. -Ale sie odezwales, tak? - zapytal Simon. -Tak. W „Latarni” wszystko kręci się wokół forsy. Inwestorzy myślą o wzroście, rozbudowie i chcą stać się nadbrzeżnym kurortem numer jeden w całym kraju.

-Co wiąże się ze szczególną troską o klienta - odpowiedział Simon.

-Właśnie. Od pracowników wymaga się uprzejmości i uczynności, by goście czuli się mile widziani i ważni. Dlatego właśnie nie mogłem po prostu przejść obok Zary obojętnie. Gdyby jakimś sposobem ktoś się dowiedział, że nie byłem pomocny -nawet wobec osoby niebędącej członkiem ośrodka, ale która pewnego dnia mogła się nim stać - straciłbym pracę. A ja bardzo potrzebowałem pracy.

Uchwyciłam spojrzenie Simona i wiedziałam, że oboje zadajemy sobie dokładnie to samo pytanie: dlatego?

- W każdym razie spróbowałem znaleźć dla niej Caronsa. Obeszliśmy cały teren ośrodka, a ja opowiedziałem Zary wszystko o szerokim wachlarzu usług - zrobiłem tak samo, jak postępuje się z każdym, kto odwiedza „Latarnię” po raz pierwszy.

- Brzmi okropnie - stwierdził Simon.

- Nie było aż tak strasznie, jak by się mogło wydawać. Na początku była zniecierpliwiona, ale im dłużej szliśmy i im dłużej opowiadałem, tym bardziej się rozchmurzała. Zadawała pytania i słuchała. Nawet śmiała się, kiedy rzucałem te same głupie żarty, z których inni goście nigdy się nie śmieją. - Pociągnął łyk herbaty. - Nie znaleźliśmy Caronsa, ale po naszych poszukiwaniach zdawała się zapomnieć, że przyszła tam z jego powodu. I wtedy... - Wlepił spojrzenie w kubek, który zadrżał w jego dłoniach.

- I wtedy? - podsunął Simon.

- I wtedy zapytała, czy nie miałbym ochoty napić się z nią drinka. - Caleb zamknął oczy i potrząsnął głową. - Na molo przy końcu posiadłości.

- Drinka? To znaczy wtedy? Caleb pokiwał głową.

- Nie wiem, dlaczego się zgodziłem. Byłem w pracy, zresztą mimo wszystko w końcu to była Zara. Czas z nią spędzony nie był kompletną porażką, ale przecież nie zapomniałem, kim ona jest.

- Po prostu wzięła cię z zaskoczenia - stwierdził Simon. - Każdy mógłby się na ro nabrać.

- To najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

- To tylko drink, Caleb.

-Nie tylko. Usiedliśmy na końcu molo i piliśmy szampana z jednej butelki, prawdopodobnie o wartości mojej tygodniowej pensji... i szczerze mówiąc, bawiłem się świetnie. Była zabawna. Dobrze mi się z nią rozmawiało. Spędziliśmy tam trzy godziny.

Odkąd znalazłam Caleba na przyczepie furgonetki w Spring-field, nie słyszałam głosu Justine. Serce mi łomotało, kiedy tak mówiło Żarze, i zastanawiałam się, czy Justine to słyszy. -Zanim poszła, powiedziała, że żałuje czasu, jaki upłynął, zanim udało nam się w końcu naprawdę porozmawiać. Mówiła, że dla niej to wielka strata, ale jednocześnie cieszy się, że wciąż mamy go tak wiele przed sobą. - Caleb potrząsnął głową. - I nie powiedziałem jej o Justine. Przez wiele godzin po jej odejściu nawet do głowy mi nie przyszło, że powinienem był wspomnieć, że mam dziewczynę. A Justine była jedyną osobą, o której myślałem. Nadal jest... jedyną, o której myślę.

Obserwowałam go uważnie, ale gdy pierwsza łza potoczyła mu się po policzku, musiałam odwrócić wzrok. -Aleja nie wiedziałem, rozumiecie? Nie wiedziałem, co się stanie potem. Gdybym wiedział... gdyby był jakikolwiek sposób, żeby to wszystko...

Simon zaczekał, aż urywany oddech Caleba wróci do normy, zanim zapytał: -Co było potem?

-Była wszędzie - powiedział cicho. - Czekala na mnie przed szkołą. Po szkole. Przed

pracą. Po pracy. Przynosiła mi różne rzeczy: gry wideo, komiksy. Zjawiała się na plaży, kiedy byłem tam z kolegami. Ich też zaczęła prześladować. Chciała wiedzieć, gdzie jestem, co lubię, czy kiedykolwiek o niej opowiadam. Na początku myśleli, że to zabawne, że Zara Marchand, najśliczniejsza dziewczyna w Winter Harbor, wybrała sobie akurat mnie na obiekt westchnień. Ale to się nie skończyło. Prosiłem ją, żeby przestała, błagałem ją. Ale ona nie przestawała.

- Mówiłeś jej o Justine? - zapytał Simon.

- Każdego dnia. To była pierwsza rzecz, o której mówiłem, gdy ją spotykałem.

Mówiłem jej, że mam już dziewczynę, z którą pragnę spędzić resztą życia. - Kubek zatrzęsł się mocniej w jego dłoni, kiedy drugą ocierał z oczu łzy. - Ale ona jakby wcale tego nie słyszała. A jeśli słyszała, nic jej to nie obchodziło. Bo to ciągnęło się tak przez wiele tygodni.

Przypomniał mi się album Zary, puste kartki po stronie z serwetką z logo „Latarni”.

Nie było innych pamiątek, ponieważ

- w przeciwieństwie do pozostałych mężczyzn - Caleb się jej oparł.

Kiedy odezwał się znowu, jego głos niemal przechodził w szept.

- Sądziłem, że to się skończy, kiedy Justine przyjedzie tu na wakacje. Myślałem, że Zara nie będzie mogła dłużej udawać, że Justine nie istnieje, jeśli zobaczy ją na własne oczy. Skupiłam uwagę na herbacie, czując na sobie spojrzenie Simona.

- I miałem rację. Mniej więcej na piętnaście niezwykle godzin Zara zniknęła.

Piętnaście godzin. Oni też nie spędzili ze sobą nawet jednego pełnego dnia, zanim Justine odeszła.

Gdy między nami zapadła długa cisza, zauważyłam, że zaczęło kropić.

- Ona tu była tamtej nocy - wydusił Caleb chwilę później.

- Czekala na mnie, kiedy wróciłem z urwiska. Była w moim pokoju, na moim łóżku, ubrana w długą białą suknię. Nie odezwała się, ale coś mi mówiło, że dobrze wie, co się stało.

I wiedziałem, że w jej szalonym, skrzywionym umyśle zrodziło się przekonanie, że będziemy razem. - Spojrzał na Simona. - Dlatego uciekłem. Czuję się okropnie, zostawiając mamę i ojca. Okropnie, zostawiając ciebie... ale nie umiałem sobie z tym

poradzić.

-Wiem o tym - powiedział Simon.

-Zmieniłem kolor włosów. Podróżowałem autostopem. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby być jak najdalej stąd, ale ona zawsze mnie znajdowała. I za każdym razem, kiedy była blisko, działo się coś dziwnego: czułem do niej pociąg. Chciałem być przy niej. A jednocześnie chciałem krzyknąć i odepchnąć ją od siebie... ale inne instynkty były silniejsze... - Z oczu znów popłynęły mu łzy, tym razem obficie. - Zawsze kiedy była blisko, słyszałem jej głos, jakby mój mózg po prostu się wyłączał; nie widziałem ani nie słyszałem nic innego. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani co się dzieje. Wiedziałem tylko tyle, że Zara jest ze mną i próbuje mnie ze sobą zabrać. Poderwałam się, gdy polarowy koc, w który był owinięty, zaczął drżeć jak plandeki i koce na pace furgonetki. Wyjęłam mu z trzęsących się rąk kubek i odstawiłam na stolik, po czym przysiadłam obok na skraju kanapy.

-Z nią jest coś nie tak - stwierdził, dygocąc jeszcze mocniej, kiedy podnosił wzrok to na mnie, to na Simona. - Poza tym, rzecz jasna, co widać gołym okiem. To dlatego nie powiedziałem ci, dokąd jadę, ani nie dzwoniłem przez całą drogę: nie chciałem, żeby próbowała cię wykorzystać i dotarła do mnie. Za oknami deszcz padał teraz coraz szybciej i głośniej. -Sądzę, że miała z tym coś wspólnego - wyszeptał Caleb, rozglądając się po pokoju, jakby ktoś poza nami mógł słyszeć. -Z Justine. Myślę, że Zara jej coś zrobiła.

Uderzyłam kolanem w stolik, kiedy nagle niebo rozdarła błyskawica, a ziemią zatrzęsł potężny grzmot, i wtedy kubek Caleba upadł na podłogę, i stłukł się.

- Przepraszam - wyjąkałam, podrywając się, by pozbierać skorupy. - Przepraszam. Simon wstał, żeby mi pomóc, a ja wzięwszy to, co zmieściło mi się w dłoniach, szybko wyszłam do kuchni. Przystanęłam przy kuchennym stole, nie czując już potłuczonych fragmentów kubka w dłoniach. Serce mi łomotało, a słowa Caleba kołowały w głowie.

Gdy tylko je usłyszałam, zdałam sobie sprawę, że od jakiegoś czasu sama coś takiego podejrzewałam: że Zara była nie tylko odpowiedzialna za śmierć mężczyzn, którzy zginęli tego lata, ale w jakiś sposób też za śmierć Justine. Teraz, po słowa Caleba

powiedzianych na głos, nabrałam przekonania, że moje przypuszczenia były słuszne, i nie mogłam pojąć, jak to możliwe.

Wpatrywałam się w lustro zawieszane nad kuchennym stołem, trzymając włączonych dłoniach skorupy potłuczonego kubka, a resztki herbaty ściekały mi po palcach. Nie wiedziałam, czy Simon i Caleb kontynuowali rozmowę po moim wyjściu z pokoju. Nie wiedziałam, czy nadal oddycham ani czy moje serce ciągle bije. Wiedziałam tylko tyle, że w pewnej chwili Simon znalazł się tuż za mną.

- Przepraszam - wyszeptalam. Rozluźniłam uścisk i kawałki kubka wypadły mi z rąk. Zabrzęczały o blat stołu i o posadzkę, roztrzaskując się na jeszcze drobniejsze części. Spojrzałam w dół na cały ten nieład i wyciągnęłam rękę, żeby wszystko pozbierać.
- Mogę to posklejać - zapewniłam łamiącym się głosem.

Ale ich nie widziałam: było ich za dużo, a oczy miałam zbyt załzawione. Wkrótce wzbierające łzy wytoczyły się na policzki,

opadłam na podłogę i rozplakałam się. Simon nie próbował mnie pocieszać; po prostu usiadł przy mnie i pozwolił mi się wypłakać. W końcu, kiedy policzki obeschły, a ciało było wyczerpane od łkania, odsunęłam się do tyłu i usiadłam obok niego wsparta o ścianę. Rękami objęłam podciągnięte pod brodę kolana, a głowę oparłam na jego ramieniu. Czekałam, aż zada pytanie, które musiało paść, i obserwowałam dłuższą wskazówkę poruszającą się na cyferblacie kuchennego zegara; kiedy zrobiła pięć okrążeń, a Simon wciąż nie zapytał, czy dobrze się czuję, obróciłam głowę.

jego ramię naprężyło się pod moim policzkiem. Uniosłam podbródek, aż moje usta znalazły się zaledwie parę centymetrów od jego szyi. Wstrzymałam oddech, czując, jak jego pierś unosi się i opada w przyspieszonym tempie.

Byliśmy przyjaciółmi. Naprawdę dobrymi przyjaciółmi. I może powinnam się zastanowić, czy jeśli zrobię to, na co miałam teraz tak nieodpartą chęć, przypadkiem czegoś między nami nie zmieni. Może to nie był odpowiedni czas ani miejsce. I może Simon pomyśli, że chwilowe załamanie nerwowe wytrąciło mnie z równowagi, bo przecież ja - bojąca się własnego cienia Vanessa Sands - zwyczajnie nie postępowałam w ten sposób. Jednak mimo to - a może właśnie dlatego - i tak to

zrobiłam.

Zamknęłam oczy i przywarłam ustami do jego szyi. Gdy zadrżał, odsunęłam się. Czekałam, aż zapyta, co takiego wyprawiam, albo wstanie i odejdzie. Kiedy nie zrobił żadnej z tych rzeczy, złożyłam pocałunek w tym samym miejscu, a później w delikatnym zagłębieniu pod dolną szczęką.

Odwrócił głowę i zanurzył twarz w moich włosach. Jeszcze raz pocałowałam go w szyję, czując, jak jego puls przyspiesza za każdym razem, gdy moje usta ocierają się o jego skórę. Całowałam szybciej, mocniej. Oczy miałam zamknięte, a uwagę skupiałam na jego oddechu, ciepłe skóry, szybszym biciu własnego serca, które łomotało, jakbym uciekała przez ciemny las, mimo że wcale się nie bałam.

Kilka minut później wciągnął mnie na kolana. Teraz to ja zadrżałam, czując, jak dotyka mojej twarzy, muskając palcami czoło, policzki, brodę.

- Vanesso...

Otworzyłam oczy. Jego twarz była tak blisko mojej, że na ustach czułam ciepło jego oddechu. Wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, może wreszcie zapytać, czy dobrze się czuję, czy na pewno chcę robić to, co robiliśmy. W odpowiedzi przywarłam wargami do jego warg. Silny dreszcz przemknął od czubka głowy aż do palców stóp. Jego dłonie powędrowały z mojej twarzy na plecy, lekko pociągając przy tym za włosy. Objęłam go ramionami za szyję i przywarłam ciałem bliżej, aż poczułam bicie jego serca na własnej piersi.

Ta bliskość jednak nie wystarczała. -Caleb...?

- Na pewno śpi - wyszeptał Simon. - Pewnie będzie spał przez kilka dni.

Zajrzałam mu głęboko w oczy, po czym złapałam go za rękę i wstałam.

Uchwyciwszy nasze odbicie w lustrze wiszącym nad kuchennym stołem, zawahałam się. Nie zaskoczyło mnie to, że wyglądałam jak nie ja, nie o to chodziło - raczej wyglądałam jak ktoś, kim nie wiedziałam, że potrafię być. Skórę miałam zaróżowioną, oczy błyszczące. Włosy spływały mi po plecach kaskadą fal. Odniosłam nawet wrażenie, że jestem wyższa, bardziej wyprostowana. Nie wyglądałam jak wystraszona dziewczynka; wyglądałam na pewną siebie kobietę. Podnieconą. Z krwi i kości. A za mną, patrząc prawie tak, jakby nie potrafił

stwierdzić, jaki będzie mój kolejny krok, srał Simon i też to widział. Wyprowadziłam go z kuchni i po schodach na górę. Znałam każdy kąt domu Carmichaelów niemal tak samo dobrze jak nasz własny domek nad jeziorem, z tym że teraz wydawał mi się inny - wciąż miły i przytulny, ale odrobinę obcy, jakbym tu była po raz pierwszy. Kiedy znaleźliśmy się za zamkniętymi drzwiami pokoju Simona, ucieszyłam się na widok wiszącej na ścianie znajomej tablicy z układem okresowym pierwiastków i map świata, ale odniosłam wrażenie - tak samo jak wcześniej - że widzę je po raz pierwszy.

To samo poczułam, odwracając się do niego. To był nadal Simon, ten sam chłopak, z którym na wyścigi ślizgaliśmy się na zjeżdżalni. Ten, który zawsze trzymał się ze mną z tyłu, kiedy Justine i Caleb pędzili przodem po szlakach; który zawsze upewniał się, że w filmach, które razem oglądaliśmy nie ma zbyt wiele krwi, bebeczków i rzezi. To był wciąż ten sam chłopak, który się o mnie troszczył i pytał, czy dobrze się czuję. Nawet kiedy teraz stał przede mną, przyglądał mi się uważnie i czekał, nie chcąc zrobić nic, co mogłoby sprawić, że poczuję się nieswojo. Ale teraz, po raz pierwszy, nie wyglądał na całkiem opanowanego, Nie wyglądał, jakby wierzył, że nie ma się czego bać i może mnie o tym zapewnić.

-Wszystko w porządku? - zapytałam, podchodząc bliżej. -Vanesso...

Nawet moje imię brzmiało inaczej.

-Ja po prostu... nie wiem... czy jesteś... - Zamknął oczy jakby próbował pozbiierać poszarpane myśli w całość.

Podeszłam na tyle blisko, na ile to było możliwe, tak by nasze ciała się nie dotykały.

- Czy to miłe uczucie? - Pocałowałam go w policzek Pokiwał głową, nie otwierając oczu.

- A to? - Pocałowałam drugi policzek. Znów pokiwał głową.

- A to? - Moje wargi przywarły do jego podbródka, potem do szczęki.

Zacisnął mocniej oczy i znów pokiwał głową.

-A...

Moje usta nie zdążyły jeszcze dotknąć jego ust, kiedy zacisnął dłonie na mojej talii i przyciągnął do siebie. Pocałował mnie tak, jakby jego serce miało przestać bić, gdyby

tego nie zrobił, i trzymał mnie w ramionach, gdy szliśmy tyłem na przeciwległy koniec pokoju. Kiedy dotarliśmy do krawędzi łóżka, zrobiłam obrót, żeby położył się pierwszy, a potem zawisłam nad nim, wspierając się na kolanach i rękach. Jego dłonie były teraz silniejsze, pewniejsze, gdy przesuwały się po moich plecach i przyciągały mnie bliżej. Kiedy nasze ciała zwały się w uścisku, poczułam, że moja skóra pod ubraniem płonie.

- Wszystko dobrze - wyszeptałam, kiedy jego dłonie ześlizgnęły się w dół, po czym zatrzymały pod brzegiem koszulki. Kiedy nadal wydawał się niepewny, zdjęłam ją przez głowę i cisnęłam na podłogę, a potem pomogłam mu zdjąć bluzę.

Jego powracająca niepewność najwidoczniej rozplynęła się, kiedy położyłam się obok niego. Całował mnie mocniej i chwyta każdy fragment mojego ciała, jakiego mógł dosięgnąć: dotykał mojej twarzy, włosów, ramion, talii, bioder. Uczucie było tak przyjemne, jakby przez siedemnaście lat moje ciało trwało w oczekiwaniu na tę właśnie chwilę. Kiedy wsunął palce między moją nagą skórę a guzik dżinsów, bez wahania skinęłam głową, nie przestając obsypywać go pocałunkami.

Zatrzymał się jeszcze tylko raz, kiedy gdzieś w pobliżu w ziemię uderzył piorun, a wtedy lampka na biurku zgasła.

- Mogę przynieść świece... - Odsunął moją twarz od swojej na tyle, by nasze oczy się spotkały.

Ciemność. Była już noc, na dworze szalała burza, a jedyne światło wpadające do pokoju pochodziło z urywanych błysków o oknem. Normalnie w takiej sytuacji chwyciłabym za latarkę i schowała pod stertą koców, czekając, aż przywrócą prąd.

Jednakiej nocy zupełnie mi to nie przeszkadzało. -Nie trzeba. Ale dziękuję. -

Chciałam go znów pocałować, ale odsunął głowę do tyłu, wciskając ją w poduszkę. - O co chodzi? Coś jest nie tak?

Odsunął luźno opadający kosmyk włosów z mojej twarzy, przekładając go za moje ramię.

-Nie... - odparł, przyglądając mi się uważnie. - Chodzi o to, że teraz... w tym świetle... twoje oczy wyglądają prawie jak srebrne.

Następnego ranka poderwałam się na łóżku, czując łomotanie serca i zawroty głowy. Zamknęłam oczy i przygotowałam się na to, że jak zwykle po przebudzeniu zobaczę obraz samej siebie stojącej nad brzegiem oceanu albo ten nowszy, przedstawiający Justine wyciągającą do mnie pokryte siniakami ramiona. Widziałam je każdego ranka, ponieważ towarzyszyły mi zawsze, gdy udało mi się zapaść w sen.

- Hej. I Otworzyłam oczy.

- Dobrze się czujesz?

Spostrzegłam globus w kącie pokoju, tablicę z układem okresowym pierwiastków wiszącą na przeciwległej ścianie... i Simona przyciskającego usta do mojego nagiego ramienia.

- Która godzina?

- Dziewiąta - odparł łagodnie. - I chętnie zostałbym tu z tobą cały dzień, ale chyba powinniśmy posprzątać w kuchni, zanim Caleb się obudzi.

Skinęłam głową, próbując ogarnąć to, co zdarzyło się ubiegłej nocy, kiedy Simon wysunął się z łóżka. O dziwo, nie byłam wytracona z równowagi faktem, że zrobiliśmy stumilowy krok

ponad nieprzerwaną dotychczas linią między przyjaźnią a czymś więcej, ani rym, że nic miałam pojęcia, w jakim miejscu się teraz znajdowaliśmy. Nie byłam sparaliżowana szokiem ani poczuciem żalu, że posunęłam się tak daleko, bo zrobiłam coś tak dla siebie nietypowego z kimś, kto był jedynym człowiekiem, którego nie chciałam stracić.

Tym, CO sprawiło, że skupiłam się w milczeniu na jeziorze za oknem, zamiast starać się podjąć pogawędkę, była pora dnia. Była dziewiąta rano, a ja nie odganiałam spod powiek wizualnych pozostałości koszmarów minionej nocy. To znaczyło, że po raz pierwszy od bardzo dawna przespałam pełne osiem godzin.

-Chyba się spóźniliśmy.

Obróciłam głowę w stronę Simona.

-Spóźniliśmy? Na co?

Staął przy zamkniętych drzwiach sypialni, przechylił głowę i nasłuchiwał. Wtedy ja też to usłyszałam: brzęk naczyń na parterze.

Wyskoczyłam z łóżka i narzuciłam na siebie ubranie, zastanawiając się, co pomyślałby Caleb, gdybyśmy razem weszli do kuchni. Uznałam, że byłby to dla niego szok, ponieważ pomyślał, że Simon i ja moglibyśmy zostać parą, z pewnością nikomu nie przyszedłby do głowy. Jednak miałam też nadzieję, że to nie sprawiłoby mu przykrości. Co jeśli widok nas razem wywołałby świeże, bolesne wspomnienia o Justine? Co jeśli poczułby się odtrącony i znów uciekł? Co jeśli... -Jajka?

Wchodząc do kuchni, zastygłam w bezruchu. Jeśli nawet Caleb poczuł się zaszokowany, skrzywdzony albo oszukany, nie dał tego po sobie poznać. Siedział przy stole, na którym nie było już potłuczonych kawałków kubka, pozostawionych tam przez Simona i mnie poprzedniej nocy, jadł śniadanie i czytał.

- Są na kuchence - oznajmił Caleb, nie odrywając wzroku od książki. - W lodówce masz sok pomarańczowy. Wziąwszy od Simona szklanekę soku, usiadłam naprzeciwko Caleba. Zmył z włosów brązową farbę, a po przespaniu nocy i zjedzeniu śniadania już teraz wydawał się silniejszy, zdrowszy.

-Jest dość wcześnie - stwierdził Simon. - Musisz być ciągle zmęczony. Nie masz ochoty się jeszcze zdrzemnąć?

- Nie - odparł Caleb, zamykając książkę. Przyciągnęłam do siebie Kompletną historię Winter Harbor, kiedy Caleb odsunął ją na bok. Przerzucając kartki, szukałam wzmianki o dziwnych zjawiskach atmosferycznych, niewyjaśnionych śmiertelnych wypadkach czy uśmiechniętych topielcach wyrzuconych na brzeg w okolicy Winter Harbor.

- Myślę, że po zawiadomieniu policji powinniśmy skonfrontować się z nią bezpośrednio.

Simon usiadł przy mnie.

- Nie możemy jeszcze zawiadamiać policji. To, co mamy, to jedynie podejrzenia, nie dowody. A poza tym jak wyobrażasz sobie taką konfrontację? Co mielibyśmy jej powiedzieć? „Hej, Zara, wiemy, co zrobiłaś tego lata”?

- Mniej więcej - odparł Caleb. - Vanessa może trzymać się z tyłu i udawać, że jest turystką z kamerą cyfrową, dzięki temu będziemy mogli nagrać poczucie winy na jej twarzy.

- Caleb - powiedział cierpliwie Simon - rozumiem twoje rozgoryczenie, ale musimy to trochę lepiej przemyśleć. Jeżeli będziemy działać zbyt pochopnie, możemy ją wystraszyć, zanim zdobędziemy odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Poza tym mówiłeś, że nie możesz być blisko niej, bo inaczej miesza ci w głowie. Skąd masz pewność, że w ogóle będziesz w stanie z nią rozmawiać?

Rozprawiali nad tą kwestią, podczas gdy ja przeglądałam książki historyczne. Oliver z pewnością wiedział wiele o Winter Harbor -jego badania sięgały minionych stuleci - ale nie natrafiłam na żadną wzmiankę o ciałach wyrzuconych w tajemniczy sposób na brzeg. Szukałam też fragmentów o rodzinie Marchandów, ale znalazłam tylko niewielki paragraf o założeniu Restauracji Rybnej „U Betty”.

-A może porozmawiam z Paige? - zaświtało mi w głowie kilka minut później.

Poczułam ciepło na twarzy, kiedy obaj spojrzeli na mnie. Pomimo sprawy, która nas teraz zajmowała, nie mogłam przestać się zastanawiać, czy Simon myśli o ostatniej nocy, gdy teraz na mnie patrzy, i czy Caleb wyczuwa, co między nami zaszło.

-A czy one nie są ze sobą blisko związane? - zapytał Caleb. -Właśnie dlatego dobrze byłoby z nią porozmawiać - wyjaśniłam. - I nie martw się: nie powiem nic o wczorajszym dniu ani o Justine. Paige jest dosyć otwarta, więc wydaje mi się, że nie będę musiała szczególnie mocno ją naciskać, aby się dowiedzieć, czy Zara zachowywała się ostatnio dziwniej niż zwykle.

-To mi wygląda na niezły pomysł.

-Chwileczkę - powiedział Simon, posyłając Calebowi znaczące spojrzenie. - Nie chcę... nie chcemy... żebyś robiła cokolwiek, co mogłoby ściągnąć jej uwagę na ciebie. Właściwie też nie chciałam, by uwaga Zary skupiła się na mnie, ile z jakiegoś powodu uznałam, że dzisiaj poradzę sobie z tym lepiej niż choćby dobie wcześniej.

- Nic mi nie będzie. Zrobię to dzisiaj rano, kiedy obie będą w pracy. Co w najgorszym razie może zrobić Zara w miejscu publicznym otoczona setką osób?

- W porządku - zgodził się Simon po krótkim namyśle. - Ale pójdziemy z tobą.

Trzymamy się razem, dopóki cała ta sprawa się nie wyjaśni.

- Zgoda - odparłam.

- Pójdę naładować iPod'a. - Caleb wstał od stołu i posłał Simonowi wymowne

spojrzenie. - Może naładujesz przy okazji swojego, co?

Kiedy Caleb wyszedł z pokoju, Simon i ja w milczeniu zaczęliśmy sprzątać ze stołu. Zastanawiałam się, czy jest wściekły, że zamierzam porozmawiać z Paige, albo - co gorsza - czy żałuje tego, co zdarzyło się zeszłej nocy. Próbowałam zebrać się na tę samą odwagę, która pozwoliła mi zrobić wszystko to, co zrobiłam wczoraj wieczorem. Zamierzałam po prostu zapytać, co się dzieje. Chciałam zapytać, czy żałuje, a gdyby powiedział, że tak, postanowiłam zapewnić go, że sama przyjaźń w zupełności mi wystarczy. Byłoby tak, jakby nic nie zaszło, jeżeli on tego właśnie chce.

Po uruchomieniu zmywarki podniosłam na niego wzrok. Opierał się o blat i przyglądał mi się. Chwyciłam się krawędzi stołu, żeby do niego nie podbiec, i trzymałam się mocno, dopóki sam nie wyciągnął do mnie ręki.

- Vanesso - powiedział, przyciągając mnie do siebie - ostatnia noc była...

- Wiem - przerwałam, czując ulgę. - To znaczy, cieszę się, że też tak myślisz.

Otoczył mnie ramieniem i oparł podbródek na czubku mojej głowy. Kiedy odezwał się znowu, jego głos brzmiał łagodnie.

-Jednak sądzę, że... chyba nie powinniśmy pozwolić, by to się powtórzyło.

Przynajmniej nie teraz.

Zastygłam w bezruchu, po czym odsunęłam się. -Nie chodzi o to, że nie chcę - dodał szybko, rumieniąc się 2przejęcia. - Uwierz mi. Po prostu to mogłoby być zbyt wiele, za szybko dla Caleba. Za nic nie chciałbym, żeby czuł się gorzej, niż czuje się teraz. Próbowałam wymyślić jakiś argument przeciwko jego logice, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Bo to rzeczywiście nie było w porządku. Niezależnie od tego, czego pragnęłam dla siebie, Caleb wystarczająco dużo przeszedł, a nasza bliskość przypominałaby mu tylko to, co stracił. -Lepiej będzie, jeśli już pójdę - powiedziałam wreszcie. - Wezmę prysznic i wracam.

Otworzył usta, żeby dodać coś jeszcze, ale nie zdążył, bo byłam już za drzwiami.

Szybko przemierzyłam podwórze na tyłach domu Carmichaelów, potem nasze, ledwie zauważając poranną aktywność jeziora czy czując, że robi mi się niedobrze. Może to nie była odpowiednia pora... ale to przecież nie znaczyło, że to, co

zrobiliśmy, było pomyłką. Nie znaczyło, że nie powinno się wydarzyć. Simon i ja nie powinniśmy czuć się winni ani żałować, ani... Przystanęłam w pół kroku. Właśnie przeszłam przez taras i weszłam do naszego domku. W środku panowała cisza. Nie pamiętam, że bym wyłączała telewizor albo radio... ale może zrobiłam to, będąc podekscytowana na myśl o wczorajszym spotkaniu z Simonem w bibliotece.

Uznawszy, że tak właśnie musiało być, skierowałam kroki do kuchni. -Jak się spało? Stanęłam w progu jak wryta.

- Mama?

Siedziała przy kuchennym stole przed otwartym laptopem. Obok palmtopa „BlackBerry” i kluczyków do samochodu stał kubek kawy z kawiarni „Dunkin' Donuts”. Wpatrywała się w ekran komputera i nie podnosząc na mnie wzroku, udawała, że czyta.

- Słyszałam, że zeszłej nocy była całkiem spora burza. Wiem, jak bardzo nie znosisz burzy, więc założę się, że nie zmrużyłaś oka.

- Co ty tu robisz? - Sięgnęła po kubek z kawą, oparła się na krześle i spojrzała na mnie. - Przecież mówiłam, że u mnie wszystko w porządku. Mam nadzieję, że nie odwołałaś żadnych ważnych spotkań, żeby tu przyjechać i zabrać mnie ze sobą do Bostonu, bo ja nigdzie się nie wybieram.

Kąciki jej perfekcyjnie nabłyszczonych ust uniosły się w górę.

- Owszem, mówiłaś, że u ciebie wszystko w porządku. Mówiłaś też, że dobrze śpisz. Dlatego możesz sobie wyobrazić, jak bardzo byłam zaskoczona, kiedy przyjechałam tu dzisiaj przed świtem i zastałam samochód twojego ojca nie na naszym podjeździe, ale na podjeździe sąsiadów.

- Wróciliśmy późno - odpowiedziałam, czując, jak płonie mi twarz. - Zaprosili mnie do siebie na kolację, a ponieważ już wtedy padało, po prostu wygodniej było zaparkować u nich niż tutaj.

- Zaprosili? - Twarz mamy się rozluźniła. - Państwo Carmichaelowie wrócili z Vermont?

Opuściłam wzrok.

- Vanesso?

- Nie... ale to nie tak, jak myślisz. - Chociaż prawdopodobnie było dokładnie tak, jak myślała. - Po prostu zasnęliśmy, oglądając filmy.

- Wybacz, Vanessa, zeszłej nocy nie zmrużyłam oka, mam za sobą sześć godzin za kółkiem i tylko ten jeden kubek kawy. Chcę się upewnić, że dobrze zrozumiałam. - Przeniosła wzrok na sufit. - Chcesz powiedzieć, że po tych dniach, podczas których musiałam się zamartwiać, że jesteś tu zupełnie sama, a zwłaszcza po całym wczorajszym dniu, kiedy ani razu do mnie nie oddzwoniłaś, ani nie odbierałaś telefonów, wszystko jest u ciebie w całkowitym porządku? Że wczoraj wieczorem czułaś się na tyle dobrze, żeby oglądać filmy z Simonem Carmichaelem, mimo że to przez jego brata nasza... -Nie mów tak. - Weszłam do kuchni. - Caleb nie jest odpowiedzialny za to, co się stało z Justine. Kochał ją bardziej niż ktokolwiek inny. Nie zrobiłby nic, by ją skrzywdzić.

- Vanessa, proszę cię. Zbyt wiele czasu spędzonego samotnie na tym odludziu najwyraźniej przewróciło ci w głowie. Jeżeli cokolwiek łączyło tego chłopaka z twoją siostrą, było to tylko i wyłącznie nic nieznaczące wzajemne zauroczenie. To nic nie znaczyło. Jeśli sądzisz, że to, co dzieje się między tobą a Simonem, czymkolwiek to jest, różni się od tego, co było między nimi, to muszę z przykrością stwierdzić, że jesteś bardzo zagubioną małą dziewczynką.

Wpatrywałam się w nią bez wyrazu.

- Gdzie jest ojciec?

Przycisnęła wypielegnowaną dłoń do czoła. - Twój ojciec jest w Bostonie.

Przemierzyłam kuchnię i sięgnęłam po słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

- Co robisz? Ta rozmowa jeszcze się nie skończyła.

-Tato rozumie - odparłam, wybierając szybko numer. - Nie przyjechał, bo wie, że potrzebuję czasu. On wie, że robię coś, co jest dla mnie ważne. A skoro ty tego nie pojmujesz, może on spróbuje ci to po raz kolejny wyjaśnić. Gdy w słuchawce rozbrzmiał sygnał, odwróciłam się do niej plecami. Zadzwoił raz, drugi, trzeci. Po sześciu sygnałach odłożyłam słuchawkę i spróbowałam znowu.

- Nie odbiera. - To było stwierdzenie, nie pytanie. Rozłączyłam się i mijając ją,

wyszłam z kuchni.

- Ja się nigdzie stąd nie ruszam, Vanesso - zawołała za mną. -Jeśli chcesz spędzić tu całe lato, nie mam nic przeciwko temu. Taras doskonale się sprawdzi jako domowe biuro.

Z sypialni na dole zabrałam swój worek marynarski i zaciągnęłam za sobą do łazienki. Wzięłam szybki prysznic, ale ubieranie się zajęło mi nieco więcej czasu niż zwykle. Nawet jeśli między mną a Simonem miało do niczego nie dojść, mimo wszystko chciałam mu się podobać.

Oczywiście przed wyjazdem z Bostonu nie miałam pojęcia, że będę miała powód, żeby w Maine nosić coś innego niż dżinsy, krótkie spodenki, koszulki i bluzy, dlatego też moje opcje były ograniczone. W końcu zdecydowałam się na czystą parę dżinsów, białą koszulkę bez rękawów i dopasowany fioletowy kardigan. W przypadku obuwia też nie było z czego wybierać: najlepsze, co mogłam zrobić, to przerzucić się z tenisówek na japonki. Zostawiłam rozpuszczone włosy, żeby wyschły na powietrzu, rzęsy pomalowałam tuszem, a usta błyszczkiem, które miałam tylko dlatego, że Justine nalegała, żebym przynajmniej te podstawowe akcesoria zawsze nosiła w torebce, na wszelki wypadek.

Kiedy byłam gotowa, spojrzałam w lustro nad umywalką. Prawie spodziewałam się ujrzeć srebrne błyski wokół własnego odbicia, tak jak tamtego ranka, gdy zjawił się Simon i pojechaliśmy na

Stań w Winter Harbor. Ale ich nie ujrzałam i poczułam się niemal zawiedziona.

Po powrocie do kuchni zastałam mamę ciągle siedzącą przy stole. Kiedy ją mijałam, nie oderwała wzroku od laptopa.

- Nie zamierzam przykuwać cię do kanapy, żebyś została. Ale mogłabyś chociaż powiedzieć, dokąd się wybierasz. Zatrzymałam się z ręką na drzwiach. Tylko tyle? Nawet tato potrafił wszcząć większą wojnę, kiedy był ze mnie niezadowolony.

- Do restauracji „U Betty” - odparłam, nie odwracając się. Pociągnęła łyk kawy z kubka.

- Kolacja o szóstej. Zadzwoń, jeśli będziesz się miała spóźnić. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć, że wrócę, kiedy wrócę, i że do tej pory jakoś radziłam sobie z jedzeniem

sama... ale zaraz je zamknęłam. Było kilka osób, których towarzystwo wolałabym od towarzystwa mamy, ale świadomość jej obecności - czyjejkolwiek obecności — po powrocie do domu nie była aż tak straszna.

Gdy dotarłam do podwórza sąsiadów, Simon i Caleb czekali już na mnie na frontowym ganku.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - oznajmiłam, przyspieszając kroku. - Mam nieoczekiwanego gościa.

Simon spojrział w stronę naszego podjazdu. Oczy otworzył szerzej, kiedy dostrzegł bmw rodziców.

- Nie przejmuj się. Nigdzie się nie wybieram, przynajmniej jeszcze nie teraz. Myślę, że mama po prostu musiała mnie zobaczyć na własne oczy, żeby uwierzyć, że nie odleciałam z planety. Ominąwszy wzrokiem Simona, spojrzałam na Caleba. Siedział z zamkniętymi oczami w wiklinowym fotelu i rytmicznie kiwał głową. - Nic mu nie jest?

- Myślę, że nie. A on najwyraźniej myśli, że kawałki Green Day pozwolą mu utrzymać ten stan.

W drodze do miasteczka milczeliśmy. Caleb słuchał iPod'a i wyglądał z tylnego siedzenia przez szybę. Simon koncentrował się na drodze przed nami. A ja myślałam o tym, o co zapytam Paige, czując, że im bliżej restauracji, tym bardziej tracę determinację. Wyobrażanie sobie rozmowy z Paige ze świadomością, że gdzieś w pobliżu kręci się Zara, kiedy siedzi się bezpiecznie w kuchni Carmichaelów to jedno, a realizacja tego planu to coś zupełnie innego.

- Wow - powiedziałam, kiedy skręciliśmy w główną aleję miasteczka. Prawie jej nie poznałam: chodniki były zbyt puste jak na tak słoneczny dzień, a w poprzek ulicy rozciągały się żółte banery obwieszczające Pierwszy Doroczny Festiwal Świąteł ufundowany przez Portowe Centrum Odnowy Biologicznej „Latarnia Morska”.

- Jak to „Pierwszy Doroczny”? - zdziwiłam się. - Razem z rodziną każdego lata uczestniczymy... uczestniczyliśmy w Festiwalu Świąteł.

- Ten jest pierwszy sponsorowany przez „Latarnię Morską”

- w głosie Caleba słychać było rezygnację. - Dzisiaj rano w „Heraldzie” był o tym

artykuł. Pisali, że tegoroczny festiwal przyciągnie tysiące gości z całej Nowej Anglii, i obiecywali, że będzie najlepszy w historii, bo połączy stare tradycje z nowymi ekscytującymi atrakcjami.

- To za tydzień - stwierdził cicho Simon, gdy przejechaliśmy pod banerem.

Nie rozwijał tematu, ale wiedziałam, o czym myśli. Przez tydzień wiele się mogło zdarzyć: na brzeg mogły zostać wyrzucone kolejne ciała, mieszkańcy i przyjezdni mogli zacząć masowo

opuszczać miasteczko w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia, przez co w chwili zapalenia festiwalowych świateł na ulicach mogło nie być już ani żywej duszy.

-Zaparkuj na głównym placu - poleciłam, kiedy zbliżaliśmy się do restauracji i widać już było logo z syrenką nad głównym wejściem. - Na tyłach parkuje obsługa.

Kiedy zgodnie z moją instrukcją zbliżyliśmy się do wjazdu na parking główny, Simon zwolnił i opuścił szybę. -Witam, jest rezerwacja?

-Cześć, Garrett - rzuciłam, pochylając się do okna od strony kierowcy.

-Vanessa? - Opuścił podkładkę z klipsem i uśmiechnął się. -Cześć. Jakiś czas temu ominął cię niezły koncert. Pracujesz dzisiaj?

-Właściwie to przyjechałam tylko po czek. Możemy zaparkować tu na chwilę, a ja szybko pobiegnę do środka? Jego uśmiech zbladł na słowo „możemy”. Spojrzał na swoje zapiski, potem za siebie, na plac parkingowy. -Jasne, czemu nie. -Dzięki. Jesteś wielki.

-Aha, a swoją drogą... - pochylił się, żeby na mnie spojrzeć przez częściowo otwarte okno od strony Simona właśnie w chwili, kiedy mieliśmy odjeżdżać. - Dziś wieczorem wychodzimy W kilka osób. Może chciałabyś się przyłączyć? Wcześniej moglibyśmy coś razem przekąsić.

Próbowałam się uśmiechnąć, gdy Simon opuścił wzrok na kolana.

-Brzmi wspaniale... ale obawiam się, że dzisiaj nie dam rady. Robiąc krok wstecz i prostując się, przeniósł wzrok na Simona. -No trudno. Może innym razem.

Zaparkowaliśmy na wolnym miejscu prawie na końcu placu, z dala od okien głównej sali jadalnej. Odwróciłam się do Simona, nie wiedząc, czy powinnam wyjaśniać zaproszenie Garretta ani czy w ogóle go to obchodzi.

- OK - rzucił, zanim zdążyłam się zdecydować. - Zrób, co trzeba, tylko szybko. A kiedy poczujesz się niekomfortowo, od razu stamtąd wychodź.

- Tak zrobię - odparłam. - Obiecuję. Spomiędzy siedzeń wyłoniły się ramiona Caleba.

- Aerosmith - oznajmił, potrząsając odtwarzaczem przed Simonem. - Stare, ale skuteczne.

Wysiadłam z samochodu i pobiegłam przez parking w stronę wejścia. Starłam się skoncentrować na tym, czego chciałabym dowiedzieć się od Paige, na przykład, czy Zara napomknęła, gdzie była wczoraj, czy zachowywała się dziwniej niż zwykle albo czy ostatnio wspominała coś o swoim najnowszym chłopaku, ale za bardzo kręciło mi się w głowie, żebym mogła myśleć logicznie. Natknięcie się z miejsca na Zarę wcale nie pomogło. Stała w sali jadalnej niedaleko holu i odbierała zamówienie od dwójki młodych ludzi. Rozmawiała z nimi i uśmiechała się, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego, jakby niecałą dobę temu wcale nie próbowała zahipnotyzować i uwieść kolejnej ofiary. Gdy tylko ją ujrzałam, dopadł mnie ból głowy, ale tym razem poczułam dodatkowo mdłości.

Zrobiłam unik i przykucnęłam za stanowiskiem hostessy, dopóki nie odwróciła się do mnie plecami, żeby zająć się gośćmi przy kolejnym stoliku, po czym obrzuciłam wzrokiem salę. Paige nigdzie nie było. Chwyciłam parę kart menu i zasłaniając nimi bok twarzy, pomknęłam wzdłuż tylnej ściany jadalni i wpadłam przez wahadłowe drzwi do kuchni.

-Louis, gdzie jest Paige? - Podleciałam do blatu, przy którym stał kucharz.

-Ciebie też miło jest widzieć tego pięknego dnia, moja droga. -Nóż w jego dłoniach poruszał się szybko, kiedy kroił w plasterki marchewkę, rozrzucając pomarańczowe krążki po blacie. -A w zasadzie cofam, co powiedziałem. Wcale nie jest piękny.

Wręcz przeciwnie. Nasza złota panna Paige postanowiła po raz pierwszy w historii nie przyjść do pracy z powodu choroby. -Paige jest chora? - Serce mi załomotało. -

Co się stało? -Jestem kucharzem, nie lekarzem. Wiem tylko tyle, że tu jej nie ma, a pomiot szatana już trzy razy groził mi wylaniem z pracy.

- Louis! To według ciebie są jajka w koszulkach?- rozległ k znajomy krzyk.

Spojrzałam w stronę wahadłowych drzwi, potem znów na Louisa.

-Powodzenia.

Wybiegłam tylnym wyjściem i okrążyłam samochody obsługi. Obok śmietnika stał zaparkowany czerwony mini cooper. Zerknęłam przez okno od strony kierowcy i poczułam ulgę, widząc, że atlas samochodowy i sterta ubrań zniknęły. Wyglądało na to, że Zara wzięła sobie dzień wolnego od prześladowania Caleba.

-Co się stało? - zapyta! Simon, kiedy otworzyłam drzwi od strony pasażera. - Była tam?

-Tak - odpowiedział za mnie Caleb.

Spojrzałam na Simona, potem na tylne siedzenie. Caleb nadal słuchał iPod'a, ale zsunął się teraz na kanapie. Oczy miał szeroko otwarte, a oddech krótki, urywany.

-Ona tam jest. - Spojrzał na mnie. - Słyszę ją.

Dolna warga mu drżała, a od skroni do podbródka spływała wąska strużka potu. Od Zary dzieliło go ze sto metrów, ściany z drewna i betonu, a mimo to przeistaczał się w zalęknionego Caleba, jakim był, gdy znaleźliśmy go dzień wcześniej. To t ak, jakby Zara stała tuż przy szybie samochodu i świdrowała z góry wzrokiem z uśmiechem na ustach. Vanesso...

Moje oczy rozwarły się równie szeroko jak oczy Caleba. Ona jeszcze nie skończyła... nie podda się, dopóki go nie zdobędzie... albo dopóki jej nie powstrzymasz...

Odwróciłam się do Simona.

- Jedziemy.

- Ale dokąd?

- Do domu Marchandów. - Czekałam na słowa protestu ze strony Caleba, ale z tylnego siedzenia dobiegło tylko ciężkie, drżące westchnienie. - I to szybko.

16

Dwadzieścia minut później stałam na frontowym ganku domu Paige i Zary. Zerknęłam przez ramię, czując ulgę, że z tego miejsca nie widać subaru schowanego pośród drzew przy końcu podjazdu. -Witaj, Yanesso.

Szybko odwróciłam głowę z powrotem. W otwartych drzwiach stała Raina, ubrana w śnieżnobiały szlafrok zarzucony na czarne bikini. Jej twarz, uderzająco piękna, choć bez śladu makijażu, pozostała bez wyrazu. Ciemne włosy były mokre, a ciało

pachniało solą, jakby przed chwilą wróciła z kąpieli w oceanie.

-Dzień dobry. - Zmusiłam się do uśmiechu i powstrzymałam -ponownego obejrzenia się za siebie. ~Czy coś się stało?

- Nie-odpowiedziałam szybko. Za szybko. - To znaczy, przydam zobaczyć się z Paige.

- Obawiam się, że będziesz musiała pofatygować się do restauracji. Paige jest w pracy.

Gdyby była tylko matką Paige, wyjaśniłabym, że byłam już kuracji i tam dowiedziałam się, że Paige źle się poczuła i nie przyszła do pracy. Ale ponieważ była też matką Zary, uznałam, że im mniej zostanie powiedziane, tym lepiej.

- Ale ze mnie gapa. - Machnęłam ręką. - Coś sobie ubzdurałam, że dzisiaj ma wolne. Jej wyraz twarzy nie zmienił się, kiedy zrobiła krok wstecz, by zamknąć drzwi.

- Pozdrów ją ode mnie, gdy się z nią spotkasz.

- Szczerze mówiąc - powiedziałam, kładąc dłoń na drzwiach

- nie sędzę, żeby jeszcze dzisiaj udało mi się wybrać do miasta. Nie miałyby pani nic przeciwko temu, gdybym zostawiła dla niej wiadomość?

Po chwili milczenia odparła:

- Z chęcią przekażę jej wiadomość. Co mam jej powiedzieć?

- To sprawa osobista.

Wyglądała na równie zaskoczoną moją śmiałością, co ja sama. Pewnie powinnam była pozwolić jej zatrzaskać sobie drzwi przed nosem i czmychnąć z powrotem do samochodu tak szybko, jak tylko pozwalały japonki. Ale wiedziałam, że Raina kłamie. A to sprawiło, że tym bardziej zależało mi, by dostać się do środka.

- Takie babskie sprawy - wyjaśniłam, ścisząc głos. - Chodzi o to, że... zakochałam się po uszy w chłopaku, który nawet nie wie o moim istnieniu, i muszę po prostu opowiedzieć Paige o mojej ostatniej próbie zwrócenia na siebie jego uwagi.

Zasznurowała wargi, najwidoczniej próbując rozgryźć, czy rzeczywiście jestem aż tak nierozgarnięta.

- Sama pani widzi. - Wskazałam palcem na twarz, która przybrała kolor fuksji, gdy tylko Raina otworzyła szerzej drzwi.

- Oto co się dzieje, kiedy o nim mówię. Może sobie pani wyobrazić, jak idiotycznie wyglądam, gdy faktycznie jestem blisko niego. To jakieś nieporozumienie.

Jej twarz rozluźniła się nieznacznie. -Mogłabyś zacząć od ubrania.

Spojrzałam w dół, poruszona jej sugestią, a także tym, że chyba połknęła haczyk.

-Masz siedemnaście lat, tak?

Uniosłam wzrok i pokiwałam głową.

-Dziewczyno, twoja figura już nigdy nie będzie piękniejsza. Wykorzystaj to. Pokaż, co masz najlepszego. Zaufaj mi, zauważy cię.

-No dobrze... dziękuję.

Najwyraźniej Raina uznała, że potrzebuję więcej porad tego typu i otworzyła szerzej drzwi, zapraszając mnie do środka. Kiedy wchodziłam do salonu, serce dudniło mi jak szalone. Minęła chwila, zanim wzrok przystosował się do przygaszonego światła, ale zdawało mi się, że dostrzegłam dwie kobiety, które czmychnęły do kuchni, widząc, kto stoi przy drzwiach. -Wpływ, jaki kobieta może mieć na mężczyznę, to jej najsilniejsza broń. - Raina przemierzyła salon i gestem wskazała kanapę. - Właściwie wykorzystany może dać jej wszystko, czego tylko zapragnie.

-Ach tak... - Usiadłam.-Jedyne, na czym mi zależy, to żeby przestała być dla niego przezroczysta.

Przechyliła głowę i uśmiechnęła się, jakby uznała moją niewinność za uroczą.

-Zaczekaj tu. Mam coś stworzonego dla ciebie.

Patrzyłam, jak wychodzi z salonu. Byłam ciekawa, z czym wróci, ale wiedziałam, że na taką właśnie sposobność liczyłam. Słyszając trzaskanie szuflad, poderwałam się na równe nogi i pobiegłam w stronę schodów.

Pospiesz się, Yanesso...

Wbiegłam na górę, pokonując po dwa schodki jednym susem, a potem ruszyłam sprintem w głąb korytarza, w stronę pokoju Paige.

W drugą stronę... idź w drugą stronę...

Słyszając głos Justine, potrząsnęłam głową. Jedyne pokój po

przeciwnej stronie korytarza to był pokój Betty.

- Paige? - Zapukałam i jednocześnie otworzyłam drzwi do jej sypialni. - Nie gniewaj się, że tak bezceremonialnie cię nachodzę, ale Louis mówił, że jesteś chora, z kolei Raina powiedziała, że jesteś w pracy, a ja musiałam się z tobą zobaczyć, bo potrzebuje z tobą porozmawiać o...

Gdy tylko drzwi zamknęły się za mną, przystanęłam. Na kozetce leżała podparta poduszkami i przykryta stertą białych koców Paige. Miała na sobie biały golf, zaciągnięty aż po podbródek. Była opatulona jak na zimę, mimo że słońce wciąż jeszcze grzało, a wszystkie okna były pootwierane na oścież, wpuszczając do pokoju słonawą bryzę.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam, zbliżając się do niej. - Masz gorączkę? Mogę zamknąć okna...

- Nie zamykaj - odezwała się. - Takie przyjemne powietrze. Usiadłam przy niej na kozetce. Gdyby nie ten zimowy strój, wcale nie wyglądałaby na chorą: włosy opadały jej luźno na ramiona, policzki były ładnie zarumienione, a srebrzyste oczy lśniły.

- Paige..., dlaczego wyglądasz, jakbyś dopiero co wróciła po robieniu orła na śniegu?

- Yanesso - powiedziała, pochylając się w moją stronę. - Jesteśmy sobie bliskie, prawda?

Zerknęłam na drzwi.

- Prawda.

-Zabroniły mi komukolwiek o tym mówić - wycedziła, a jej oczy zaśniły jeszcze jaśniejszym blaskiem. - Powiedziały, że to o czym ludzie naprawdę woleliby nie słyszeć, biorąc pod uwagę, że jesteśmy tacy młodzi i wywodzimy się z tak różnych środowisk... ale przecież, prędzej czy później i tak wszyscy się dowiedzą. A ja wiem, że ty nikomu nie powiesz.

- O czym nikomu nie powiem? - zapytałam ostrożnie. Zależało mi na Paige, ale nie byłam pewna, jak daleko mam ochotę zapuszczać się w tajemnice rodziny Marchandów, jeszcze bardziej ściszyła głos:

-O moim sekrecie.

-Nikommu nie powiem - oznajmiłam, bo zdawało mi się, że czeka na te słowa, a ja

chciałam mieć to już za sobą, żeby się stamtąd wydostać. - Obiecuję. Jej twarz rozpromienił uśmiech. -Jestem w ciąży.

Musisz iść, Vanesso...

-Czy to nie cudowne? - zapiszczała cichutko, marszcząc nos. -To znaczy, wiem, że jestem młoda. I Jonathan jest młody. I ja zostaję tutaj, a on wyjeżdża na studia, ale naprawdę myślę, że wszystko będzie dobrze. Nie doszłoby do tego, gdyby to nie było nam pisane, a my już się postaramy, żeby wszystko się ułożyło. Choćby nie wiem co, zadbamy o to, żeby nam się udało. Wytężałam umysł, usiłując przetworzyć tę informację. -Co na to twoja mama? - zapytałam wreszcie, myśląc o własnej matce. Zbliżyła dłoń do rozpalonego czoła.

- O mój Boże, tak się bałam jej o tym powiedzieć. - Opuściła dłoń i potrzęsnęła głową. - Ale ona była wspaniała. Właściwie w wiedziała, co się kroi, jeszcze zanim ja się zorientowałam.

Od jakiegoś czasu nie czułam się najlepiej: miałam nudności, bez przerwy było mi gorąco i chciało mi się pić. Brałam zimne prysznice i wypijałam hektolitry lodowatej wody, i dalej czułam się jak po zjedzeniu beczki śledzi. No a dwa dni temu Raina zauważyła, że po trzecim zimnym prysznicu pocę się jak w saunie, i zapytała, co się dzieje. Powiedziałam jej o swoich objawach, a ona natychmiast dodała dwa do dwóch. Powiedziała, że obie jej ciąży przebiegały dokładnie tak samo.

- I naprawdę dobrze to przyjęła? - zapytałam, próbując odegnać obraz siebie i Simona u niego w pokoju zaledwie kilka godzin wcześniej.

- Naprawdę dobrze. Zara na początku była w szoku i nie rozmawiała ze mną przez te dwa dni, ale w końcu jakoś to przełknęła. Obie stwierdziły, że nowe życie jest cudownym darem niezależnie od tego, kiedy przychodzi, i że trzeba zawsze przyjmować je z wdzięcznością. I właśnie to robię. - Skrzywiła się i uniosła dzbanek pełen ciemnozielonej cieczy. - Słona woda. Z oceanu. Z dodatkiem glonów: magiczne panaceum Rainy. Działa, ale muszę ją pić bez przerwy... a smakuje mniej więcej tak, jak wygląda.

Na widok brązowych i zielonych strzępków unoszących się powoli w zawieszynie zrobiło mi się niedobrze.

- Kąpiele solne też dobrze mi robią. Muszę je brać co godzinę. Dlatego właśnie - wracając do twojego pierwszego pytania

- wyglądam, jakbym dopiero co wróciła po robieniu orła na śniegu. - Sięgnęła po moją dłoń. - Chcesz dotknąć?

- Raczej nie, naprawdę powinnam już...

Odsunęła koce, podciągnęła sweter powyżej pępka i pol' sobie moją dłoń na brzuchu. Kiedy tuż pod skórą poczułam ruch wód płodowych, wyszarpnęłam rękę.

-Obłęd, co? Słowo daję, ten dzieciak zostanie olimpijczykiem.

lesz, ja już chyba muszę lecieć - oznajmiłam, wstając szybko. - Przyjechała moja mama, a ja obiecałam, że niedługo wrócę.

- A nie chciałaś ze mną o czymś porozmawiać? - Gdy opuszczała sweter, sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

.Szłam tyłem, ale przed samymi drzwiami przystanąłam. Każda cząsteczka mojego ciała wrywała się do najbliższego wyjścia, ale dotarłam już tak daleko i biorąc pod uwagę dziwną kwarantannę Paige, nie wiedziałam, kiedy znowu ją zobaczę. A do tej pory mogłoby być już za późno. -Właściwie tak... chodzi o Zarę.

-Już zdążyła narazić się pozostałym? Na czas mojej nieobecności dostała bezwzględny zakaz zwalniania kogokolwiek bez uzasadnienia.

- To nie dotyczy...

-0, Vanesso. Tu jesteś.

Czując, jak krew odpływa mi z twarzy, obróciłam się, by zobaczyć stojącą za moimi plecami Rainę, która ścisnęła w dłoniach długą białą sukienkę.

-Pani... panna... Marchand. Przepraszam za to zniknięcie. Właściwie to przypomniało mi się, że chciałam pożyczyć od Paige książkę. Dużo ostatnio czytam, są wakacje, a Paige mówiła, że ma naprawdę dobrą książkę, którą muszę przeczytać. -Tak? A jaką?

- zapytała Raina.

-Kompletną historię Winter Harbor - odpowiedziała Paige. -Jest na górnej półce, tam po prawej.

Usłyszawszy tytuł, zamarłam, a po chwili posłałam jej przez ramię pełne wdzięczności spojrzenie. Kiedy się odwróciłam, Raina stała z sukienką wetkniętą pod

ramię, a drugą ręką podawała mi książkę.

- Dziękuję - powiedziałam, biorąc książkę.

- Zakładam, że Paige podzieliła się z tobą dobrą nowiną.

- Nie złość się - poprosiła Paige. - Jestem po prostu tak podekscytowana, że musiałam komuś powiedzieć, a Vanessa jest moją przyjaciółką. Nikomu nie piśnie ani słówka.

- Mam nadzieję, że jest tak, jak mówisz. - Spojrzała na mnie, a uśmiech zniknął jej z twarzy. - To bardzo ważne chwile dla Paige i całej naszej rodziny. Ważne, osobiste, intymne chwile. Potrafisz chyba zrozumieć matkę, która pragnie ochronić własną córkę. Twoja matka zrobiłaby dla swoich córek to samo, nie sądzisz?

- Oczywiście. - Opuściłam wzrok, a moją twarz oblał rumieniec.

- Wiadomo, że z czasem sprawa wyjdzie na jaw - wtrąciła Paige - ale na razie chcemy to zachować w tajemnicy. Taka wiadomość rozeszłaby się po Winter Harbor jak ciepłe bułeczki. A poza tym Jonathan jeszcze o niczym nie wie, ja z kolei nie mam pojęcia, jak mu o tym powiedzieć.

- Paige, kochanie, już to przerabialiśmy.

Przeniosłam wzrok z Paige na Rainę. Surowa dezaprobata w jej głosie zniknęła; teraz przemawiała ciepło, niemal z matczyną czułością.

- Jonathan nie musi o niczym wiedzieć. - Raina przemierzyła pokój i przysiadła na łóżku. - Uczucie, jakie was teraz łączy, jest takie wspaniałe. Dlaczego coś takiego miałyby stanąć wam na drodze do szczęścia.

- „Coś takiego” wcale nie stanęłoby nam na drodze do szczęścia - stwierdziła z uporem Paige, zabierając rękę, gdy Raina próbowała ją za nią złapać.

- A co będzie, kiedy on za parę miesięcy wyjedzie na studia? - zapytała. - I będzie tak zniknął rok w rok przez następne cztery lata, co? On nie rzuci wszystkiego, żeby zostać w Winter Harbor i być młodym ojcem.

- Wcale nie musiałby rzucać wszystkiego - obstawała przy swoim Paige coraz bardziej płaczącym głosem. - Mógłby podjąć studia wieczorowe. A poza tym on na pewno nie będzie o tym myślał w ten sposób. Raczej pomyśli, że wszystko, z czego przyjdzie mu zrezygnować, nawet nie może się równać z tym, co zyska.

-I uważasz, że jego rodzice będą tego samego zdania? Wiesz przecież, że jego rodzina nie jest taka jak nasza. Paige przez chwilę świdrowała wzrokiem matkę, po czym podciągnęła koce pod brodę i odwróciła się w stronę orwanych okien. -Tylko dlatego, że tato odszedł, nie znaczy, że Jonathan robi to samo.

- Poczujesz się lepiej po przyjemnej kąpieli - stwierdziła Raina, jakby nie dosłyszała uszczypliwej uwagi Paige. Spojrzała na mnie. - Liczę, że sama odprowadzisz się do wyjścia. Przytaknęłam.

-Dzięki, Vanesso - powiedziała Paige, posyłając mi wątpy uśmiech. - Później do ciebie zadzwonię. Kiedy wyszłam na korytarz i ostrożnie zamknęłam za sobą drzwi, w uszach słyszałam dudnienie własnego serca. Vanesso...

Popędziłam przez korytarz, ignorując dobiegający z góry głos Justine. Teraz nie było na to czasu. Zaryzykowałam. Spróbowałam dowiedzieć się od Paige czegoś o Żarze. Nic z tego nie wyszło, a teraz przyszła pora na plan B, cokolwiek to znaczyło.

- Vanesso, to ty?

Potknęłam się i o mały włos nie straciłam równowagi. Prawdopodobnie nie powinnam czuć się bardziej zaniepokojona, słysząc własne imię wypowiedane przez żywą osobę niż przez nieżyjącą siostrę, ale Betty nie była zwyczajną osobą. Proszę, Vanesso... ona może pomóc...

Dotarłszy do schodów, poczułam ucisk w piersi. Nie wiedziałam, co takiego mogłaby powiedzieć mi Betty, co nie zrodziłoby jedynie dalszych pytań... ale może pytania mogły naprowadzić mnie na włas'ciwy trop.

- Dzień dobry, Vanesso - powitała mnie, gdy tylko po wejściu do jej pokoju zamknęłam za sobą drzwi.

Złożyła dłonie na hacie spoczywającym na kolanach i zdawała się czekać, aż zacznę mówić. Ja z kolei czekałam, aż przemówi Justine. Jeśli to ja miałam naprowadzić Betty, by to ona pomogła mi, nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Czytałaś? - zapytała po dłuższej chwili milczenia.

- Słucham?

- Paige dała ci książkę.

- Ach tak. - Opuściłam wzrok na dłonie zaciśnięte na egzemplarzu Kompletniej

historii Winter Harbor, który dostałam od Paige. - Racja. Pożyczyła.

- Paige to dobra dziewczyna. - Betty powiedziała to tak, jakbym w to wątpiła. - Jest młoda. Będzie popełniała błędy, tak samo jak jej siostra i matka przed nią. Ale ona nie chce nikogo skrzywdzić.

Skoncentrowałam się na wyrównaniu oddechu.

- Ona o tobie nie wie.

Wzmocniłam uścisk na książce, kiedy poczułam, że wyslizguje mi się z rąk.

- Nie wie o Justine.

Śledziłam wzrokiem jej oczy: utkwiała je w przestrzeni nad moją głową i bez przerwy mrugała.

Nie wie też. o twojej marce. - Mojej matce? - wyszeptalam.

Z wolna obniżyła wzrok, aż nasze spojrzenia się spotkały. Przyćmione światło błysnęło w zamglonych źrenicach.

-Ale ty przecież też o niczym nie wiesz.

Wstrzymałam oddech, niezdolna się poruszyć.

-Twoja matka i matka Paige dawniej były sobie bardzo bliskie.

Cofnęłam się o krok. Biodrem zahaczyłam o stolik, a wtedy dzbanek z mrożoną herbatą osunął się na podłogę. Betty milczała przez chwilę, zanim podniosła swoją robótkę.

-Ręczniki są w łazience.

Odłożyłam książkę na fotel i popędziłam do pomieszczenia w głębi sypialni, wdzięczna za chwilę wytchnienia. Porwałam ręcznik z szafki nad toaletą i odkręciłam kurek w umywalce. Kiedy namaczałam i wykręcałam ręcznik, w nozdrza uderzył mnie zapach soli, tak silny, że poczułam mdłości. Dopiero gdy ręcznik był wilgotny, ale dobrze wykręcony, zdołałam opuścić głowę i zajrzeć do umywalki: woda płynąca z kranu nie była przejrzysta. Była zielonkawa, mętna. Przypominała wodę morską.

-To doskonała książka - oznajmiła Betty, kiedy wróciłam do pokoju. Wkłuwała i wyciągała igłę ze skrawka haftowanego materiału, najwyraźniej uznawszy temat Paige, mnie i naszych marek za zakończony. - Napisał ją mój przyjaciel z dawnych lat. Czytałam ją kiedyś, wiele lat temu.

Chcąc czym prędzej się stamtąd wydostać, opadłam na kolana i zabrałam się do szorowania dywanu.

-Jaka książka? - rzuciłam z nadzieją, że mój głos brzmi swobodnie.

-Ta, którą pożyczyłaś od Paige. Kompletna historia Winter Harbor.

- Betty... - Przerwałam szorowanie i zerknęłam przez ramię: książka nadal leżała na krześle, nietknięta. Odwróciłam się z powrotem w jej stronę. - Ty widzisz?

- Nie widzę nic od siedmiuset trzydziestu trzech dni.

- W takim razie skąd wiedziałaś, jaką książkę dała mi Paige? Albo że w ogóle miałam ze sobą książkę?

Poprawiła robótkę na kolanach i zabrała się do wyszywania kolejnego narożnika.

- Strona czterdziesta siódma.

Spojrzałam na nią, po czym wstałam i podniosłam książkę z krzesła. Była stara i nosiła ślady wieloletniego użytkowania. Brązowa okładka była zużyta, wystrzępiona na rogach, strony były pożółkłe, a niektóre nawet oderwały się od grzbietu i wysunęły ze środka, kiedy ją kartkowałam. Strony od trzydziestej trzeciej do trzydziestej ósmej sfrunęły na podłogę, a wraz z nimi niewielki ręcznie zapisany liścik.

„Dla mojej pięknej Bettiny. Niechaj jasność Winter Harbor zawsze przyćmiewa mrok. Twój na wieki, Oliver”.

- Jest tam jeszcze?

Odwróciłam wzrok od notatki i przekartkowałam do strony czterdziestej siódmej... gdzie w zgięciu między stronami leżała pojedyncza doskonale zachowana lilia.

- Czujesz jej zapach?

Martwy kwiat już dawno stracił woń, ale mimo to uniosłam książkę i przytknęłam nos do zasuszonej rośliny. Poczułam zapach stęchlizny, taki sam jak w miejskiej bibliotece.

- Nie - odparłam.

- No właśnie. - Spojrzała na mnie wzrokiem bardziej przeszywającym niż kiedykolwiek dotąd. - A ja czuję.

-Oliver Savage? - zdziwił się Caleb, kiedy dziesięć minut później jechaliśmy w stronę miasteczka. - Ten marudny starszy pan ma być miłością życia Betty Marchand?

-Myślałem, że Betty jest chora - stwierdził Simon. - I zbyt słaba, żeby przyjmować gości.

-To Raina chce, żeby wszyscy tak myśleli, bo wtedy będzie mogła uniknąć niewygodnych pytań - wyjaśniłam. - Betty może nie jest zupełnie zdrowa, ale jest na tyle silna, żeby rozmawiać ze mną za każdym razem, kiedy się spotykamy. -Czyli jak często? - zapytał Caleb.

Nie odpowiedziałam. Od tych wszystkich informacji, które właśnie na mnie spłynęły, wirowało mi w głowie i w żołądku i zachowanie skupienia wymagało ode mnie ogromnych nakładów energii. Kiedy wjechaliśmy na parking przy bibliotece, chwyciłam płócienną torbę z książkami, które miał zamiar wypożyczyć Oliver i na które nie zdążyłam nawet spojrzeć, po czym otworzyłam drzwi, zanim jeszcze Simon zatrzymał samochód.

-Bez obrazy - odezwał się Caleb - ale czy naprawdę mamy czas na takie rzeczy? Spojrzałam na niego przez przerwę między siedzeniami.

- Zgadzą się co do tego, że Zara miała coś wspólnego ze śmiercią Justine, tak? Zarumienił się.

- No tak.

-I że zginęło wiele osób, a wiele kolejnych może jeszcze zginąć, jeśli nie zrobimy czegoś, żeby to powstrzymać. - Nie odezwał się. - Dlatego musimy dowiedzieć się jak najwięcej o rodzinie Marchandów, ale dyskretnie. Skoro Oliver jest miłością życia Betty, z pewnością zna ją lepiej niż ktokolwiek inny. Za moimi plecami wycieraczki przesuwają się z piskiem po przedniej szybie. W szumie deszczu bębniącego o dach ledwie słyszałam ich rytmiczny ruch. Podczas podróży powrotnej niebo pociemniało, a chmury zgęstniały i wiadomo było, że nadejście burzy jest wyłącznie kwestią czasu.

- Ona ma rację, Caleb - stwierdził Simon. - A jeśli mamy to zrobić, musimy zrobić to teraz.

Byłam gotowa zostawić go w samochodzie, ale wreszcie Caleb wyprostował się na

siedzeniu i przetarł oczy.

- No to chodźmy - oznajmił.

Kiedy biegliśmy do wejścia biblioteki, biczowały nas strugi deszczu. Gdy dziesięć sekund później weszliśmy do holu, można byłoby sądzić, że zaliczyliśmy skok do oceanu w ubraniu.

Olivera zastaliśmy w części wyznaczonej na czytelnię. Siedział w fotelu przy kominku pośród stosów otwartych książek. Były wszędzie: na stoliku obok niego, na parapecie za jego plecami, na kominku, zaścielały podłogę i stały wsparte o doniczki z kwiatami. Ale on nie czytał. Patrzył prosto na mnie.

-Oliverze? - zaczął Simon, kiedy Oliver się nie odezwał ani nie odwrócił wzroku. - Nie wiem, czy pan nas pamięta. Ja nazywam się Simon Carmichael, a to mój brat Caleb. Nasza rodzina mieszka nad jeziorem Kantaka. Dudnienie deszczu o dach nasiliło się. Polano w kominku osunęło się, wypluwając przez żeliwną kratkę chmurę iskier. -Chyba cię nie słyszał - stwierdził Caleb, nie siląc się na szept, i podbródkiem wskazał stolik przy fotelu Olivera. Na stosie otwartych książek spoczywał niewielki kremowy aparat słuchowy. -Wiem, kim jesteście - odezwał się niespodziewanie Oliver, szorstkim, lecz opanowanym głosem. - I słyszę was. Słyszałem was, gdy byliście jeszcze na parkingu. Poczułam, jak ciało Simona stojącego tuż obok napina się. -Vanessa Sands - rzekł Oliver - domyślam się, że masz coś, co należy do mnie. Mrugnęłam, przypomniawszy sobie nagle, że do piersi przyciskam egzemplarz Kompletnej historii Winter Harbor pożyczony od Paige. Wyciągnęłam rękę, gotowa podać mu książkę... jednak zatrzymałam się, kiedy utkwiał wzrok w płóciennym worku przewieszonym przez moje ramię. -Dzisiaj rano, stosując się do regulaminu biblioteki, odniosłem inne potrzebne mi książki, żeby móc wypożyczyć tamte. Wtedy Mary poinformowała mnie, że zostały już wypożyczone. - Znow utkwiał we mnie wzrok. - Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu spośród tysięcy woluminów w całej bibliotece panna Vanessa Sands zechciała wypożyczyć akurat te same tytuły co ja. Jakie jest prawdopodobieństwo?

-Niewielkie. - Pozwoliłam, by torba zsunęła mi się z ramienia, po czym odłożyłam ją na podłogę obok pozostałych książek. -Bardzo niewielkie.

Spojrzał w dół na torbę, zaskoczony, że poddaje się tak łatwo.

- Oliverze... potrzebujemy pańskiej pomocy.

Gdy spotkaliśmy się wzrokiem, jego surowe spojrzenie złagodniało. Zdaje się, że musiało upłynąć wiele czasu, odkąd ktoś poprosił zgorzkniałego Olivera Savage'a o cokolwiek.

- W Winter Harbor dzieją się okropne rzeczy - zaczęłam. - A pan ma pewne informacje wielkiej wagi, których nie posiada nikt inny. - Wysunęłam przed siebie książkę jego autorstwa. Osunął się na oparcie fotela i zakrył usta drżącą dłonią. Po chwili sięgnął po książkę. - Nadal tam jest... na czterdziestej siódmej stronie.

Wziął do ręki lilię i wpatrywał się w nią pełen zachwytu, jakby wciąż była żywa i barwna po tak wielu latach.

- Skąd masz tę książkę? - zapytał, powoli obracając łodygę między palcem wskazującym a kciukiem.

- Paige mi ją pożyczyła.

- Oliverze - odezwał się Simon - jeżeli jest cokolwiek, co może nam pan powiedzieć o Betty albo rodzinie Marchandów, co mogłoby pomóc w powstrzymaniu zdarzeń, jakie miały miejsce w ostatnich tygodniach, byłibyśmy dozgonnie wdzięczni. Oliver odłożył lilię na miejsce, po czym przekartkował książkę prawie do końca. Po chwili zaczął czytać na głos:

- „Wody Winter Harbor wprost tryskają życiem i tak od dziesięcioleci rzesze restauratorów próbują przekuć ten dar przyrody w finansowy zysk. Nikt jednak nie może poszczycić się tak spektakularnym sukcesem jak Kanadyjka Bettina Marchand, która w 1965 roku otworzyła cieszącą się natychmiastową popularnością Restaurację Rybną »U Berty«. Zaledwie dwudziestoczteroletnia panna Marchand, mistrzyni kuchni i kobieta interesu w jednej osobie, przyznaje, że gdyby decydowały wyłącznie kwalifikacje, nie zdołałaby poprowadzić takiego przedsięwzięcia. Na szczęście ciężka praca i »głęboko zakorzenione poszanowanie dla morza i jego darów« pozwoliły jej stworzyć i utrzymać coś, co już na dzień dzisiejszy jest legendą Winter Harbor". - To wszystko? - zdziwił się Caleb. - Bez obrazy, ale nie powiedział nam pan niczego oprócz tego, co można wyczytać z broszury informacyjnej dla przyjezdnych.

-Zgadza się. - Oliver poklepał opasły tom. - W książce zostało zawarte wyłącznie to, co Betty życzyła sobie ujawnić. Kiedy pracowałem nad tą historią, jej restauracja już wtedy była miejscem absolutnie wyjątkowym, dlatego też uznałem, że zasługuje na odrębny rozdział. A nie - jeden paragraf. To wszystko, co pozwoliła mi napisać.

-Dlaczego? - zapytał Simon. - Przytłoczył ją nieoczekiwany sukces?

-O tak, czuła się przytłoczona, jednak sukces nie miał z tym nic wspólnego.

Poderwałam głowę, kiedy rozległo się uderzenie pioruna, a światła żyrandoli wysoko nad nami zamigotały. Opuściłam wzrok i wtedy spotkałam się spojrzeniem z

Oliverem. -Z szacunku do niej nikomu nie wspominałem o tym, co zamierzam wam powiedzieć. A mówię o tym tylko dlatego, że i tak sporo już wiecie. - Przeniósł

wzrok na Simona, potem na Caleba. - Nawet jeśli nie do końca zdajecie sobie z tego sprawę albo to rozumiecie, każde z was posiada informacje, których Betty nigdy nie chciała nikomu wyjawiać. Simon i ja usiedliśmy na kanapie naprzeciwko Olivera. Za nami Caleb wsparł się o regał i zaintrygowany skrzyżował ramiona na piersi.

Kiedy Oliver przemówił znowu, jego głos brzmiał łagodniej.

- Gdy pierwszy raz spotkałem Bettinę Marchand, była pochłonięta tym, co uwielbiała robić ponad wszystko inne: pływaniem. Ubrana w purpurowy kostium przecinała wodę, płynąc na plecach, i uśmiechała się przy tym, jakby ktoś bliski sercu szeptał jej do ucha najśłodsze komplementy. Oczywiście było, że nie pływa dla gimnastyki czy dla sportu, ale tylko dlatego, że to lubi. Był lipiec 1965 roku. Miała dwadzieścia cztery lata, była nowa w mieście i wzbudzała ogromne zainteresowanie wśród tutejszych kawalerów. Ja, wówczas dwudziestosześcioletni, urodzony i wychowany w Winter Harbor, zaliczałem się do grona jej adoratorów. Gościła już w mieście parę ładnych miesięcy, jednak do tamtej pory oficjalnie nas sobie nie przedstawiono.

Gdyby sprawy miały potoczyć się zgodnie z jej wolą, nie spotkalibyśmy się w takich okolicznościach, w jakich do tego doszło. - Uśmiechnął się. - Ale nie, nie myślcie, że ją śledziłem albo się gdzieś czaiłem, żeby ją podpatrywać, nic z tych rzeczy. Ja też po prostu przychodziłem w tamto miejsce popływać. Chciałem odejść, kiedy się zjawiała, dać jej nieco prywatności... ale nie potrafiłem. Była taka piękna.

- Nie zdenerwowała się na pana widok? - zapytał Caleb.

- Żeby Betty mogła się zdenerwować, najpierw musiałyby wiedzieć, że ją podziwiam. A nie wiedziała. Nigdy nie zabiegała ani nie prosiła o uwagę, jaką poświęcali jej inni.

- Jednak w końcu się zorientowała, tak? - zapytałam. - Że pan ją podziwia.

- Ten fakt dałoby się przed nią ukryć tylko wtedy, gdyby wyjechała z miasta. Na szczęście była bardzo mocno zaangażowana w prowadzenie restauracji i to ją zatrzymało w chwili, kiedy w innej sytuacji mogłaby uciec. Poza tym dzięki restauracji łatwo było na nią trafić. Zacząłem przychodzić tam co dzień asie przerwy na lunch, licząc, że będę miał okazję z nią pomówić. Kiedy ruch był niewielki, przysiadła się do mnie. Głównie to ja mówiłem; niestety, zawsze, kiedy próbowałem zapytać ją o cokolwiek, co nie było związane z restauracją, zmieniała temat. Poza tym uwielbiała słuchać opowieści o Winter Harbor - nazywała to miejsce domem, o jakim zawsze marzyła - więc opowiadałem jej wszystko, co wiedziałem, bo to ją uszczęśliwiała. Kiedy moja wiedza się wyczerpała, szukałem nowych źródeł.

-To dlatego w swojej książce nie wspomina pan o żadnym z niewyjaśnionych śmiertelnych wypadków na wodzie? - zapytałam, podając mu liścik o jasności Winter Harbor przyćmiewającej mrok. - Bo zależało panu, by swoimi opowieściami wyłącznie ją uszczęśliwiać?

Oliver utkwiał wzrok w liściku, po czym przyłożył dłoń do przedniej okładki książki, nie odpowiadając. -Po kilku miesiącach wreszcie zgodziła się pójść ze mną na prawdziwą randkę. Do tego czasu nadeszła już prawie zima, a woda w jeziorach pozamarzała. Wybraliśmy się pojeździć na łyżwach po jeziorze Kantaka, a potem przyrzadziłem dla niej kolację. - Urwał. - Dopiero tego wieczoru po raz pierwszy opowiedziała mi o sobie i swojej rodzinie to, czego nie chciała wyznać nikomu...

-Co takiego? - zapytałam, czując, jak moje serce przyspiesza gwałtownie, w miarę jak jego uśmiech blednie. -Wyznała, że matka i ciotki wychowały ją w

„niekonwencjonalnym" środowisku. Oraz że wyjechała, nie mówiąc im, dlaczego i dokąd się wybiera, ponieważ nie akceptowała ich stylu życia, i nigdy nie chciała zostać odnaleziona i zmuszona do powrotu. - Spojrzał na ogień w kominku, jakby przygotowując się do wyznania tego, co skrywał tak długo. - Wyznała ze łzami w oczach, że spędza tak wiele czasu w wodzie nie dla własnej przyjemności, ale z

konieczności. Fizycznie potrzebowała kilka razy dziennie zanurzyć ciało w słonej wodzie. Spojrzałam na Simona, nie odwracając głowy. Bacznie przyglądał się Oliverowi.

- Wyznała, że gdyby nie kontakt z morską wodą... wkrótce nie byłaby w stanie oddychać.

- Jak to? - zapytał Simon po chwili milczenia.

- Nie chciała tego wyjaśnić. I od kiedy wyjawiała tylko tyle albo aż tyle, zaczęła zachowywać się inaczej: stała się chłodna, jeszcze bardziej zamknięta w sobie. Tłumaczyła to wstydem, ale ja wiedziałem, że chodzi o coś więcej. Ona się bała. Błyski i grzmoty zbliżały się. Ziemia dudniła, wprawiając podłogę w lekkie drżenie, które przenosiło się na kanapę, na której siedziałam.

- Nadal widywałem się z nią każdego dnia i opowiadałem o Winter Harbor, żeby chociaż odwrócić jej myśli od prześladowających ją lęków. Jej zaufanie do mnie rosło i zdawało się, że zapomniała, jak strasznie się czuła, ujawniając tak intymne szczegóły z własnego życia. Po dwóch latach od tamtego dnia, gdy wszystko już zdawało się niemal normalne, poprosiłem ją o rękę.

Kiedy Oliver opuścił wzrok, przepełniło mnie głębokie współczucie dla niego.

- Powiedziała, że nie możemy zbliżyć się do siebie w ten sposób. .. że kocha mnie zbyt mocno, by ryzykować, że cokolwiek mi się stanie. - Książka w jego zaciskających się dłoniach zadrżała. - Napisałem to dla niej, aby ją przekonać, że wszystko się ułoży. Chciałem, żeby wiedziała, że zawsze będę blisko. gdy będzie potrzebowała rozmowy albo kogoś, kto przegoni strach, jeśli właśnie do tego byłem jej potrzebny. Ale ona nigdy nie zmieniła zdania. Zamrugałam i przymknęłam oczy, czując, jak Simon przyciska dłoń do moich pleców.

-jednak to nie było najgorsze — mówił teraz ściszym głosem. -Tylko dlatego, że powiedziała, że nie możemy być razem, nie znaczyło, że tego nie chciała. I pewnej sierpniowej nocy wiele lat później, kiedy tęskniłem do niej tak mocno, że nie potrafiłem już trzeźwo myśleć, przyszedłem szukać jej w restauracji. Nie było jej tam i pod wpływem impulsu wróciłem w miejsce, w którym spotkaliśmy się po raz

pierwszy. Pływała. A kiedy rym razem dostrzegła, że się jej przyglądam, wyszła z wody i bez słowa zbliżyła się do mnie.

Światła na sali zamigotały od przepięcia i zgasły na dobre, a mnie ogarnęła ulga.

Policzki mi płonęły, gdy tak słuchałam opowieści Olivera o romantycznej schadzce nad brzegiem oceanu, i wyobraziłam sobie usta Simona przyciśnięte do moich warg zeszłej nocy.

-Dziewięć miesięcy później na świat przyszła Raina. Rozwarłam oczy ze zdumienia. Wiedziałam, że Raina jest córką Betty i musiała mieć ojca, ale... z trudem mogłam sobie wyobrazić, że ta niepokojąca kobieta jest owocem tak prawdziwej, namiętnej, zakazanej miłości.

- Po nocy na skałach już całkiem przestała ze mną rozmawiać - rzekł ze smutkiem Oliver. - Nadal przychodziłem do restauracji.

Mówiłem jej, że pragnę dać naszej córeczce tak wiele światła i radości, ile jej matka dała mnie. Ale nie chciała mnie słuchać.

Zupełnie jakby moje słowa do niej nie docierały.

-I to był koniec? - oburzył się Caleb. - Nie dała panu drugiej szansy?

- Obawiam się, że nie. Pisałem, dzwoniłem, posyłałem kwiaty. Chodziłem do restauracji tylko po to, by być blisko niej. Przysyłałem podarunki na wszystkie specjalne okazje: urodziny, święta, w inne dni, kiedy myśli o niej tak bardzo zaprzątały mi głowę, że musiałem fizycznie coś zrobić, żeby nie oszaleć. To samo robiłem dla Rainy; dopóki wszystkie te prezenty i kartki z życzeniami nie zaczęły do mnie wracać. - Zamilkł na chwilę.

- Wiele lat później, po wypadku Betty, próbowałem odwiedzić ją w domu... ale Raina nie chciała wpuścić mnie do środka. Stwierdziła, że to mogłoby ją zbytnio zdenerwować. Mimo to nadal przychodzę do restauracji... tylko po to, żeby poczuć się tak blisko niej, na ile to możliwe.

- Oliverze - odezwałam się - miejsce, w którym spotkaliście się z Betty po raz pierwszy, a potem znowu po latach... gdzie dokładnie to było?

Zmarszczył brwi, potem sięgnął do leżącego u stóp skózanego plecaka. Wyciągnął

duży szkicownik i podał mi go.

- Żaden ze mnie artysta, ale rysowanie działa na mnie terapeutycznie.

Wzięłam szkicownik i podałam Simonowi, by zajrzał do środka. Wiedziałam już, co Oliver chce nam pokazać.

- Woda u podnóża urwiska Chione zawsze doskonale nadawała się do pływania - oznajmił. - Lubiłem to miejsce, bo było ustronne. Betty je lubiła, ponieważ był to najgłębszy naturalny basen w tej okolicy. Opowiadała, że kiedy skacze z urwiska do wody, może nurkować przez wiele minut, płynąc w głąb, i nigdy nie dosięgnąć piaszczystego dna.

W kominku obsunęło się polano dokładnie w chwili, gdy oddech uwiązał mi w gardle. Na szczęście akurat nikt nie zwrócił uwagi na moje zaskoczenie.

-Potrafiła nurkować przez kilka minut bez wynurzenia się? -zdziwił się Caleb. - Jak to możliwe?

- Sądziłem, że to umiejętność, którą nabyła wraz z latami praktyki albo po prostu kolejny pozornie nadprzyrodzony talent, jakim była obdarzona. Ale kiedy po nocy spędzonej w tamtym miejscu tak nagle przestała ze mną rozmawiać, zacząłem gromadzić informacje. Zapisałem tę garstkę intymnych faktów z jej życia, które mi powierzyła, łącznie ze zdolnością nurkowania przez kilka minut bez tlenu. Chciałem ją wspierać. Chciałem zrozumieć, czego tak bardzo się boi, żeby pomóc jej się z tym zmierzyć. Sądziłem, że jeśli z moją pomocą przestanie tak bardzo się bać, być może będziemy mogli być razem. - Wyciągnął rękę, podniósł płócienną torbę z książkami i położył ją sobie na kolanach. - Niestety, odkryłem to zbyt późno dla Betty i dla mnie... ale może uda nam się to zrozumieć, kiedy jeszcze nie jest za późno dla Winter Harbor.

Przypatrywałam się okładkom książek, kiedy - jedna po drugiej -rozkładał je na podłodze u swoich stóp. Mitologia grecka? Nieznane opowieści żeglarzy? Syreny? Ostatni raz, kiedy widziałam Olivera w bibliotece, twierdził, że historia się powtarza, i żeby zrozumieć i powstrzymać to, co się dzieje, trzeba przyjrzeć się temu, co wydarzyło się w prze-ci. Spodziewałam się książek o zbrodni, morderstwach, śmierci i zniszczeniu - literatury faktu będącej chronologicznym zapisem autentycznych,

makabrycznych wydarzeń; czegoś zbliżonego do nekrologów, jakie widzieliśmy w archiwalnych egzemplarzach „Winter Harbor Herald” ze zdjęciami uśmiechniętych ofiar, z tym że myślałam, że będzie ich więcej i będą bardziej przerażające.

- „Les chanteuses de la mer”⁷. - odczytałam na głos, kiedy Oliver wyciągnął z torby ostatnią książkę. Miała wyblakłą czerwoną okładkę z ilustracją kobiety wyciągającej z wody ramiona ku niebu.

- „Śpiewaczki morskich wód” - przetłumaczył Caleb ponurym tonem. - Jedyne przedmiot, jaki mi się podobał w szkole, to był francuski - dodał dla wyjaśnienia, kiedy Simon i ja spojrzeliśmy na niego zaskoczeni.

- Hej, poważnie? - zwróciłam się do Simona, mojego autorytetu w dziedzinie teorii nauki. - Poważnie myślisz, że Betty to jakaś nikczemna zawodząca syrena? Ze niby jak? Z błoną między palcami i stanikiem z kokosowych skorup? - zażartowałam, bo wyglądał śmiertelnie poważnie. Nie przewracał oczami ani nie kwestionował tej sugestii.

Spojrzałam na książkę, którą Oliver otworzył przed sobą. Przebiegłam wzrokiem po francuskim tekście i zatrzymałam się na ilustracji. Jedyne źródłem światła w sali był ogień tańczący w kominku, dlatego nie od razu rozszyfrowałam, co przedstawia. .. ale kiedy nagle za oknem znów błysnęło, obraz stał się tak wyraźny, jakby wyświetlony na kinowym ekranie. Na skalistym brzegu leżał mężczyzna. Ciało miał bezwładne, ręce i nogi rozrzucone niedbale na piasku niczym sznury wyrzuconych na brzeg wodorostów. Nasuwał się wniosek, że od szyi w dół jego śmierć była bolesna. Wyglądał na rybaka, którego zaskoczyła burza, wywlekła z łodzi, po czym cisnęła prosto w fale, zanim woda wyrzuciła go na brzeg. Jednak mimo przykrego losu, jaki go spotkał, od szyi w górę mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby pragnął to powtórzyć. Bowiem na twarzy martwego rybaka gościł błogi uśmiech.

18

-To jakiś obłąd. Dobrze wiesz, że to obłąd.

-Na to wygląda - przyznał Caleb-ale układa się w logiczną całość.

Simon, który siedział za kierownicą, patrzył prosto przed siebie, nie przyklaskując żadnemu z nas.

-Fakt, że Raina jest trochę dziwna, a Zara być może zdolna jest do pewnych okropnych, niewyobrażalnych rzeczy, ale... żeby od razu syreny? Jak te piękne mitologiczne istoty, które wabiły żeglarzy na śmierć? - Potrząsnęłam głową. - To nie Odyseja. To się dzieje naprawdę: tu i teraz. Jeśli chcesz przykleić kobietom z rodziny Marchandów etykietkę seryjnych zabójczyń, nie ma sprawy, ale twierdzenie, że w magiczny sposób uwodzą mężczyzn śpiewem, żeby dać się ponieść żądzy polowania, jest niedorzeczne.

-Vanesso, ja słyszę Zarę - w głosie Caleba słysząc było wyraźne ożywienie, jakby znalazłszy uzasadnienie niezrozumiałego dotąd zjawiska, wreszcie odczuł ulgę. - Nawet kiedy jej nie widzę, słyszę jej głos. I dlatego nie potrafię na niczym iupić myśli, kiedy mnie nawołuje. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo nienawidzę o niej myśleć ani jak bardzo bym chciał, żeby wreszcie zniknęła i zostawiła mnie w spokoju. Potrafię tylko słuchać jej głosu i wyobrażać ją sobie, marząc, żeby znalazła się tuż obok, chociaż normalnie przebywanie w promieniu dwustu kilometrów od niej to dla mnie za wiele. Przed oczami przemknęła mi wizja ich dwojga na skałach w lesie. Wtedy odniosłam wrażenie, że kiedy Zara zakradała się do Caleba i napierała na niego ciałem, on pragnął jej, a jednocześnie odczuwał ogromny dyskomfort - ale przecież on dopiero stracił dziewczynę. I niezależnie od tego, co kryło się pod piękną powierzchownością, Zara nadal była oszałamiająca. On natomiast czuł się zraniony, samotny i winny, że poczuł pociąg do innej dziewczyny.

- Słyszałaś, co mówił Oliver: Betty próbowała uciec od przeszłości. Dlatego zostawiła rodzinę i zamieszkała tutaj. To dlatego ona i Oliver nie mogli być razem.

- Bo co? Bo szalone, polujące na mężczyzn kobiety z jej rodziny by się o tym dowiedziały, wywabiły go spod jej skrzydeł, zamordowały, a potem ją zmusiły do powrotu? - Spojrzałam na Caleba. - Czy ty słyszysz, jak to w ogóle brzmi?

- A co z mężczyzną, który spłodził Zarę i Paige? - zapytał. - Czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby mówiły o swoim ojcu?

- Nie - przyznałam - ale może po prostu są bardzo skrytą rodziną. Nie wiem, jaki jest ulubiony kolor Paige ani kiedy Zara ma urodziny.

- Nie słyszałaś o ich ojcu - tak samo jak my nigdy o nim nie słyszeliśmy - bo prawdopodobnie to nie był jeden człowiek. A Raina z pewnością zabiła ich obu po poczęciu każdej z córek.

- Simon? - Spojrzałam na niego, potem na jego bielejące knykcie, kiedy zacisnął dłonie na kierownicy. - W tej chwili bardzo przydałby nam się głos rozsądku.

- Caleb powinien wejść do środka. Chwilę trwało, zanim się zorientowałam, że samochód już nie jest w ruchu. Podążyłam wzrokiem za spojrzeniem Simona i poprzez strugi deszczu spływające po przedniej szybie próbowałam odgadnąć, gdzie jesteśmy.

-Centrum odnowy „Latarnia”?

Caleb opadł na oparcie tylnego siedzenia i wyjrzał przez okno. -Po co tu przyjechaliśmy? Simon nadal patrzył wprost przed siebie. - Betty przestała rozmawiać z Oliverem po nocy spędzonej na urwisku Chione. Tej nocy, kiedy została poczęta Raina. -No i...? - Nie mogłam powiązać faktów. -Z albumu z wycinkami Zary wynika, że każdy chłopak, który wyznał jej miłość, natychmiast dostawał kosza i przepadał.

-Zara prowadzi album z wycinkami? - zdziwił się Caleb. - Nie podejrzewałbym jej o to.

-A teraz - mówił dalej Simon, ignorując uwagę Caleba - Paige jest w ciąży.

Poczułam ucisk w żołądku. Tak bardzo skupiałam się na tym, by nie uwierzyć w ani jedno słowo z opowieści Oliyera, że nie zastanowiłam się nawet, co by było, gdyby to wszystko rzeczywiście okazało się prawdą. -Jonathan.

-Jonathan - powtórzy! Caleb. - Jonathan Marsh? A co on ma do tego?

Spojrzałam w stronę należących do ośrodka doków. Luksusowe jachty, wszystkie opuszczone, podrygiwały na lekko wzburzonej wodzie jak zabawkowe łódeczki. -Jest chłopakiem Paige - wyjaśniłam.

- Betty kochała Olivera - stwierdził Simon. - Chciała go chronić, dlatego właśnie po tym, jak mu wreszcie uległa, zerwała z nim wszelki kontakt. Mogłaby go zabić. I

wszystko wskazuje na to, że gdyby nie odłączyła się od pozostałych, zrobiłaby to. Nie dlatego, że by tego chciała, ale dlatego, że tego by od niej oczekiwały. One nie chcą, by ktokolwiek wiedział, kim są naprawdę. Wyjrzałam przez okno, nie pojmując, jakim cudem takie słowa wypływają z ust Simona. Gdzie się podział jego naukowy sceptycyzm? Odgórne założenie, że to przekracza granice ludzkich możliwości? Żądanie dowodów?

-Musimy powiedzieć Jonathanowi. Musimy go ostrzec przed Paige, zanim coś się stanie - w głosie Caleba słychać było rezygnację. Potrząsnęłam głową.

- Znam Paige. Nawet jeśli - mówiąc hipotetycznie, w jakimś alternatywnym wszechświecie - Betty jest potomkinią morderczych syren, Paige nie jest owocem tej puli genów. A nawet jeśli jest, nic o tym nie wie. Jest zbyt miła, zbyt dobra. Zresztą widziałam ją razem z Jonathanem - ona go ubóstwia. Nigdy by go nie skrzywdziła. Simon spojrzał na mnie.

- A Zara? Albo Raina? Zarumieniłam się. On nie żartował.

- Co mam mu powiedzieć? - zastanawiał się Caleb. - Jak mam komuś powiedzieć... coś takiego?

Simon odwrócił się do niego.

- Nie mów mu wszystkiego. W końcu nie chcemy go przestraszyć ani dawać powodów, żeby pytał o cokolwiek Paige. Nie wiemy, co powiedziała Rainie. A ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba, to żeby stały się wobec nas podejrzliwe.

-Mam po prostu sprawdzić, co z nim? Upewnić się, że jest cały i żywy, i miejmy nadzieję... nie uśmiechnięty?

- Mniej więcej. I żebyś spróbował dowiedzieć się czegoś o Paige, o ich związku.

Pracowałeś z nim, prawda? Więc to nie powinno wydać mu się dziwne, co?

Caleb w połowie roześmiał się, a w połowie westchnął. -Jasne. Zupełnie nie dziwne. Jeszcze przez kilka chwil siedział w samochodzie i pomyślałam, że wrócił do rozważań nad realistycznym prawdopodobieństwem tego, co obaj najwyraźniej uważali za prawdę, ale potem otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. Widziałam, jak biegnąc w strugach deszczu, manipuluje przy iPodzie i nakłada na uszy słuchawki. -Masz rację.

Opuściłam wzrok na dłoń Simona, która spoczęła na mojej dłoni.

- To brzmi zupełnie niedorzecznie - kontynuował. - Od początku do końca. W normalnych okolicznościach podziękowałbym Oliverowi za poświęcony nam czas i zlekceważył wszystko, co nam powiedział. Ale to nie są normalne okoliczności. -

Pochylił się w moim kierunku. - Zastanów się nad tym. Pominąwszy Oliveta, pomyśl o tym wszystkim, co widziałas. O wszystkim, co mi powiedziałaś.

-Fakt, widziałam trochę dziwnych rzeczy - przyznałam. - Ale tego wyjaśnienia po prostu nie kupuję. Nie mogę. Mit o syrenach powstał dawno temu, kiedy ludzie nie umieli przewidzieć czy wytłumaczyć pewnych zjawisk, na przykład pogodowych.

Kiedy nie pojmowali, jak księżyc, słońce i morza współgrają ze sobą, tworząc wszystkie te widowiska natury. Kiedy jakiś biedak Snał przypadkiem w ich wyniku.

Syreny to przydatny sposób

na wyjaśnienie zjawisk, których ludzka wiedza nie potrafiła wyjaśnić. - Ścisnęłam jego palce. - Ale przecież tobie nie muszę tego mówić. Ty znasz się na pogodzie.

Potrafisz wytłumaczyć, skąd biorą się te zjawiska.

- Byłaś ze mną, gdy przez kilka ostatnich tygodni próbowałem zrozumieć, co się dzieje. Zjawiska, jakie miały miejsce, łamią wszelkie znane obecnie reguły.

Kompletnie przeczą współczesnej nauce.

- A co z Justine? - zapytałam. - Była dziewczyną. A kiedy ją znaleźli, nie miała uśmiechu na twarzy.

- Myślę, że stanęła im na drodze. Myślę, że Zara - niezależnie od powodów - wzięła sobie na cel Caleba, a kiedy on nie zareagował tak, jak oczekiwała, skupiła się na przeszkodzie. Wpatrywałam się w niego, a frustracja ustępowała miejsca obawie. Ja, wieczny tchórz i zwolenniczka przypisywania cech paranormalnych nocnym odgłosom, byłam bardziej skłonna akceptować nielogiczne, irracjonalne teorie. To Simon był mózgowcem. Chodzącą i gadającą prognozą pogody. Jakim cudem to ja byłam bardziej sceptyczna?

- Wiesz o czymś jeszcze. - Nie byłam tego pewna, dopóki nie powiedziałam tych słów na głos. Pochyliłam głowę, żeby na mnie spojrzeć. - Mam rację? Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem. To dlatego cała ta historia ma dla ciebie sens. Odwrócił wzrok.

- Simon - mocniej ścisnęłam mu dłoń, kiedy próbował ją uwolnić. - Powiedz mi. Jeżeli myślisz, że tego nie udźwignę, cokolwiek to jest, uwierz mi: udźwignę to. - Przyglądałam się.

jak patrzy na strugi deszczu.

- To się zdarzyło tamtego dnia - wydusił wreszcie.

- Tamtego dnia... w Springfield?

Pokiwał głową.

-Wiesie. Kiedy zobaczyliśmy ich pierwszy raz na skałach. Opuściłam wzrok. Nie byłam pewna, czy myślimy o tej samej chwili, ale bez trudu potrafiłam przywołać z pamięci przynajmniej jedną: gdy patrzył na Zareę, jakby nie wiedział, czym jest piękno, dopóki jej nie ujrzał. A kiedy on zdawał się o mnie nie pamiętać, ja stałam tuż obok.

-Na początku myślałem wyłącznie o Calebie. Martwiłem się, że go nie znajdziemy, albo zastanawiałem, w jakim będzie stanie, jeśli się w ogóle uda. - Zawiesił głos. - A potem, gdy zobaczyłem jego bluzę zwisającą z gałęzi, jak coś w rodzaju pokrętej wskazówki, niepokój i strach eksplodowały w mojej głowie. Byłem wściekły. Biegając w ich stronę, myślałem o tym, co jej powiem; co jej zrobię. A kiedy dotarliśmy do drzew, gotów byłem rzucić się na nią.

Przez chwilę milczałam, po czym zapytałam: -Więc co się stało?

-Nie wiem. Moje ciało było w pełnej gotowości do działania, ale umysł...

-W porządku, Simon - uspokoiłam go. - Umysł... co z nim?

-Vanesso, proszę cię, zrozum, nie byłem w stanie tego kontrolować, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje... miałem bardzo mgliste pojęcie o tym, co robię. - Jego oddech był płytki i drżący.-Ale kiedy zobaczyłem ich tam, na skałach, nie chciałem zrobić jej krzywdy... chciałem skrzywdzić jego. Poczułam ucisk w piersi.

- Miałeś mętlik w głowie. Wszystko zbiegło się w jednej chwili, miałeś prawo poczuć się przytłoczony. -Nie byłem przytłoczony.

Wyznał to z taką powagą, taką szczerością, że nie miałam wyjścia, jak tylko przyjąć, że o n sam wierzy w to, co mówi.

- Ale dlaczego? - zapytałam. - Dlaczego miałbyś chcieć skrzywdzić Caleba?

Na jego twarzy pojawił się grymas, kiedy przechylił głowę, z góry przeprasząc za to, co zamierza powiedzieć.

- Byłem zazdrosny. Opadłam na oparcie fotela.

- Kiedy tylko ją zobaczyłem, wszystko inne stało się nieważne. Las, poszukiwania, wszystko, co miało miejsce w ciągu ostatnich tygodni...

- Więc ja też - odgadłam, spoglądając przez przednią szybę.

- Wszystkie moje myśli wypełniała ona - oznajmił rwącym się głosem. — Vanesso, ona próbowała. Próbowwała skłonić mnie, żebym zareagował, żebym odpowiedział na jej wołanie. A ich wołanie... ma potężną siłę. To nie tylko dźwięk czy pieśń, to nie ma nic wspólnego z legendami, które czytałem, będąc dzieckiem.

Spojrzałam na niego, słysząc łomotanie własnego serca w uszach.

- Więc co to jest? Milczał przez chwilę.

- Wiesz, jak to jest unosić się na plecach na powierzchni jeziora, kiedy woda na przemian zakrywa i odsłania uszy? Tak że przez pół sekundy słyszysz wszystko, a już chwilę później dochodzące zewsząd dźwięki stają się jakby wytłumione? Czujesz się trochę jak zawieszona między dwoma światami.

Doskonale rozumiałam, o czym mówi. Nawet przed wypadkiem ta krótka chwila, kiedy nie dochodziły do mnie niemal żadne odgłosy sponad tafli wody, zawsze wprawiała mnie w niepokój.

_ Uczucie jest podobne do unoszenia się na wodzie, która powoli, łagodnie wciąga cię pod powierzchnię. Czujesz, że zanurzasz się głębiej, ale nie możesz tego zatrzymać, a zresztą to wcale nie jest nieprzyjemne, więc nawet nie próbujesz. W pewnym sensie poddajesz się temu i pozwalasz, by woda wciągała cię głębiej i głębiej, aż przestajesz słyszeć cokolwiek. -Widziałeś ją? Kiedy to się działo?

-Tak. Ale była inna. Wszystko było inne: łagodniejsze i jednocześnie jaśniejsze.

Czułem, jakby otaczały nas setki luster, i promienie słońca odbijały się rykoszetem od każdej tafli, wypełniając las białą, połyskującą mgłą. -No rzeczywiście -

powiedziałam, chcąc, żeby to zabrzmiało jak przyjacielska gotowość do pomocy - to jakaś niewiarygodna historia. Ale wierzę ci i wierzę, że wiesz, co widziałeś i słyszałeś. Więc skoro to właśnie to, z czym mamy do czynienia...

- Vanesso.

Zamknęłam oczy. Jedyne, czego chciałam się dowiedzieć, to prawda o tym, co przytrafiło się Justine i co właściwie zajmowało ją w ciągu miesięcy przed śmiercią. Chciałam tylko poznać odpowiedź na kilka pytań, żeby zrozumieć, dlaczego skoczyła, uporać się z tym i znów zacząć żyć. Jakim cudem stamtąd zabrnęłam aż tutaj?

- Vanesso - odezwał się znowu, odsuwając z mojej twarzy luźno opadający kosmyk włosów i chowając mi go za ucho. - Simon... przestali. Proszę. To sporo. Całkiem sporo, ale to nic.

-Uciekłem. Nie chcesz wiedzieć jak?

Zaczęłam potrząsać głową, ale przestałam, gdy dotknął mojego podbródka.

- Dzięki tobie.

Uniosłam wzrok, by spojrzeć mu w oczy.

- Udało mi się wyrwać spod jej oddziaływania, powiedzieć ci, żebyś biegła za Calebem, i zbliżyć do niej, bo usłyszałem ciebie. Przemówiłaś do mnie, a po chwili ona ośwładnęła mną znowu. I wtedy, kiedy zostaliśmy już tylko we dwoje, a ona robiła wszystko, co w jej mocy, żeby mnie do siebie przyciągnąć, zabrać ze sobą, usłyszałem cię znowu.

-Ale przecież... mnie tam nie było. Nie było mnie nigdzie w pobliżu.

- Wiem. - Zbliżył twarz do mojej. Gdy odezwał się znowu, jego głos brzmiał łagodnie. - To, co wydarzyło się zeszłej nocy, nie zrodziło się pod wpływem tamtej chwili.

Starłam się rozszyfrować wyraz jego twarzy, rozdarta pomiędzy chęcią błagania go, żeby przestał, a pragnieniem, żeby mówił dalej.

- Odkąd twoja rodzina zaczęła przyjeżdżać do Winter Harbor, każdego lata z utęsknieniem czekałem, kiedy cię znów zobaczę. Zawsze godzinami potrafiliśmy rozmawiać o książkach, filmach,

O Justine i Calebem... albo zupełnie o niczym. Zawsze było tak łatwo, zawsze tak swobodnie, wiesz, o czym mówię? Pokiwałam głową. Często odczuwałam dokładnie to samo.

- Ale parę lat temu coś się zmieniło. - Spojrzał na mnie. -Pamiętasz, co zaplanowaliśmy na ten wieczór, kiedy miałaś wypadek?

- Oczywiście. To był czwartek. Wieczór kina samochodowego i lodów.

- No właśnie - odparł. - Tylko że ty nie mogłaś przyjść, bo wylądowałaś w szpitalu.

- Dokąd ty i Caleb przyszedliście do mnie z laptopem i stertą płyt-Opuścił wzrok.

-Pamiętasz, jaki film oglądałaś tamtego wieczoru? „Bezsensowność w Seat tle. Caleb wyjątkowo zgodził się na komedię romantyczną ze względu na moje marne samopoczucie. . Widzisz... ja nie pamiętam... bo nigdy go nie oglądałem. Nie patrzyłem na ekran monitora, bo nie mogłem oderwać wzroku od ciebie. Ty i Justine siedziałyście na łóżku, a ona trzymała na kolanach komputer, Caleb siedział na krześle obok Justine, a ja...

-A ty siedziałaś na krześle przy oknie - dokończyłam za nie-go.-Na drugim końcu sali. Powiedziałaś, że ci gorąco i chcesz posiedzieć blisko wentylatora.

-Wcale nie było mi gorąco. Bałem się. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bałem.

Próbowałam go sobie wyobrazić, jak obserwuje mnie przez dwie godziny z drugiego końca sali. Z radością pozwoliłam się wtedy oderwać od przykrych przeżyć tamtego przedpołudnia i zbyt mocno pochłonał mnie film, żeby to zauważyć. -Ale przecież nic mi się nie stało... przez kilka dni trzymali mnie tylko na obserwacji.

- Vanesso... byłaś pod wodą przez trzydzieści cztery minuty. Nie powinnaś była tego przeżyć. I tamtej nocy zdałem sobie sprawę, jak bardzo by mi ciebie brakowało, gdybyś nie przeżyła. Uniosłam dłoń, by zetrzeć łzę, która skapnęła mu na policzek. Chwytał moją dłoń i zbliżył się do mnie. Chciałam, żeby mnie pocałował. Chciałam wierzyć, że to, co teraz powiedział, i co zaszło między nami, wcale nie było pomyłką. Przez krótką chwilę myślałam, że ro zrobi i będę mogła... ale potem zamiast mnie pocałować, przywarł ustami do mojego czoła. -Przykro mi - wyszeptał. - Tak mi przykro, że Zara mną owładnęła. To jest właśnie ro, o czym nie wiedziałaś. Dlatego wierzę Oliverowi. - Odsunął się, żeby na mnie spojrzeć twierdząc, że to wszystko wyjaśnia. Kwestia zjawisk atmosferycznych nadal jest dla mnie niejasna, nie

rozumiem te kich pobudek postępują w ten sposób. I zrobię wszystko by dowiedzieć się więcej, dotrzeć do wystarczającej liczby faktów, by móc je powstrzymać.

Zanim zdołałam odpowiedzieć cokolwiek, tylne drzwi

1 auta

otworzyły się, a do środka wdarł się podmuch wiatru i zapach deszczu.

- Coś się stało? - Twarz Simona spoważniała. - Co powiedział Jonathan?

Simon usiadł na tylnej kanapie, a jego pierś falowała ciężko. Mokre włosy oblepiały głowę, ubrania przylegały do ciała, a po twarzy ściekały kropelki wody, ale on najwidoczniej tego nie dostrzegał.

- Nic nie powiedział. Od trzech dni nikt nie widział Jonathana ani nie miał od niego żadnych wieści.

19

-Lubisz jagody?

Stałam w kuchennych drzwiach i wzrokiem skanowałam wnętrze. Na stole zalegały pootwierane opakowania z chlebem, bekonem i ciastem na naleśniki, a ich zawartość wylażała na leżące pod spodem gazety. Cały blat obstawiony miskami i przyborami do gotowania pokrywała warstewka mąki. Po podłodze wałały się skorupki jaj, z których na linoleum wyciekały resztki przejrzystego białka.

-Nie mogę sobie przypomnieć - wyjaśniła mama, kiedy nie odpowiedziałam. - Nie mogę sobie przypomnieć, czy lubisz jagody i nienawidzisz truskawek, czy może lubisz truskawki, znienawidzisz jagód. A może lubisz i to, i to albo obydwu nie znosisz. - Rozejrzała się dokoła, jakby odpowiedź była ukryta gdzieś pośród gastronomicznego chaosu. - Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć?

nie dlatego, że od dziesięciu lat nie zrobiła na śniadanie niczego innego oprócz kawy.

- Lubię i jagody, i truskawki, i poziomki też - stwierdziłam, zachowując swoją teorię dla siebie

Westchnęła.

- Bogu dzięki. Już zaczynałam się martwić, że może mas? uczulenie, a nie darowałabym sobie, gdyby umknęło mi coś takiego.

- Mamo... co to wszystko ma być?

- Wszystko, znaczy co? - Odwróciła się do blatu z miskami. - Niewiele wieczorem zjadłaś. Pomyślałam, że możesz być głodna. To nie było typowe zachowanie mamy. Nawet jeśli od dziesięciu lat nie rozbiła ani jednej skorupki jajka, kilka dni urlopu zwykle nie wprawiało jej w tak gorączkowy nastrój. A poza tym ze wszystkich znanych mi osób mama była najbardziej przewrażliwiona na punkcie czystości. Gdyby rzeczywiście chciała zrobić śniadanie tylko dlatego, że uznała, iż mogę być głodna, sprzątałaby na bieżąco.

Domyślając się, co jest nie tak, i nie mając wątpliwości, że jeśli zapytam, nie otrzymam bezpośredniej odpowiedzi, podeszłam do kuchennego stołu i spod bochenka chleba wyciągnęłam najnowsze wydanie „Winter Harbor Herald”.

Odkaszlnęłam, żeby ukryć zdumienie. Spodziewałam się mocnych wiadomości, ale nie aż tak mocnych, jakie widniały w nagłówku.

„Cztery kolejne ciała wyrzucone na brzeg w Winter Harbor. Władze miasta ogłosiły stan alarmowy”. Prześledziłam wzrokiem artykuł i poczułam lekką ulgę, upewniwszy się, że żadną z tych ofiar nie jest Jonathan.

- Mamo... a co byś powiedziała, gdybyśmy tak zjadły śniadanie poza domem?

Odwróciła się w moją stronę.

- Poza domem?

- Siedzisz tu sama, w zamknięciu od tylu dni. Zmiana otoczenia dobrze ci robi.

Rozpromieniła się, jakbym co najmniej zaproponowała natychmia i v powrót do Bostonu, a ja zignorowałam delikatne ukłucie, które poczułam - miałam wyrzuty z powodu podstępu, jakiego

im wobec mamy. Od dwóch dni próbowałam znaleźć sposób, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co łączyło ją z Rainą, nie pytając wprost, skąd ani czy w ogóle się znały. Nie chciałam ryzykować, że mama zdenerwuje się bardziej niż dotychczas, czy dawać jej powodów, by razem z marynarskim workiem wrzuciła mnie na tylne siedzenie bmw i wywiozła. Nie przychodziło mi do głowy nic oprócz tego, żeby wspomnieć imię Rainy i przyglądać się, jak mama na to zareaguje... aż do tej chwili.

-Mogłybyśmy pojechać do Restauracji Rybnej „U Betty” -powiedziałam, obserwując jej zachowanie. - Do tej przy moło, co ty na to?

-Wspaniała myśl. Nie byliśmy tam całe wieki. - Ucałowała mnie w policzek, mijając w kuchennych drzwiach. - Cieszę się, że to zaproponowałaś.

Podczas jazdy do miasta rozmyślałam, że nie dalej niż kilka dni temu w życiu bym czegoś podobnego nie zrobiła. Bo mama i ja zwyczajnie takich rzeczy nie robiłyśmy. Z resztą prawie ze sobą nie rozmawiałyśmy. Ona i Justine zawsze potrafiły godzinami gadać o ubraniach i makijażu, a raz w miesiącu wybierały się razem do centrum handlowego i do kosmetyczki. Nie dzielając ich zainteresowań, rezygnowałam z tego typu wypadów, decydując się w zamian na czytanie albo oglądanie filmu z tatą. Śniadanie „U Betty” miało być pierwszą okazją, kiedy wybierałyśmy się dokądkolwiek tylko we dwie. Wcześniej bałam się długiego milczenia i krępujących rozmów. Ale teraz się nie bałam. Od tamtej nocy, którą spędziłam z Simonem, czułam się silniejsza, bardziej pewna siebie, a te odczucia tylko się wzmocniły, odkąd w samochodzie przed ośrodkiem wyznał, co do mnie czuje. Zeszłej nocy zasnęłam nawet bez włączania telewizora. To tak, jakby Simon stał się moją nocną lampką; nawet gdy nie było go przy mnie, rozświetlał mrok i już dłużej nie musiałam się bać. Czułam, że kiedy razem z Calebem wróci z Bates - dokąd wybrali się, żeby zgromadzić informacje na temat syren i obmyślić plan, by powstrzymać je od dalszego zabijania - pokażę mu, jak bardzo jestem za to wdzięczna.

- Widzę, że trochę tu dzisiaj pusto - skomentowała mama, gdy dziesięć minut później wjeżdżałyśmy na parking w jednej czwartej zastawiony samochodami.

Obróciłam się na siedzeniu, obrzucając wzrokiem plac. Garretta nie było w jego stałym miejscu, z którego sprawdzał te zerwacje. Śmiertelne wypadki ostatnich dni albo przepłoszyły przyjezdnych z miasteczka, albo zmusiły ich do pozostania w domkach letniskowych, z dala od zagrożenia.

Kiedy przemierzałyśmy parking i wchodziłyśmy do restauracji, rzucałam ukradkowe spojrzenia na mamę. Liczyłam, że odwiedziny w restauracji należącej do rodziny Rainy automatycznie wywołają w niej jakąś reakcję, ale nawet jeśli tak było, dobrze

się z tym kryła.

- Całkiem dobrze cię tu znają - stwierdziła, gdy już zajęłyśmy miejsca przy stoliku, po tym jak hostessa, pomocnik kelnera i kelner pomachali do mnie na powitanie.

- Zaprzyjaźniłam się z Paige Marchand - wypowiadając nazwisko Paige, podniosłam wzrok znad karty dań, żeby zaobserwować jej reakcję. - Ta restauracja należy do jej rodziny, a ja przez jakiś czas pomagałam w obsłudze gości i stąd znam sporą część personelu.

-Och, skarbie - przechyliła głowę i posłała mi uśmiech. - Tak się cieszę, że nawiązałaś nowe przyjaźnie. Przytaknęłam i opuściłam wzrok na menu, myśląc, że chyba jednak trzeba będzie wspomnieć imię Rainy. -Widzisz, twoja siostra rak właśnie sobie ze wszystkim radziła.

Znów podniosłam wzrok.

-Uwielbiała cię z całego serca, ale nie zawsze było jej łatwo. Dlatego była tak bardzo towarzyska, otaczała się gronem przyjaciół i chłopców. Rozpaczliwie potrzebowała akceptacji - im więcej osób ją lubiło, tym lepiej się czuła. Potrząsnęłam głową, na chwilę zapominając, po co ją tu przyprowadziłam.

-Co masz na myśli, mówiąc, że rozpaczliwie potrzebowała akceptacji? Dlaczego nie zawsze było jej łatwo? -Czym mogę służyć?

Opuściłam menu na stół i z całych sił przycisnęłam dłonie do skroni. Miałam nadzieję, że Zara będzie dzisiaj w pracy: jej obecność „U Betty” przynajmniej gwarantowała, że nie robi czegoś, czego nie powinna gdzie indziej, ale wcześniej byłam zbyt rozkojarzona, żeby się za nią rozejrzeć. Teraz stała tuż przy naszym stoliku, trzymając w dłoniach notes do zbierania zamówień i uśmiechała się, zupełnie jakbyśmy były zwykłymi klientkami, a ona zwyczajną kelnerką.

-Zara!-Żeby nie zaniepokoić mamy, zmusiłam się, by oderwać dłonie od skroni.

-Witaj, Vanesso - odparła spokojnie.

-Mamo-wycedziłam, starając się nie krzywić od przeszywającego bólu pulsującego w skroniach - to jest Zara Marchand, siostra Paige.

- Ach tak! - Mama wyciągnęła dłoń, by się przywitać. - Bardzo miło mi cię poznać. Właśnie mówiłam Vanessie, jak bardzo się cieszę, że nawiązała tu nowe przyjaźnie.

To było bardzo trudne lato dla naszej rodziny, możesz sobie wyobrazić, ale...

- Poprosimy o jajecznicę, tosty i kawę - wtrąciłam. Mama posłała mi pełne zdumienia spojrzenie. - Wspaniale. - Srebrzyste oczy Zary zalśniły, gdy zabierała karty dań.

- Nie gniewaj się - przeprosiłam, kiedy Zara odeszła - ale jestem strasznie głodna.

Mama zmarszczyła brwi, ale nie skomentowała mojego zachowania.

- W każdym razie o czym mówiłaś? Że Justine nie było łatwo?

- To także było coś, czego jeszcze kilka dni temu bym nie zrobiła. Nie uwierzyłam, że mama wie o Justine coś, o czym ja nie wiem, i z miejsca zmieniłam temat rozmowy. Poza tym uznałam, że jeśli pozwolę jej mówić, może się rozluźni na tyle, że wyrwie jej się coś na temat Rainy.

Skrzyżowała ramiona na stole i pochyliła się do przodu.

- Skarbie... jesteś wyjątkowo piękną dziewczyną. Potrząsnęłam głową.

- Owszem, jesteś. - Położyła dłoń na mojej dłoni. - Wiem, że nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nigdy sobie nie zdawałaś. To prawdopodobnie wyprowadzało Justine z równowagi jeszcze bardziej niż to, że każdy zwracał zawsze uwagę najpierw na ciebie, dopiero potem na nią.

- Mamo, bez obrazy... ale to jakieś głupstwa. Justine była prześliczna. Wszyscy ją uwielbiali. Miała więcej przyjaciół i adoratorów niż większość dziewczyn w całym swoim życiu.

- I naprawdę ciężko na to pracowała.

Wysunęłam rękę spod jej dłoni i opadłam na oparcie krzesła.

- Kiedy byłyście malutkie, każdego dnia sadzałam was w dwuosobowej spacerówce i zabierałam do bostońskiego parku. I za każdym razem zatrzymywało mnie z dziesięcioro przechodniów, którzy nie mogli się nadziwić, jakie mam piękne córki.

- Właśnie, córki - powtórzyłam.

- Tak, Justine też była piękna. - Zrobiła przerwę. - Ale Vanesso... oni zawsze patrzyli na ciebie.

- Więc byłam ładnym dzieckiem i co z tego? - skomentowałam, próbując zachować ciepłość.

- Justine była wtedy za mała, żeby zauważyć ich zainteresowanie tobą albo żeby się

tym przejmować, ale kiedy trochę podrosła, to do niej dotarło.

Odniosłam wrażenie, że mama bardzo starannie dobiera słowa. -A pamiętasz, jak w Dzień Świętego Walentego - byłaś wtedy w szóstej klasie, a Justine w siódmej - wróciłaś do domu z pudełkiem na kanapki pełnym kartek od adoratorów? -Możliwe - odparłam, nie przywołując tego zdarzenia z pamięci.

-A wiesz, ile kartek dostała Justine? -Dziesięć? Dwadzieścia? -Trzydzieści trzy.

-No widzisz? - Poczułam dziwną satysfakcję. - Nie ma szans, żebym zdołała zmieścić taką liczbę kartek w pudełku na kanapki.

-Tylko dwanaście z tych kartek było zaadresowanych do niej -dodała mama. -

Dostała je od przyjaciółek. -No i? - zapytałam, a ona spojrzała na mnie wzrokiem, z którego wynikało, że powinnam wiedzieć, o czym mówi.

- No i... chłopcy z jej klasy widywali cię, kiedy odwoziliśmy was razem do szkoły.

Zakochani w tobie wręczali jej kartki z prośbą, by przekazała je tobie.

- Nic takiego nie pamiętam.

- Wiem, że nie pamiętasz. Nic sobie z tego nie robiłaś, ani wtedy, ani w wielu podobnych sytuacjach w późniejszych latach. Nie zauważałaś, gdy jakiś chłopiec chciał się z tobą umówić albo kolegował się z Justine, licząc, że uda mu się porozmawiać z tobą.

- Ale ja w życiu nie byłam na ani jednej randce. - To akurat nadal było prawdą, mimo tego, co wydarzyło się między mną a Simonem.

- Jeśli nie byłaś na żadnej randce, to na pewno nie dlatego, że nie było komu cię na nią zabrać.

- Mamo - powiedziałam spokojnie - Justine jeździła na spływy górskimi rzekami, wykradała się z domu nocami, całowała s i ę z chłopakami. Niczego się nie bała. Wszyscy ją za to kochali, J a ją za to kochałam.

- Tak, to prawda, że robiła wszystkie te rzeczy, bo wierzyła, że jako twoja siostra musi starać się bardziej, żeby ludzie ją dostrzegali. Gdy była już starsza, nie mówiła o tym zbyt wiele ani ojcu, ani mnie, ale dobrze wiedzieliśmy, dlaczego prowadzi takie życie. Sami zresztą ze wszystkich sił staraliśmy się dać jej odczuć, że jest akceptowana i kochana.

- Jeśli to prawda - powiedziałam, ani przez chwilę w to nie wierząc - to dlaczego tak wiele energii poświęcała na to, żeby mnie chronić? By się o mnie troszczyć, uczyć mnie, jak się nie bać wszystkiego? Skoro rola mojej siostry była dla niej tak trudna, to dlaczego nie stała się zgorzkniała? Pełna urazy? Dlaczego nie traktowała mnie jak wroga, tylko jak najlepszą przyjaciółkę?

- Zawsze byłaś taka niewinna, taka skromna. Wiedziała, że nie masz pojęcia o tym, co wszyscy inni w tobie widzą. - Opuściła wzrok. Jej lśniące błyszczkiem usta znów się otworzyły, jakby zamierzała podjąć wywód... ale się rozmyśliła. - Co chcesz powiedzieć? - Z trudem przychodziło mi panowanie nad tonem głosu. - Co to ma z czymkolwiek wspólnego? - Vanesso, Justine była piękna. Była też dowcipna i bystra, i odważna, i serdeczna. - Spojrzała na mnie oczami pełnymi łez. - Ale poza tym wszystkim była najbardziej pozbawioną wiary w siebie osobą, jaką znałam. I moim zdaniem dlatego właśnie zrobiła to, co zrobiła. Myślę, że dlatego skoczyła w środku nocy, w tak niebezpiecznych warunkach.

Wpatrywałam się w nią. Jeśli to, co mówiła, było prawdą, znaczyłoby, że Zara nie miała nic wspólnego ze śmiercią mojej siostry.

Za to ja miałam.

-W każdym razie - powiedziała z westchnieniem - nie chcę, żeby wszystko to zrujnowało nasze wspiane wspólne śniadanie. Chodzi o to, że praktycznie nie porozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło, i...

Urwała, kiedy położyłam przed nią na stole kartkę. Obserwowałam, jak jej wzrok wędruje od zielonej samoprzylepnej karteczki u dołu strony do dziewięciu słów pośrodku. -Co to ma być? - zapytała, a róż na jej ustach zbladł, w miarę jak krew odpłynęła z jej twarzy.

-Esej Justine - odparłam z tłukącym się sercem. Nosiłam tę kartkę w torebce, odkąd zdjęłam ją z tablicy korkowej w pokoju siostry. - O tym, kim była i kim chciałaby zostać. Posłała mi przelotne spojrzenie. -Skąd ty to... Jak to się...?

- Nie wybierała się do Dartmouth. Nawet tam nie aplikowała. Poczułam ucisk w żołądku, kiedy jej oczy znów napełniły się łzami, i przez krótką chwilę niemal pożałowałam, że przekazuję jej wiadomość, która za życia Justine byłaby najgorszą

rzeczą, jaką mogłaby usłyszeć. Ale w gruncie rzeczy dopiero co oskarżyła mnie, że to przeze mnie życie Justine było dla niej udręką, co doprowadziło ją do ostateczności. Chciałam uświadomić jej, że wcale nie znała Justine tak dobrze, jak się jej wydaje.

- Nie rozumiem - przyznała, a jej wzrok zatrzymał się na środku strony. -

Powiedziała, że ją przyjęli. Nosiła bluzę z logo uczelni. I parasolkę. Gdy skończyła osiemnaście lat, przepisałam na nią konto z oszczędnościami na studia, a ona od razu po tym opłaciła chesne.

- A widziałaś dowód wpłaty? - zapytałam łagodnym tonem.-Albo czek zwrotny wystawiony na Dartmouth?

- Musiałam widzieć... a może nie? Teraz myślę, że to było tak dawno... nie pamiętam. Ale wiem, że w tamtym okresie byłam bardzo zapracowana, a ona tak podekscytowana, więc chyba po prostu założyłam, że... - Potrząsnęła głową, po czym podniosła wzrok. - Po co miałyby kłamać?

Zmarszczyłam brwi, kiedy łzy powoli potoczyły się po jej policzkach.

- Nie jestem pewna. - Rozważałam, czy nie powiedzieć mamie, że to odkrycie było prawdziwym powodem, dla którego w ogóle wróciłam do Winter Harbor, ale później postanowiłam tego nie robić. Nie chciałam wdawać się w gorącą dyskusję na temat Caleba ani dostać w krzyżowy ogień pytań, na które nie mogłam udzielić odpowiedzi. A poza tym wyglądała prawie na równie załamana jak wtedy, gdy kilka tygodni wcześniej policja zapukała do drzwi domku nad jeziorem, żeby przekazać nam tę tragiczną nowinę, i chociaż jeszcze przed kilkoma sekundami moje intencje były odmienne, teraz nie chciałam już uczynić nic, co mogłoby jeszcze bardziej pogorszyć jej samopoczucie. Spojrzałam na drugi koniec sali, zaskoczona, gdy nagle od stolika pełnego mężczyzn potoczyła się salwa gromkiego śmiechu. Byłam tak zdezorientowana naszą niecodzienną rozmową, że kompletnie zapomniałam, gdzie jesteśmy i po co. -Uprzejmie proszę: jajecznicca, tosty i dwie filiżanki kawy. Odwróciłam się, spostrzegając, że nie rozboleła mnie głowa. -Podać coś jeszcze, moje panie?

Raina. Stała przy stoliku, zwracając się do nas obydwu, ale patrzyła tylko na mnie.

Była ubrana w krótką zieloną sukienkę na ramiączkach, która odsłaniała ładną opaleniznę. I jej kształty. -Dzień dobry, pani... panno Marchand - przywitałam się, zerkając na mamę. Była tak wytracona z równowagi pustą kartką z esejem Justine, że nawet nie zwróciła uwagi na dymiący tuż przed nią talerz. - Co pani tu robi?

-To moja restauracja - odparła Raina, a po jej twarzy rozlał się fałszywy uśmiech. - Dlaczego miałoby mnie tu nie być? -Racja. Przepraszam. - Odnosząc wrażenie, że jej srebrzyste oczy przeszywają mnie niczym lasery, odwróciłam wzrok. W tej samej chwili spostrzegłam, że mężczyźni przy stoliku na drugim końcu sali nie śmiali się już, za to obserwowali Rainę, porażeni.

-Jak się czuje Paige? - zapytałam. -Dziękuję, wspaniale.

Zerknęłam na manię. Zdawała się nie być świadoma obecności Rainy.

-Mamo - powiedziałam głośno, jakby to jej słuch stanowił Problem - to jest mama Paige, R a i n a .

Gdy unosiła głowę, wstrzymałam oddech.

- Cieszę się, że nasze córki na siebie trafiły - stwierdziła, zanim znów utkwiała wzrok w kartce.

Kiedy obejrzałam się na Rainę, nadal wpatrywała się we mnie z nienaturalnym uśmiechem.

- Podać coś jeszcze?

Potrząsając głową, czułam, że twarz mi płonie.

- Przekażę Paige, że o nią pytałaś - rzuciła przez ramię Raina, odchodząc. - Ach, a podczas Pierwszego Dorocznego Festiwalu Świąteł ufundowanego przez Portowe Centrum Odnowy Biologicznej „Latarnia Morska” zapraszam na nasze stoisko!

Gwarantuję niezapomniane wrażenia!

- Mamo - wyszeptałam, gdy tylko zniknęła za kuchennymi drzwiami. - To była Raina Marchand.

Nic.

-Mamo - spróbowałam znowu, kładąc dłoń na kartce z esejem, żeby zakryć pismo Justine. Powoli uniosła wzrok.

- Raina Marchand — powtórzyłam. - Matka Paige i Zary, córka Betty - Betty, która

założyła tę restaurację pięćdziesiąt lat temu.

-No i?

- Nie znasz jej? - Czekając na odpowiedź, w uszach słyszałam donośne bicie własnego serca.

- Przykro mi, Vanesso - odparła w końcu, wyczerpana - ale widzę tę kobietę po raz pierwszy w życiu.

20

-Stowarzyszenie Przedsiębiorców Winter Harbor? - zapytał Caleb później tego wieczoru.

Odczytałam napis nad frontowymi drzwiami miejskiego liceum ogólnokształcącego, po czym rozejrzałam się dokoła. Parking był zastawiony samochodami.

- Kto by pomyślał, że Rainę obchodzą sprawy społeczności lokalnej? - zdziwił się Simon.

-Wcale jej nie obchodzą - stwierdził Caleb. - Monty mówił, że przed swoim wypadkiem Betty nie opuściła ani jednego posiedzenia. Potem, kiedy nie mogła już wychodzić z domu, wszyscy przyjęli, że jej miejsce zajmie Raina. Ale ona ani razu się nie zjawiała. -Może zależy jej na zachowaniu pozorów - stwierdziłam. -Żeby odwrócić uwagę.

-A może przeprowadza sondaż pośród mieszkańców, żeby wytypować kolejną ofiarę.

- Caleb wzruszył ramionami, a wtedy Simon skarcił go wzrokiem. - Żartowałem. Tak trochę. Złapałam za klamkę, chcąc wysiąść z samochodu. Simon położył mi rękę na kolanie.

-Takie posiedzenia potrafią ciągnąć się godzinami - uprzedził. - Może lepiej, gdybyśmy pojechali do domu i poszukali

dalszych informacji, co? Możemy wrócić później i sprawdzić, dokąd potem pojedzie.

- Słyszałeś, co mówił Caleb. Raina jest tutaj nie bez powodu. Chcę wiedzieć, jaki to powód.

Wysiadłam z samochodu, zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze. Źle się czułam, nie zgadzając się z nim, ale przez ostatnie dwie godziny tkwiliśmy wciśnięci w siedzenia, czekając, aż Raina wyjdzie z restauracji „U Betty”. Wreszcie pomknęła swoim SUV-

em pod budynek szkoły, a my - chcąc zachować rozsądny dystans, żeby nas nie zauważyła - prawie stracilibyśmy ją z oczu. Dlatego że jej zachowanie wcześniej w restauracji było dziwne i dlatego że mama najwidoczniej nie miała pojęcia, kim jest Raina, chciałam za wszelką cenę dowiedzieć się jak najwięcej. Pospiesznie ruszyłam w stronę szkoły, a kiedy obejrzałam się za siebie, spostrzegłam Simona i Caleba biegnących truchtem za mną. Kierując się gwarem, bez trudu odnalazłam salę posiedzeń. Była wypełniona po brzegi. Przepychając się pośród stojącego tłumu, dotarłam do miejsca, skąd widać było podium na końcu sali.

- Co tutaj robi Mark? - zdziwił się Simon, przeciskając się do mnie.

Podążyłam wzrokiem za jego skinieniem. Surfer, kolega Caleba, zajmował krzesło w pierwszym rzędzie, obok jedyne wolnego miejsca na całej sali.

- Dobry wieczór państwu.

Na podium stanęła Raina. Po wyjściu z restauracji musiała się przebrać, bo teraz miała na sobie białą, jedwabistą sukienkę bez rękawów, która odsłaniała smukłe opalone ramiona. Włosy miała związane w luźny kucyk, a subtelny makijaż podkreślał blask jej oczu. Bez wątplenia miało to wpływ na zgromadzonych, ponieważ w chwili gdy zabrała głos, cała sala pogrążyła się w milczeniu.

- Dziękuję wszystkim serdecznie za tak liczne przybycie w celu omówienia Pierwszego Dorocznego Festiwalu Świąteł ufundowanego przez Portowe Centrum Odnowy Biologicznej „Latarnia Morska”. Wiem, że ciężko jest świętować po tragicznych wydarzeniach ostatnich dni, które miały miejsce w Winter Harbor, a zwłaszcza po śmierci głównego inwestora ośrodka i ambasadora festiwalu, Paula Carsons’a. Umilkła na chwilę. Zerknęłam na Simona i podążyłam za jego spojrzeniem do pierwszego rzędu, gdzie siedział Caleb i akurat szeptał coś do Marka.

-jednak właśnie ze względu na te tragiczne wydarzenia - podjęła Raina - teraz ważniejsze niż kiedykolwiek dotąd jest to, byśmy zjednoczyli się jako społeczność. Musimy pomóc naszym gościom przetrwać ten trudny czas.

-Jakim gościom?! - zawołała kobieta z drugiego końca sali. -U mnie obroty poszły w dół o osiemdziesiąt procent - dodała inna. - Większość przyjezdnych wyjechała, a ci, którzy zostali, boją się wyściubić nos za drzwi.

-I nasza w tym głowa, by to zmienić - oświadczyła Raina. -Właśnie po to zebraliśmy się tu dzisiaj. Komitet organizacyjny festiwalu ciężko pracował, by znaleźć sposób na przyciągnięcie odwiedzających z powrotem do miasteczka. Poza licznymi atrakcjami przygotowanymi w ramach festiwalu jest wiele innych, jakie państwo - jako przedsiębiorcy - macie do zaoferowania. Chciałabym, by każdy z was spotkał się z członkiem komitetu •przedyskutował możliwości. Wszystko, począwszy od loterii po darmowe próbki produktów, może podwyższyć frekwencję. -Zaraz wracam - szepnął Simon.

Sięgnęłam po jego dłoń, ale już go nie było. Stałam na palcach, żeby zobaczyć, dokąd poszedł, ale tłum był zbyt zwarty.

- Chciałabym także - kontynuowała Raina - by każdy z państwa oszacował, ilu gości zwykle odwiedza wasze stanowiska, i podał nazwiska dziesięciu osób, za których przyrowadzenie będziecie odpowiadać osobiście.

- Co jeśli nie znamy aż tylu osób, które zechcą przyjść? - zapytała kobieta, która wspomniała o spadku obrotów. Srebrzyste oczy Rainy zwięzły się, zanim posłała jej uśmiech.

- Znacie.

Krześla zapiszczały na posadzce, kiedy ludzie zaczęli wstawać i dzielić się na niewielkie grupki. Skorzystałam z okazji, by precyzyjnie przeczesać się przez tłum. Straciłam Simona z oczu, a teraz nie widziałam też ani Caleba, ani Marka. Gdy dopchałam się do pierwszego rzędu, ich miejsca były wolne. Upewniwszy się, że uwaga Rainy skupiona jest na grupce, która zebrała się wokół niej, stanęłam na krześle, żeby mieć lepszy widok, i nie wychylając się zbyt mocno nad tłum, rozejrzałam się po sali.

W tej samej chwili oślepił mnie ból. Oplótł mi głowę i ścisnął tak mocno, że poczułam, jakby czaszka ustępowała pod jego naporem. Kolana ugięły się pode mną i musiałam chwycić się oparcia, żeby nie runąć na podłogę.

- Henry, Alan i Clifton: podejdźcie do Dominique. - To była Zara. - Thomas, Greg i Malcolm: podejdźcie do Sabinę. Potykając się, dotarłam na koniec sali i oparłam się o ścianę. Zanim otworzyłam oczy, odczekałam, aż ból osłabnie na tyle, że przestanę widzieć podwójnie, a potem prześledziłam wzrokiem tłum. Simona, Caleba ani

Marka nadal nigdzie nie było. Ale dopóki Zara kręciła się po sali, kierując zebranymi, przysłuchując się ich rozmowom i zapisując coś w notesie, chłopcy byli bezpieczniejsi, gdziekolwiek się znajdowali.

zając, by nie znaleźć się bezpośrednio w zasięgu jej wzroku, nając się blisko ściany, ruszyłam w kierunku Rainy. Stała w towarzystwie kilku uczestniczek posiedzenia, które zdawały się mieć więcej pytań i wątpliwości niż mężczyźni. Mając za sobą tak wiele wakacyjnych miesięcy spędzonych w Winter Harbor, rozpoznawałam prawie wszystkich z wyjątkiem pozostałych członkiń komitetu organizacyjnego. Były to kobiety w różnym wieku. Niektóre wysokie, inne drobne. Były wśród nich blondynki i brunetki. Żadna z nich urodą nie dorównywała Rainie, jednak wszystkie skupiały na sobie uwagę gromadzących się wokół nich mężczyzn.

-Rozumiem wasze obawy - usłyszałam, jak Raina uspokaja grupkę właścicielek miejscowych przedsiębiorstw. - To, co wydarzyło się tego lata, jest po prostu... niewyobrażalne. Ale musimy połączyć siły i się z tego podźwignąć. - Ściszyła głos. -I bądźmy ze sobą szczerze: tylko nam może się to udać. Gdybyśmy zostawiły to naszym mężom, schowaliby głowy w piasek i czekali, aż burza ucichnie. Ale to nie jest sposób na uzdrowienie naszej społeczności.

Raina nie miała męża. I biorąc pod uwagę jej wcześniejsze komentarze na temat małżeństwa, nie był jej potrzebny. Jednak dla tych kobiet to najwyraźniej nie miało znaczenia. Spodobał im się pomysł przejęcia władzy. Chciały czuć się potrzebne. Przesunęłam się w lewo i skryłam za plecami Malcolma, właściciela „Cytrynki”, kiedy Zara podniosła wzrok znad notesu. Obrzuciła spojrzeniem salę, po czym pochyliła się, żeby porozmawiać z Sabine, blondynką wchodzącą w skład komitetu. Malcolm uniósł się na krześle, zasłaniając mi widok, a kiedy znów się zniżył, Zary już nie było.

Chciałam ruszyć przez tłum w siad za nią, gdy nagle dostrzegłam jej notes.

Przekazała go Sabine, a kiedy ta przewracała kartkę, udało mi się rzucić okiem na okładkę. Białą, skórzaną okładkę. Z wytłoczonym drobnym drukiem napisem: „La vie en rose”.

Sięgnęłam do kieszeni dzinsów po komórkę i obracając się na pięcie, ruszyłam teraz

w stronę stolika z napojami. Próbowałam dodzwonić się do Simona, później do Caleba i znów do Simona. Gdy kilka razy z rzędu włączyła się poczta głosowa, postanowiłam wysłać do Simona wiadomość: „Z. tu jest. Zabierz C. Za 2 min przy samochodzie”. Napełniłam papierowy kubek kawą, wzięłam garść serwetek i szybko poszłam z powrotem do grupy Sabine. Z każdym krokiem pulsowanie w skroniach nasilało się. Manewrując między krzesłami, podeszłam do Malcolma siedzącego niecały metr od Sabine i zmusiłam się do uśmiechu.

- Malcolm? - zapytałam z nadzieją, że w moim głosie da się słyszeć ekscytację, nie zdenerwowanie. - Malcolm Donohue? Usiłował ominąć mnie wzrokiem, ale naśladowując ruchy jego głowy, przechyliłam się raz w lewo, raz w prawo.

- To pan jest właścicielem „Cytrynki”, prawda?

- No tak - odparł z ociąganiem, opadając na oparcie krzesła. - Mogę w czymś pomóc?

- Oj, może pan. Zresztą już pan pomaga! Na okrągło. Ten pański koktajl arbuzowy z gujawą to po prostu niebo w gębie!

- Bardzo mnie to cieszy. Dziękuję. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, wołałbym...

-Panowie, dobrze wiecie, o czym mówię, co? - Skinęłam na Thomasa i Grega, właścicieli sklepu muzycznego „Dźwiękodajnia Tommy ego” i sklepu zoologicznego „Porrowe Zoo”. -Najlepsze śniadania na całym Wybrzeżu Wschodnim! -Przepraszam bardzo - rozległ się łagodny głos za moimi plecami.

Zrobiłam gwałtowny zwrot, przydeptując skórzaną torebkę leżącą na podłodze i tracąc równowagę, przez co kawa z papierowego kubka wylała się prosto na kolana Sabine. -Tak mi przykro! - wysapałam, kiedy podskoczyła z krzykiem. -Ale ze mnie niezdara! Pomogę pani to wytrzeć. -To nic takiego - włączył się Malcolm, mało subtelnie odpychając mnie na bok, gdy próbowałam osuszyć mokre kolana Sabine. - To trzeba sprać pod bieżącą wodą. Chyba nie chce pani zniszczyć tej ślicznej sukienki.

.Sukienka rzeczywiście była śliczna. Żółta z długą plisowaną spódnicą, która unosiła się za Sabine w rytm kroków, kiedy Malcolm odprowadzał ją do łazienki.

Była również ważniejsza dla Sabine niż notatnik Zary, który leżał teraz tam, gdzie

upadł: w ciemnobrązowej kałuży na posadzce.

Kiedy Tommy i Greg ruszyli w ich ślady, przykucnęłam, chwyciłam notes i potrząsnęłam nim, żeby usunąć kawę. Potem schowałam go pod bluzę, za pas spodni, a plamę na podłodze wytarłam serwetkami.

-Pójdę do łazienki po jakieś ręczniki - oznajmiłam na głos, na wypadek gdyby mój zamierzony incydent zwrócił uwagę Rainy. Szybko wyszłam na kontarz i puściłam się pędem przed siebie. Ból stawał się intensywniejszy. Przed oczami niczym iskierki migotały mi białe plamki, utrudniając orientację w terenie.

Po trzykrotnym wpakowaniu się w ślepy zaułek, którym były zamknięte na klucz drzwi do klasy, wreszcie jakimś cudem odnalazłam główne wyjście i wypadłam na podwórze. Nasz samochód był zaparkowany na tyłach budynku. Gdyby Simon i Caleb już do niego dotarli, podjechaliby po mnie, żeby przyspieszyć naszą ewakuację. Fakt, że tego nie zrobili, tylko sprawił, że tym szybciej pobiegłam przez mrok.

- Tęskniłam za tobą.

Przystanąłam w pół kroku, kryjąc się za minivanem. Nasze subaru stało dwa rzędy dalej i nie widziałam go ze swojej kryjówki... ale słyszałam Zarę tak wyraźnie, jakby stała tuż obok.

- Bez ciebie miasto nie było takie samo. Bez ciebie ja nie byłam taka sama.

Poczułam, jak ból pulsujący w skroniach nagle spłynął na moją pierś. Znalazła go. Znalazła Caleba. Obrzuciłam wzrokiem parking, modląc się, żeby zobaczyć Simona biegnącego w moją stronę albo ukrywającego się za innym samochodem w oczekiwaniu na właściwy moment, by przystąpić do ataku.

- Brakowało mi twojego uśmiechu... twojego spojrzenia... Nowa fala bólu roztrzaskała się o moją czaszkę. Przykucnęłam, dociskając czoło do kolan.

- .. .tych okularów ześlizgujących ci się z nosa, kiedy czytasz. Wstrzymałam oddech. Caleb nie nosił okularów.

Poderwałam się do góry, ignorując ból w skroniach. Podczołgałam się wzdłuż minivana i wychyliłam ostrożnie.

- Pewnie o rym nie wiesz, ale... obserwowałam cię.

Stali w blasku przyćmionego światła ulicznej latarni. Zara oparła się o maskę subaru, krzyżując ramiona za plecami. Przechyliła głowę i podniosła wzrok na Simona stojącego przed nią z ramionami zwisającymi bezwładnie wzdłuż tułowia. -Czekałam na ciebie - zamruczała - z nadzieją, że któregoś dnia mnie zauważysz.

-Zauważyłem - odparł Simon pełnym napięcia głosem. Zbliżył się do niej, powoli, nienaturalnie dostawiając stopy, jakby coś je obciążało. Nie poruszyła się, dopóki nie przystanął i dopóki odległość między nimi nie zmniejszyła się do kilku centymetrów. Dopiero wtedy wyciągnęła rękę i chwytając za przód polarowej bluzy, przyciągnęła go bliżej siebie.

-Nie rób tego - szepnęłam. - Proszę... nie.

-Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie to cieszy - stwierdziła, delikatnie unosząc jego dłonie i przykładając je do swoich ust.

Głowa Simona poderwała się do góry, gdy ich ciała przywarły do siebie. Jego palce zacisnęły się wokół Zary, co wywołało na jej twarzy uśmiech.

-Nie masz dziewczyny, prawda? - zapytała, zbliżając usta tuż do jego ucha. - Nie chciałabym nikomu wchodzić w drogę... -Vanesso!

Tylko częściowo zdałam sobie sprawę z głosu, który rozległ się za moimi plecami.

-Zrób coś!

Jej wargi otarły się o skórę jego szyi. Z jego ust wydobyło się westchnienie.

Osunęłam się za minivana, jakby powalono mnie ciosem z pięści prosto w brzuch.

Mój wzrok zatrzymał się na Calebie, który ukrył się za następnym rzędem samochodów. Siedział przycupnięty obok starego kombi, ściskając w dłoni iPod'a i drżąc na całym ciele.

- Proszę cię - syknął, a po jego policzkach spłynęły łzy. - Proszę, powstrzymaj ją. Ja też chciałam płakać, ale nie wiedziałam, czy to z powodu bólu, czy nagłego ucisku w piersi.

Yanesso... pamiętasz, co zdarzyło się w lesie...

Zacisnęłam powieki, chcąc pozbyć się wizji, jakie przywołał głos Justine. Doskonale pamiętałam, co zdarzyło się w lesie. Pamiętałam, jak łatwo Simon dał się Żarze omotać, mimo że stałam tuż obok niego.

Przemów do niego...

- A może wybierzemy się na przejażdżkę? Otworzyłam szeroko oczy. Rozległ się odgłos kroków, otwierania i zamykania drzwiczek, uruchamiania silnika.

- Simon! - zawołałam, próbując dźwignąć się na nogi. Okrążyłam tył minivana i popędziłam w stronę samochodu. -Simon!

Subaru wyjechało tyłem z miejsca parkingowego i ruszyło w stronę wyjazdu. Kiedy zaczęłam biec szybciej, samochód przyspieszył. Wiedząc, że jeśli pobiegnę za nim, nie mam szans go dogonić, uskokczyłam na lewo i pomknęłam przez pas zieleni dzielący parking od ulicy.

Kiedy moje stopy zetknęły się z chodnikiem, rzuciłam się naprzód, ku podwójnej żółtej linii. Zamknęłam oczy, zasłoniłam twarz rękami i przygotowałam się na uderzenie... ale w ostatniej chwili, gdy przedni zderzak od moich puszczeli dzieliło dosłownie parę centymetrów, subaru zatrzymało się z piskiem opon.

- Simon! - Obiema rękami załomotałam w maskę i podbiegłam do drzwi od strony kierowcy. Szarpnęłam za klamkę, ale były zamknięte od środka. - Hej! - zmusiłam się do uśmiechu, kiedy zdezorientowany spojrzał na mnie przez zamkniętą szybę.

-Prawie wyjechałeś beze mnie.

Zara pochyliła się w jego stronę, położyła dłoń na jego udzie i szepnęła mu coś do ucha:

-Simon! - zastukałam w szybę. - Proszę, otwórz drzwi. Odwrócił się do niej. Zupełnie jakby mnie nie słyszał. Załomotałam w szybę pięścią. Kiedy i tym razem mnie zignorował, obróciłam się i doskoczyłam do pobocza. Podniosłam garść kamieni, podbiegłam do samochodu i z całej siły uderzyłam nimi w tylną szybę. Przy czwartej próbie pojawiło się pęknięcie. Przy piątej z tafii szkła odprysnął odłamek nie większy od kostki lodu. -Simon! - zawołałam przez maleńki otwór. - To ja, Vanessa! Zastygł w bezruchu. -Wynoś się stąd. Opadłam z sił. -Simon, proszę... - Wynoś się.

Odstąpiłam na bok, a wtedy zobaczyłam, jak spycha z siebie Zarę. Z impetem otwiera drzwi, obchodzi samochód, otwiera drzwi od strony pasażera i wywleka ją na ulicę. -Kochanie, co ty wyprawiasz...

-Jesteś potrzebna w środku, Zaro - powiedziałam donośnie, żeby mój głos przebił się ponad jej głosem i dotarł do Simona. - Będzie lepiej, jeśli już pójdziesz. Odwróciła się do mnie, a jej krótka różowa spódniczka zmarszczyła się na lekkim wietrze.

-O, witaj, Vanesso - oznajmiła, przesywając mnie głosem niczym nożem sprężynowym.

Nie odpowiedziałam. Całą swoją energię skupiłam na tym, by wytrzymać jej spojrzenie.

- Masz uroczonego chłopaka - stwierdziła, odsuwając się od Simona. - Może do szczególnie wiernych nie należy... ale za to jest cudowny.

Nawet nie drgnęłam, kiedy ruszyła prosto na mnie. Gdy była tak blisko, że w nozdrza uderzył mnie zapach jej waniliowych perfum, pochyliła się w moją stronę, posłała mi uśmiech i szepnęła jedno słowo: -Bu.

Simon złapał mnie, zanim runęłam na asfalt.

- Caleb - wydusiłam, widząc, jak Zara przecina pas zieleni. -On ciągle tam jest.

Simon wskoczył za kierownicę i szybko przestawił subaru na pobocze, potem wysiadł i złapał mnie za rękę. Ruszyliśmy w ślad za nią, nie spuszczając jej z oczu, a jednocześnie zachowując bezpieczną odległość. W pewnej chwili przystanąła i przechyliła głowę, jakby nasłuchując. Kilka sekund później znów ruszyła, by za moment zniknąć w wejściu do szkoły.

- Próbowałem go ostrzec.

Simon i ja odwróciliśmy się. Za nami stał Caleb, wciąż ściskając w dłoni iPod. Jego twarz lśniła, a koszula pociemniała od potu.

- Uprzedziłem go, kim ona jest - wysapał. - Uprzedziłem, co robi.

Simon spojrzał na mnie, po czym zrobił krok w stronę brata.

- Kogo, Caleb? Kogo uprzedziłeś?

Jego twarz wykrzywił grymas, a po policzkach znów potoczyły się łzy.

- Marka - szepnął. - Zeszłej nocy wyznał jej miłość.

- Numer nie odpowiada - Caleb gwałtownym ruchem zamknął klapkę telefonu i cisnął go na stół.

- W Internecie nic na ten temat nie piszą - oznajmił Simon, zamykając laptopa.

-Od początku lata niebo jeszcze ani razu nie było tak błękitne. - Skinęłam w stronę okna. - Może cię posłuchał i uciekł.

Marszcząc brwi, Caleb znowu zajął się dziennikiem Zary, który - jak się dowiedziałam - od powrotu zeszłej nocy do domu, w przerwach między telefonami do Marka, tłumaczył, posiłkując się słownikiem francuskiego. Zamiast zostać razem z nimi, od razu wróciłam do domu, zadowolona, że w ramach wymówki mogę powołać się na czekającą na mnie mamę. Rozumiałam, że Simon nie był w stanie kontrolować swojej reakcji na Zare, ale mnie z kolei ciężko było kontrolować swoją reakcję na jego reakcję. Przez dalszą część wieczoru czułam się nieswojo, dlatego z przyjemnością skorzystałam z okazji, by odetchnąć i przemyśleć wszystko to, co widziałam. Kiedy obudziłam się tego dnia rano, zdołałam dojść tylko do jednego wniosku: tęskniłam za nim. Więc zanim pobiegłam do domku sąsiadów, zdążyłam jedynie zjeść miskę płatków śniadaniowych i wziąć prysznic.

- Nawet o nim nie wspomina - stwierdził Caleb, przerzucając kartki dziennika. - Jego imię nie pojawia się ani razu.

- A o kim pisze? - zapytałam.

- Właściwie to jest sporo o mnie. Wydaje się, że jej uczucia były szczerze, a przynajmniej ona w to wierzyła. Nie chciała nawet wykorzystać swojej mocy... czy jak tam chcecie to nazwać... ale ponieważ nie poddałem się jej naturalnemu urokowi, uznała, że nie ma innego wyboru. - Zerknął na swój notes. - Oprócz mojego imienia przewijają się tu imiona całej masy kobiet: Betty, Rainy, Brigitte, Marie, Eugenie, Isabelle, Josephine, Dominique, Sabine.

- Dominique i Sabine były na wczorajszym posiedzeniu - zauważyłam. - Wchodzą w skład komitetu organizacyjnego festiwalu.

Caleb zanotował moją uwagę.

- Jest też mnóstwo na temat Paige. Nie udało mi się zbyt wiele przetłumaczyć, ale jej imię pojawia się tutaj częściej niż kogokolwiek innego. Wspomina też o Jonathanie.

- A wiadomo już, co Zara notowała wczoraj wieczorem? - zapytałam. - W trakcie posiedzenia?

Caleb przewrócił kilka kartek naprzód.

- To mi wygląda na coś w rodzaju harmonogramu. Lista wszystkich osób obecnych na posiedzeniu i kilku innych, o których w życiu nie słyszałem. Ale to tylko mężczyźni, żadnych kobiet.

- Raina prosiła wszystkich zebranych o podanie nazwisk dziesięciu osób, za których obecność na festiwalu będą odpowiadać osobiście. Zaznaczyła, że to w ich rękach leży zbliżenie do siebie społeczności w tych ciężkich czasach.

b spojrział na Simona. -Powinniśmy wezwać policję.

-Ico im powiedzieć? - zapytał Simon. - Istnieje spore prawdopodobieństwo, że podczas Pierwszego Dorocznego Festiwalu Świąteł duża grupa morderczych syren wybije w pień całe miasto? -Właśnie - odparł Caleb.

- Nie mamy żadnych dowodów - zauważył Simon. - Nie twierdzą, że czegoś nie kombinują, ale nic nie możemy zrobić, dopóki nie będziemy wiedzieć na pewno, co konkretnie zaplanowały. Zadzwoił telefon. Caleb porwał swoją komórkę ze stołu, po czym odrzucił ją z powrotem na blat.

-Zaraz wracam - rzucił Simon, otwierając klapkę swojego telefonu i wychodząc do salonu.

Kiedy Caleb wrócił do studiowania dziennika, wstałam, nalałam sobie do szklanki soku pomarańczowego i znów usiadłam. Przysunęłam do siebie po stole ostatnie wydanie „Heralda” i udawałam, że czytam.

-Wiesz, że nie masz. się o co martwić - oznajmił Caleb, nie podnosząc wzroku.

Przygryzłam wargę i przewróciłam kartkę. Nie byłam zmartwiona. Ciekawa może.

Ale nie zmartwiona. -Justine zawsze mówiła, że ty i Simon tworzylibyście idealną parę - dodał chwilę później.

Wpatrywałam się w nagłówek, nie widząc go. Tak mówiła? Kiedy? I dlaczego nie powiedziała tego mnie? -Brakuje mi jej - powiedziałam łagodnie. Milczał przez

chwile, po czym stwierdził: -Wiem. Mnie też.

-Dobre wieści - obwieścił Simon, wchodząc z powrotem do Itochni. - Doktor Zlewka zgłasza gotowość do współpracy.

- Doktor Zlewka? - zapytałam.

- Doktor Beakman, mój profesor i doradca. Któregoś dnia wpadłem na niego na uczelni w Bates i opowiedziałem o swoich badaniach meteorologicznych.

Zdecydował się przyjechać i na własną rękę przeprowadzić pomiary. Zatrzymał się u przyjaciół na drugim końcu miasta.

- Ten gość ze sto lat temu dostał Nobla - wyjaśnił Caleb. - To, zdaje się, miało coś wspólnego z fuzją molekularną.

- Dostał Nobla i uczy niższe roczniki w Bates College? - zdziwiłam się.

- Po dwudziestu latach spędzonych w Instytucie Badań Zaawansowanych w Princeton - dodał Simon. - Nas traktuje jako etap przedemerytalny.

Rozwinął mapę i rozłożył ją na stole.

- Zamierzasz mu powiedzieć wszystko, co wiemy? - zapytał Caleb. - O Marchandach?

- Nie. Zamierzam mu powiedzieć, co wiemy o ofiarach. - Palec Simona prześledził na mapie przebieg cienkiej linii naznaczonej czerwonymi kropkami. - Oto, gdzie znaleziono ciała. Wszystkie na brzegu, w pobliżu wody.

- Całkiem niedaleko od siebie - zauważyłam.

- Powiedziałbym nawet, że bardzo blisko. Pas wybrzeża ciągnącego się wzdłuż Winter Harbor ma długość ponad trzydziestu kilometrów, a wszystkie ofiary znaleziono w odległości niespełna dwóch kilometrów od siebie. Według policyjnych raportów te znalezione dalej na południe pozostawały pod wodą dłużej. Biorąc pod uwagę działanie pływów i prądów, wskazywałoby to na wspólne północne miejsce pochodzenia.

- Urwisko Chione - zawyrokowałam ze wzrokiem utkwionym w czerwoną kropkę przypisaną Justine.

-Po burzach, jakie nas ostatnio nawiedzają, zawsze następuje ten sam prąd znoszący - wyjaśnił Simon. - Najsilniejszy jest tuż poza granicami naturalnego basenu u

podnóża urwiska, stamtąd kieruje się na południe i niecałe trzy kilometry w głąb wybrzeża słabnie.

-Chcesz powiedzieć, że wszyscy zginęli w tym samym miejscu?

-zdumiał się Caleb. - U podnóża urwiska?

-Nie mam stuprocentowej pewności... ale tak. Takie mam założenie.

- Oliver mówił, że Betty uwielbiała tam pływać ze względu na głębokość wody - przypominałam im. - Może miała inny powód.

-Niewykluczone - zgodził się Simon. - W każdym razie Beakman powiedział, że możemy przyjechać, kiedy tylko chcemy, więc sądzę, że powinniśmy jechać od razu. Festiwal zaczyna się za dwie doby, a to znaczy, że jeśli panny Marchand faktycznie mają coś w planach, nie zostało nam zbyt wiele czasu. -Szczetke mówiąc - odezwałam się, czując, jak moje serce przyspiesza - wołałabym zostać z mamą. Od kiedy dowiedziała się, że Justine nie złożyła papierów na uniwersytet, jest nieco roztrzęsiona, dlatego chyba powinnam spędzić z nią trochę czasu, żeby się uspokoiła. Simon odwrócił się do mnie. -Vanesso, powinniśmy trzymać się razem. -Zaczekam na ganku - oznajmił po chwili Caleb. Zabrał ze stołu dziennik Zary, swój notes i iPoda, po czym wyszedł. Opuściłam wzrok na mapę, dziwnie zdenerwowana.

-Przepraszam, ja po prostu...

-Chodzi o wczorajszy wieczór? - zapytał zaniepokojonym głosem. - Nie mieliśmy okazji o tym porozmawiać, nawet nie wiem, co się wydarzyło. W jednej chwili biegnę szkolnym korytarzem, szukając Caleba i Marka, a w następnej siedzę w samochodzie i odpycham od siebie Zarę.

- Nie chodzi o wczorajszy wieczór - zapewniłam, wciąż nie będąc w stanie podnieść wzroku. - Wiesz, jaka potrafi być moja matka. Po prostu chcę dopilnować, żeby pozwoliła mi tu zostać tak długo, jak będzie trzeba, i dokończyć to, co zaczęliśmy. Cisza, która zapadła, była gęsta, jakby nasycona tym wszystkim, co chcielibyśmy sobie powiedzieć, gdybyśmy tylko wiedzieli jak. Kiedy wreszcie Simon przemówił, w jego głosie dało się wyczuć żal.

- Przepraszam - powiedział. - Bardzo przepraszam za wszystko, co powiedziałem

albo zrobiłem. Ale, proszę, miej świadomość, że nie byłem sobą. Nie mógłbym cię skrzywdzić, Vanesso.

- Wiem o tym. - Chciałam zapytać, dlaczego nie wyzwolił się spod jej wpływu, myśląc o mnie i wsłuchując się w mój głos, tak jak wtedy w lesie, ale nie zapytałam. Robiąc krok w moją stronę, położył mi dłoń na karku i lekko unióśł moją twarz, aż nasze oczy się spotkały. Serce biło mi teraz bardzo szybko, ale ciało było rozluźnione. W chwili gdy jego wargi przywarły do moich, zdarzenia ostatniej nocy zaczęły odchodzić w zapomnienie niczym zły sen... Dopóki nie sięgnął moich bioder... a jego palce nie zacisnęły się na mojej talii... Wtedy wyobraziłam sobie te same dłonie na jej różowej spódnicy. Odsunęłam się.

- Muszę już iść.

Jego ramiona pozostały wyciągnięte, wciąż gotowe mnie objąć.

- Yanesso, czy ty...

- Mamy mało czasu. Sam mówiłeś. A moja mama pewnie już wstała i zastanawia się, gdzie jestem. - Wycofałam się w stronę wyjścia, przyciskając palce do ust. - Ale, proszę, wyślij mi wiadomość z adresem profesora, żebym wiedziała, gdzie jesteś. I zadzwoń, kiedy dotrzecie na miejsce.

-Na razie, Yanesso! - zawołał za mną Caleb, gdy zbiegałam po schodkach ganku.

Po powrocie do domu podeszłam do kuchennych drzwi i zerkałam przez mały prześwit między zasłonami. Wstrzymałam oddech, kiedy Simon i Caleb wsiadali do subaru, a po chwili ruszyli podjazdem. Samochód wytoczył się na ulicę i zniknął mi z pola widzenia. Wtedy nabrałam wiadomość dla mamy, która ciągle jeszcze spała, i wyszłam.

* * *

Stałam na ganku domu Marchandów, ściskając w rękach kosz na bieliznę pełen jednorazowych pieluszek, smoczków i śpioszków, które kupiłam w aptece po drodze. Było trochę za wcześnie na spontaniczne przyjęcie dla Paige z okazji przyszłych narodzin maleństwa, ale tylko taki pretekst przyszedł mi do głowy, żebym mogła tu wrócić.

Sprawdziłam wiadomości w telefonie i uspokoiłam się, przeczytawszy wieści od

Simona. Razem z Calebem byli już u profesora. Nic im nie groziło. Przez chwilę rozważałam, czy mu nie odpisać, przyznając się na wszelki wypadek, gdzie jestem, ale ostatecznie wsunęłam telefon do kieszeni spodni. Na pewno postanowiłby po mnie przyjechać, a na to nie mieliśmy czasu. Musiał skupić się na tym, co do niego należało, tak samo zresztą jak ja.

Zadzwoiłam do drzwi i czekałam.

Nic. Żadnej odpowiedzi, żadnych pospiesznych kroków. Próbowałam zajrzeć do środka przez przeszklenie w drzwiach, ale zakrywały je grube niebieskie zasłony. Wycofałam się na skraj ganku i zobaczyłam, że auta Rainy i Zary stoją za domem. Zadzwoiłam i zapukałam jeszcze raz. Kiedy i tym razem nie doczekałam się odpowiedzi, złapałam za gałkę i powoli ją przekręciłam.

We wnętrzu domu panował mrok. Gdy tu jechałam, zaczęło padać, a ciężkie kotary zasłaniające wysokie okna blokowały wciąż jeszcze utrzymującą się jasność poranka. Jedyne światło dawały kinkiety ścienne, które oświetlały schody. Przystępując próg salonu, sięgnęłam do kosza po parę śpioszków i przystawiłam je do nosa i ust. Powietrze było gęste od zapachu soli. I morskich glonów. I czegoś nieprzyjemnego, co przywodziło na myśl puste skorupy krabów, gnijące meduzy i chore wieloryby wyrzucone na brzeg. Poczułam, że to powietrze mnie spowija, wsiąka w ubranie, pełźnie po skórze... i pospiesznie ruszyłam w stronę schodów. Im byłam wyżej, tym silniejsza stawała się woń, a kiedy dotarłam na piętro, w skroniach mi pulsowało i czułam mdłości.

Ruszyłam dalej w głąb korytarza. Nie zwalniałam, póki nie dotarłam do zamkniętych drzwi do pokoju Paige, skąd dochodziły stłumione głosy.

Przyciskając śpioszki do twarzy, odstawiłam kosz na podłogę i przywarłam do drzwi. Słuchałam, wstrzymując oddech-nie mogłam rozszyfrować pochodzenia dźwięku dobiegającego do moich uszu. Unosił się i opadał, a jego natężenie na przemian nasilało się i słabło. Zdawało się, że wydobywa się z więcej niż jednego źródła, ale brzmiał zupełnie inaczej niż rozmowa czy muzyka.

Zapukałam do drzwi. Gdy nikt nie odpowiedział, ostrożnie przekręciłam gałkę, uchyliłam je i zajrzałam do środka. W tym pokoju kotary także były zaciągnięte, a

powietrze jeszcze gęstsze od soli. Koce, które opatulały Paige, kiedy widziałam ją ostatnio, leżały rzucone niedbale na podłogę przy łóżku. Dziwne odgłosy dobiegały zza uchylonych drzwi łazienki i były teraz głośniejsze.

Przemierzyłam pokój, trzymając się przy ścianie, gotowa uskoczyć za drzwi, gdyby ktoś nagle wyszedł z łazienki. Kiedy znalazłam się wystarczająco blisko, przywarłam ciałem do drzwi i wychyliłam się na tyle, by zajrzeć do środka. Pomieszczenie wypełniał szary, słony opar. Od świec rozstawionych w całym wnętrzu - na umywalce, na podłodze, na szklanych półkach ściennych - rozchodziła się delikatna poświata. Z rogu łazienki, w którym mieściła się wanna, padał jaśniejszy blask niż z pozostałych, chociaż był to jedyny róg nieoświetlony blaskiem świec.

Na brzegu wanny, zwrócone plecami do wejścia, siedziały Raina i Zara. Na kolanach Rainy spoczywała wątła, alabastrowa ręka. Ręka dygotała, jakby ciało, którego była częścią, raził prąd. Chciałam odwrócić wzrok, ale nie mogłam. Moje spojrzenie przesunęło się z alabastrowej ręki na smukłe, gładkie, gołe ramię i dotarło aż do twarzy Paige.

Leżała w wannie naga. Dreszcze, które wstrząsały jej ciałem, były tak silne, że głowa uderzała o kafle na ścianie, a woda rozchlapывała się po podłodze. Z jej ust wydobywały się dziwne, nieludzkie dźwięki. Ponad powierzchnię wody wystawał brzuch: wyraźnie nabrzmiały od rozwijającego się wewnątrz życia.

Mimo to nigdy wcześniej nie widziałam jej piękniejszej. Alabastrowa skóra lśniła, a twarz pokrywał rumieniec. Mokre włosy, które spływały po nagich ramionach na pierś, były prawie czarne. Srebrzystoniebieskie oczy teraz żarzyły się bielą i wyglądały, jakby zamarzły otwarte, połyskując zimnym, eterycznym blaskiem rozchodzącym się po wnętrzu. Nie przypominała Paige, jaką znałam - ledwie wyglądała jak istota ludzka - ale jej oszałamiające piękno było tego rodzaju pięknem, które sprawia, że cały mrok wokół ustępuje.

Uwagę przykuwały jej oczy, skierowane ku górze, w sufit. Poczułam, jak moje ciało lgnie do niej, pragnąc znaleźć się jak najbliżej. Musiałam uchwycić się drzwi, by pozostać na miejscu. Moje skronie pulsowały, ale świadomie nie odczuwałam bólu. Z transu wyrwało mnie wibrowanie telefonu w kieszeni spodni. Raz jeszcze spojrzałam

na Paige, niemal czując, że widzę ją po raz pierwszy w życiu, po czym wycofałam się w głąb pokoju. Wyszłam z sypialni na korytarz, podniosłam z podłogi kosz na bieliznę i ruszając przed siebie, odczytałam wiadomość od Simona: „C. miał rację co do festiwalu. Z. wszystko opisała. Zadzwon, kiedy będziesz mogła”.

Zamknęłam klapkę telefonu, wahając się pomiędzy chęcią ucieczki a pragnieniem zwrócenia się po pomoc do jedynej osoby, która na pewno wiedziałaby, co zrobić, żeby to wszystko powstrzymać.

Uznawszy, że na tym etapie kilka dodatkowych minut nie zrobi różnicy, pędem minęłam schody i skierowałam się do pokoju Betty. Przed drzwiami przystanąłam i spojrzałam na drugi koniec korytarza. Drzwi do sypialni Paige nadal były zamknięte. Czując chwilową ulgę, zanim weszłam do środka, cichutko zapukałam.

-Betty? - szepnęłam, zamykając za sobą drzwi. - Wybacz, że przeszkadzam, ale...

Przystanąłam na widok pustego szezlonga. Kominiek, w którym podczas każdej mojej wizyty płonął ogień, był zgaszony. Tutaj, podobnie jak w salonie i w sypialni Paige, kotary zaciągnięto na okna.

W pokoju panował taki mrok, że początkowo jej nie zauważyłam. Leżała na łóżku na drugim końcu pokoju, a jej drobne ciało nie poruszało się. Pomimo nadprzyrodzonych zdolności sensorycznych tym razem albo nie usłyszała, kiedy weszłam do pokoju, albo była zbyt zmęczona, by zareagować. -Betty? - szepnęłam znowu, podchodząc do łóżka. Wyglądała, jakby w ciągu kilku dni postarzała się o całe wieki. Jej siwe, niegdyś gęste włosy były teraz cienkie i rzadkimi kępkami opadały na poduszkę wokół głowy. Fałdy na czole i policzkach pogłębiły się, a skóra wyschła, przybierając brązowoszary kolor; łuszczące się płatki pokrywały koc i purpurowy szlafrok niczym konfetti. Gdyby jej pierś raz na kilka sekund nie unosiła się z ogromnym trudem, sądziłabym, że nie żyje.

Opadłam na wyściełany fotel stojący tuż przy łóżku, ale poderwałam się, czując, że coś na nim leży. Osoba, która jako ostatnia zajmowała to miejsce, najwyraźniej czytała Betty, chcąc albo ulżyć jej w cierpieniu, albo pogorszyć jej stan. Były to dziesiątki egzemplarzy tygodnika „Winter Harbor Herald” - te najnowsze, w których wymieniano nazwiska Paula Carsonsa, Charlesa Spinnakera i pozostałych ofiar, a

także te starsze, sięgające aż 1985 roku. Część z nich już widziałam, gdy razem z Simonem przeglądaliśmy archiwalne numery pisma w bibliotece.

Pod stosem gazet leżało coś jeszcze: album z wycinkami. Przypominał album Zary, jednak był grubszy i z pewnością starszy, biorąc pod uwagę spłowiały materiał okładki i pożółkłe kartki.

Położyłam go sobie na kolana i zerknęłam na drzwi. Były zamknięte, więc otworzyłam album. Był podzielony na rozdziały, z których każdy stanowił zapis polowania na ofiary i triumfów innej syreny. Grupa obejmowała znacznie więcej kobiet niż te z rodziny Marchandów, czy nawet całego Winter Harbor. Przerzucałam karty poświęcone dziesięcioleciom kobiet odznaczających się nieprzeciętną urodą, o jednakowych srebrzystoniebieskich oczach, które jakimś cudem błyszczały równie jasno na czarno-białych fotografiach, co na nowszych, kolorowych odbitkach. Były w różnym wieku, przy czym te najmłodsze wyglądały na niewiele starsze od Paige. Album nie zawierał namacalnych pamiątek, jakie w swoim albumie zgromadziła Zara. Zamiast tego odzwierciedlał przebieg wydarzeń za pomocą zdjęć i wycinków z gazet, z których część pochodziła z miast poza stanem Maine, a nawet z miejsc tak odległych jak Kanada.

Wiedząc, że to może potrwać wiele godzin, zaczęłam szybciej przerzucać kartki. Właśnie zamierzałam przeskoczyć kilka lat naprzód, kiedy na księdze spoczęło pięć poszarzałych palców. Wpatrywałam się w dłoń Betty. Drobne płatki skóry obsypały się na otwartą stronę.

Podniosłam wzrok, a wówczas twarz spowił mi obłok zjełczałego, przesyconego solą powietrza. To Betty obróciła głowę, a spomiędzy wąskich szczelin ukazały się zasnułe jeszcze gęstszą mgłą niewidzące oczy.

- O co chodzi, Betty? - zapytałam cicho. - Co się stało?

Rozchyliła wątle wargi, jakby zamierzała przemówić, ale nie wydostało się z nich nic prócz kolejnego obłoku przyprawiającego o mdłości powietrza. Cuchnęło tak, jakby jej ciało psuło się od środka, tak samo jak rozkładała się skóra. Wyznała, że... spędza tak wiele czasu w wodzie nie dla własnej przyjemności, ale z konieczności.

Wzięłam gwałtowny wdech, przypominając sobie słowa Olivera. Fizycznie

potrzebowała kilka razy dziennie zanurzyć ciało w słonej wodzie... gdyby nie kontakt z morską wodą... wkrótce nie byłaby w stanie oddychać.

Spojrzałam na Betty, na jej wysuszoną skórę i rzadkie włosy. Umierała. Umierała, ponieważ nie mogła oddychać. Odłożyłam album na łóżko i pobiegłam do łazienki. Odkręciłam kurki nad wanną i zaczęłam przeczesywać szafki w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym napełnić wodą. Znalazłam ręczniki, które cisnęłam do wanny. Zapach soli i ryb przyprawił mnie o mdłości, ale opanowałam się. Zakasałam rękawy i wepchnęłam ręczniki głębiej pod wodę, przytrzymując je pod powierzchnią tak długo, aż nasiąkły.

Kiedy wróciłam do pokoju, oczy znów miała zamknięte. Prawie nie czułam, że z mokrych ręczników, które przyciskam do piersi, przesącza się przez ubranie lodowata słona woda. Delikatnie uchwyciłam krawędź koca sięgającą jej brody, odsunęłam go i pozwoliłam, by opadł na podłogę. Purpurowy szlafrok wydawał się teraz o wiele za obszerny jak na jej wychudzone ciało. Poluzowałam pasek i odchyliłam poły.

Z ulubionego purpurowego kostiumu kąpielowego Betty wystawały wiotkie nogi. Zebra unosiły materiał, kiedy usiłowała zaczerpnąć tchu. Całą powierzchnię jej ciała, począwszy od stóp i idąc w górę, w stronę

klatki piersiowej, obłożyłam mokrymi ręcznikami. Dotarwszy do ramion, zsunęłam z nich szlafrok i okryłam ją aż po szyję. Gdy odsłonięta była już tylko twarz, usiadłam na fotelu i czekałam. W pierwszej kolejności jej skóra zaczęła nabierać kolorów.

Policzki od popielatosinych zrobiły się najpierw białe, potem blad różowe.

Zmarszczki wygładziły się, a usta stały pełniejsze. Po kilku minutach klatka piersiowa unosiła się już na całą sekundę, zanim opadła znowu.

Podczas gdy ona stopniowo odzyskiwała siły, ja wzięłam do ręki album i przeszłam do ostatnich, najnowszych stron. Nekrologi były wyeksponowane niczym zdjęcia ślubne. Minęłam te poświęcone Charlesowi Spinnakerowi, Aaronowi Newbergowi, Williamowi O'Dellowi, Donaldowi JefTriesowi i Tomowi Con-nelly'emu. Kiedy dotarłam do grupy nazwisk, które pojawiły się w nagłówku dzisiejszego „Heralda”, cofnęłam się o kilka stron. Część albumu należąca do Rainy była staranna, jednak brakowało dwóch ofiar. Nie byłam zaskoczona, że nie ma tu nekrologu Justine - była

przecież ofiarą Zary - ale szczególnie zdziwiło mnie to, że nie ma tam pewnego mężczyzny. Jego historia pojawiła się na łamach jednej z gazet, które dopiero co odłożyłam na podłogę, a którego zwłoki znaleziono jako pierwsze zaraz po Justine. Nie miałam pojęcia, jakie są reguły prowadzenia tej wynaturzonej formy albumu, ale założyłam, że pierwsze miejsce w łańcuchu ofiar gwarantuje szczególną uwagę: może przydzielenie dodatkowej kartki, może odrobinę brokatu albo naklejkę, cokolwiek.

Jednak Paulowi Carsonsowi nie dostał się brokat. Nie dostało mu się nic. Przekartkowałam album do samego końca, czując, jak żołądek zaciska mi się na widok pustych stron czekających na kolejne ofiary. Być może Raina nie zdecydowała się, w jaki sposób upamiętnić Paula Carsonsa. Może ciągle jeszcze gromadziła artykuły i zdjęcia i zamierzała przygotować osobny album poświęcony tylko jemu. Może...

Ucieszyłam się, mając powód, by podnieść wzrok, gdy moje rozważania przerwał łagodny jęk Betty.

-Betty - zaczęłam i pochylając się ku niej, przycisnęłam album do piersi - to ja, Yanessa. Czy jest coś, o czym chciałaś mi powiedzieć?

Zwróciła do mnie głowę. Kiedy przemówiła, jej głos był ledwie szeptem.

- Dziewięćdziesiąty trzeci. - Jej palce wysunęły się spod ręcznika i otarły o krawędź albumu.

Szybko przzerzuciłam kartki, przeskakując o całe dekady kuszenia i mordów. Gdy dotarłam do roku 1993, mój wzrok zastygł na fotografii uśmiechniętej, długowłosej kobiety w długiej czerwonej spódnicy i białej ludowej koszuli. Nie przypomiinałam sobie, żebym kiedykolwiek ją spotkała, jednak wydawała się dziwnie znajoma. -„Charlotte Bleu" - odczytałam na głos podpis pod zdjęciem. - „Lat trzydzieści cztery, wywodząca się z rodu Kanadyjskich Nenufarów, zmarła w połogu siedemnastego listopada 1993 roku".

Zanim opuściłam wzrok na dół strony, długo wpatrywałam się w datę. Kiedy moje oczy wreszcie zatrzymały się na zdjęciu w prawym dolnym rogu kartki, na tym, na którym Charlotte stała uczepiona ramienia jakiegoś szczęśliwego, niczego nie-

podejrzewającego mężczyzny, zatrzasnęłam album i rzuciłam go na podłogę. Gdy znowu spjrzałam na album, serce dziko tłukło mi się w piersi, a część mnie oczekiwała, że jakimś cudem otworzy się sam na roku 1993, zmuszając mnie, bym zobaczyła to jeszcze raz. Nie miałam pojęcia, kim była Charlotte Bleu. Ale co do przyciętej sylwetki i kędzierzawej czupryny szczęśliwego, niczego nie podejrzewającego mężczyzny u jej boku nie mogłam się mylić.

To był mój tato.

22

Nic do mnie nie docierało. Ani deszcz bębniący o dach, ani skrzypienie wycieraczek ślizgających się po przedniej szybie. Nie docierał do mnie szelest opon sunących po asfalcie ani szum pędzącego wiatru. Nie docierała do mnie płynąca z radia muzyka ani brzęczenie komórki na siedzeniu pasażera. Nie docierało do mnie łomotanie serca w uszach ani świst mojego krótkiego, urywanego oddechu. Nie docierała do mnie ani jedna spośród miliona myśli wirujących w mojej głowie. Nie docierało do mnie nic, ponieważ nasłuchiwałam Justine. Telefon zadzwieczał znowu, ale go zignorowałam. Nie wiedziałam, od jak dawna jadę samochodem, ale wiedziałam, że po drugiej stronie słuchawki jest albo mama, albo Simon, i chcę wiedzieć, czy ze mną wszystko w porządku. A żadnemu z nich nie mogłam powiedzieć, że nie jest. Jeśli to, co przed chwilą zobaczyłam, było prawdą; jeśli tatko nie był tym, kim zawsze myślałam, że jest; jeśli ja nie byłam tą, za którą zawsze się uważałam, to już nigdy nie mogło być ze mną w porządku - z nimi zresztą też nie.

- Powiedz to - wyszeptałam, zaciskając palce na kierownicy tak mocno, że paznokcie wpiły się w poduszki dłoni. - Powiedz.

Ale ona milczała. Nie zamierzała powiedzieć tego, co chciałam, co musiałam usłyszeć.

Nadepnęłam na gaz. Podświetlone drzwi i witryny sklepów i restauracji w Winter Harbor słabo rozświetlały mrok, a ja jechałam szybciej, nie chcąc widzieć, jak brunatne niebo pożera ostatnie resztki światła. Nie zastanawiałam się, dokąd jadę ani nawet w jakim kierunku. Gdy tylko znalazłam się na siedzeniu kierowcy i odpaliłam

silnik, moje ręce i nogi zaczęły poruszać się automatycznie.

- Proszę cię - powtarzałam cicho, kiedy samochód zjeżdżał w Burton Drive. - To nieprawda. Powiedz, że to nieprawda.

Czekałam na podejździe, patrząc, jak kontury domku nad jeziorem w rytm wycieraczek odgarniających strugi deszczu na przemian wyostają się i rozmazują.

Głos Justine nie przerwał ciszy, więc zgasiłam silnik i wysiadłam z samochodu.

Przemaszerowałam przez podwórze przed domem, wzdłuż ściany budynku, aż do ogrodu na tyłach. Padało tak mocno, że włosy i ubranie przywarły mi do skóry, jednak wcale tego nie czułam. Jediną rzeczą, jaką zdawałam się zauważyć, był fakt, że bmw mamy nie było, a to znaczyło, że nie ma jej w domu. Zanim spostrzegłam, dokąd zaniósł mnie stopy, dłonie spoczęły na burcie czerwonej łodzi wiosłowej.

Wyciągnęłam ją z szopy i przesunęłam z wysiłkiem po śliskiej trawie. Po dotarciu nad brzeg jeziora zepchnęłam łódź do wody. Szłam za nią, wypychając ją coraz głębiej, nie czując, jak ziąb przesiąka przez tenisówki, chwytając mnie za kostki i wędruje w górę aż do kolan. Od dwóch lat nie weszłam do wody nawet na taką głębokość i teraz zastanawiałam się, co ja tu w ogóle robię, zamiast uciekać jak najdalej od Winter Harbor, najdalej od wybrzeża, od jezior, oceanów, jak najdalej od prawdy, której nie chciałam przyjąć, ale której nie umiałam zaprzeczyć.

Gdy woda sięgnęła moich ud, brodząc, dotarłam do burty i podciągnęłam się na pokład. Początkowo wiosłowałam powoli, ale wkrótce dłonie pewniej zacisnęły się na wiosłach i odpychałam wodę z taką lekkością, jakby była powietrzem.

Pokierowałam łódź zdaleka od brzegu. Nie oglądając się na nasz dom ani na dom Carmichaelów, wypłynęłam na środek jeziora. Justine zawsze lubiła unosić się na powierzchni w miejscu, gdzie woda była najgłębsza; właśnie tam dopłynęłyśmy, kiedy tatko zrobił zdjęcie, tamto, które zawiesiła na środku korkowej tablicy w swoim pokoju. Zbliżając się do środka jeziora, przesrałam wiosłować. Wciągnęłam wiosła na pokład, zdjęłam przemoczoną bluzę i podwinęłam nogawki dzinsów. Skórę miałam już lekko zziębniętą, ale mimo to czułam, że krople deszczu są coraz zimniejsze, a temperatura powietrza spada. Byłam jedyną osobą na zewnątrz, ale

niezłomnie tkwiłam w łódce w bluzce bez rękawów, podwiniętych džinsach i japonkach, zupełnie jak w słoneczne letnie przedpołudnie.

Odchyliłam głowę ku niebu, witając lodowaty deszcz spływający po mojej twarzy.

-Przykro mi - powiedziałam. Nie słysząc własnych słów w szumie deszczu uderzającego o taflę jeziora, spróbowałam znowu, tym razem głośniej. - Przykro mi! W porządku? Przykro mi, że ty jesteś tam, a ja tutaj i że nie możemy być razem, ale wciąż cię potrzebuję! Wciąż potrzebuję, żebyś mi powtarzała, że to się nie dzieje naprawdę, bym mogła po prostu udawać, że wszystko będzie dobrze.

Krzyczałam, ale ona najwyraźniej mnie nie słyszała. A może słyszała, ale zwyczajnie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Może przyglądała się i przysłuchiwała wtedy, gdy zobaczyłam zdjęcie taty u boku Charlotte Bleu, i uznała, że cały jej trud poszedł na marne. Może pomyślała, że zmarnowała całe życie, opiekując się mną i chroniąc, i poczuła ulgę, że w końcu nie musi tego robić, bo tak naprawdę wcale nie jesteśmy siostrami, za króre przez całe życie się uważałyśmy.

- Proszę cię - załkałam, ledwie zdając sobie sprawę z ciepła na policzkach, gdy łzy zmieszały się z deszczem. - Proszę cię, Justine. Sama nie dam rady. Nie jestem tak silna jak ty. Myślałam, że jestem - przez kilka krótkich dni wierzyłam, że potrafię - ale myliłam się.

Po nocy, którą Simon i ja spędziliśmy razem, zaczęłam szczerze wierzyć, że jestem silna. Zaczęłam wierzyć, że jestem zdolna uczynić znacznie więcej, niż zawsze sądziłam. Poczułam, że nie muszę bać się ciemności. Potrafiłam skonfrontować się z mamą. Udało mi się nawet znów wejść do wody i nie czułam strachu, że wciągnie mnie otchłań, gdzie światło zamienia się w mrok, a głosy przechodzą w szept... a nawet czułam się spokojniejsza tutaj niż na lądzie.

- Justine - powiedziałam, opuszczając głowę. - Proszę. Jakże mogłabym teraz udawać? Nie chciałam wierzyć, że tato

- mój kochany tato - zdolny był do czegoś podobnego, ale to wyjaśniało wszystko. Tłumaczyło, dlaczego mama i ja wyglądałyśmy i zachowywałyśmy się zupełnie inaczej i dlaczego ją obchodziły eleganckie sukienki i przyjęcia ogrodowe, podczas

gdy ja wolałam nosić dzinsy i czytać książki. To tłumaczyło tak naturalną i niemal natychmiastową więź między Paige a mną i musiało mieć coś wspólnego z oślepiającym bólem, jaki czułam za każdym razem, kiedy w pobliżu zjawiała się Zara. To wyjaśniało, dlaczego Simon uwierzył, że coś do mnie czuje, bo przecież w przeciwnym razie komuś tak bystremu jak on dziewczyna z tyloma problemami nie mogłaby wydać się pociągająca. To wyjaśniało, dlaczego od śmierci Justine słyszałam jej głos. A jeśli prawdą było to, co mówiła mama o potrzebie Justine, by walczyć o zainteresowanie, jakim inni darzyli mnie, to też wszystko wyjaśniało.

I wyjaśniało wydarzenia z przeszłości - to, o czym wolałam nie myśleć, ale o czym nie mogłam zapomnieć - z dnia, w którym przed dwoma lary rozległo się wycie innych syren. Niebo pociemniało, a chmury zakłębiły się nisko nad wodą. Moje ciało znów działało bez konsultacji z umysłem: powoli ześlizgnęłam się z wąskiej pokładowej ławki i opadłam na kolana. Obie dłonie złożyłam na burcie i wychyliłam się za krawędź, by spojrzeć na wodę zaledwie kilka centymetrów niżej. Powierzchnia marszczyła się i kołysała od spadających z nieba kropeł, a mimo to wciąż je widziałam. Tak wyraźnie, jakby było samo południe słonecznego dnia, a tafla wody była gładka niczym lód. Moje oczy. Mnie samej zawsze wydawały się ni to zielone, ni to niebieskie. Teraz - być może dlatego, że wcześniej nie zwracałam na nie dostatecznej uwagi, a może z powodu okoliczności - odbierałam je inaczej: lśniły żywym srebrem. Pochyliłam się niżej ku swojemu drgającemu odbiciu. Wyciągnęłam dłoń, potem drugą. Zamknęłam oczy, a koniuszki palców zanurzyły się pod powierzchnią, lzy potoczyły się szybciej, gdy woda zaczęła obmywać moje dłonie i nadgarstki. -Przykro mi - wyszeptałam, kiedy woda dosięgła moich przedramion, łokci, ramion. - Tak mi przykro. - *V a n e s s o!* Znieruchomiałam. - *Vanesso!* Wyprostowałam się i wyteżyłam wzrok w strugach deszczu. Prosto na mnie płynęła łódka: szybko, jakby na czas odmierzany niewidzialnym zegarem. Odwróciłam się i podniosłam wiosła z dna łodzi.

- Nie zbliżaj się!

Byłam oszołomiona i trudno mi było uporać się ze śliskim drewnem. Raz po raz

zanurzałam wiosła w wodzie, a moje ramiona poruszały się szybciej niż wówczas, gdy wypływałam na środek jeziora. Jednak nie miałam szans z drużyną wioślarską z Bates: na każde półtora metra, o jakie posuwałam się naprzód, oni robili trzy.

Wkrótce zrównali się z moją łodzią.

- Zatrzymaj się! - Wciągnęłam wiosła na pokład i chybotliwym krokiem przeszłam na drugi koniec łodzi. - Nie zbliżaj się. Proszę.

- Już wszystko dobrze, Vanesso. - Caleb sięgnął, by chwycić burtę mojej łodzi. - Nic ci nie grozi.

Zanurzyłam ręce w wodzie za plecami i usiłowałam odepchnąć się, uwolnić od jego uchwytu, a wtedy łódź zaczęła podrygiwać na wodzie.

- Nie zbliżaj się, Caleb. - Nowa porcja łez zaszcypała mnie w oczy. - Proszę cię... zostań tam, gdzie jesteś. Krzyknęłam, kiedy silne ramiona objęły mnie w pasie i przyciągnęły do siebie. Złapałam Simona za ręce i próbowałam podważyć jego palce zaciskające się na moim ciele.

- Simon - zaniósłam się płaczem. - Puść. Proszę! Przyciągnął mnie do siebie tak blisko, że plecami przywarłam do jego klatki piersiowej. Zamknęłam oczy, rozpaczliwie pragnąc, by moje ciało rozplynęło się przy jego ciele, przyjmując ciepło i schronienie, jakie dawały silne ramiona, i żałując, że nie mogę tego zrobić.

- Ona się bała.

Podniosłam głowę. Caleb trzymał moją łódkę obiema rękami, tak że burty obijały się o siebie.

-Justine - ciągnął dalej, głośno wypowiadając słowa, żebym mogła go usłyszeć w szumie deszczu. - To dlatego nie złożyła papierów do Dartmouth. To dlatego nie złożyła papierów na żadną inną uczelnię. Za bardzo się bała. Potrząsnęłam głową.

-Zanim powiem cokolwiek innego - zastrzegł Caleb - musisz wiedzieć, że cię kochała. Kochała cię mocniej niż cokolwiek i kogokolwiek i zrobiłaby dla ciebie wszystko, łącznie z podtrzymywaniem przekonania, że jest nieustraszona, żebyś ty mogła ciągle na niej polegać. Nie chciała, żebym ci o tym powiedział... ale musisz wiedzieć. Zaslługujesz na to, by znać prawdę. To pozwoli ci zrozumieć.

Nie byłam pewna, jak mam się czuć... teraz, kiedy wreszcie miałam dowiedzieć się

tego, co przywiodło mnie z powrotem do Winter Harbor.

-Czego tak bardzo się bała? - zapytałam w końcu. Spojrzał na Simona, który skinął głową. -W dniu, w którym miałaś wypadek... pamiętasz, dlaczego weszłaś do oceanu?

-Rzuciła mi wyzwanie. - Podobnie jak ciało, które reagowało niezależnie od umysłu, słowa wypłynęły z moich ust, zanim zdążyłam rozważyć, czy wypowiedzieć je na głos. -Justine rzuciła ci wyzwanie - powtórzył, jakby chciał, żebym naprawdę dobrze się zastanowiła.

-Ten wypadek zdarzył się z mojej winy - sprostowałam natychmiast, czując, jak serce mi przyspiesza. - To miał być żart. Ona żartowała. Tak naprawdę wcale nie myślała, że wejść

- Być może powiedziała to w żartach, ale... jakaś jej część nie żartowała.

Spróbowałam się wyprostować, ale Simon przyciągnął mnie mocno.

- Nie wiesz, o czym mówisz. Justine była troskliwa, opiekuńcza. Chroniła mnie. Nigdy nie popchnęłaby mnie w niebezpieczną sytuację.

- Vanesso - głos Caleba brzmiał łagodnie - to, co teraz mówię, usłyszałem bezpośrednio z jej ust.

Utkwił we mnie niewzruszone spojrzenie, a do mnie dotarło, że jest człowiekiem, którego kochała. W ciągu miesięcy - a może i lat - poprzedzających jej śmierć powierzyła mu więcej swoich sekretów niż komukolwiek innemu.

- Mów dalej.

Caleb opuścił wzrok i wziął głęboki oddech.

- Justine cię kochała, ale była też o ciebie bardzo, ale to bardzo zazdrosna.

Przygryzłam wargę, żeby nie zaprotestować. Był drugą osobą, od której usłyszałam, że Justine mi zazdrościła, a jeżeli miałam komuś uwierzyć, to właśnie jemu. Poza tym ta informacja była łatwiejsza do zaakceptowania teraz, kiedy wiedziałam już, kim... czym... naprawdę jestem.

- Odkąd pamiętała, każdy chciał ciebie poznać. Krewni, sąsiedzi, nauczyciele, koledzy i koleżanki z klasy. Byłaś kompletnie tego nieświadoma i dlatego nigdy ci o tym nie mówiła, ale to doprowadzało ją do szału. Żeby jakoś sobie z tym radzić,

robiła wszystko, co tylko mogła, żeby zyskać uwagę otoczenia. Uprawiała sporty. Należała do setek klubów. W szkole miała najwyższe oceny. Starła się być przyjaciółką dla każdego. Kiedy była starsza, zaczęła umawiać się na randki z wieloma chłopakami.

Podniosłam wzrok i napotkawszy jego spojrzenie, zmarszczyłam czoło.

-Tak, wiedziałem o nich. I wiedziałem, po co jej to było. Nie martwiłem się o siebie - już wtedy wiedziałem, że nie czuje do nich tego, co czuła do mnie - martwiłem się o nią. Nienawidziłem myśli o tym, że posuwa się do takich skrajności tylko po to, by poczuć się... ważna.

Justine wcale nie musiała całować się z setką chłopaków ani skakać ze spadochronem, żeby czuć się ważna. Była ważna. -Robiła to wszystko nie po to, żebyś ty czuła się źle, ale żeby ona sama poczuła się lepiej. Tak jak powiedziałem, zrobiłaby dla ciebie wszystko. Nigdy nie chciała cię skrzywdzić.

-W takim razie która jej część nie żartowała w dniu wypadku? - zapytałam.

Milczał przez chwilę, po czym zapytał: -Pamiętasz, czym pomysłem był piknik na plaży?

- Nie - odparłam zgodnie z prawdą. - Nie pamiętam zbyt wiele z tamtego dnia - dodałam, już nie tak szczerze.

-Według relacji Justine ona chciała iść do kina. Ty chciałaś zorganizować piknik. Gdy tylko podsunęłaś ten pomysł, wasza mama zabrała się do robienia kanapek, a tato do pakowania gier planszowych. A kiedy Justine nalegała, żeby jednak pójść do kina, zignorowali ją.

-Nawet jeśli tak było, mnie wcale nie traktowali w sposób uprzywilejowany - zapewniłam. - Justine i mama zawsze były sobie bliższe... a tato za nią przepadał.

- W każdym razie nie była szczególnie zachwycona. Wiedziała, że to nie twoja wina, ale żywiła urazę. Kiedy sprowokowała cię, żebyś poszła popływać, dobrze wiedziała, jakie to niebezpieczne... dlatego właśnie nie mogła sobie wybaczyć, kiedy podjęłaś wyzwanie i zniknęłaś.

- Ale wróciłam - nalegałam, jakbym nadal próbowała ją przekonać, że to nie jej wina.

- Wciągnęło mnie pod wodę, ale nic mi się nie stało.

- Vanesso... spędziłaś pod wodą trzydzieści cztery minuty, zanim ratownicy do ciebie dotarli.

Odchyliłam się do tyłu.

- To cud, że przeżyłaś. Można to było i tak ująć.

- Ta świadomość jej nie opuszczała - kontynuował Caleb. - Że omal nie utonęłaś przez jedną chwilę słabości z jej strony. Postanowiła mocniej zaakcentować swoją przebojowość, żądzę przygód, opiekuńczość, przesadną ambicję. Jej celem nadal było zdobycie zainteresowania - którego po twoim wypadku potrzebowała bardziej niż dotychczas - ale również stanie się możliwie jak najlepszą siostrą, córką, uczennicą, przyjaciółką. Zawsze obarczała się winą za to, że prawie odebrała cię wszystkim, którzy tak cię kochali.

Próbowałam wyobrazić sobie Justine robiącą wszystko to, co robiła z poczucia winy i po to, by zadowolić innych.

- A kiedy przyszedł czas aplikować na studia...?

- Dartmouth - powiedział. - Harvard, Yale, Brown. Same elitarne uczelnie. Wszystko dla waszej matki.

- A co z esejem? - zapytałam.

- Nie dała rady go napisać. Od tak dawna całą energię poświęcała na to, by imponować innym, że nie miała pojęcia, kim jest ani czego chce od życia.

Przechyliłam głowę i spojrzałam na niego.

- Z jednym wyjątkiem? - podsunęłam.

lego spojrzenie padło na wodę.

, Chciała być z tobą - stwierdziłam.

Pokiwał głową j podniósł wzrok.

-A ja chciałem być z nią. Pragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek innego.

Nie stawiałam oporu, kiedy Simon złapał mnie za rękę. -Ale trudno jest wykorzenić stare nawyki... Justine wiedziała, że wasza matka wyjdzie z siebie, kiedy się dowie, że jej córka rezygnuje ze studiów, żeby być z jakimś chłopakiem z Winter Harbor.

-Miała szczęście, że na ciebie trafiła, Caleb. -Sam nie wiem... w każdym razie starałem się być lepszy. Nie chciałem jej stracić, więc robiłem, co mogłem, żeby

wasza mama była zadowolona. Rzuciłem pracę u Monty ego i zatrudniłem się w „Latarni Morskiej” - oznajmił, zerkając na Simona-żeby więcej zarabiać i zmienić towarzystwo rybaków na towarzystwo grubych ryb. To było chyba najtrudniejsze, co kiedykolwiek przyszło mi zrobić: było mi tak ciężko, że nie byłem nawet w stanie powiedzieć o tym Monty'emu w twarz. Wiedziałem, że będzie próbował mnie nakłonić, żebym został, a tego nie chciałem. - Zamilkł, po czym ciągnął dalej. - Wreszcie kiedy znowu zaczęła się szkoła, więcej się uczyłem i nawet podszedłem do egzaminów maturalnych, których nigdy nie zamierzałem zdawać.

-A lunch z przedstawicielami zarządu „Latarni”? - zapytał Simon. - Mark mówił, że spotkałeś się z nimi, żeby spróbować wybić im z głowy zdominowanie miasta. -To było, zanim zacząłem dla nich pracować, kiedy ciągle jeszcze wierzyłem, że pewnego dnia Justine i ja będziemy mogli tu razem zamieszkać. Wiecie, że kocham to miejsce. Próbowałem

walczyć o to, żeby wszystko zostało po staremu. - Westchnął.

- W każdym razie w miarę jak zbliżały się egzaminy, Justine zaczęła analizować inne opcje.

- Jakie opcje? - dociekałam.

- Na początek roku akademickiego. Musiała dokądś wyjechać, a wiadomo było, że na studia się nie wybiera. Zastanawiała się nad Kalifornią, Waszyngtonem, Oregonem, Vancouver. Była zdania, że musimy wyjechać gdzieś daleko, żeby nie mogła wrócić do Bostonu, gdy tylko odezwą się wyrzuty sumienia.

- Więc łatwiej było oddzielić się od nas tysiącem kilometrów, niż po prostu powiedzieć prawdę o tobie i studiach? - zapytałam. Spojrzał na mnie, jakby sądził, że powinnam zrozumieć.

- Bała się.

Kto jak kto, ale ja powinnam to zrozumieć. Strach był dla mnie chlebem powszednim. W gruncie rzeczy wiedziałam, że kiedy kładę się spać, w ciemnościach prawdopodobnie nie kryją się żadne potwory, ale to nie przeszkadzało mi zadrećcać się myślami, że gdy tylko zgaśnie światło, rzucają mi się do gardła. Natomiast ucieczka pokrywała się z założeniem Justine, zgodnie z którym najlepszym sposobem na

pokonanie własnego strachu jest udawanie, że coś nie dzieje się naprawdę.

Wystarczyło udawać, że nas nie ma, by przestała się bać, że nas rozczaruje.

- Kazała mi obiecać, że nikomu o tym nie powiem - stwierdził. - Była pewna, że ludzie uznaliby to za nienormalne albo niewłaściwe, a ona nie chciała o tym słyszeć.

Nie chciała, żeby cokolwiek zmieniło naszą decyzję.

- Ale skoro mieliście plany - zaczęłam, myśląc o wydarzeniach sprzed kilku tygodni - po co skakałaby z urwiska Chione w środku nocy?

- Na początku nie rozumiałem - przyznał Caleb. - Była dość wzburzona po tamtej kolacji, kiedy wasza mama zaczęła mówić o studiach i odpowiedzialności, poza tym dowiedziała się, że inni o mnie wiedzą.

Cieszyłam się, że ciągle pada, bo deszcz obmywał mi twarz, która zaczęła płonąć.

Nic dziwnego, że była wściekła: po tylu larach, które poświęciła, próbując mnie chronić, ja wyjawiałam mamie jej największy sekret.

- Najpierw wróciliśmy do Bostonu. Pomyślała, że po prostu spędzimy tam trochę czasu, dopóki nie postanowimy, co dalej. "

To wyjaśniało plażowy ręcznik, który znalazłam wetknięty w drzwi szały w dniu pogrzebu.

- Jednak gdy tylko dotarliśmy na miejsce, od razu zdecydowała, że wracamy do Winter Harbor. Nie chciała albo nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, ale prawie wpadła w histerię. Było już późno, więc zaproponowałem, że wyjedziemy następnego dnia rano. Nie zgodziła się i nalegała, żebyśmy pojechali jeszcze tej nocy. - Patrzył, jak lale obmywają burty łodzi. - Więc wróciliśmy. A kiedy byliśmy na miejscu, uparła się, żeby od razu pójść na urwisko Chione. - Spojrzał na mnie. - Wtedy tego nie rozumiałem. Sądziłem, że próbuje po prostu coś udowodnić albo dać upust skumulowanej złości. Ale teraz rozumiem.

Podążyłam za jego wzrokiem, który padł na Simona. - Co rozumiesz?

Simon zwrócił się twarzą do mnie i zapytał:

- Pamiętasz ten dzień, kiedy Justine i Caleb skakali tyłem do wody? I Justine skaleczyła się w nogę?

Pokiwałam głową.

- Według dziennika Zary wody u podnóża urwiska Chione w zasadzie jaskinia lwa. Nie są takie same jak te tutaj, ani nawet te w oceanie. W tamtych wodach roi się od nich: spotykają, pływają, rodzą, a w niektórych przypadkach stałe. To tam wabią swoje ofiary. Stamtąd manipulują pogodą Kiedy Justine skaleczyła się w nogę - bez względu na to, czy zrobiły to celowo, czy przypadkiem zahaczyła o skałę - i gdy tylko woda dostała się do jej krwiobiegu...

- Było już za późno - dokończyłam.

- Wzywały ją do siebie - wyjaśnił Simon. - Jakimś sposobem, kiedy woda dostała się pod jej skórę, zyskały nad nią władzę.

- To dlatego skoczyła - oświadczył łagodnie Caleb. - Nie dlatego, że była rozgoryczona i zła na ciebie czy rodziców. Ale dlatego, że nie miała innego wyjścia. Dostałam swoją odpowiedź. To było wszystko, co chciałam wiedzieć.

Odwróciłam wzrok i spojrzałam na nasz dom w oddali. Okna wychodzące na jezioro były zasłonięte. Wyglądał na taki opustoszały, porzucony.

- Ale mamy też dobrą wiadomość. - Caleb dodał ostrożnie po kilku chwilach.

Odwróciłam się, gdy akurat wyjmował z plecaka Simona metalowy flakonik.

Odkorkował zatyczkę, a wtedy z otworu wydostał się obłok pary. Wymienił spojrzenie z Simonem, po czym przeniósł flakonik za burtę łódki, przechylił i wylał do wody ciekłą strużkę przejrzystej cieczy.

Przylgnęłam do Simona, kiedy naszą łódką gwałtownie zakołysało. Deszcz nadal biczował tafle jeziora, posyłając fale w stronę brzegu. Ale nasza łódź już się nie poruszyła. Ani łódź Ca e Poczułam, że moje stopy, spoczywające na podłodze z kich desek, zaczynają marznąć. Wstrzymując oddech i wciąż trzymając obejmujące mnie ramiona Simona, wychyliłam się i wyjrzałam za burtę.

- Lód - Wypuściłam powietrze, a oddech natychmiast zmienił się w biały obłok.

Kilka sekund wcześniej nasze łódki uderzały o siebie burtami, podrygując na wodzie. Teraz tkwiły nieruchomo w litym, białym płacie lodu.

-Musimy je pobić w ich własnej grze - stwierdził Simon niewzruszonym głosem. -

Musimy zrobić coś, czego Matka Natura nie potrafi nawet w środku zimy.

Odwróciłam się do niego, wiedząc już, co powie. -Musimy zamrozić Winter Harbor.

- „Ciała Jonathana Marsha, lat siedemnaście, i Marka Hamiltona, lat szesnaście, znaleziono na południowym moście Beacon Beach. Dotychczas, odkąd cztery tygodnie temu Winter Harbor nawiedziła seria niespodziewanych gwałtownych sztormów, zginęło dwanaście osób”. - Caleb opuścił gazetę i wyjrzał przez okno.

- Przykro mi, Caleb - powiedział Simon po chwili milczenia. - Zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

- Pomyśl o wszystkich istnieniach, które ocaliłeś - czułam, jak do oczu napływają mi łzy na myśl o obu chłopakach i o Paige. -Dzięki temu, że Zara przez te tygodnie miała cię na celowniku, nie skupiała się na innych.

Caleb nic nie odpowiedział. Spojrzałam na zegarek, potem na Simona. Słońce nadal świeciło na niebie, ale pojawienie się chmur było tylko kwestią czasu.

- Nie musisz tego robić - zapewnił go Simon. - Możemy znaleźć inne wyjście.

- Nie ma innego wyjścia - odparł Caleb. Minutę później odrzucił „Heralda” na siedzenie i wysiadł z samochodu.

- Hej - powiedział Simon, kiedy chwyciłam klamkę. - A z tobą wszystko w porządku? Spojrzałam na jego rękę na moim ramieniu. Na co byłoby teraz kolejne kłamstwo? -Już niedługo.

Pobiegliśmy w ślad za Calebem, który wskakiwał już po stopniach na ganek domu Marchandów. Poczułam ucisk w piersi, chociaż wiedziałam, że Rainy i Zary nie ma w środku: czekaliśmy vis-a-vis restauracji „U Betry”, aż przyjechały, a wtedy pędem ruszyliśmy do ich domu.

Wewnątrz zasłony nadal były zaciągnięte na okna. Kinkiety ścienne nad schodami nie paliły się. Jedyne źródłem światła był snop wpadający przez frontowe drzwi. Woń powietrza dodała mi otuchy; ciągle jeszcze było gęste od wilgoci, ale teraz pachniało już tylko solą, nie rozkładem. Poprowadziłam ich przez salon. Kiedy ruszyliśmy po schodach, Simon chciał złapać mnie za rękę, ale przyspieszyłam kroku, udając, że tego nie widzę. Dzisiejszy dzień był prawdopodobnie ostatnim, jaki mieliśmy spędzić razem. Nie chciałam jeszcze bardziej wszystkiego komplikować.

-Tędy - oznajmiłam, kierując się do pokoju Paige na końcu korytarza. Przystanąłam

przed drzwiami i nasłuchiwałam. Cisza.

Potrząsnęłam głową, próbując odegnać obraz przyjaciółki dygocącej w wannie, i otworzyłam drzwi. - Wow - powiedział Caleb. - Jesteś pewna, że to ten pokój? - zapytał Simon. Rozejrzałam się powoli, po czym przekroczyłam próg. Rzeczy Paige - ani łóżka, ani ubrań, ani ramek ze zdjęciami — nie było. Ściany zostały przemalowane na różowo. A białe zasłony zastąpiły różowe rolety.

Na środku pokoju, pod wiszącą dekoracją z pluszowymi rozgwiazdami, stała kołyska. Tym razem pozwoliłam, by Simon złapał mnie za rękę. W przeciwnym razie nie ruszyłabym się z miejsca.

- Pewnie po prostu zmieniła pokój - stwierdził Caleb z korytarza. - Pamiętajcie, że nie została uwzględniona w planach na dzisiejszy wieczór.

Tak wynikało z dziennika Zary. Jednak ostatni wpis - zrobiony chwilę przedtem, zanim wykradłam dziennik podczas posiedzenia Stowarzyszenia Przedsiębiorców - pochodził sprzed trzech dni. Co jeśli plan się zmienił? Był ktoś, kto mógł wiedzieć. Stanąwszy przed drzwiami do sypialni Betty, wstrzymałam oddech i uniosłam dłoń, by zapukać.

- Wejdz, Vanesso.

Zerknęłam na Simona, po czym przekreśliłam gałkę. Ostatni raz, kiedy widziałam Betty, leżała na łóżku, z trudem łapiąc powietrze w płuca, walcząc o życie. Nie wiedziałam, czego się teraz spodziewać, dlatego poczułam ogromną ulgę, widząc ją nie tylko żywą, ale ubraną, uczesaną i siedzącą bez oparcia.

- Czekałam na ciebie - oznajmiła, wstając z szezlonga. Przemierzyła pokój, lekkim krokiem obchodząc stół i krzesła.

- Wiesz, co się dzieje? - zapytałam łagodnie.

- Do niedawna nie wiedziałam - odparła Betty, stając przed nami. - Ale teraz już wiem. Raina przez jakiś czas starała się to przede mną ukryć. Kiedy byłam silniejsza, bardzo pilnowała własnych myśli i postarała się, żebym pozostała w nieświadomości. Ale w miarę jak słabłam, ona rozluźniała się, wierząc, że nie usłyszę. Na szczęście, dzięki twojej pomocy, odzyskałam siły na tyle, by usłyszeć.

- I co pani usłyszała? - zapytał Simon.

-Wiele z tego, co sami już wiecie: że zamierzają uderzyć dziś wieczorem, że nie spoczną, o ile ktoś ich nie powstrzyma... i że mnie potrzebujecie.

-Skąd pani to...? - głos Caleba urwał się.

- Zrobię wszystko, o cokolwiek poprosicie - zapewniła Betty. -Na pewno czujesz się wystarczająco silna? - zapytałam. -Ostatnim razem, kiedy cię widziałam... -Jestem już silniejsza. A w wodzie poczuję się jeszcze lepiej. Zerknęłam na Simona. On spojrzał na mnie, zatroskany. Najwyraźniej stan fizyczny Betty był gorszy, niż sobie wyobrażał.

- Nie muszę widzieć - odezwała się nagle, kierując mętne oczy na Caleba. - Moje pozostałe zmysły sprawiają, że wzrok nie jest mi potrzebny.

-Ja nic nie mówiłem - powiedział szybko. Twarz mu poczerwieniała, gdy spojrzał na nas, licząc na potwierdzenie. -Betty - powiedziałam, kiedy ruszyła do drzwi. - Wiesz, gdzie jest Paige? Chcieliśmy zabrać ją ze sobą, ale w pokoju jej nie ma.

Przystanąła w progu, zwrócona do nas plecami. -Jest bardzo chora. Jeśli się nią nie zajmiemy, ta ciąża może ją zabić.

- Lepuration du sang - powiedziała Betty, kiedy jechaliśmy w stronę miasteczka. -Co takiego? - zapytałam.

-Oczyszczenie krwi - przetłumaczył Caleb i czekając na wyjaśnienie, spojrzał na Betty, która siedziała obok niego na tylnym siedzeniu.

^Syrena już w chwili narodzin ma wyjątkowe zdolności, które jednak w pierwszym etapie życia pozostają w uśpieniu. Po osiągnięciu dojrzałości fizycznej jest zabierana pod powierzchnię w celu przejścia oczyszczenia. W tym procesie woda, obecna w każdej komórce ciała człowieka, zastępowana jest wodą morską, co w następstwie sprawia, że pływanie w słonej wodzie, kąpanie się w niej i jej picie stają się koniecznością. Raina, Zara i ja, nie uzupełniając jej bezustannie, uschłybyśmy na śmierć.

- To właśnie działo się z tobą kilka dni temu? - zapytałam dla pewności.

- Tak. Przez dwa lata Raina dawała mi minimalne ilości wody, które pozwalały mi przetrwać z dnia na dzień. Byłam fizycznie osłabiona, co ograniczało i czasem mąciło moje zdolności sensoryczne. Jej sposób sprawdzał się do tego stopnia, że

nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak silnie jestem odwodniona, dopóki mi nie pomogłaś. Od tamtego czasu przysłuchuję się ich myślom. Poczułam na sobie wzrok Simona. Powiedziałam mu o wizycie w domu Marchandów z zamiarem sprawdzenia, co z Paige, oraz o przypadkowym spotkaniu z Betty... ale nie wspominałam o wszystkim, czego się wówczas dowiedziałam.

- Dlaczego Raina to robi? - zapytał Caleb.

- Moją córkę zawsze intrygował jej własny potencjał. Wiedziała, że odmieniałam własne życie, by chronić życie innych, ale ciekawość była silniejsza. Sądziłam, że powodem jest to, że nigdy na własne oczy nie ujrzała niszczących efektów tej mocy... ale teraz, kiedy już tego doświadczyła, nie wiem, co myśleć. - Umilkła na chwilę. - W każdym razie po wypadku Raina wykorzystała moje osłabienie i zadbała o to, żebym nie odzyskiwała sił, dzięki czemu mogła bez przeszkód zgłębiać i testować własne możliwości.

- A Paige? - zapytałam. - Ona przecież nie pływa codziennie i nic jej nie jest.

[-Syrena nie potrzebuje ciągłego kontaktu z wodą, dopóki nie przejdzie oczyszczenia. Zara odbyła go na krótko po moim wypadku. Raina chciała skupić się na niej - nauczyć ją, jak wykorzystywać urodę, którą proces oczyszczenia dodatkowo uwydatnia, i pomóc jej zwiększyć moc, zanim przyjdzie kolej na Paige. Proces oczyszczenia Paige miał odbyć się tego lata... niestety, wcześniej zaszła w ciążę. To dlatego teraz tak cierpi. Jej dało nie jest w pełni przygotowane, by dać dziecku to, czego mu trzeba. Dlatego choruje.

- Dojeżdżamy - oznajmił nagle Caleb, zsuwając się na siedzeniu i zatykając sobie uszy.

Poczułam obecność Zary, ale tego nie okazałam. -Zara upatrzyła sobie Caleba - wyjaśniłam Betty, gdy skręcaliśmy w wąską ścieżkę biegnącą równoległe do alei głównej.

- Postanowiła na niego zapolować, ale on...

-Kochał Justine - dokończyła Betty łagodnym głosem. -Wiem.

Zaparkowaliśmy za rzędem drzew w odległym krańcu parkingu przynależącego do restauracji. Kilkanaście metrów dalej Louis i kilka osób z obsługi uwijało się,

serwując zupełną rybną sporej grupie uczestników festiwalu, którzy gromadzili się wokół ich stoiska. -Paige jest w środku - powiedziała Betty, wskazując głową restaurację. - Jest sama. Nic nie wie o ich zamiarach. Będzie miała pytania, ale pokażcie jej dowód. Powiedzcie jej to, czego dowiedzieliście się ode mnie. A jeśli będzie trzeba, powiedzcie jej o Jonathanie.

- Może Betty też powinna pójść - zaproponował Caleb. - Paige uwierzyłaby przecież swojej babci, prawda?

-Nie mogę - odparła Betty. - Nie wiedzą, że tu jestem, ponieważ mnie nie nasłuchują. Myślą, że wciąż jestem w swoim pokoju, zbyt słaba, by się ruszyć. Jeśli mnie zobaczą albo ktokolwiek inny zwróci na mnie uwagę, domyśla się, że coś jest nie tak.

Kiedy wyszliśmy z samochodu, Caleb zapytał:

- Myślicie, że ona jest na to wystarczająco silna?

- Na tym etapie nie mamy raczej innej opcji - zauważył Simon. - Beakman mówił, że aby nastąpiła maksymalna reakcja, roztwór musi eksplodować w samym gnieździe manipulacji atmosferycznych. Znasz kogoś jeszcze, kto potrafiłby zanurkować na półtora kilometra w głąb oceanu bez konieczności wynurzenia się na powierzchnię? Przyszło mi na myśl, że zna co najmniej jedną taką osobę oprócz Betty, ale nie powiedziałam tego na głos. Kolejne czterdzieści pięć minut spędziliśmy, spacerując po uroczych uliczkach Winter Harbor, tak jak inni uczestnicy festiwalu. Skupialiśmy się na tym, by nie wpaść na Rainę czy Zarę Marchand. Każdego roku Festiwal Świąteł przyciągał handlarzy z całej Nowej Anglii, którzy sprzedawali wszelkiego rodzaju wyroby własne: produkty spożywcze, meble, biżuterię, koce i pledy. Przez cały dzień i noc goście kupowali i jedli, grała muzyka na żywo, a nad wodą odbywał się pokaz sztucznych ogni. Najlepsza część następowała po zmroku. Dla uczczenia początków rybołówstwa w Winter Harbor wszystkie światła -w witrynach sklepików i restauracjach wzdłuż głównej ulicy, a także na łodziach na wodzie - równocześnie gasły, a w ich miejsce zapalano świece i lampiony. Przyćmiony blask sprawiał, że całe miasteczko łagodniało, a port przypominał niebo w gwiazdzistą noc.

- Powinienem już iść - zauważył Caleb, kiedy dotarliśmy do molo. Zapadał zmierzch.

Niebo poszarzało, a chmury zgęstniały i stały się cięższe, kłębiąc się niżej nad wodą.

- Dopilnuję Zary. Mam przy sobie telefon, gdybyście mnie potrzebowali albo ja was.

Im więcej czasu spędzałam z Calebem, tym lepiej rozumiałam, dlaczego Justine tak bardzo go pokochała, a moje serce krwawiło na myśl o nich obojgu, gdy patrzyłam, jak przygotowuje się do odejścia. Wydawał się tak skupiony, tak zdecydowany, tak zadowolony, że może zrobić choć tyle w odwecie za wszystko, co zostało odebrane jemu i Justine. Żałowałam, że nie ma z nami mojej matki, żeby mogła go widzieć.

Nawet jej trudno byłoby oprzeć się wrażeniu, jakie robił.

- Betty ma zanurkować za dziesięć dwunasta - oznajmił Simon - więc Zara powinna tam być...

- Za dwadzieścia dwunasta - dokończył Caleb. Wcisnął za-tyczki do uszu, nałożył na nie słuchawki z dużymi muszlami i włączył na moment iPod'a tak głośno, że muzykę słychać było z odległości metra.

Kiedy odchodził, złapałam go za rękę i przyciągnęłam, zamykając w mocnym uścisku.

-Dziękuję ci - wyszeptałam w jego ramię. - Dziękuję, że to robisz i że byłeś przy niej, gdy cię potrzebowała, i...

- W porządku - odpowiedział, odwzajemniając uścisk. - Kiedy się kogoś kocha tak mocno, jak ja kochałem twoją siostrę, nie ma rzeczy, których by się nie zrobiło.

Twoją siostrę. Te słowa wirowały w mojej głowie, kiedy zwolnił uścisk, a potem, nie oglądając się za siebie, zniknął w tłumie. -Nic mu nie będzie, prawda? - zapytałam, patrząc, jak odchodzi.

- Nie sądzę, abyśmy teraz zdołali go zatrzymać, nawet gdybyśmy próbowali - odparł Simon.

Pokiwałam głową, nie będąc pewna, czy to prawda, ale wiedząc, że i tak jest już na to za późno. Niebo przechodziło z szarości w czerń i zaczynały spadać pierwsze krople.

- On ma rację, wiesz?

Nie czułam deszczu na twarzy, gdy odwracałam się do Simona.

- Kiedy się kocha tak bardzo - powiedział, obejmując mnie w pasie i delikatnie przyciągając do siebie - zrobi się wszystko, żeby zapewnić tej osobie

bezpieczeństwo. Zrobi się wszystko, żeby zadbać o to, by była szczęśliwa.

Opuściłam wzrok, kiedy pochylił się nade mną. To nie było właściwe. Wszystko było niewłaściwe i mogło jedynie utrudnić to, co nieuniknione.

- Vanesso - szepnął, a ja poczułam ciepło jego oddechu na ustach - zanim coś więcej stanie się dzisiejszej nocy, chcę, żebyś wiedziała... musisz wiedzieć, że...

- Przepraszam - przerwałam mu, odsuwając się. Sięgnęłam do kieszeni po telefon, zadowolona, że dosłyszałam jego dzwonienie poprzez dudnienie w piersi. Czułam ulgę, że nam przerwano, zanim Simon powiedział coś, czego później mógłby tylko żałować, i odebrałam telefon, nie sprawdzając, kto dzwoni.

- Vanessa? Och, dzięki Bogu!

- Tato? Cześć. - Zamknęłam oczy na dźwięk jego głosu. Od czasu kiedy zobaczyłam go na zdjęciu z Charlotte w albumie Rainy, nie mieliśmy okazji rozmawiać.

- U was wszystko w porządku? Twoja matka się o ciebie zamartwia, a ostatnim razem, kiedy z nią rozmawiałem, brzmiała zupełnie jak nie ona, więc teraz martwię się o was obie.

- Wszystko w porządku - zapewniłam z nadzieją, że głos nie zdradza kompletnego mętliku w mojej głowie. - Obie ciągle próbujemy się dostosować... ale nic nam nie jest.

Zawahał się.

-Przepraszam, że ostatnio okazywałem ci zbyt mało zainteresowania. Powinienem, ale chciałem dać ci więcej przestrzeni. Chciałem, żebyś miała czas na zaleczenie rany.

- Doceniam to - odpadam, na wszelki wypadek odwracając się plecami do Simona. Było ciemno, więc nie powinien dostrzec, jak płonie mi twarz, ale wolałam uniknąć pytań. - Wiesz, akurat jestem w tej chwili zajęta. Możemy porozmawiać później?

-Jasne. Oczywiście. Pogadamy jutro. Wsiądę w pociąg i przyjadę akurat na lunch. Próbowałam wyobrazić sobie, gdzie będę i jak będzie wyglądało moje życie jutro w porze lunchu, ale nie potrafiłam. -To świetnie. Spokojnej podróży.

- Ach, i wiesz co, Vanesso? - powiedział szybko. - Kocham cię. Proszę, pamiętaj o tym.

Zamrugałam, żeby powstrzymać łzy - żałowałam, że nie mogę powiedzieć tego samego.

- Do zobaczenia wkrótce.

Podczas pierwszej rozmowy z ojcem po odkryciu tego, co wiedziałam teraz, sądziłam, że będę czuła się skrzywdzona, zagubiona, a nawet wściekła. Ale nie oczekiwałam, że te uczucia przysłoni jeszcze silniejsze: smutek.

-Powinniśmy już iść - powiedział łagodnym głosem Simon, gdy się rozłączyłam.

Pokiwałam głową i złapałam go za rękę. Trzymałam mocno, kiedy przeciskaliśmy się przez grupki dzieciaków i rodzin. Wiedziałam, że w końcu będę musiała puścić, ale teraz jeszcze nie byłam na to gotowa.

Samo bycie blisko Simona działało na mnie uspokajająco i znowu szybko skoncentrowałam się na zadaniu, jakie mieliśmy przed sobą. Kiedy dotarliśmy na parking restauracji, Louis i reszta obsługi uwijali się jak w ukropie, serwując zupę i kanapki klientom tworzącym długą kolejkę. Nie zauważyli Simona i mnie, jak przemykaliśmy z tyłu stoiska i drzwiami od strony zaplecza wślizgnęliśmy się do restauracji. Paige zastaliśmy w głównej jadalni. Siedziała na krześle plecami do nas, a twarz miała zwróconą do okien. Podeszliśmy bliżej i wtedy zobaczyłam, że ma zamknięte oczy.

- Paige? - powiedziałam cicho.

Otworzyła oczy i wyprostowała na krześle, obiema rękami ściskając brzuch.

- Vanessa? Co ty tutaj robisz?

Starłam się nie dać po sobie poznać zaniepokojenia. Nawet w przyciemnionym świetle widać było, że jej oczy znaczą białe plamki, skóra lśni od poru, a dłonie drżą. Gdy widziałam ją wtedy w wannie, nie wyglądała najlepiej, choć była olśniewająco piękna. Teraz, zaledwie dwa dni później, sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała zemdleć z wysiłku i wyczerpania.

- Nie widziałam cię od jakiegoś czasu. Nie miałam też żadnych wieści - wyjaśniłam.

- Chciałam się upewnić, że nic ci nie jest.

- Wiem, przepraszam - odparła, zerkając za siebie w stronę wejścia. - Mam za sobą kilka ciężkich dni.

Spojrzałam na Simona. Skinął głową na powitanie. Puściwszy jego dłoń, usiadłam na pustym krześle obok Paige.

- Jak się czujesz?

Opadła na oparcie i posłała mi niemrawy uśmiech.

- Okropnie.

Milczałam przez chwilę, wstrzymując się z zadaniem następnego pytania:

-Jonathan zaglądał do ciebie?

-Ostatnio nie - odpowiedziała, opuszczając wzrok. - Raina powiedziała mu, że nie jestem w nastroju na telefony ani wizyty.

O niczym nie wiedziała.

- Paige - powiedziałam łagodnie - który to miesiąc? Próbowaliśmy się uśmiechnąć.

- Piąty tydzień. Wiem, jestem ogromna. Raina mówi, że to z powodu hektolitrów słonej wody, którą piję. Ona była taka sama...

- Kiedy była w ciąży? - zmierzyłam wzrokiem jej brzuch, który był wielkości dyni. - Byłaś u lekarza?

-Nie. Raina urodziła nas w domu z pomocą Betty, ja też tak urodzę, z jej pomocą.

-Ale ty jesteś w piątym tygodniu ciąży, a wyglądasz na piąty miesiąc. Nie wydaje ci się dziwne, że twoja matka nie zabrała cię do lekarza, żeby się przekonać, że wszystko jest w porządku? -Trochę tak - przyznała. - Sama bym pojechała, ale Raina i Zara zarządziły areszt domowy. A ja jestem taka zmęczona. Nawet nie mogę sama zejść po schodach, żeby zatelefonować. Miałam ochotę porwać ją i natychmiast zabrać do szpitala, ale zmusiłam się, żeby jeszcze nie ruszać się z miejsca.

- Mogłabyś rzucić na to okiem?

Jej ręka drżała, gdy brała ode mnie gazety, które wyjęłam z torebki.

- Co ro ma być? - zapytała, kartkując powoli strony zdjęć i artykułów.

-Xavier Cooper, Max Hawkins, John Martinson - recytowałam, kiedy przed jej oczami migwały kolejne zdjęcia. Podniosła wzrok.

- Chłopcy Zary.

- Nie do końca - odparłam, wyciągając kolejny stos gazet. Wzięła je ode mnie i zaczęła przerzucać zdjęcia i artykuły o mężczyznach z albumu Rainy.

- Nie znam żadnej z tych osób.

- Ty nie, ale twoja matka znała. I jej przyjaciółki także. Kiedy Paige oglądała kolejne kartki, ja obejrzałam się przez ramię na frontowe okna. Deszcz padał teraz szybciej, a ludzie chowali się pod kapturami płaszczy i parasolami. Niektórzy już teraz pospiesznie zmierzali do samochodów - będąc tak blisko wody, prawdopodobnie czuli zaniepokojenie, w miarę jak pogarszała się pogoda.

- Paige - powiedziałam, odwracając się z powrotem - wiem, że ciężko ci to słyszeć, zresztą na pewno masz wystarczająco dużo własnych powodów do zmartwień... ale będziesz miała ich więcej - podobnie jak my wszyscy - jeśli nie powiem ci wszystkiego. - Przez okno wychodzące na port widziałam, jak niebo czernieje, a powierzchnia staje się wzburzona. Maleńkie złote punkciki przesuwały się na tle ciemnej wody niczym świetliki w słoju - to łódki umykające ku dokom.

Oddech Paige przyspieszył.

- Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, zrób to szybko. Zet będzie tu lada chwila.

- Paige... Zara nie wróci. Jest z Calebem Carmichaelem. -Jak to? - potrząsnęła głową.

- Ale przecież mówiła mi...

- Jest mnóstwo rzeczy, które mówiły ci Raina i Zara, a które nie mają wiele wspólnego z prawdą. Jest też wiele rzeczy, o których ci nie powiedziały.

Niebo rozdarła pierwsza błyskawica. Paige z grymasem na twarzy chwyciła się za brzuch.

- Od wypadku Betty - zaczęłam mówić szybko - twoja matka trzymała ją pod kluczem, bo nie chciała, żeby Betty odzyskała siły. Przynajmniej nie w pełni. Chciała, żeby Betty była słaba i nie mogła stanąć jej na drodze.

-Na drodze? - Znów złapała się za brzuch i skrzywiła. - Do czego?

-Do Xaviera Coopera. Maksa Hawkinsa. Aleksa Smitha. Otworzyła usta, by zaprotestować.

-Mówiłaś, że Zara zaczęła umawiać się na „randki” przed dwoma laty - ciągnęłam dalej, nie pozwalając jej dojść do głosu. -Wypadek Betty miał miejsce dwa lata temu. Założę się, że Zara zaczęła umawiać się z chłopcami dopiero po wypadku. Zamknęła usta, nie oponując.

- Musiały z tym zaczekać, aż Betty zniknie z horyzontu. Po wypadku, kiedy nie była już na tyle silna, by sama potrafiła się o siebie zatroszczyć, mogły ją bez trudu kontrolować i wreszcie zacząć praktykować to, do czego zostały... stworzone.

-A do czego zostały stworzone? Do prowadzenia restauracji i podawania posiłków turystom? Bo to właśnie praktykują.

- Oprócz tego rozkochują w sobie mężczyzn. Albo raczej sprawiają, że mężczyznom wydaje się, że je pokochali. -Vanesso - powiedziała, z trudem chwytając powietrze.

-Wiem, że Zara miała wielu chłopaków, ale przecież jest naprawdę śliczna. To oczywiste, że mężczyźni za nią szaleją.

-Tu nie chodzi tylko o jej wygląd. Chodzi o to, kim... czym... jest. Czym obie są. - Zrobiłam pauzę. - Czym ty jesteś. Spojrzała na mnie.

-Powinnam poszukać Rainy - powiedziała, próbując się podnieść.

- Są syrenami - oznajmiłam, podnosząc głos. - Takimi, o jakich czytało się w szkole, ale prawdziwymi. Potrafią przedostać się do myśli ofiary, sprawiając, że taki mężczyzna przestaje trzeźwo widzieć świat, a potem wciągają go za sobą do morza, żeby go zabić. To właśnie spotkało wszystkich chłopaków Zary - oni nie wyjechali z Winter Harbor do domu, żeby leczyć złamane serce. To właśnie spotkało wszystkich mężczyzn, którzy zginęli tego lata. I to właśnie stanie się znowu dzisiejszej nocy, jeśli ich nie powstrzymamy.

- Yanesso, Zara potrafi być wredna, ale to nie znaczy, że jest...

- Wiem, że to brzmi nedorzecznie, nawet idiotycznie, ale, proszę, zastanów się przez chwilę. - Obejrzałam się za siebie, kiedy potężny grzmot wprowadził w drżenie porcelanowe wazony na stolikach. - Przed wypadkiem Betty dzień w dzień pływała całymi godzinami. Raina chodzi popływać kilka razy dziennie. Sama mówiłaś, że przez ostatnie dwa lata Zara pływała coraz więcej i więcej. Do tego wszystkie kąpię się w słonej wodzie.

- Widziałaś nasz dom. Jest stary i na dobrą sprawę postawiony na wodzie. To kwestia przestarzałej hydrauliki. Pochyliłam się ku niej.

- W ciągu kilku ostatnich tygodni za każdym razem, kiedy robiło ci się słabo, Raina kazała ci pić morską wodę. I pomagało, tak? Czulaś się po niej lepiej?

Zawahała się, ale przytaknęła.

- Jest taki proces, przez który musi przejść syrena w określonym czasie, zwykle po osiągnięciu dojrzałości płciowej. W przypadku Zary ten proces nastąpił nieco później ze względu na Betty.

- A co ze mną? - zapytała, spojrzawszy na swój wydęty brzuch.

-Ty zaszłaś w ciążę - odparłam. - Twoje ciało nie jest jeszcze w pełni gotowe na dziecko. Dlatego jesteś chora. Popatrzyła na mnie, potem w stronę portu. Następne słowa dobierałam wyjątkowo ostrożnie: -Jest coś jeszcze, o czym powinnaś wiedzieć. Jej oczy z białymi plamkami spotkały się z moim wzrokiem, po czym dostrzegły gazetę, którą jej podałam. -Jonathan? - wyszeptała, odczytując nagłówek. -Strasznie mi przykro, Paige - powiedziałam łagodnie. -Niech ci nie będzie przykro - odparła głośniejszym, bardziej zdecydowanym tonem. - To nie on. To nie jest mój Jonathan. Milczałam przez chwilę.

-Ależ tak. Raina wiedziała, jak bardzo go kochasz, i nie chciała, żeby te uczucia przeszkodziły ci w...

-Vanesso, przestań! - krzyknęła, łamiącym się głosem. Odrzuciła gazetę i chwyciła się za brzuch. - Dobrze? Po prostu przestań. Proszę. Już dłużej nie mogę tego słuchać. Poczułam, jak serce zaciska mi się w piersi, kiedy zaczęła cicho łkać. Podniosłam wzrok na Simona, który kiwnął głową. Wiedząc, że musimy już iść, pochyliłam się do przodu, położyłam dłoń na jej dłoni i spróbowałam raz jeszcze: - Przykro mi. Naprawdę. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale to wszystko prawda. Dzięki Betty i dziennikowi Zary...

- Dziennikowi Zary? - Jej oczy błysnęły, gdy poderwała głowę w moją stronę. - Jakim prawem...

-Paige, Justine Sands była moją siostrą.

Cofnęła głowę - wiedziała, o kim mówię.

-Zginęła, ponieważ zanurkowała w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Zginęła, ponieważ syreny w końcu wciągnęły ją pod powierzchnię. Dlatego przyznaję: czytała dziennik Zary, żeby dowiedzieć się więcej. - Wyjęłam go z torei ki i podałam jej. - Moja siostra nie

powiedziała mi wszystkiego póki jeszcze miała taką możliwość. Wszystko, co twoja siostra powinna ci powiedzieć - i powiedziałyby, gdyby naprawdę zależało jej na tobie - jest tutaj.

Wzięła ode mnie dziennik. Był grubszy niż ostatnim razem kiedy go widziała, bo teraz zawierał przetłumaczone przez Caleba strony.

Właśnie otwierała go, kiedy światło w jadalni zgasło. Odwróciłam się w stronę Simona, ale go nie widziałam. Nie widziałam nic. W ubiegłych latach w tym właśnie momencie światła elektryczne w całym mieście zastępowały świece i lampiony. Jednak teraz niebo pozostało czarne.

- Wszystko jest dobrze - wyszeptał, kładąc mi dłonie na ramionach. - Jestem tu.

Deszcz i wiatr uderzały o szyby w oknach za nami. Szyba za plecami Paige pękła, gdy trafiła w nią grudka lodu. Deszcz przechodził w grad. A my mieliśmy coraz mniej czasu. Zaczęłam grzebać w kieszeni, chcąc wyciągnąć komórkę. Palce mi drżały, a telefon dwa razy wyslizgnął mi się z rąk, zanim wreszcie udało mi się go wyjąć i otworzyć. Dało to wystarczająco dużo światła, bym mogła zobaczyć Paige stojącą zupełnie nieruchomo przed oknami wychodzącymi na port.

Nie mówiąc ani słowa, stanęłam przy niej. Błyski piorunów rozjaśniały mrok niczym sztuczne ognie. Natomiast srebrzyste snopy światła dzieliły niebo na długie, atramentowoczarne kolumny. Jednak w przeciwieństwie do błyskawic srebrzyste snopy nie wystrzeliwały z chmur.

Wystrzeliwały z wody.

połyskujące filary zaczynały nabierać kształtu. Czując ciepło ciała Simona, który stanął tuż za mną, byłam spokojniejsza, niż powinnam, widząc, jak ze wzburzonych wód portu wylaniają się kobiece sylwetki, a pod powierzchnią jaśniej coraz więcej snopów światła. W tej chwili było ich osiem. Plamy światła jaśniejące pod wodą wskazywały, że kolejne miały nadejść. Christabel,

Wstrzymałam oddech. Głos w mojej głowie nie należał do Justine.

- Chrisrabel - powtórzyłam.

W tej samej chwili Paige obróciła się w moją stronę.

- Co powiedziałaś? Spojrzałam na nią.

- Christabel.

Jej twarz pobladła.

- Nikomu nie wyjawiałam imienia mojego dziecka. Ani jednej osobie.

- Nie musiałaś. - Posłałam jej nikły, smutny uśmiech. - Betty odczytała je w twoich myślach.

24

PÓŁ godziny później wjechaliśmy w górzysty teren poza granicami miasta.

Spojrzałam na Simona, który siedział zgarbiony tak blisko przedniej szyby, że podbródek wystawał mu za kierownicę i niemal dotykał tarczy prędkościomierza.

Stare volvo taty pędziło sto dziesięć na godzinę i całe aż wibrowało z wysiłku.

- Może powinniśmy odrobinę zwolnić - zasugerowałam. - Widoczność jest tragiczna, a na drodze ślisko.

- Wszystko pod kontrolą - zapewnił Simon. - To jak prowadzenie samochodu zimą.

- Z tą różnicą, że mamy lato - przypomniała z tylnego siedzenia Paige. - Jest środek lata i pada grad.

Zerknęłam między siedzenia. Wydawało się, że Paige nie nadąza z wdychaniem i wydechaniem powietrza. Raz po raz Betty przysuwała do jej drżących warg odkręconą butelkę mętnej wody morskiej.

- Nie rozumiem - wysapała lekko Paige chwilę później. - Dlaczego teraz? Skoro wszystko, co mówicie jest prawdą, dlaczego dzieje się właśnie teraz? Dlaczego nie rok albo dwa lata temu, albo pięć?

W czasie jazdy Betty opowiedziała Paige o wszystkim, o czym mówiła nam wcześniej. Jednak to pytanie Paige było jedynym, którego nie mieliśmy okazji zadać, i teraz słuchaliśmy zaintrygowani, co odpowie Betty.

- Serce twojej matki jest zimniejsze niż serce większości ludzi; jednak nie jest całkowicie odporne na ciepło. Raina była akurat w restauracji, kiedy Paul Carsons zjawił się tam po raz pierwszy i natychmiast się zakochała.

- Paul Carsons? - zdziwiła się Paige. - Pierwszy mężczyzna, który zginął? Co się stało?

- Nie odwzajemnił jej uczuć. Był żonaty i miał małe dzieci. Owszem, czuł do Rainy

pociąg - jak każdy mężczyzna, na którego ona spojrzy - jednak miłość do rodziny była silniejsza. - Betty pochyliła się w stronę przednich siedzeń. - Proszę, wybaczenie moją obcesowość, ale obawiam się, że nie da się tego inaczej ująć.

- Ująć czego? - wysapała Paige.

Betty odwróciła się znów do Paige i zaczęła delikatnie masować jej brzuch, jakby chcąc zażegnać niepokój w środku. - Kiedy Raina zrozumiała, że nigdy nie będzie mieć Paula Carsons'a dla siebie... postarała się, żeby już nikt nigdy nie mógł go mieć. Paige załkała, ale ciężko było stwierdzić, czy to z powodu historii Betty, czy nasilających się boleści.

- A co z pozostałymi? Dlaczego po jego śmierci kolejni mężczyźni musieli zginąć?

- Mówiłam już, że serce twojej matki nie jest całkiem odporne na ciepło. Tak samo nie jest odporne na wszelkie następstwa sercowego zawodu. Raina czuła się zraniona. I wściekła. Chciała dać innym mężczyznom pokroju Paula Carsons'a - przystojnym, mającym biznesmenom - nauczkę, której nie zapomnieliby nigdy.

Odwróciłam wzrok od bocznego lusterka, kiedy Betty ucałowała Paige w policzek i przytrzymała blisko siebie. Choćbym chciała, nie umiałam przestać zastanawiać się, kto będzie tulił mnie, kiedy po jutrzejszym dniu poczuję się wystraszona, skrzywdzona czy zdezorientowana.

- To co robimy? - załkała Paige kilka minut później. - Jak je powstrzymamy?

Betty spojrzała na mnie, ja na Simona. Kiedy nie odpowiedział, podniosłam worek marynarski leżący na podłodze u moich stóp.

Oczy Paige rozszerzyły się na widok srebrnego zbiornika.

- To wyjątkowo potężna mieszanka suchego lodu, ciekłego azotu i katalizatora chemicznego - wyjaśniłam. - Coś w rodzaju bomby lodowej. Jeden z profesorów Simona prowadził eksperymenty ze zbliżoną substancją prototypową w ramach badań na temat ocieplenia klimatu, a gdy Simon opowiedział mi o wydarzeniach w Winter Harbor i poprosił o pomoc, doktor Beakman skonstruował to. Zgodnie z jego obliczeniami, kiedy już umieścimy bombę we właściwym miejscu, Simon ją aktywuje i... po raz pierwszy w historii Winter Harbor zamarźnie, unieruchamiając wszystko - i wszystkich - pod powierzchnią.

Spojrzała na mnie.

- Ale czy Raina i Zara będą...?

Otworzyłam usta, żeby wytłumaczyć, dlaczego to konieczne, żeby podczas detonacji bomby obie znajdowały się pod wodą. Ale wtedy Paige opadła gwałtownie na oparcie, uderzając o nie mocno ramionami.

Wyciągnęłam z płóciennego worka kolejną plastikową butelkę wody morskiej i podałam Betty. Paige zużyła już pięć butelek. Woda zdawała się koić ból, ale z każdą kolejną butelką sposób sprawdzał się na krócej. Obliczyłyśmy, że dziesięć powinno jej wystarczyć do czasu, kiedy już będzie po wszystkim i kiedy zabierzemy ją do szpitala, ale już do tej pory wykorzystaliśmy połowę zapasu. Wiedziałyśmy, że w tym tempie musimy możliwie jak najszybciej dotrzeć do oceanu, żeby przynajmniej dostarczyć jej wody do picia i utrzymać przy życiu.

-W porządku - powiedziałam, kiedy Simon zdjął nogę z gazu. - Miałaś rację: musimy dojechać na miejsce tak szybko, jak to możliwe. Nie zwalniam. -Tylko że ja nie zwalniam.

Simon spojrzał na tarczę prędkościomierza, a ja podążyłam za jego wzrokiem. Mimo że wciskał pedał gazu w podłogę, a silnik wył, igła na wskaźniku opadała.

- To przez ten grad - stwierdził. - Pada tak szybko, że przywiera do asfaltu. Opony nie łapią przyczepności. Serce łomotało mi jak oszalałe, kiedy obserwowałam, jak igła prędkościomierza spada z siedemdziesięciu do czterdziestu, a wreszcie do zera.

Około trzech kilometrów od szlaku prowadzącego na szczyt urwiska Chione volvo wydało z siebie ostatnie tchnienie, po czym zaczęło się staczać. Simon skierował samochód na pobocze, gdzie stanął.

-Zdążymy na piechotę? - zapytałam.

Nie odpowiedział. Bo oczywiście nie mogliśmy zdążyć - było już po jedenastej.

Przemierzenie pieszo trzech kilometrów po stromym zboczu przy idealnej pogodzie mogłoby zająć co najmniej czterdzieści minut. A po dotarciu do szlaku nadal trzeba było jeszcze wspiąć się na sam szczyt urwiska.

- A co z Calebem? - zapytałam. - Subaru ma napęd na cztery koła. Może mógłby zostawić ją na kilka minut i...

Simon wyciągnął komórkę z uchwytu na napoje i wybrał numer. Po kilku sekundach rozłączył się.

- Nie odpowiada.

- A może Oliver? Albo Beakman?

Spróbował dodzwonić się do obydwu. Bez skutku.

- O nie... o Boże... - Paige sapiąc, opadła ciężko na oparcie siedzenia.

Jak każdy stary piernik cieszący się nienagannym zdrowiem, czasem się męczy - zwłaszcza pod górkę...

- Mogę spróbować? - zapytałam ni stąd, ni zowąd, czując, jak przewraca mi się w żołądku na dźwięk głosu tatka w mojej głowie. - Chodzi mi o samochód.

- Po co? - zapytał Simon. - Grad pada coraz mocniej. Nie ma szans, żebyś...

- Znam pewien sposób. Przed wyjazdem z Bostonu tatko powiedział mi coś o tym aucie. Może nie zadziałać, ale spróbować warto.

Simon spojrzał na mnie, a na jego twarzy malowało się zakłopotanie połączone z frustracją i zaniepokojeniem. Myślałam, że zechce protestować, ale po chwili złapał za klamkę i popchnął drzwi. Przelazłam ponad dźwignią biegów, opadając na fotel kierowcy w momencie, gdy otwierał drzwi od strony pasażera. Zaczekałam, aż zapnie pasy, potem odpaliłam silnik i ruszyłam.

- Staczamy się - wysapała Paige. - Staczamy... Nacisnęłam hamulec. Samochód, ślizgając się, zahamował.

- Vanesso - powiedział Simon z wahaniem - jesteś pewna...?

1 Nadepnęłam raz na pedał gazu i samochód skoczył naprzód, i chrzęszcząc oponami po porowatej szklistej powierzchni. Niemal natychmiast zaczął się staczać. dowiezie cię tam, gdzie zechcesz.

[Zacisnęłam dłonie na kierownicy i powstrzymałam się przed użyciem hamulca.

Pozwoliłam, by auto staczało się przez kilka sekund, po czym znów nadepnęłam na gaz - tym razem z większym wyczuciem. Skręciłam koła, które po chwili zaczęły zagarniać drogę centymetr po centymetrze. Gdy tylko prędkość spadała, znowu delikatnie przyciskałam gaz. Tocząc się już we właściwym kierunku, znowu przejechaliśmy kilka centymetrów. Za każdym razem, kiedy samochód wytracał pęd,

naciskałam pedał gazu.

Właśnie w ten sposób - kawałek po kawałku przy niezastąpionym wsparciu głosu tatka - dojechaliśmy na początek szlaku prowadzącego do urwiska Chione.

- Paige, skarbie, będziesz musiała tu na nas poczekać - oznajmiła Betty, gdy tylko zaparkowaliśmy.

- Zaczekać? - wysapała. - Jak to poczekać? A dokąd się wybieracie?

- One zbierają się na dnie oceanu - wyjaśniła łagodnie Betty. - Zbiornik sam nie zanurzy się rak głęboko w wystarczająco szybkim tempie. Ktoś musi go zatopić.

Chcieliśmy, żebyś poszła razem z nami i poczekała z Simonem przy brzegu, ale twój stan jest gorszy, niż się obawiałam. Wyjdiesz z tego, ale musisz pozostać w samochodzie i nie przestawać pić. Wrócę po ciebie tak szybko, jak tylko będę mogła. Obiecuję.

- Babciu - głos Paige w przerwach na oddech brzmiał śmiertelnie poważnie. - Chyba nie mówisz serio. Czyżbym miała

ci przypominać, że nie widzisz? Jak ty w ogóle zamierzasz je odnaleźć?

Kiedy Betty czule przemawiała wnuczce do ucha, obejrzałam się na Simona.

Spoglądał przez oblodzoną przednią szybę, zaciskając szczęki i usta.

- Wolałbym, żebyś została - powiedział chwilę później. Poczułam ucisk w piersi.

Miał na myśli dzisiejszą noc, ale ja pomyślałam o jutrze.

- Uzgodniliśmy, że ktoś powinien pójść z Betty. Caleb jest razem z Zarą, a ty musisz monitorować warunki u podnóża urwiska.

- Wiem, że tak uzgodniliśmy... ale Vanesso, jeśli cokolwiek ci się stanie...

- Zaczekaj. - Sięgnęłam do kieszeni płaszcza i wyciągnęłam dyktafon. - Należy do mojego ojca. Znalazłam go w domku nad jeziorem i nagrałam, jak wypowiadam twoje imię z tysiąc razy. Pomyślałam, że nie zaszkodziłoby, gdybyś miał... na wszelki wypadek.

Zmarszczył brwi, ale wziął dyktafon.

Już więcej nie rozmawialiśmy. Zajął się przygotowaniem naszych rzeczy, podczas gdy ja opatulałam Paige w koce, układałam butelki słonej wody w zasięgu jej ręki i żegnałam się. W milczeniu ruszyliśmy szlakiem, a kiedy się wspinaliśmy, słyhać

było jedynie zgrzytanie stóp na zmrożonej ziemi i uderzanie gradu o korony drzew nad naszymi głowami. W dwadzieścia minut od zejścia z głównej drogi dotarliśmy do rozwidlenia. Chciałam pójść dalej i zwyczajnie pomachać mu na do widzenia - z tego miejsca bowiem Betty i ja odbijałyśmy na lewo, w stronę szczytu urwiska, z kolei Simon skręcał w prawo - ale nie mogłam. Mój mózg chciał kontynuować wspinaczkę, ale stopy stanęły w miejscu. Simon, parę kroków za mną, też przystanął.

- Pójdę chwilę odsapnąć - oznajmiła dyskretnie Betty, ściskając moją dłoń. Od początku szła przodem, jakby noc była dniem, a jej oczy i mięśnie były zupełnie zdrowe. Wiedziałam, że teraz odpoczywa nie dlatego, że musi, ale dlatego, że jej zdaniem Simon i ja potrzebowaliśmy chwili prywatności. Przycupnęła na kamieniu kilkanaście metrów dalej, a ja czekałam, aż Simon coś powie. Kiedy się nie odezwał, odwróciłam się do niego. Poczułam, jak ogarnia mnie ciepło, gdy go zobaczyłam: stojącego pośrodku ścieżki, dygoczącego z zimna w polarze z logo Bates College i patrzącego na mnie tak, jakby samym wzrokiem mógł mnie objąć i ochronić przed zimnem, wiatrem, deszczem i gradem, przeszłością i przyszłością.

- Kiedy będziesz gotowa.

Poczułam, jak do oczu napływają mi łzy.

- Kiedy będziesz gotowa... albo nawet nigdy... to nic takiego. Pokiwałam głową, czując, jak gorące krople toczą się po zimnych policzkach.

To samo powiedział, kiedy ostatnim razem staliśmy na szczycie urwiska i nie mogłam zmusić się do skoku. Nawet teraz, po tym wszystkim, gdybym zdecydowała się zawrócić, zamiast brnąć dalej, wspierałby mnie.

Nagle zapragnęłam opowiedzieć mu wszystko, czego się dowiedziałam: o tacie, mojej matce, o sobie samej. Chciałam mu powiedzieć, że jest mi wszystko jedno, że to nieważne, bo to, co czuję, nie ma nic wspólnego z władzą, kontrolą czy ego.

Chodzi wyłącznie o niego. I o mnie. I o to, w jaki sposób pomógł mi myśleć o mroku

- nie jak o czymś, czego trzeba się bać, ale jak o czymś, co sprawia, że jasność nabiera intensywności.

Jednak zanim znalazłam właściwe słowa, by to wyrazić, odezwał się:

- Kocham cię, Yanesso. Będę na ciebie czekał. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

Podeszłam do niego i zbliżyłam twarz do jego twarzy tak blisko, że czułam teraz jego gorący oddech na ustach.

- Bądź ostrożny - wyszeptałam.

Chciałam go pocałować, poczuć przyjemny dotyk jego ust przywierających do moich warg, ale zdołałam się oprzeć pokusie. Wzięłam marynarski worek, który mi podał, i ruszyłam szlakiem pod górę.

Przez jakiś czas słyszałam, jak grad pokrywający biegnącą równoległe ścieżkę chrzęści pod naciskiem jego butów. Ale w miarę jak odległość między nami rosła, jego kroki cichły i wkrótce Betty i ja znalazłyśmy się zupełnie same w samym środku lasu, w samym środku nocy. Jedynym pocieszeniem było to, że nie muszę martwić się o potwory czy zjawy skradające się za nami, czyhające na właściwy moment, by porwać nas ze szlaku. Wiedziałam bowiem, gdzie są wszystkie potwory. I razem z Betty zmierzałyśmy prosto ku nim.

25

Poczułam ją, zanim pojawiła się w polu widzenia. Teraz wiedziałam już, dlaczego zawsze, kiedy jest w pobliżu, czuję, że głowa zaraz pęknie mi na tysiąc kawałków. Otóż między Zará Marchand a mną była jakaś więź.

Chociaż przed dotarciem do końca szlaku zgasiłam latarkę, dzięki srebrnej poświacie bijącej z wody bez trudu ją zobaczyłam. Ona i Caleb stali zwrócenie do siebie przodem niedaleko krawędzi urwiska. Miała na sobie tylko długą czerwoną sukienkę na ramiączkach, całkowicie przemokniętą i przylegającą do ciała. Długie ciemne włosy układały się luźno na jej plecach, kiedy wpatrywała się w niego z uwielbieniem. Powiedziała coś, na co on się uśmiechnął. Zadrżała, a on potarł dłońmi jej nagie ramiona, by ją ogrzać, tak samo, jak robił to wiele razy, gdy marzła Justine. Przyciągnął ją do siebie, objął w pasie, a kiedy położyła głowę na jego piersi, zbliżył twarz do jej włosów. Wyglądali jak każda para zapatrzona w siebie do tego stopnia, że nie dostrzega świata wokół. Plan polegał na tym, by Caleb przekonał Zará, że nareszcie odwzajemnia jej uczucia, i zaprowadził ją na szczyt urwiska. Jak do tej pory wszystko toczyło się po naszej myśli. Miałam tylko nadzieję, że wykonując swoje zadanie, Caleb przypadkiem nie wczuje się zbyt

mocno w rolę i rzeczywiście nie przestanie dostrzegać świata.

Zerknęłam na zegarek. Dwudziesta trzecia trzydzieści sześć. Zostały już tylko cztery minuty.

- Ona nas nie słyszy - szepnęła Betty. - Nie wie, że tu jesteśmy.

Kiedy na nich patrzyłam, pulsowało mi w głowie, jednak ból był inny niż dotychczas, nie tak ostry. To dlatego - nie miałam pewności, ale odgadywałam - że tym razem przyszliśmy tu w określonym celu. Tym razem to my byliśmy prześladowcami.

Dwudziesta trzecia trzydzieści osiem. Teraz od krawędzi dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów. Wstrzymałam oddech, gdy Zara odwróciła się i spojrzała w stronę szlaku. Poświata bijąca od srebrnych snopów strzelających z wody nie sięgała wysokich krzewów, za którymi się skryliśmy. .. jednak zdawało się, że jej oczy odnalazły moje.

- Wszystko w porządku, Zaro.

Zanurkowałam w cień, Betty bowiem wkroczyła na czoło urwiska.

Zara zerknęła na Caleba, by po chwili odwrócić się znowu.

- Babcia? Co ty tu... ? Myślałam, że jesteś...

- Zbyt słaba, żeby chodzić? - Biała letnia sukienka smagała nagie kostki Betty, gdy ta stąpała krok za krokiem po skale. -Bo tak było.

Zara zrobiła niewielki krok w tył, kiedy Betty zbliżyła się do niej.

- Kochasz go, prawda?

Zara zastygła w bezruchu. Za jej plecami Caleb stał nieruchomo, przyglądając się im obydwu.

Sprawdziłam czas. Dwudziesta trzecia trzydzieści dziewięć.

- On ciebie też kocha.

Poderwałam głowę w chwili, gdy Betty spoglądała na Caleba.

- Mam rację, Calebie? Zrobiłbyś dla Zary wszystko, prawda? Jego wzrok pomknął w stronę szlaku. Widział mnie? Może potrzebował mojej pomocy? A może po prostu miał nadzieję, że nie będzie mi przykro, kiedy powie to, co Betty chciała z niego wyciągnąć?

- Ja... - głos uwiązł mu w gardle, gdy zbliżał się do Zary. -Wiesz, że cię...

Poczułam suchość w ustach. Nie mógł tego zrobić. Nie mógł tego wyznać nikomu poza Justine.

- To nic złego - improwizowała Betty, ujrawszy, że blask w oczach zranionej, wpatrującej się w Caleba Zary gaśnie. -Nadal możesz go kochać. Nie musisz go krzywdzić. Zara otworzyła usta, jakby chciała przyznać jej rację, jednak po chwili zamknęła je, nic nie mówiąc.

- Nie musisz naśladować Rainy. - Betty stała teraz zaledwie kilka centymetrów od niej. - Możesz żyć i kochać, nie krzywdząc nikogo.

- Przepraszam, babciu - oznajmiła Zara drżącym głosem. -Kocham cię... i przepraszam.

Wstrzymałam oddech, kiedy Betty zrobiła krok naprzód, i wypadłam ze swojej kryjówki, widząc, do czego to wszystko zmierza.

Ale było już za późno. Betty doskoczyła do Zary, gdy ta rzuciła się na Caleba... po czym Zara skoczyła z urwiska w ciemność, pociągając swoją babcię za sobą.

- Yanesso - wysapał Caleb, kiedy do niego dobiegłam. Drżał na całym ciele, wpatrując się w krawędź klifu. - Strasznie cię przepraszam: nie mogłem tego zrobić. Chciałem to powiedzieć, bo wiedziałem, że ona chce to usłyszeć, ale...

- Już dobrze. - Opuściłam worek na ziemię i zaczęłam ściągać kurtkę. - Nie masz za co przepraszać.

- Ale Betty miała zatopić zbiornik, a jest już tak późno... Jak mamy teraz... - Zamilkł.

- Co ty wyprawiasz? Energicznym ruchem zdjęłam bluzę i zsunęłam tenisówki. Stojąc już tylko w dżinsach i podkoszulku, otworzyłam worek i wyjęłam zbiornik.

- Vanesso, przestań. Nie możesz...

- Caleb, sam słyszałeś Simona i doktora Beakmana. Bombę trzeba zdetonować u źródeł aktywności atmosferycznej. A że sama się tam nie dostanie, ktoś musi ją zabrać.

- Zgadza się: ktoś o nadludzkich, nadprzyrodzonych zdolnościach.

Nie odpowiedziałam, wsuwając ręce przez grube szelki zbiornika i zawiązując taśmę wokół pasa.

- Yanesso, ja skoczę - zaproponował, zbliżając się do mnie. -Zanurkuje ze zbiornikiem tak głęboko, jak mi się uda, a potem opuszczę go na dno. To najlepsze, co możemy w tej chwili zrobić.

- Caleb, bez obrazy, ale przy takich falach nie przetrwasz nawet dziesięciu sekund.

- A skąd masz pewność, że ty przetrwasz? Posłałam mu wymowne spojrzenie.

- Trzydzieści cztery minuty.

Zaczął protestować, ale kontynuowałam, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Dwa lata temu spędziłam pod wodą trzydzieści cztery minuty. I nic mi się nie stało.

-Ale...

-Ja to muszę zrobić, Caleb - przerwałam łagodnym, lecz stanowczym głosem. - Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła, muszę chociaż spróbować.

Potrząsnął głową, ale nie powiedział już nic więcej. - Paige jest w samochodzie - dodałam, wymieniając z nim uścisk. - Jest w ciężkim stanie i musi jak najszybciej trafić do szpitala. Czy mógłbyś...

-Jasne. - Zanim mnie puścił, mocno mnie uścisnął. - Proszę cię, bądź ostrożna.

Patrzyłam, jak odchodzi, a potem zbliżyłam się do półki skalnej. Światło było tak jasne, że nie widziałam podnóża klifu w dole.

Nie wydaje ci się, że tego lata Simon wygląda inaczej? Jakby do-roślejszy?

Przystojniejszy?

Gdy na twarzy poczułam słoną mgiełkę fal rozbryzgujących się o skały piętnaście metrów poniżej, zmrużyłam oczy i ujrzałam Justine. Nie udawałam, że jest tuż obok mnie i szepcze słowa zachęty. Niczego nie udawałam. Po prostu ujrzałam ją taką, jaką ją zapamiętałam: kiedy jako dziewczynka budowała wokół mnie na łożku fortecę z poduszek i pluszaków; kiedy popijała ajerkoniak przycupnięta pod ciepłym pledem na schodach w tylnej części domu; kiedy łowiła ryby z czerwonej łodzi wiosłowej; kiedy oddawała skok do wody z urwiska. Zobaczyłam jej uśmiech, jej niebieskie oczy. Po prostu zobaczyłam ją, moją Justine, dokładnie taką, jaką zawsze znałam.

Czując przedziwny spokój, jakby każda minuta dwóch ubiegłych lat prowadziła właśnie do tej chwili, wzięłam głęboki oddech... i skoczyłam.

Wbiłam się w taflę wody. Fale naparły na moje ciało, a prąd szumiał mi w uszach niczym rozpedzony pociąg. Blask nade mną był równie jasny jak pode mną, przez co nie potrafiłam stwierdzić, w którą stronę się zwrócić. Ramiona i nogi młóciły wodę; przestałam się poruszać dopiero wtedy, gdy zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech, a moje płuca lada chwila eksplodują. Prądy wirowały wokół mnie, szarpiąc mną jak szmacianą lalką. Po upływie niemal całej minuty zorientowałam się, że moje położenie zmieniło się co najwyżej o kilkadziesiąt centymetrów, a płuca już nie dawały rady. To był ten moment.

Ucisk na klatkę piersiową był tak silny, że resztki powietrza zostały wypchnięte z płuc. Powietrze wypełniło mi usta i naparło na zaciśnięte wargi, które wreszcie uległy, wypuszczając tlen. Nozdrza wypełniła woda, sprawiając, że twarz zapłonęła żywym ogniem. Gardło się zacisnęło, starając się zatrzymać tesztki powietrza w płucach.

Patrzyłam, jak z każdą chwilą powierzchnia oddala się coraz bardziej. Pomyślałam o mamie, tacie i Justine. Pomyślałam o Calebie i Paige. Pomyślałam o Betty, Rainie i Żarze. Pomyślałam o Simonie z nadzieją, że nadal będzie wierzył, iż uczucie, jakim mnie darzył, czymkolwiek było, było prawdziwe, i że będzie je pielęgnował niezależnie od tego, co się wydarzy.

Zwolniłam zaciśnięte wargi. Woda wlała mi się do ust, naparła z taką siłą, że aż mnie odrzuciło. Przycisnęłam obie dłonie do palącej piersi i modliłam się, aby nadeszła śmierć, aby mrok -lub jasność - powstrzymał ból i zmył wszystko inne. Bo było tego zbyt wiele. Trwało za długo. Chciałam już tylko, żeby się skończyło - żeby to wszystko wreszcie się skończyło.

I wtedy... skończyło się. Ból w płucach ustąpił. Wkrótce wewnątrz mojego ciała stało się zimniejsze niż skóra. Udreka minęła. Otworzyłam oczy i spojrzałam w dół. Klatka piersiowa wciąż unosiła się i opadała miarowo. Serce pod palcami nadal biło.

Żyłam... i, tak samo jak dwa lata temu, oddychałam pod wodą.

Spojrzałam na zegarek. Do północy został jeszcze kwadrans. Zanurkowałam głębiej, z dala od powierzchni. Prądy wciąż mną szarpały, ale teraz ramiona i nogi przecinały je bez trudu. Mięśnie zdawały się silniejsze, ciało naładowane nową energią. Jedyna

rzecz, która sprawiała, że pływanie było bardziej wymagające fizycznie od przechadzki po parku, to światło: otaczało mnie ze wszystkich stron, a im głębiej się zanurzałam, tym jego blask był intensywniejszy. Zamykałam oczy, ale nie było żadnej różnicy.

Zaczynałam się martwić, że nie zorientuję się, jak dotrę na dno, dopóki dłonie nie uderzą w piasek... kiedy nagle woda wokół mnie zaczęła się zmieniać. Odniosłam wrażenie, że rzednieje, lekko rozstępuje się... aż przestaje się poruszać. Ja też przestałam się poruszać, a moje ciało zamarło. Czułam się tak, jakbym unosiła się na niezmaconej powierzchni jeziora Kantaka. Spróbowałam otworzyć oczy, żeby przekonać się, dlaczego tak się dzieje - natychmiast je zamknęłam i obróciłam się. Dotarłam do czegoś w rodzaju bariery. Światło tuż przede mną jaśniało bielą i było skoncentrowane na czymś, co wyglądało na długą, grubą ścianę. Spoglądanie w tamtym kierunku było jak patrzenie prosto w słońce.

Nie otwierając oczu, zrobiłam głęboki wdech i wyciągnęłam ręce w stronę światła. Gdy tylko opuszkami palców dotknęłam ściany, moje oczy rozwarły się: poczułam, jakbym w obie

dłonie schwytała błyskawicę. Energia była równie ożywcza jak paraliżująca, przez co nie potrafiłam nic zrobić, mogłam tylko patrzeć, bezsilna, jak wciąga mnie w głąb światła. Powinnam być przerażona. Powinnam walczyć, zrobić zwrot i próbować z całych sił wyrwać się z powrotem. I pewnie bym to zrobiła, gdyby nie Simon. Był wszędzie. Widziałam, jak siedzi przykucnięty przy mnie na krawędzi skarpy; wiosłuje przede mną na łódce; stoi na plaży, czekając, aż zeskoczę ze skały; trzyma mnie na kolanach na podłodze w kuchni; tuli mnie, całuje, pieści. Czułam go tak, jakby był tuż przede mną, i było mi tak dobrze - prawie tak samo dobrze jak w rzeczywistości - że pomyślałam: jeśli tak to właśnie wygląda, jeśli koniec oznacza zawieszenie pośród jasności pomiędzy dwoma światami, to nie mam się czego obawiać. Nic złego mi nie grozi.

W końcu światło osłabło. Woda wciąż lśniła, jednak na tyle bladym światłem, że mogłam rozeznaczyć się w otoczeniu. Oderwałam się od ściany i opadałam w stronę piaszczystego podłoża, gdzie zgromadziły się dziesiątki migoczących postaci,

tworząc krąg. Spostrzegłam, że krąg otaczają skupiska wysokich głazów, dlatego szybko zmieniłam kierunek i skryłam się za jednym z nich.

Kiedy nabrałam pewności, że mnie nie widzą, wyciągnęłam rękę po zbiornik na plecach. Uzgodniliśmy, że w chwili gdy temperatura wody osiągnie zero stopni, Simon ze swojego stanowiska na łodzi „Anna Barbara” naciśnie przycisk, co wprawi zbiornik w drżenie. Nie czułam jeszcze wibracji, ale chciałam sprawdzić na zewnętrznym termometrze, jak niewiele pozostało do temperatury zamarzania.

Znaliśmy ich plan: wystarczyło dopasować do niego własny.

Znieruchomiałam, czując, że ręka przecina pustą przestrzeń za plecami. Zbiornika nie było. Musiał się zerwać - albo został odessany - przy przekraczaniu bariery świetlnej. Starając się nie wpadać w panikę, spojrzałam na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt cztery. Miałam sześć minut na znalezienie zbiornika, aktywowanie mechanizmu i przepłynięcie półtora-kilometrowego dystansu, jaki dzielił mnie od powierzchni. Przemknęłam wzrokiem po zgromadzonych, dostrzegając wśród nich Betty i Zare, które stały w kręgu, zupełnie jakby od samego początku zamierzały w tym uczestniczyć. Syreny zdawały się na coś czekać: ich skrzące się oczy raz po raz unosiły się w górę, w stronę ściany światła. Na mężczyzn. Czekały na kolejne ofiary. Z kręgu dobiegł wysoki dźwięk. Na początku subtelny, jednak | po chwili stał się donośniejszy, jakby obok stał ktoś i manewrował pokrętle głośności. Serce zabiło mi szybciej, gdy jedna z syren wypłynęła na środek kręgu. Nie widziałam jej twarzy, ale rozpoznałam ją natychmiast.

Raina. Usta miała zamknięte, ale wydawała z siebie wysoki, nieprzerwany dźwięk, który sprawiał, że pozostałe syreny opuściły wzrok, a woda wokół nich zafalowała. Syreny, nie otwierając ust, zaczęły swoją pieśń, a łagodne dźwięki sprzęgły się w miłą dla ucha, kojącą, harmonijną melodię.

Spojrzałam na zegarek. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt sześć. Zaczekałam, aż wszystkie skupiły się na środku kręgu, a wtedy szybko podpłynęłam do następnego głazu. Wzrokiem badałam kamieniste wieże w poszukiwaniu srebrzystej poświaty lub błysku światła dobiegającego spomiędzy mrocznych wnęk i szczelin skalnych. Nic. Jedynym źródłem światła była ściana unosząca się ponad kręgiem oraz sam

krąg. Tam, Vanesso...

Otworzyłam szeroko oczy na dźwięk głosu Justine. Spójrz w górę...

One też ją słyszały: gdy tylko przemówiła, śpiew ustał. Wypadłam z za głazów.

Zbiornik prześlizgiwał się przez szczelinę w ścianie, a Raina ruszyła już w górę,

chcąc go przechwycić. Odpychałam się i zagarniałam wodę tak szybko, jak tylko

pozwalają mi na to nogi i ramiona. Jedna z syren poniżej dostrzegła mnie i podniosła mrozący krew w żyłach alarm, który wbił się w moją głowę niczym ostrze topora.

Ból był milion razy dotkliwszy niż to, co kiedykolwiek czułam, będąc w pobliżu Zary

- nogi natychmiast mi zeszywniały i musiałam przestać płynąć, żeby chwycić się

obiema tekami za głowę. Jednak spróbowałam odpychać się nogami, ale alarm stał

się jeszcze głośniejszy, a ból tym bardziej nieznośny, do pierwszej bowiem dołączyła

druga syrena. Opadając bezwładnie na dno, zdołałam podnieść wzrok i wtedy

zobaczyłam Rainę zbliżającą się do zbiornika w chwili, gdy cały jaśniejący krąg

światła zaczął się unosić. Nadciągały. Nadciągały, a ja nie mogłam się nawet

poruszyć. Hałas nasilał się. Znosiło mnie na środek kręgu głową naprzód i ledwie

zauważyłam, że blask słabnie. Do chwili gdy wylądowałam łagodnie na piasku,

zapanował już kompletny mrok. Otaczała mnie absolutna ciemność, a potwory

zbliżały się do mnie.

Spróbowałam się podnieść, kiedy coś szarpnęło mnie za rękę. Zostałam poderwana z

podłoża i wzniesiona spiralnym ruchem poprzez wodę. Poruszałam się tak szybko, że

nie umiałam stwierdzić, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Ale nie szarpałam się ani nie próbowałam się uwolnić. To nic by nie dało. Miałam

tylko nadzieję, że Justine do mnie przemówi, że mi pomoże. Zostań tu.

W głowie wciąż jeszcze mi wirowało, kiedy stopy znalazły stabilny grunt. Syreny

przerwały alarm i znów zaintonowały pieśń. Z kręgu biła delikatna poświata: to ich

oczy płonęły niczym nocne lampki. Zrobiło się na tyle jasno, bym mogła dostrzec, że

stoję na skale wysoko ponad kręgiem, a z góry spływają kolejne syreny, wabiąc

radośnie zdezorientowanych mężczyzn ubranych w spodenki i podkoszulki.

Mężczyźni znajdowali się półtora kilometra pod wodą, ale żyli - jeszcze.

Nagle woda wokół mnie zawirowała. Coś uniosło moje ręce i poczułam

przesuwający się z tyłu ciężar, który po chwili spoczął na moich ramionach i plecach. Próbowałam zobaczyć twarz syreny, która znalazła się przy mnie, ale - w przeciwieństwie do pozostałych - jej srebrne oczy były zgaszone. Nie mogłam nic dojrzeć, dopóki inna syrena nie wystartowała prosto na nas z prędkością torpedy: błyski jej oczu cięły wodę niczym rzucane na nocne niebo snopy światła z latarni morskiej. Gdy blask bijący od zbliżającej się syreny nasilił się, moje oczy otworzyły się szeroko. Przede mną była Zara. Wyglądała inaczej - była smutna, nie rozgniewana, przestraszona, nie złowroga - ale to była ona.

Kiedy mrugnęłam, już odpłynęła. Wystrzeliła w kierunku tej drugiej syreny, a potem podążyła w stronę kręgu. Oślepiający blask zelżał, kiedy druga syrena ruszyła w jej ślady. Nagle poczułam wibrowanie na plecach i sięgnęłam obiema rękami za siebie. Zbiornik. Najwyraźniej Zara dostarczyła mi bombę lodową. Doktor Beakman powiedział, że panel sterowania na boku zacznie brzęczeć, kiedy temperatura wody spadnie na tyle, by Simon mógł zdetonować ładunek.

Spojrzałam w dół na krąg i ujrzałam syreny porażone widokiem mężczyzn unoszonych z prądem w ich kierunku. Na widok tych nieszczęśników, otaczających ramionami kobiety, które ich sprowadziły na dno, poczułam ucisk w sercu. Zbiornik znów zawibrował. Zamknęłam oczy i pomyślałam o Simonie czekającym na nas gdzieś nad powierzchnią, po czym... odepchnęłam się od skały.

Trzymałam się wysoko nad kręgiem, podpływając na jego środek. Kiedy przesuwałam się bezpośrednio ponad sylwetkami zwabionych ofiar, sięgnęłam za siebie. Wymacałam palcami zatrząsk zwalniający zbiornik z pleców. Na twarzach mężczyzn malowało się coraz większe zadowolenie, w miarę jak syreny kontynuowały pieśń, a wtedy wyobraziłam sobie, jak zastygają na zawsze - podobnie jak twarze znalezionych ofiar, jednak te z innej przyczyny. Śpiewaj, Vanesso... Odrzuciło mnie, jakby pod wpływem ciosu. Spojrzawszy w dół, zobaczyłam, że każda z syren skupiona jest na mężczyźnie... każda z wyjątkiem jednej. Musisz zaśpiewać...

Betty. Pozostałe zdawały się jej nie słyszeć ani nie zauważać, że śledzi mnie

wzrokiem, gdy unoszę się ponad nimi, jednak jej głos wyraźnie rozbrzmiewał w mojej głowie. Co to znaczy, że muszę zaśpiewać? Co miała na myśli? Jak? Co by to teraz dało poza tym, że zwróciłabym na siebie niepotrzebnie uwagę? Możesz ich jeszcze ocalić...

I wtedy go usłyszałam. Subtelny dźwięk, który płynął niczym ciepłe mleko z miodem... stopniowo narastał... by wreszcie eksplodować, rozpryskując się na milion drobniejszych dźwięków. Niektóre z nich były donośne, inne kojące i lekkie.

Niektóre urywane, inne przeciągłe. Niektóre wysokie i piskliwe, inne ciepłe i niskie. Odbijały się od piasku, odpryskiwały tysiącem rykoszetów od skał i otulały każdego, kto znajdował się pod powierzchnią. Brzmiało to tak, jakby śpiew dobiegał z wielu źródeł, jakby był dziełem całego chóru syren... ale w rzeczywistości pochodził tylko od jednej. Ode mnie.

Kiedy mężczyźni uwolnieni z uścisków wystrzelili w górę, a rój syren ruszył prosto na mnie, wcisnęłam przycisk, który miał po raz pierwszy w historii skuć lodem Winter Harbor. Krąg srebrzystego światła unosił się. Odepchnęłam się, zagarnęłam wodę, oddalając się od zbliżającej się poświaty, i ruszyłam ku powierzchni. Zbiornik opadał gdzieś poniżej, ale ja nie oglądałam się za siebie, żeby przekonać się, gdzie wyląduję. Nie oglądałam się też, żeby sprawdzić, czy syreny nadal mnie ścigają. Wiele godzin później, kiedy już zabrano nas do szpitala, gdzie dochodziliśmy do siebie, próbowałam opowiedzieć Simonowi, jakie to było uczucie. Próbowałam mu opowiedzieć o tym, jak śpiew nasilał się, a potem nagle urwał; jak w zastraszającym tempie rozprzestrzeniał się lód, a do uszu dobiegał odgłos krystalizującej się wody. Próbowałam opowiedzieć o tym, że płynęłam tak szybko, jak tylko potrafiłam, aż lód dotarł do moich nóg i nie mogłam już dłużej płynąć. Jednak w tamtej chwili, kiedy zbiornik eksplodował, a w naszym kierunku wystrzelił srebrzysty, lodowy kłęb, byłam świadoma tylko jednego: że się uśmiecham. Wody Wintet Harbor zamarzają w samym środku lata... ale ja się uśmiecham.

26

- Nie bój się - powiedział tato, trzymając mamę za obie dłonie.

- Nie boję się.

- Przecież drżysz.

- No tak, oczywiście, że drzę. Lada chwila złamię rękę, nogę, kręgosłup i Bóg wie co jeszcze...

- Ślicznotka.

Przestała narzekać na chwilę, by móc posłać tacie uśmiech.

- Moja ślicznotka.

Odwróciłam wzrok, kiedy pochylił się, żeby pocałować ją po raz czwarty, odkąd weszli na lód. Minał już tydzień, jak wyszłam ze szpitala i wracałam do siebie w domku nad jeziorem, i w chwilach kiedy akurat nie pytali, jak się czuję, nie przynosili mi herbaty albo jeszcze jednego koca, tulili się do siebie, całowali albo śmiali. Utrata Justine sprawiła, że się od siebie oddalili, ale utrata Justine i nieomal utracenie mnie najwyraźniej rozbudziły między nimi coś, czego

- odkąd pamiętam - nigdy wcześniej nie byłam świadkiem. To było miłe, ale... oprócz tego nie byłam pewna, jak mam się z tym teraz czuć.

- Mam cię - powiedział tato, przesuwając dłonie na talię mamy. - I cię nie puszcę.

- Yanesso - zawołała mama przez ramię - gdy tylko upadnę, zacznę krzyczeć, ale jeśli z jakichś powodów ratownik mnie nie usłyszy...

- Przyślę sanki ratunkowe - zapewniłam.

- Nic ci nie będzie, dziecinko? - zapytał tato. - Zawołasz nas, kiedy będziesz czegoś potrzebowała?

Pokiwałam głową, chociaż już niczego nie potrzebowałam. Po molo szedł właśnie w moją stronę Simon. Przyglądałam się, jak rodzice wchodzą głębiej na lód. Tato poruszał się pewnie, ale kostki mamy w łyżwach wyraźnie się wyginały. Cieszyłam się, że ratownik ciągle jest w pobliżu. Nawet po tym jak wody w porcie zamarły na kamień, wciąż zajmował swoje stanowisko wychodzące na lodową taflę, z tym że teraz zamiast koszulki straży wodnej i spodenek pływackich miał na sobie spodnie dresowe, zimową kurtkę, rękawiczki i futrzaną czapkę. Nie był jedyną osobą ubraną w zimową odzież. Od dwóch tygodni - a dokładnie od dnia, kiedy skoczyłam do wody z urwiska Chione - na niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka, ale temperatura wciąż utrzymywała się poniżej zera. Bomba chemiczna Simona w

połączeniu z manipulacjami atmosferycznymi syren sprawiły, że Winter Harbor wreszcie zapracowało na swoją zimową nazwę pomimo pełni lata. Powietrze stopniowo się rozgrzewało, ale Simon powiedział, że lód prawdopodobnie nie stopnieje aż do jesieni. Zatem podczas gdy mieszkańcy i turyści odwiedzający pozostałe miasteczka na linii wybrzeża stanu Maine wciąż oddawali się wodnym szaleństwom, wszyscy w Winter Harbor sięgnęli po zimowy sprzęt i wyruszyli eksplorować lód.

Ja jeszcze nie weszłam na zmrożoną taflę i nie sądziłam, że w ogóle to zrobię, ale miło było siedzieć przy brzegu i patrzeć, jak inni jeżdżą na łyżwach, grają w hokeja i próbują - bez powodzenia - łowić ryby w lodzie. I myślałam, że gdyby port nigdy nie odtajał, gdyby miasto na zawsze opanowała wieczna zima, wcale nie byłoby to takie złe. Nie było szans, żeby cokolwiek, co zamarzło pod powierzchnią, wciąż jeszcze żyło, gdy lód wreszcie stopnieje. Jednak mimo to za każdym razem, kiedy spoglądałam na jezioro i widziałam twardą, nieprzenikalną powłokę, czułam się uspokojona.

- Wiem, że wiele przeszłaś i nie chciałbym cię wyprowadzać z równowagi - oznajmił Simon, siadając na ławce obok mnie -ale wydaje mi się, że twoja mama się uśmiecha. Roześmiałam się.

- Oto kolejny przykład, gdy niemożliwe staje się możliwe. Wiesz, że na resztę wakacji wzięła sobie urlop? Wyciągnął przed siebie owiniętą w folię kanapkę i papierowy kubek.

- By uczcić twój pierwszy dzień na wolności: kajzerka z jajkiem, kiełbasą i serem, a do tego nowy hit „Portowych Frykasów”: gorąca czekolada. Pomyślałem, że ciągle jeszcze jest trochę za zimno na koktajl arbuzowy z gujawą.

- Wspaniale - ucieszyłam się, biorąc od niego śniadanie. -Dziękuję.

Przez kilka minut jedliśmy w milczeniu. Teraz jednak, w przeciwieństwie do pierwszego wspólnego śniadania tego lata -w subaru, zanim udaliśmy się na poszukiwanie Caleba - cisza między nami nie była krępująca. Po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, fakt, że mogliśmy siedzieć obok siebie i nic nie mówić, był przyjemną odmianą.

- Byłem dziś rano w szpitalu - oznajmił wreszcie. Skinęłam głową. Od wypadku codziennie odwiedzał ofiary i zdawał mi relację na bieżąco, wpadając co wieczór na krótką kontrolowaną wizytę.

- Wszyscy mężczyźni wracają do siebie. Dalej śpią na potęgę, ale lekarz mówił, że po przebudzeniu są komunikatywni. Spojrzałam na niego.

- I ciągle nie mówili nic o tym, co się wydarzyło...? Potrząsnął głową.

- Widocznie nie pamiętają. Lekarze winę przypisują tej dziwacznej pogodzie, tak samo jak w przypadku wszystkich pozostałych.

Odwróciłam się w stronę portu.

- Można by pomyśleć, że dość szybko znaleźli wyjaśnienie.

- Sądzę, że łatwiej jest obwiniać pogodę, niż stawiać kolejne pytania, na które nie potrafią znaleźć odpowiedzi.

- I nikt się nie dziwi, że po tygodniach ciągłych ulew i sztormów na dobre się roz pogodziło?

- Skończyło się równie niespodziewanie, jak się zaczęło. Zdaniem naukowców i meteorologów to niewytłumaczalny szczęśliwy traf. Być może, kiedy upłynie trochę więcej czasu, zaczną kopać głębiej.

- Kiedy na przykład młody geniusz, niejaki Simon Carmichael, zwróci na to ich uwagę? - Uśmiechnęłam się do niego.

- Myślę, że na razie odłożę próbówki na półkę. Może nawet po powrocie do Bates zmienię przedmiot kierunkowy: na teatr albo angielski, albo na coś innego niezwiązanego z naukami ścisłymi.

Uniosłam brwi. Ani przez chwilę nie wierzyłam w to, co mówi.

- W każdym razie - podjął łagodnym tonem - mieli mnóstwo szczęścia: lekarze oszacowali, że spędzili pod wodą mniej niż dwie minuty, zanim port zamarzał. Przez jakiś czas będą musieli zostać pod obserwacją, ale z dnia na dzień odzyskują siły.

- To dobra wiadomość. - Byłam wstrząśnięta, dowiedziawszy się, że każdy z mężczyzn zwabionych głęboko pod powierzchnię aż do kręgu syren, został znaleziony w lodzie, niedaleko od powierzchni. Kiedy kapitan Monty zaczął wiercić lód, znalazł trzech z nich, zanim natrafił na mnie. Mówił, że każdy z nas został

znaleziony na innej głębokości, ale zamrożone uśmiechy na naszych twarzach były jednakowe.

Mnie pierwszą zwolniono ze szpitala. Lekarze i pielęgniarki ochrztili mnie swoją „cudowną pacjentką”, bo chociaż wszyscy przetrwaliśmy takie same fizyczne wyzwania, ja wróciłam do siebie znacznie szybciej od pozostałych. Nawet Simon nie umiał tego wyjaśnić.

Ja umiałam. Ale jeszcze tego nie zrobiłam.

- Paige też czuje się lepiej - dodał. - Nadal jest zdruzgotana po stracie Jonathana i maleństwa, ale dochodzi do siebie.

Na myśl o Paige poczułam ucisk w żołądku. Nie rozmawiałyśmy ze sobą od tamtej nocy, więc nie wiedziałam, jak się rzeczywiście czuje. Simon mówił, że lekarze zrobili naprawdę wszystko, co mogli, jednak żaden wykwalifikowany położnik nie mógł wiedzieć, że jedynym sposobem na utrzymanie dziecka przy życiu jest wprowadzenie do jego organizmu słonej wody. A do tamtego czasu silny stres odbił się mocno na ciele Paige i zanim Caleb dowiózł ją do szpitala, straciła przytomność.

- A jak się ma Betty? - zapytałam parę minut później.

- Mówi, że od lat nie czuła się silniejsza fizycznie. Ani na krok nie odstępowała łóżka Paige, z kolei Oliver prawie nie odstępował jej.

- Cieszę się, że mają siebie. Paige będzie ich potrzebować. Pokiwał głową i spojrzał na mnie.

- Ciągle nie wiem, jak ci się to udało.

Skupiłam wzrok na strażce pary unoszącej się znad kubka z czekoladą.

- No wiesz, że udało ci się to wszystko bez pianki, maski tlenowej, butli... i samo to, że w ogóle byłaś w stanie skoczyć po tym wszystkim, co się stało i co odkryłaś.

Wstrzymałam oddech i zaczekałam, aż powiąże fakty, tak samo, jak robiłam to przez ostatnie dwa tygodnie za każdym razem, kiedy poruszał ten temat. Z logicznego, naukowego punktu widzenia nie powinnam była przeżyć. Jednak albo uczucia przysłańiały mu rozum, albo moja władza nad nim była na tyle silna, by trzymać go w nieświadomości, ponieważ do tej pory nie znalazł rozwiązania. A ja każdego dnia czułam coraz większą ulgę, że go nie znalazł.

- Musiałam skoczyć - odparłam tak jak zawsze. - Na szczęście upuszczenie zbiornika, żeby sam opadł na dno, okazało się skuteczniejsze, niż sądziliśmy. A Betty powiedziała ci, że usłyszała, jak woda się krystalizuje, zanim pozostałe syreny zdały sobie sprawę z tego, co się dzieje, i natychmiast zaczęła płynąć ku powierzchni.

Wygrałyśmy los na loterii.

Kiedy nic nie odpowiedział, spojrzałam na port. Tak bardzo bałam się, że pozna prawdę, że nie przygotowałam sobie nawet odpowiedzi na wypadek, gdy to wreszcie nastąpi. - Jak się dzisiaj czujesz? - zapytał łagodnie.

- Świetnie - odparłam zbyt rzeźkim tonem. - Mogłam wyjść z domu, a to już dużo, prawda?

Czekał, aż powiem coś jeszcze.

- Częściej robię się senna - dodałam. - Śpię więcej, niżbym chciała, czuję taki ból w płucach, że czasem nie mogę zaczerpnąć

tchu, i budzę się z bólem głowy. Ale każdy dzień jest łatwiejszy od poprzedniego.

Zerknął na port. Widząc moich rodziców chwiejących się na lodzie kilkaset metrów dalej, przysunął się do mnie bliżej. Oddech uwiązał mi w gardle. Była to najmniejsza odległość, jaka dzieliła nas od chwili, gdy zegnaliśmy się na rozstaju dróg, idąc na urwisko Chione. Czulałam, że każdy mój mięsień gorąco pragnie znaleźć się jeszcze bliżej - chciałam otoczyć go ramionami, obsypać pocałunkami i poczuć jego ciało przy swoim ciele. Wyobrażałam sobie, jak to będzie znaleźć się tak blisko niego, od momentu kiedy po raz pierwszy po przebudzeniu w szpitalu otworzyłam oczy. Ale nie mogłam być tak blisko. To nie było w porządku.

- Vanesso... ja nadal tu jestem. Wiem, że teraz sprawy wyglądają dziwnie, ale chcę, żebyś wiedziała, że nadal tu jestem. I chcę z tobą być, gdy tylko będziesz gotowa. Odwróciłam się do niego.

- Albo nawet nigdy? Milczał przez chwilę.

- Jeśli uznasz, że tak będzie najlepiej, to tak. Ale nie tego chcę.

Zajrzałam mu głęboko w oczy. Ja też wcale tego nie chciałam. Żałowałam, że nie mogę udawać, iż tak właśnie jest, ale nawet samo zasugerowanie tego na głos było dla mnie męczarnią. O dziwo, zeskoczenie w końcu z urwiska i ujście z życiem wcale

nie zmieniło mnie z miejsca w nieustraszoną. Ciągłe udawałam, że sprawy wcale nie mają się tak, jak miały się naprawdę - być może nawet bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Ciągłe jeszcze nie zapytałam taty o Charlotte Bleu i udawałam, że dalej jest moim ukochanym tatkiem, który nie był zdolny do złego. Udawałam, że mama jest moją prawdziwą matką. Udawałam, że w naszej rodzinie wszystko się ułoży, mimo że straciliśmy Justine. Udawałam, że siedzenie na tej ławce z Simonem jest rzeczą całkowicie możliwą do zaakceptowania, i wreszcie wiedziałam, że kiedy naprawdę będziemy sami, nie tylko sami na publicznej ławce z moimi rodzicami kilkaset metrów dalej, będę udawała, że to też jest do zaakceptowania. Udawałam, że nadal jestem sobą. Udawałam, że dalej jestem tą nudną, zwyczajną Vanessą Sands, zamiast przyjąć to, kim - i czym - jestem naprawdę. Bo po oddaniu skoku z urwiska Chione i stawieniu czoła mojemu największemu lękowi nadal czułam strach. Od tamtej nocy moje ciało nie było już takie samo, a ja czułam strach na myśl o tym, czego teraz potrzebowało, by żyć. Czułam strach na myśl o tym, co Simon i ja zrobiliśmy trzy tygodnie wcześniej i co to teraz mogło oznaczać.

A przede wszystkim czułam strach przed tym, że gdyby poznał prawdę, straciłabym go na zawsze.

Odstawiłam kubek gorącej czekolady na ławkę między nami, sięgnęłam do kieszeni płaszcza i wyciągnęłam paczuszkę białego proszku.

- Suplement witaminowy - wyjaśniłam, udając jeszcze przez kilka kolejnych chwil, kiedy patrzyłam, jak drobinki soli opadają na powierzchnię brązowego, gęstego płynu niczym krople deszczu na niezamarznięte wody portu. - Dzięki niemu łatwiej mi się oddycha.